

ORSON
SCOTT
CARD



ZAGINIONE
WROTA

Prószyński i S-ka

ORSON
SCOTT
CARD

ZAGINIONE
WROTA

Przełożył
Tomasz Wilusz

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
THE LOST GATE

Copyright © 2010 by Orson Scott Card

All rights reserved

Projekt okładki:
Dark Crayon/Piotr Cieśliński

Redakcja
Agnieszka Roslan

Korekta
Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-7961-524-7

Warszawa 2012

Wydawca

Prószynski Media Sp. z o.o.

02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

www.proszynski.pl

Erin i Phillipowi Absherom

*Po wszystkim, co wspólnie przez lata przeżyliśmy,
Od Kalifornii do Kansas,
Od Prowansji do Myrtle Beach,
Ze wszystkimi napotkanymi po drodze magiami
– Ta książka jest dla Was*

DREKKA

Danny North dorastał w otoczeniu duszków leśnych, duchów, mówiących zwierząt, żywych kamieni, drzew, które chodziły, i bogów, którzy wywoływali wiatr i sprowadzali deszcz, niecili ogień z powietrza i dobywali żelazo z głębin ziemi tak łatwo, jak zwyczajni ludzie czerpią wodę ze studni.

Rodzina Northów mieszkała w osadzie położonej w zacisznej dolinie w zachodniej Wirginii i większość jej członków nigdy nie pokazywała się w mieście, bo trochę wstyd im było, że oni, bogowie, musieli w tych czasach sami robić zakupy i sprzedawać plony jak zwykli ludzie. Różne gałęzie rodziny tak często przez wieki splatały się ze sobą, że na prawie wszystkich dorosłych oprócz własnych rodziców mówiło się „ciociu” i „wujku”, a wszystkie dzieci uważało się za kuzynów.

Dla dziesiątków kuzynów Northów „miasto” było czymś odległym, jak „ocean”, „kosmos” i „rząd”. Co ich to obchodziło? No może tylko na lekcjach, kiedy ciocia Tweng lub ciocia Uck stukały ich w głowę palcem w naparstku, jeśli nie znali właściwych odpowiedzi.

Szkoła była czymś, co dzieci musiały przecierpieć rano, by móc poświęcić popołudnie na naukę stwarzania istot zwanych przez pospólstwo duszkami leśnymi, duchami, golemami, trollami, wilkołakami i innych podobnych cudów, które były dziedzictwem Northów.

Ten talent był ich dziedzictwem, jednak nie każdemu dziecku danym. Stryjeczny dziadek Zog często mamrotał pod nosem: „Krew za bardzo się rozrzedziła, krew za bardzo się rozrzedziła”, był bowiem głęboko przekonany, że Northowie osłabli w ciągu trzynastu i pół wieku od czasu, kiedy Zły zamknął wrota. „Inaczej dlaczego mielibyśmy tylu słabeuszy, co to nie potrafią wysłać swojego zewnętrznego ja dalej niż na sto metrów? – powiedział kiedyś. – Dlaczego mamy tak mało dzieci, które potrafią wzbudzić klanta z czegoś solidniejszego od pyłków i kurzu albo związać się sercem z członkiem swojego klanu? Skąd biorą się w każdym pokoleniu takie nędzne drekki jak Danny? Grzebanie ich na Hammernip Hill nie wzmocniło nas. Nic nas nie wzmacnia”.

Danny usłyszał to, kiedy miał jedenaście lat i wcale jeszcze nie było

pewne, czy rzeczywiście jest drekką. Wiele dzieci nie wykazywało żadnych talentów, dopóki nie skończyły kilkunastu lat. Przynajmniej tak pocieszała go mama; jednak na podstawie słów stryjecznego dziadka Danny zaczął w to wątpić. Jak to możliwe, by „wiele” dzieci nie wykazywało żadnych talentów, skoro dziś on był jedynym w rodzinie dzieckiem w wieku powyżej dziewięciu lat, które nawet nie mogło stwierdzić, czy w ogóle ma zewnętrzne ja, a co dopiero wysłać je w świat? Kiedy inne dzieci wykorzystywały swoje zewnętrzne ja, żeby ściągać od Danny’ego na klasówkach, on nie potrafił nawet wyczuć ich obecności, a co dopiero im przeszkodzić.

– Przegońże ich, co? – zażądała kiedyś ciotka Lummy. – Tylko ty się uczysz, ale wszyscy dostają te same oceny co ty, bo dajesz im ściągać!

– Wiem – powiedział Danny – ale jak mam ich przegonić, kiedy ich nie widzę ani nie wyczuwam?

– Po prostu staraj się być większy, niż jesteś – poradziła mu. – Pilnuj swojej prywatnej przestrzeni. Nie dawaj sobie wchodzić na głowę!

Te słowa nic dla Danny’ego nie znaczyły, bez względu na to, jak bardzo starał się wcielić je w życie, i ściąganie trwało w najlepsze dotąd, aż Lummy i inne ciotki, które były nauczycielkami, zostały zmuszone do przygotowywania oddzielnych klasówek, jednej dla Danny’ego i jednej dla reszty. Bezpośredni skutek był taki, że w wieku dwunastu lat Danny szybko został jedynym uczniem w swojej klasie, bo pozostałych cofnięto do klas niższych. W świecie zewnętrznym Danny byłby na poziomie trzeciej klasy gimnazjum, dwa lata przed czasem.

Inne dzieci znieubiły go i albo z niego drwiły, albo w ogóle nie chciały z nim rozmawiać, jako z drekką. „Nie jesteś jednym z nas”, mówiły – często dokładnie tymi słowami. W czasie wolnym nie zabierały go na swoje eskapady; nie wybierały go do swoich drużyn; nigdy mu nie mówiły, kiedy jedna z ciotek rozdawała ciastka albo inne przysmaki; i zawsze musiał sprawdzać, czy nie ma w swojej szufladzie pajaków, węży albo psich kup. Szybko się do tego przyzwyczaił i wiedział, że nie może o tym powiedzieć żadnemu z dorosłych. Co by mu to dało? Jak dobrze by się bawił, gdyby jakiś dorosły zmusił pozostałe dzieci, żeby zabrały go ze sobą? Jakie psikusy płatałyby po tym, jak dostałyby w skórę za umazanie kupą jego czystych ubrań?

Dlatego w owym idyllicznym świecie duszków i duchów, bogów i mówiących zwierząt Danny był bardzo samotny.

Znał wszystkich; wszyscy byli z nim spokrewnieni. Jednak kazano mu wstydić się za wszystko, co robił dobrze, a jeszcze bardziej za to,

czego robić nie potrafił, i nawet tych kuzynów, którzy traktowali go życzliwie, postrzegał tak, jakby ich życzliwość była litością. Któż bowiem mógł szczerze lubić chłopca tak mało wartego, przez którego linia rodu Northów, już osłabiona, słabła coraz bardziej, a on był z nich wszystkich najslabszy.

Ironia polegała na tym, że Danny od urodzenia wychowywany był osobno, a nie z innymi dziećmi – ale z dokładnie przeciwnego powodu. Jego ojciec, Alf, Brat Skały z darem do czystych metali, znalazł sposób, jak wniknąć do żelaza, z którego zrobione są maszyny, i sprawić, by działały prawie bez tarcia i bez konieczności smarowania. Była to tak pożyteczna i dotąd niespotykana umiejętność, że wybrano go na głowę rodziny i, co za tym idzie, mianowano Odynem, Danny jednak mówił do niego z szacunkiem „Baba”.

Matka Danny’ego, Gerd, była tylko trochę mniej nadzwyczajna; magini światła, nauczyła się zmieniać barwę załamanych promieni światła tak, by różne rzeczy stawały się niewidoczne, chowały się w cieniu bądź świeciły jasno jak słońce. Stary Gyish, ówczesny Odyn, przez wiele lat nie pozwalał na ślub Alfa i Gerd w obawie, że połączenie dwu tak potężnych gałęzi rodu zaowocowałoby wydaniem na świat kogoś straszego – maga wrót, którego Northom nie wolno było już nigdy mieć, albo zaklinacza ludzi, którego wszystkie rodziny przysięgły unicestwić.

Kiedy jednak Gyish ustąpił po ostatniej przegranej wojnie i mag maszyn Alf został mianowany Odynem na jego miejsce, rodzina niemal jednogłośnie wyraziła zgodę na to małżeństwo. Jego owocem był Danny, dziecko, które jak żadne od wielu pokoleń zasługiwało na miano królewicza.

Wszyscy dorośli rozpieszczali Danny’ego we wczesnym dzieciństwie. Był złotym chłopcem i wiele się po nim spodziewano. Od małego inteligentny, szybko nauczył się czytać, biegle opanował wszystkie języki Northów, miał zręczne palce, biegał i skakał jak sportowiec, był aż nazbyt ciekawy i prawie każdego potrafił rozśmieszyć. Jednak w miarę jak dorastał, te cechy nie mogły przysłonić jego zupełnego braku harmonii z którąkolwiek z magii rodziny.

Danny próbował wszystkiego. Uprawiał ogródek u boku kuzynów obeznanych z ziołami, drzewami i trawami – tych, którzy jako dorośli magowie mieli dopilnować, by farmy Northów pozostały tak zadziwiająco urodzajne jak dziś. Jednak rośliny wysiane jego ręką wschodziły słabo, nie potrafił też wyczuć tętniącego pulsu drzewa.

Wałęsał się po lesie z tymi, którzy znali się na zwierzętach – tymi,

którzy, jeśli tylko zdołają ustanowić głęboką więź z wilkiem, niedźwiedziem czy (kiedy z niczym większym się nie uda) wiewiórką lub wężem, zostaną Przyjaciółmi Oka albo Braćmi Szpona i będą przemierzać świat w zwierzęcej postaci, gdy tylko zechcą. Jednak wszelkie stworzenia uciekały przed nim, warczały lub wręcz brały się do gryzienia, nie znalazł więc wśród zwierząt przyjaciół.

Próbował zrozumieć, co to znaczy służyć kamieniowi, wodzie, wiatrowi czy elektryczności przeszywającej powietrze błyskawicy. Jednak kamienie siniaczyły mu palce i poruszały się na jego wezwanie, tylko kiedy je rzucał; wiatr jedynie kołtunił mu włosy; a z burz i stawów wychodził przemoczony, zmarznięty i bezsilny. Nie był cudownym dzieckiem, przeciwnie, jeśli chodzi o magię, uczył się powoli. Gorzej niż powoli. Nie robił żadnych widocznych postępów.

A mimo to, pomijając samotność, nie narzekał na los. Długie wędrówki po lesie sprawiały mu przyjemność. Jako że nie przyciągał drzew ani zwierząt, po prostu biegł, szybki i nieustrudzony. Na początku biegał tylko w obrębie osady, bo inaczej drzewa strzegące granic pochwyciłyby go i podniosły alarm, sprowadzając dorosłych Strażników Nasion i nawet wujka Poota, aktualnie jedyne Żywicznika w rodzinie – a oni nie daliby mu odejść.

Jednak ostatniej zimy – może dlatego, że drzewa były uśpione i mniej czujne – znalazł trzy różne trasy, które pozwalały mu obejść drzewa wartowników z daleka. Zdawał sobie sprawę, że jako prawdopodobny drekka jest obserwowany – nigdy nie wiedział, czy nie śledzi go zewnętrznie ja któregoś z dorosłych. Dlatego za każdym razem docierał do tych tajnych przejść inną drogą. Chyba nikt nigdy go nie widział, kiedy przekraczał granicę ziemi Northów. A przynajmniej nikt nigdy mu tego nie zarzucił.

Znalazłszy się na swobodzie, biegł i biegł w pierwszym lepszym kierunku. I jakże był szybki! Pokonywał wiele kilometrów, a mimo to zdążał na kolację do domu. Zatrzymywał się, dopiero gdy napotykał szosę, ogrodzenie, dom, fabrykę lub miasto, po czym pod osłoną lasu, chaszczy albo krzaków patrzył, jak suszlacy żyją swoim życiem, i myślał: Z natury jestem jednym z tych ludzi bez żadnych magicznych darów ani mocy, żyjących z pracy rąk albo ze słów płynących z ust.

Z jedną małą różnicą: suszlacy nie wiedzieli, że są pozbawieni wszystkiego, co na świecie szlachetne. Nie mieli poczucia utraconej spuścizny. Rodzina Northów ignorowała ich, zupełnie się nimi nie zajmowała. Gdyby jednak Danny spróbował odejść, wszelkie tajemnice

rodziny byłyby zagrożone. Wszystkie opowiadane ciemnymi nocami historie o zdrajcach, o wojnach między westiliańskimi rodami kończyły się tym samym morałem: każdy, kto przeciwstawi się rodzinie i bez zezwolenia ucieknie z osady, zostanie odnaleziony i zabity.

W tym okresie swojego schyłku Northowie może nie mieli tyle mocy co w czasach, zanim Loki zamknął wrota, przed wiekami wojen z pozostałymi rodami. Byli jednak niezrównanymi myśliwymi. Nikt nie mógł im uciec. Danny wiedział, że ilekroć opuszczał osadę, brał swoje życie we własne ręce. Był szalony, że to robił. Jednak poza osadą czuł się wolny. Świat był tak wielki, tak pełen ludzi, którzy jeszcze nim nie gardzili.

Nie mają talentów jak nasze, a mimo to budują drogi, fabryki, budynki. Musimy sprowadzać ich maszyny, żeby klimatyzować nasze domy. Łączymy się z ich internetem, żeby czytać wiadomości i pisać e-maile do zaufanych zwiadowców, których rodzina wysyła w świat. Jeździmy samochodami, które kupujemy od nich. Jakim prawem czujemy się lepsi? Wszystkie te rzeczy są poza zasięgiem naszej mocy i kiedy westiliańskie rody władały światem jako bogowie Frygijczyków, Hetytów, Greków, Celtów, Persów, Hindusów, Słowian i oczywiście wikingów, życie zwykłych ludzi było okropne, brutalne i krótkie – a nasze wymagania wobec nich czyniły je jeszcze okropniejszym, krótszym i brutalniejszym.

Świat byłby lepszy, gdyby takich bogów w ogóle nie było. Braliśmy wszystko, co chcieliśmy, bo mogliśmy, zabijaliśmy każdego, kto wchodził nam w drogę, obalaliśmy królów i osadzaliśmy na tronie ich następców, wysyłaliśmy naszych uczniów na podboje – za kogo myśmy się uważali? W dawno zaginionym świecie Westil, gdzie talent miał każdy, może byłoby to sprawiedliwe, bo wszyscy mieliby mniej więcej równe szanse. Jednak tutaj w Mittlegardzie – na Ziemi – gdzie tylko kilka westiliańskich rodów posiadało takie moce, to było nie w porządku.

Takim to rozważaniom oddawał się Danny, kiedy patrzył, jak nastolatki wychodzą ze szkół średnich w Buena Vista i Lexington i rozjeżdżają się autobusami i samochodami. W domu nigdy nie pozwalał sobie na myślenie o takich sprawach, bo wtedy jego twarz mogłaby zdradzić odrazę lub oburzenie czymś, co zrobił jakiś krewny, bądź jakąś starą historią o przygodach przodka. Jego jedyną nadzieją na w miarę pożyteczne życie było przekonać pozostałych, że mogą mu zaufać na tyle, by wypuścić go w świat, że jego lojalność wobec rodziny jest i będzie niezachwiana.

Tymczasem ślęczał nad książkami, które dzieciom wolno było czytać, zwłaszcza mitologiami, i usiłował odróżnić prawdziwą historię Westilian od pasjonujących opowieści zebranych przez suszłaków. Kiedyś zapytał ciocię Uck, które z historii w „Mitologii Bulfincha” są prawdziwe, a ona tylko zgromiła go wzrokiem i powiedziała: „Wszystkie”, co było po prostu głupie.

Gdzieś tam były książki, które podawały całą prawdę. Wiedział, że rody spisywały swoje historie – historie sięgające tysięcy lat wstecz. Inaczej jak dorośli mogliby czynić zagadkowe aluzje do takiej czy innej osoby lub wydarzenia z zamierzchłej przeszłości? Oni wszyscy znali te historie i pewnego dnia powierzą zawarte w nich tajemnice dorastającym kuzynom – ale nie Danny’emu, choć to on najlepiej nadawał się do tego, by przeczytać, zrozumieć i zapamiętać. Jeśli miał poznać prawdę, musiał sam się do niej dokopać.

Na razie musiał pozostać przy życiu. Co znaczyło, że choć uwielbiał biegać poza osadą, robił to tylko od czasu do czasu – gdy nie mógł dłużej znieść tego więzienia i swojej samotności; kiedy nachodziła go myśl, że może najlepiej będzie po prostu pójść na Hammernip Hill, wykopać sobie grób, położyć się w nim i czekać, aż ktoś przyjdzie i dokończy robotę.

Kiedy to analizował, dochodził do wniosku, że bieganie poza osadą samo w sobie było rodzajem samobójstwa. Rosyjską ruletką bez wiedzy, ile w rewolwerze jest komór i ile kul. W chwili gdy dopadał tajnego wyjścia i biegł dalej, pociągał za spust.

Oczywiście nie był tak zupełnie samotny i otoczony wrogością. Wujowie i ciotki, kochający go od dzieciństwa, zdawali się kochać go nadal, choć niektórzy niewątpliwie stali się bardziej chłodni. A ponieważ Baba i mama nigdy go szczególnie nie hołubili, nie miał wrażeń, by ich dzisiejsza obojętność była inna niż kiedyś. Pod wieloma względami w domu czuł się normalnie. No, prawie.

Może kiedyś znajdzie sposób, by przydać się na coś rodzinie, a wtedy pozwolą mu żyć.

Namawiał dorosłych, żeby zrobili go rodzinnym ekspertem od komputerów.

– Pozwólcie mi założyć sieć lokalną. Czytałem o tym w internecie. Moglibyśmy mieć komputery w każdym domu, ba, w każdym pokoju, wszystkie korzystające z tego samego połączenia z internetem, żeby nie płacić operatorowi ani dolara więcej.

Jednak spytali tylko:

– Skąd ty to wiesz?

– Wyguglałem – odpowiedział.

Efekt był taki, że wprowadzono nową zasadę: odtąd dzieci mogły korzystać z komputerów tylko w obecności dorosłego i musiały w każdej chwili być w stanie pokazać, jak to, co mają na ekranie, wiąże się z pracą zadaną przez nauczyciela.

– Wielkie dzięki, drekkko – szydzili Lem i Stem, kiedy następnego dnia przetrzepali mu skórę za stodołę na siano. Szczególnie rozzłościło ich to, że w wyniku inicjatywy Danny’ego ciocia Tweng znalazła ich pliki z pornografią, przez co dostali ostry ochrzan od ich matki drekki, pani Jane, i lanie jedną z najtwardszych drewnianych lasek wujka Poota.

Dlatego teraz, żeby się na coś przydać, Danny pomagał szkolić dzieci, które dopiero uczyły się robić klanty swoimi zewnętrznymi ja. Nie żeby wiedział cokolwiek o klantowaniu, ale ponieważ dzieciaki nie mogły widzieć tworzonych przez siebie klantów, Danny przyglądał się ich powstawaniu, a potem informował o efekcie końcowym. Zwykła obserwacja, ale ponieważ on wziął to na siebie, jeden z dorosłych mógł zająć się czymś innym.

Kłopot polegał na tym, że tymi dziećmi były Tina, Mona i Crista. Zamiast skupić się na swoim zadaniu – stworzyć klienta możliwie najbardziej naturalnych rozmiarów – robiły twory wielkości dłoni, a za to o możliwie najbardziej ponętnych kształtach. Te trzy dziewczyny w swoich rzeczywistych ciałach dopiero zaczynały przeobrażać się w kobiety, ale miniaturowe kobiece postacie, które składały się z opadłych gałązek, liści i skorup orzecha, miały bujne piersi i przesadnie zaokrąglone biodra. Leśne duszki, tak nazwałby je suszłak. Albo dziwki.

– Poskarżę się, uprzedzam! – zagroził dziewczynom Danny.

Strzepił język po próżnicy; żadna z nich nie była na tyle dobra w klantowaniu, żeby słyszeć cokolwiek za pośrednictwem swojego klienta. Widzieć jednak widziały – zewnętrzne ja widziało, czy było w postaci klienta, czy nie – i jedna z nich zauważyła ruch warg Danny’ego.

Niemal natychmiast trzy leśne duszki spojrzały na niego wyzywająco. Dwa zaprezentowały mu swoje piersi; trzeci odwrócił się, wypiął pośladki i pokręcił nimi z boku na bok. Nie mogły wyraźniej okazać swojej pogardy.

Danny się nie przejął. To i tak było lepsze niż wciry od Lema i Stema. Jednak jego obowiązkiem było dopilnować, żeby dziewczyny pracowały nad tym, nad czym miały pracować. Sam nie miał żadnej władzy, a nawet gdyby miał, i tak nie mógłby nic zrobić, gdyby mu się postawiły. Dorosły mógł wysłać swoje zewnętrzne ja, żeby dało klientom

dziewczyn kuksańca, którego poczułyby też ich ciała rzeczywiste. Danny nie miał zewnętrznego ja, a przynajmniej jeszcze go nie znalazł. Jedyne, co mógł zrobić, to polecieć do dorosłego na skargę – ale zanimby go ściągnął, one już wróciłyby do tego, nad czym miały pracować, i dorosły zezłościłby się na Danny'ego.

Nie dlatego, że nie uwierzyłby jego słowu – Danny znany był z tego, że nie kłamał, a poza tym wszyscy dobrze wiedzieli, jakie są Tina, Mona i Crista. Jednak sam fakt, że musiał zawołać dorosłego, by zaprowadzić dyscyplinę, oznaczał, że tak naprawdę nie nadawał się na opiekuna klantów. Czasem Danny był dość sumienny, by donosić o takich wygłupach, lecz zwykle przedkładał własne przetrwanie nad osiągnięcie celu, jakim było zmuszenie dzieci do rozwijania swoich umiejętności, i puszczał im wszystko płazem.

Niebezpieczeństwo polegało na tym, że kiedy te dzieci dorosną, przypomną sobie, jak nieudolnym opiekunem był Danny, i nie tylko nie okażą mu wdzięczności za to, że ich za młodu nie wsypał, ale dojdą do wniosku, że nie mogą powierzyć mu własnych dzieci. Wtedy będzie już tylko biednym wujkiem Dannym – drekką. Albo biednym starym Dannym, ciałem pod bezimiennym nagrobkiem na Hammernip Hill.

Jedyne, co mógł, to rozwalić ich klanty kopnięciem, żeby musiały pozbierać ich części składowe i odtworzyć się od nowa. Zajmowało to tylko chwilę – robiły leśne duszki tych rozmiarów, odkąd miały dziewięć–dziesięć lat, a Danny był kochanym małym ośmiolatkiem, którego rozpieszczały, kiedy w pobliżu byli dorośli, i dręczyły, gdy ich nie było.

Cóż, mimo że Danny nie potrafił stworzyć klanta wielkości naparstka, na pierwszych lekcjach pilnie słuchał i zapamiętał to, co ci z talentem często zapominali. Na przykład przestrożę, żeby nie dać suszłakom schwytać małego, kruchego klanta.

– Wy jesteście w klancie – powiedział im wujek Poot – a klant jest w was. Jeśli złapią was w małej postaci, mogą nie pozwolić waszemu zewnętrznemu ja wrócić do waszego ciała, a wtedy będziecie zupełnie bezradni.

– Dlaczego nie można wtedy klanta porzucić? – zapytał Danny; w tych czasach jeszcze myślał, że te lekcje mu się do czegoś przydadzą.

– Żeby odrzucić od siebie części składowe klanta, trzeba kręcić się w kółko i skakać – tłumaczył wujek Poot. – Jeśli będziecie uwięzieni gdzieś, gdzie nie będzie na to dość miejsca, elementy klanta pozostaną z wami związane. Tak to po prostu jest.

– To ja zrobię klanta z nożyczkami – oznajmił chętnie Friggy,

wówczas najlepszy kolega Danny'ego. – Wytnę dziurę i wydostanę się na wolność.

– Klanta z nożyczkami? – Wujek Poot się zaśmiał. – A czemu nie z pistoletem, żeby zastrzelić porywaczy z wnętrza wora, do którego cię złapali?

– Dziecięce klanty są małe i słabe – rzekł Danny. – Nie mają siły.

– Otóż to – przytaknął wujek Poot. – Syn Odyne nie zapomina niczego. Prawdziwy klient musi być naturalnej wielkości i pod każdym względem tak solidny jak wasze ciała. W przeciwnym razie jest to małek, słabiak albo twarz, co to nie tylko głazu, ale nawet nożyczek nie udźwignie.

Przypominając sobie te i podobne lekcje, Danny ściągnął T-shirt przez głowę i od niechcienia podrapał się w bok, jakby tylko po to się rozebrał. Dziewczyny nakazały swoim klientom wytykać go palcami i udawać, że tarzają się po ziemi ze śmiechu – potrafiły sprawić, by ich małki poruszały się jak żywe, trzeba przyznać – dla Danny'ego jednak liczyło się tylko to, że nie zwracały uwagi na grożące im niebezpieczeństwo. Narzucił koszulkę na dwa najbliższe duszki i uwięził je jak w worku.

Trzeci, wciąż wolny duszek podskoczył, smyrgnął po koszulce i jego rękach i uczeplił się twarzy. To jednak była tylko drobna niedogodność – Danny odtrącił go machnięciem ręki i figurka klienta rozsypała się na kawałki. Spodziewał się, że ta dziewczyna – nie miał jak stwierdzić która, bo jeszcze nie były na tyle dobre, żeby dać swoim twórcom twarz – opuści swoje zewnętrzne ja na ziemię i zrobi klienta od nowa, nie czekał więc, żeby to zobaczyć na własne oczy. Wziął T-shirt w zęby i zaczął wdrapywać się na najbliższe drzewo.

Był w tym najlepszy. Piał się do góry szybko, jakby frunął, lekko tylko odbijając się rękami i nogami od gałęzi. Uwięzione duszki raz po raz próbowały podskoczyć i zakręcić się wkoło, żeby zrzucić z siebie klanty i wrócić do ciał, nie miały jednak dość siły, tylko trochę potrząsały workiem.

Wysoko na drzewie Danny przywiązał T-shirt do wiotkiej gałęzi tak mocno, że klanty praktycznie nie mogły się ruszać. Potem zszedł z powrotem na dół dużo większymi skokami niż w drodze na górę. Kiedy znalazł się u stóp drzewa, po klancie trzeciej dziewczyny nie było śladu.

Zmierzał do domu, by powiedzieć wujkowi Pootowi, co zrobił, lecz po drodze dopadli go stryjeczny dziadek Zog i dziadzio Gyish i nie dali mu wytłumaczyć, że chciał tylko dać dziewczynom nauczkę.

– Gdzie one są?! – krzyczał dziadzio Gyish.

– Jakim trzeba być drekką, żeby pakować dzieci do wora?!

– wrzeszczał stryjeczny dziadek Zog. – Na wzgórze cię za to pošlę, ty złodzieju duszków, ty dręczycielu dzieci! – I zaczął potrząsać nim tak mocno, że Danny bał się, że głowa mu odpadnie. Stary Zog latał z orłami, jego ramiona i barki nabrały takiej masy, że jednym ruchem ręki mógł skrócić kark mocarzowi; w czasie wojen zrobił to nieraz. Dlatego Danny odetchnął z ulgą, kiedy zjawiły się ciotce Uck i Tweng i odciągnęły Zoga.

Cóż, kiedy stryjeczny dziadek i tak nie puścił – ciotki go ciągnęły, a on ciągnął Danny'ego, ściskając jego bark jak szponem. Chłopiec usiłował utrzymać się na nogach, żeby nie zwisnąć całym ciężarem z potężnej dłoni Zoga. Kto by pomyślał, że starzec może być tak silny?

Po kilku minutach zebrali się wszyscy dorośli obecni w osadzie i Danny nagle poczuł się jak na procesie – tyle że bez formalności prawnych, które znali z seriali telewizyjnych. Był Danny, była oskarżycielka – Crista, najstarsza z dziewczyn, i był Gyish, przewodniczący rozprawie pod nieobecność Baby, z Zogiem w roli prokuratora.

Na tym jednak podobieństwa do sprawiedliwego procesu się kończyły, nie było bowiem nikogo, kto przemówiłby w obronie Danny'ego. Nawet sam Danny nie mógł tego zrobić – ilekroć próbował się odezwać, albo dostawał w twarz od Zoga, albo Gyish uciszał go krzykiem. Dlatego jedyną wersją wydarzeń, jaką wszyscy poznali, była wersja Cristy.

– Bardzo starałyśmy się powiększyć nasze klanty – powiedziała – i nawet nie zauważyłyśmy, że Danny skrada się do nas z wielgachnym worem. Złapał nas wszystkie, ale ja uciekłam w ostatniej chwili, zanim zamknął wór z Tiną i Moną w środku. A potem połamał mojego klienta na kawałki i zanim mogłam poskładać się do kupy, był już wysoko na niebie.

– Odleciał? – dociekał Gyish.

– Tak! – krzyknęła Crista. – Odleciał, upuścił wór gdzieś poza osadą i one nigdy do nas nie wrócą!

Dopiero po chwili dotarło do niej, że się zagalopowała. Wszyscy dorośli kręcili głowami, a niektórzy śmiali się drwiąco.

– Danny? Odleciał? – kpił wujek Poot. – Gdyby tylko potrafił!

– Sami widzicie, że Crista kłamie – powiedział wujek Mook. – Może nic z tego, co powiedziała, nie jest prawdą.

– To wcale nie kłamstwo! – Gyish nawet nie próbował zachowywać pozorów bezstronności. – Widziałem biedne dziewczynki leżące bez życia

w domu! Dzieci tak młode nie mają dość siły, żeby przywołać swoje zewnętrzne ja, kiedy klant zostanie schwytany! Ani nie potrafią obudzić ciała, kiedy zewnętrzne ja klantuje! Mogą się nigdy nie ocknąć!

– Posłuchajmy, co Danny ma do powiedzenia – powiedziała ciotka Lummy łagodnie.

Zog odwrócił się do niej z furją.

– Drekka nie ma prawa głosu!

– Ale syn Odyna i Gerd ma prawo wystąpić w swojej obronie

– stwierdziła Lummy. A Mook, jej mąż, stanął u jej boku, żeby przydać mocy tym słowom.

– I cóż od niego usłyszymy, jak nie kłamstwa?! – krzyczał Gyish.

– Już ja znam te drekki i suszłaków, wszystko powiedzą, byle ocalić swoje podłe życie!

– Skoro tak bardzo zależy mu na tym, żeby ocalić życie – zauważyła ciotka Lummy – po co miałby zrobić krzywdę dzieciom, które powierzyliśmy jego opiece?

– Bo oni nas nienawidzą! Drekki nienawidzą nas bardziej niż suszłacy! – Gyish niemal toczył pianę z ust. Danny uświadomił sobie, co kryło się za pomrukami i burknięciami, którymi Gyish zwykle porozumiewał się ze światem. Gniew i wstyd po przegranej wojnie i utracie tronu Odyna zmieniły dziadka w tego jadowitego starego gnoma; tak przynajmniej w tej chwili wyglądał, bo zgarbił się i wymierzył drżący palec w ciotkę Lummy, jakby zamierzał przebić nim jej serce, jeśli postąpiłaby krok w jego stronę.

– Dyrzymały pleciesz – powiedziała ciocia Uck. – Zachowujesz się jak dziecko, dziadziu Gyish, a ty, Zog, brutal jesteś i tyle. Natychmiast puść tego chłopca, pewnie złamałeś mu bark, a wiesz, że już nie mamy pierwszorzędnego uzdrowiciela. – Znów odwróciła się do Gyisha. – Czego gorzko pożałujesz, jeśli ze złości dostaniesz apopleksji!

Dopiero ten rzeczowy ton cioci Uck zmusił Gyisha, żeby wrócił do swojego zwykłego mamrotania, Zog zaś rzucił Danny'ego na ziemię i stanął nad nim z zaciśniętymi pięściami, czekając, czy okaże się na tyle głupi, by spróbować się podnieść.

Nie musiał się o to martwić. Ramię tak bardzo bolało, że Danny mógł tylko leżeć, trzymać się za nie drugą ręką i powstrzymywać łzy.

– Danny, powiedz nam, co się stało – poprosił wujek Mook.

– Przecież już wszystko powiedziałam! – krzyknęła Crista.

Wujek Poot uciszył ją srogim spojrzeniem.

– Wysłuchaliśmy już twoich kłamstw, dziewczyno. Teraz

zobaczymy, czy Danny wymyśli lepsze.

– No, chłopcze? – ponaglił go Zog. – Odpowiadaj!

– Wcale się nie powiększały – rzekł Danny – tylko robiły sobie duże cycki.

– No to co! – krzyknął Gyish. – Nawet jeśli, co z tego?! Są małe i głupie, więc stroją durne żarty!

– Wiedziałem, że jeśli po ciebie pójde, wujku Poot, skłamią i powiedzą, że próbowały się powiększyć.

– Nie uwierzyłbym im – odparł Poot.

– Ale też byś ich nie ukarał i dalej robiłyby to samo.

Dorośli mruknęli potakująco.

– Co, teraz będziesz mnie krytykował? – odparował wujek Poot.

– Chcesz powiedzieć, że nie umiem szkolić młodych?

– To nie usprawiedliwia łapania ich do wora! – wykrzyknął Zog.

Także i tym razem rozległy się potakujące pomruki.

– Nie miałem wora – rzekł Danny. – Zdjąłem koszulkę i podszedłem prosto do nich. Było oczywiste, co robię, nie moja wina, że nie uważały. Nie spodziewałem się, że je złapię! Chciałem je tylko nastraszyć, przypomnieć, żeby traktowały naukę poważnie. Kiedy zauważyłem, że dwie złapały się w koszulkę, nie wiedziałem, co robić. Gdybym je wypuścił, wyśmiałyby mnie i już nigdy bym ich nie zmusił do posłuszeństwa bez zawracania głowy jakiemuś dorosłemu. A przecież po to ich pilnuję, żebyście wy nie musieli tracić na to czasu, prawda?

Uprzytomnił sobie, że właśnie przyznał, że nie jest w stanie upilnować klantów, jeśli dzieci tego nie chcą; w takim razie i tak nie oszczędzi dorosłym czasu, więc równie dobrze tę robotę mógł przejąć jeden z nich, zamiast obarczać nią Danny'ego. Ale jaki miał wybór? Crista oskarżała go o coś tak strasznego, a skoro Gyish i Zog nazywali go drekką, kimś, kogo można zabić przy byle okazji, istniało spore zagrożenie, że proces nagle się zakończy urwaniem mu głowy przez Zoga i wyrzuceniem jej w krzaki.

– Czyli złapałeś je w koszulkę – powiedziała ciotka Lummy. – I ich nie wypuściłeś. Gdzie są teraz?

– Klant Cristy chciał mi wydrapać oczy, więc ją odtrąciłem. A potem uciekłem przed nią na drzewo.

– Teraz nie siedzisz na drzewie – rzekł wujek Mook. – I z tego, co widzę, nie masz ani swojej koszulki, ani klantów dwu nieposłusznych i głupich dziewcząt.

– Przywiązałem koszulkę do gałęzi, zszedłem na dół i właśnie

miałem pójść po wujka Poota, żeby oddać ich klanty w jego ręce, kiedy zaatakowali mnie stryjeczny dziadek Zog i dziadzio Gyish.

– Nie jestem twoim dziadziem! – krzyknął Gyish; w części miał rację, bo matka Danny’ego, Gerd, była pierworodną wnuczką Gyisha.

– Wierzę ci – stwierdził Mook. – Ale nie wiesz, nie jesteś w stanie pojąć, jak strasznie te dziewczęta są teraz przerażone. Nie ma nic gorszego dla niedoświadczonego dziecka, niż wpaść swoim zewnętrznym ja w pułapkę i nie móc ściągnąć go z powrotem. To tak jakbyś się dusił i nie mógł złapać tchu.

Wszyscy obecni mruknęli potakująco.

– Przykro mi – powiedział Danny. – Naprawdę. To nie jest tak, że to planowałem. Chciałem tylko zmusić je do pracy nad tym, co miały zadane. Nie wiedziałem, że zrobię im krzywdę.

– Spójrz na jego ramię – odezwała się ciocia Tweng. – Spójrz na ten siniak. Jakby przejechała go ciężarówka.

– Wyrywał się! – bronił się Zog.

– Bo go bolało – odparła Tweng. – Jak śmiałeś ukarać chłopaka, zanim nas wezwano?

– Nie ukarałem go! – ryknął Zog. – Przyprowaździłem go!

– Znasz swoją siłę i jesteś odpowiedzialny za to, jak z niej korzystasz – powiedziała Tweng. – Ty i dziadek Gyish mu to zrobiliście? To co najmniej równie złe jak to, co zrobił tym dwóm dziewczynom... nie zdziwiłabym się, gdyby miał złamany obojczyk i popękane kilka tysięcy naczyń włoskowatych.

Ponieważ ani Zog, ani Gyish nie mieli bladego pojęcia o suszłackich naukach, ni w ząb nie rozumieli, co się im zarzuca, ale byli wyraźnie rozgniewani i zmieszani tym, że sytuacja obróciła się na ich niekorzyść.

– A w czasie kiedy znęcaliście się nad tym dzieckiem – ciągnęła dalej Tweng – i nie dawaliście mu się odezwać, nikomu nie przyszło do głowy, że on jeden wie, gdzie powiesił tę koszulkę z parą durnych, nieposłusznych duszków w środku?

Danny chętnie by ją wycalował, gdyby sądził, że ciocia Tweng by do tego dopuściła. Po paru chwilach wujkowie Poot i Mook podnieśli go na nogi i podtrzymywali – było mu słabo z bólu – gdy prowadził wszystkich z powrotem pod drzewo.

Rosło dalej, niż pamiętał, a może odległość wydawała się większa, bo każdy krok boleśnie wstrząsał jego ramieniem. W końcu jednak dotarli do celu i wszyscy wujowie i ciotki – do których dołączyło sporo kuzynów – spojrzeli w górę.

- Nie widzę nic – powiedział Zog. – On kłamie.
- Mówił, że powiesił ją wysoko – przypomniała ciocia Tweng. – To normalne, że jej nie widzisz. Liście zasłaniają.
- Nie dam rady tam wejść – stwierdził wujek Mook.
- Możesz poprosić drzewo, żeby samo opuściło je na dół? – spytała wujka Poota ciotka Lummy.
- Ta koszulka jest na żywej gałęzi? – spytał Danny’ego Poot.
- Zielonej, z liśćmi?
- Tak.
- To powinniśmy spróbować innego sposobu, zanim poprosimy ten dąb szkarłatny o tak wielką ofiarę.
- W takim razie, Zog – powiedziała ciocia Tweng – wyślij na górę ptaka, żeby odwiązał koszulkę i przyniósł klanty na dół.
- Zog gwałtownie odwrócił się do niej, ale ugryzł się w język, zanim powiedział pierwsze straszne słowa, które przysły mu do głowy. Odezwał się łagodnym tonem:
 - Wiesz, że mój brat serca zginął na wojnie. Ptaki, do których mogę teraz przemawiać, nie rozplaczą zasupłanych koszul. Mogę kazać im atakować i zabijać, ale nie rozwiązać węzła.
 - Wobec tego ktoś musi wejść na drzewo – rzekł wujek Poot.
 - Zrób najpierw klanta i zobacz, jak jest wysokie i jak niebezpieczna będzie wspinaczka – doradziła ciocia Tweng.
- Wujek Poot był jednym z czołowych klancistów w rodzinie i najwyraźniej chciał się trochę popisać swoimi umiejętnościami, bo usiadł u stóp drzewa i uformował swoje zewnętrzne ja w klant z liści i gałęzi żywego dębu. Mniejsze gałązki po prostu wygięły się ku sobie, układając liście w kształt zbliżony do sylwetki ludzkiej. Klant piał się do góry, dołączając do swojej postaci wyżej rosnące liście i odrzucając niższe. Wkrótce zszedł z powrotem na dół, widoczny tylko w pospieszonym drzeniu liści i gałęzi, a mimo to ciągle zachowując kształt człowieka, i wreszcie wujek Poot otworzył oczy.
 - Jak mogłeś wejść tak wysoko? – zapytał Danny’ego. – Tak cienkie gałęzie nie mogły utrzymać twojego ciężaru!
 - Nie wiem – powiedział Danny. – Wdrapałem się po nich, nie złamały się i nie spadłem.
 - Nie mogę wysłać na górę innego dziecka – rzekł wujek Poot. – Jak nam dopiero co przypomniano, nie mamy uzdrowiciela zdolnego leczyć ciężkie rany.
 - Ja tam wejdę – zaoferował się Danny.

– Z takim barkiem? – spytała ciotka Lummy. – Wykluczone!

– Dam radę. To tylko ból. Ręką mogę ruszać.

Wdrapał się więc na drzewo drugi raz tego dnia, tym razem pomału, sprawdzając przed chwyceniem każdej kolejnej gałęzi, czy lewa ręka i bark utrzymają jego ciężar.

Kiedy był już tak wysoko, że nie widział ludzi na dole, znalazł się w miejscu, gdzie nie miał się czego przytrzymać. Następna gałąź nad nim była poza jego zasięgiem. A mimo to poprzednio wchodził tędy. Na tej wysokości nie było żadnych innych dróg wspinaczki.

Wtedy szybciej się ruszałem, pomyślał Danny. Prawie wbiegłem na drzewo. Musiałem podskoczyć i złapać się gałęzi, nawet tego nie zauważając.

Wiedział jednak, że to nieprawda. Zauważyłby i zapamiętał taki skok – choćby po to, żeby potem się nim chwalić.

Wspinał się wtedy na drzewo w takim samym transie, w jaki wpadał podczas biegu. Kiedy biegł co sił, nie pamiętał, żeby wybierał trasę czy patrzył pod nogi; tak samo podczas swojej poprzedniej wspinaczki nie zwracał uwagi na to, których gałęzi się łapał, choć teraz, za drugim razem, miał w pamięci każdy chwyt, każde wyciągnięcie ręki.

Zamknął oczy. Jakże mógłby zejść na dół i powiedzieć im, że nie jest w stanie wspiąć się tak wysoko jak przedtem? Uznaliby, że nie chce tego zrobić na złość. A gdyby ktoś inny wdrapał się na tę samą wysokość i zobaczył T-shirt wiszący daleko poza zasięgiem ręki? Co by sobie pomyślał? Że Danny nie chce uwolnić dziewczyn z ich więzienia, ot co. Wówczas wujek Poot poprosiłby drzewo, żeby poświęciło i ułamało żywą gałąź, a Danny'ego spotkałaby sroga kara. I wtedy już na pewno stałby się dla nich zwykłym drekką.

A mimo to wiedział, że jest droga na górę, i nie tylko dlatego, że logicznie rzecz biorąc, skoro koszulka była zawiązana na gałęzi, to musiał tam dotrzeć. Wiedział, że jest droga na górę, bo ją wyczuwał – i gdzie się zaczyna, i dokąd prowadzi, mimo że nie widział nic, czego mógłby się złapać.

Zamknął oczy i wyciągnął rękę do góry, sunąc dłonią po szorstkim pniu. Ach, gdybyś mógł do mnie przemówić, dębie szkarłatny, gdybyśmy byli przyjaciółmi! Gdybyś mógł przygiąć mi gałąź...

I kiedy to pragnienie zmieszało się z rozpaczą, wykręcił się w bok i podskoczył. Nawet jeśli nie złapie gałęzi i runie na ziemię, to co? Jeśli nie ściągnie tych dziewczyn na dół, jego dni i tak będą policzone.

Dłoń zacisnęła się na gałęzi. Otworzył oczy.

To nie była następna gałąź z kolei, ta, do której daremnie sięgał przed chwilą. To była gałąź, na której wisiał T-shirt.

Jak stamtąd dostałem się tutaj?

Od razu sam sobie odpowiedział na to pytanie. Nie mogłem tego dokonać przy użyciu rąk i nóg. Nie ma też takiej magii, która pozwoliłaby dwunastoletniemu chłopcu podskoczyć na wysokość trzy razy większą od jego wzrostu.

Chociaż nie, taka magia istniała, tylko że Danny nigdy się z nią nie zetknął. Nikt na świecie nie zetknął się z nią od 632 roku naszej ery. Musiał zamknąć oczy i odetchnąć głęboko, żeby ogarnąć myślą to, co się stało.

Musiałem zrobić wrota. Małe, takie, które przenoszą mnie tylko stamtąd tutaj. Musiałem je zrobić podczas pierwszej wspinaczki i teraz przeleciałem przez nie, kiedy podskoczyłem.

Czytał o takich wrotach w książkach. To były wrota, które leżały w zasięgu możliwości Braci Ścieżek, może nawet niektórych Przyjaciół Zamków, w dawnych czasach, kiedy na świecie jeszcze praktykowano magię wrót. I teraz, kiedy myślał o tym w ten sposób, dostrzegł, gdzie dokładnie wrota się zaczynają, a gdzie kończą. Nie było to nic widzialnego, nawet nie drganie powietrza czy zmiana układu liści, jaka powstała przy wędrówce tymczasowego kłantu wujka Poota. Po prostu wiedział, że tam są, wiedział, gdzie mają początek, a gdzie koniec.

Zrobił wrota. Ile innych nieświadomie stworzył? Niechybnie takie wrota jak te pozwalały mu ominąć drzewa strzegące granicy ziemi Northów. Od kiedy je robił? Ile ich było?

Ledwie to pytanie uformowało się w jego myślach, a już przyszła odpowiedź. Wyczuwał rozmieszczenie wszystkich wrót, jakie kiedykolwiek stworzył. Było ich trochę ponad dwadzieścia, ale ze swoich lektur wiedział, że to naprawdę dużo. Nawet Brat Ścieżek mógł zrobić najwyżej tuzin wrót wszelkich rozmiarów, bo w każdym z nich mag musiał zostawić część swojego zewnętrznego ja. Przeszkolony, doświadczony mag wrót mógł pozamykać wszystkie stworzone przez siebie wrota, usunąć je i poskładać fragmenty swojego zewnętrznego ja z powrotem. Danny jednak nie miał pojęcia, jak to się robi. I nie było nikogo, kto mógłby go tego nauczyć.

Zrobiłem ponad dwadzieścia wrót, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, w ogóle tego nie czując. A mimo to znajdowałem te, które prowadziły poza osadę, bo intuicyjnie wiedziałem, gdzie dokładnie są, dokąd wiodą i jak z nich korzystać.

Wszystkie nadal były na ziemi rodziny Northów i tylko czekały, aż ktoś przypadkiem wpadnie w któreś z nich i błyskawicznie przeniesie się w inne miejsce. Wystarczy, że zdarzy się to raz, i przypadkowy znalazca zrozumie, że na świecie znów pojawił się mag wrót, i to dość silny, by stwarzać własne wrota, a nie tylko znajdować i otwierać cudze.

Danny radował się, że jednak nie jest drekką, lecz całkiem potężnym magiem, i to najrzadszego rodzaju. Jednak upajające poczucie triumfu studził fakt, że w rodzinie Northów gorzej było być magiem wrót niż drekką.

Albowiem ostatnim magiem wrót na świecie był Loki psotnik, potwór Loki, który zatrzasnął wszystkie Wielkie Wrota na świecie tak skrupulatnie, że momentalnie ustał wszelki ruch między Westilem a Mittlegardem. To zdruzgotało potęgę wszystkich rodów, gdyż zachowanie najpotężniejszych mocy wymagało regularnego przemieszczania się między tymi dwoma światami. Magia zgromadzona w jednym powiększała się stokrotnie w wyniku przejścia Wielkimi Wrotami do drugiego. Małe wrota jak te, które stworzył Danny, takiej mocy nie posiadały – prowadziły z Ziemi w inne miejsce na Ziemi i nie znaczyły nic oprócz tego, że jego ciało przenosiło się stąd tam. Za to Wielkie Wrota zmieniły magów z Westilu w bogów, kiedy przybyli tutaj, do Mittlegardu.

A kiedy się zamknęły, kiedy Loki dopilnował, by nikt nigdy nie mógł ich odnaleźć – nawet tych wrót, które istniały trzy tysiące lat przed jego epoką – bogowie stali się zwyczajnymi magami, których łatwo odszukać i zabić, gdyby komuś na tym zależało. Mogli zginąć od ciosów mieczy suszłaków albo strzał z ich łuków. Musieli nauczyć się ostrożności, żyć w odosobnieniu, udawać zwykłych ludzi. Ukryć się tak, jak rodzina Northów ukryła się tutaj, wśród wzgórz Wirginii, gdzie wielu ludzi stroniło od świata i inni na ogół zostawiali ich w spokoju.

Na początku toczono wojny, by zmusić Northów do ponownego otwarcia wrót, nikt bowiem nie wierzył, że czyn Lokiego nie jest częścią jakiegoś niecnego planu. Dopiero kiedy rody zdziesiątkowały się nawzajem i Northowie uciekli z Leivem Eirikssonem do Winlandii – dopiero wtedy, widząc ich bezsilność w obliczu pięciu stuleci zmasowanych ataków, wszyscy w końcu uwierzyli, że Loki działał w pojedynkę, że Northowie nie ukrywają jakichś tajnych wrót do Westilu, które pozwoliłyby im osiąść moc, jakiej nie oparłaby się żadna inna rodzina.

Mimo to, po podboju Ameryki, rodziny znów od czasu do czasu

wypowiadały wojnę Northom – zawsze wtedy, gdy ból rozłaki z Westilem stawał się nie do zniesienia – choćby po to, żeby ich pokarać albo może doszczętnie zniszczyć, bo i na cóż innego zasługiwali?

Jednak wszystkie rozejmy i traktaty, które podpisywano i łamano, by potem podpisać je i złamać znowu, nieodmiennie zawierały jedną klauzulę: że jeśli na świat przyjdzie mag wrót, bez względu na to, w której rodzinie, ale szczególnie u Northów, zostanie on zabity. Nie tylko zabity, ale i pocięty na kawałki, które następnie miano rozesłać wszystkim rodom w dowód przestrzegania układu.

W przeciwnym razie rodzina, która pierwsza by miała maga wrót, zyskałaby druzgocącą przewagę i mogła zniszczyć pozostałe. Każda z rodzin bała się, że inne będą oszukiwać, ponieważ wszystkie tak by postąpiły w podobnej sytuacji.

Gdyby któryś z dorosłych obserwował Danny'ego przez swojego klanta i zobaczył, co zrobił, żeby wspiąć się na tę wysokość, po zejściu na ziemię chłopiec zostałby zaszlachtowany na miejscu. Nikomu by ręka nie drgnęła. Jeśli bowiem ktoś przyłapie Northów z magiem wrót o choćby najmniejszej mocy, pozostałe rodziny zjednoczą się na nowo i tym razem nie spoczną, dopóki nie wybiją ich do nogi.

Jestem magiem obdarzonym mocą robienia czegoś, czego nie potrafi żaden spośród żyjących magów; a mimo to już jestem trupem, myślał Danny. Gdyby Loki nie splątał swojego potwornego, niewytłumaczalnego psikusa i nie zamknął wrót, odkrycie mojej mocy byłoby powodem do świętowania. Natychmiast zostałbym jednym z najważniejszych członków rodziny, prości magowie zwierząt jak Zog musieliby być mi posłuszni, a Lem i Stem już nigdy by nie ośmielili się podnieść na mnie ręki. Jednak Loki pozamykał wrota i teraz samo to, że oddycham, jest zbrodnią. Gdybym był grzecznym chłopcem, rzuciłbym się z tego drzewa i umarł, oszczędzając im trudu zabicia mnie.

Jednak aż tak greczny nie był.

Nie był im nic winien. Nie był jednym z nich. Nie akceptował ich władzy nad sobą. Zrobi wszystko, żeby nie dać się zabić.

Lecz tak naprawdę nie potrafił posługiwać się swoją mocą. Zrobił wrota, ale nieświadomie; potrafił wykreślić w myśli mapę wskazującą, gdzie są wszystkie pozostałe, które stworzył, nie miał jednak pojęcia, jak zrobić nowe. Choć przydałyby mu się teraz wrota, które zabrałyby go z czubka tego drzewa do Kanady czy Brazylii, nigdy jeszcze nie stworzył takich, które przeniosłyby go na odległość większą niż pięćdziesiąt metrów, i ani jednych nie powołał do istnienia świadomie.

Dlatego powoli, ostrożnie przesunął się w miejsce, gdzie przywiązał koszulkę, rozplątał ją, rozłożył i uwolnił dwa słabe duszki. Zewnętrzne ja dziewczyn natychmiast odrzuciły od siebie wszystkie części kłanów i gałązki, liście i skorupy orzechów spadły i sfrunęły na ziemię. W tej samej chwili na piętrze szkoły Tina i Mona otwierały oczy; bez wątpienia ryczały, tuliły się do siebie i przeżywały to, jak przerażające doświadczenie je spotkało.

I prawie na pewno więcej nie będą machać mi przed nosem swoimi kłanowymi cyckami i tyłkami, pomyślał Danny, jeśli jeszcze kiedyś będą ich musiał pilnować. Czyli mój plan jednak się sprawdził, pomijając ten drobiazg, że omal nie przypląciłem go życiem.

Zaczął powoli schodzić z drzewa, zatrzymując się tu i tam, żeby spróbować dosłyszeć, co się dzieje na dole. Nagle się zorientował, że bark już wcale go nie boli. Że przestał boleć w chwili, kiedy wskoczył we wrota i zawisł na gałęzi, na której zawiązał koszulkę. Spojrzał na swoje ramię i nie zobaczył najmniejszego śladu urazu – ani sińca, ani zadrapania.

Wrota uzdrawiają. Coś na ten temat słyszał, ale że było to zaletą magii wrót, niewiele się o tym mówiło. Kiedy ciocia Uck wspomniała, że nie mają pierwszorzędnego uzdrowiciela, chodziło jej o brak Przyjaciela Łąka, który specjalizował się w ziołach i potrafił wzmocnić ich lecznicze działanie. Jednak do 632 roku naszej ery wszelkie urazy można było leczyć, przeciągając bądź przepychając kogoś przez wrota.

Jeśli zobaczą jego bark, wszystkiego się domyślą. Uraz był na tyle poważny, że nie mógł się zagoić, nie zostawiając śladu. Tylko mag wrót mógł tego dokonać.

Nie wystarczy włożyć koszulkę. Ciotki będą chciały obejrzeć i opatrzyć ranę. Musiał mieć co im pokazać. Tyle że jak mógł coś sobie zrobić tutaj, na drzewie?

Z całej siły ścisnął swój bark, wbijając przydługie, brudne paznokcie kciuka w kilka miejsc. Zabolało i zostały czerwone ślady, ale czy to wystarczy, żeby powstał siniak? Mógł tylko mieć nadzieję, że tak. Włożył koszulkę z powrotem.

Kiedy zszedł z drzewa, czekali na niego tylko wujek Mook i ciotka Lummy – najmłodsza siostra mamy, wyglądająca jak jej kopia, tylko pulchniejsza i nie tak nerwowa. No, ale nie była wielkim magiem światła; dobrze radziła sobie z królikami, lecz na tę umiejętność raczej nie było zapotrzebowania od czasu, gdy przekonała je, żeby zostawiły ogród warzywny w spokoju. Całymi dniami próbowała więc uczyć dzieci wszystkich przydatnych języków, pisanych i mówionych, choć większość

jej uczniów nie rozumiała, jaki będą mieli z tego pożytek.

I była miła dla Danny'ego. Podobnie jak wujek Mook. I to właśnie oni zostali, żeby na niego poczekać.

Danny zeskoczył z najniższej gałęzi na ziemię.

– Jak duże mam kłopoty? – spytał.

– U mnie żadnych – powiedziała ciotka Lummy.

– Te dziewczuchy dawno trzeba było wsadzić do worka, żeby nauczyć je rozsądku i dobrych manier – rzekł wujek Mook.

– Ale Zog i Gyish teraz są twoimi wrogami – dodała ciotka Lummy.

– Mówiąc wprost, chcą twojej śmierci. Wielu uważa, że mają rację i jeszcze żyjesz tylko dlatego, że twoi rodzice są tym, kim są.

– Mamie by mnie nie brakowało, gdybym umarł – stwierdził Danny.

– Baba nawet by nie zauważył, że mnie nie ma.

– Nie bądź niesprawiedliwy – powiedział wujek Mook. – Twoi rodzice mają wiele zajęć, ale ręcę ci, że bardzo się o ciebie troszczą i nieustannie o tobie myślą.

– Tylko że gdyby rodzina uznała, że jestem drecką i jestem niebezpieczny, i że trzeba mnie zabić, Baba osobiście posłałby mnie na Hammernip, a mama mnie zakopała.

– Nonsens! – zachnęła się ciotka Lummy.

– Oczywiście, że tak by zrobili – stwierdził wujek Mook. – To ich obowiązek.

– Przestań, Mooky! – skarciła go ciotka Lummy.

– Chłopak jest już dość duży, żeby poznać prawdę – powiedział do niej Mook. A potem do Danny'ego: – Znają swoją powinność względem rodziny i ją spełnią. Na razie jednak szaleństwo minęło i pora, żebyś poszedł do domu coś zjeść. Z nami, jak sądzę, na wypadek gdyby komuś przyszło do głowy przeprowadzić atak wyprzedzający, zanim wrócą twoi rodzice.

– Oj, Mooky, nie strasz chłopca!

– Powinien się bać. Powinien był odciąć sobie rękę, zanim wsadził klanty tych dzieci do worka. Teraz już to wie, ale co się stało, to się nie odstanie. Odtąd wszystko, co zrobi, będzie budzić podejrzenia. Jeśli chcemy zapewnić mu bezpieczeństwo, musimy go nauczyć, żeby ściągał na siebie jak najmniej uwagi. Koniec z przechwałkami, jaki to z niego dobry uczeń...

– Nie przechwala się – powiedziała ciotka Lummy. Danny był wdzięczny, że się za nim wstawiła, ale uświadomił sobie, że zdarzało mu się obnosić ze swoją wyższością nad resztą klasy.

– Dla innych dzieci to są przechwałki – zauważył Mook.

Ciotka Lummy westchnęła.

– Gdyby tylko mógł stąd odejść i bezpiecznie dorastać gdzie indziej.

– Nie podsuwaj mu takich pomysłów! – krzyknął Mook.

– Już z tysiąc razy o tym myślałem – przyznał Danny zgodnie z prawdą. – Wiem jednak, że i tak by mnie wytropili, i nic takiego nie zrobię. Pozostaną tutaj, i jedyne, na co mogę mieć wpływ, to jak długo pożyję.

– I to jest właściwa postawa – powiedział Mook. – Pokora, pogodzenie się z losem, gotowość do poświęceń.

Zaprowadzili go z powrotem do domu i Danny jadł tego wieczoru z apetytem, jako że największy dar Lummy miała nie do królików ani uczniów, lecz do gotowania. Po kolacji uparła się, żeby posmarować jego kontuzjowany bark swoimi ulubionymi i najgorzej śmierdzącymi maściami, i kiedy ściągnęła mu koszulkę, odetchnął z ulgą, widząc, że po zastępczych obrażeniach, które sobie zadał, zostały małe bo małe, ale jednak siniaki.

– Cóż – powiedziała Lummy – albo Zog słabnie na stare lata, albo obszedł się z tobą delikatniej, niż to wyglądało, bo jesteś tylko trochę posiniaczony.

– Danny jest młody, więc odporny – rzekł wujek Mook. – Te dzieci są twardsze, niż się wydaje.

Starannie wysmarowany maścią i potwornie śmierdzący Danny poszedł do łóżka. Dopiero wtedy, samotny w ciemności, pozwolił sobie na niewesołe rozważania i zrozumiał, że choćby nie wiadomo co, zamierza przetrwać.

Teraz najważniejszą sprawą w jego życiu stało się poszukiwanie sposobu, jak uciec z osady rodziny Northów i nie dać się znaleźć.

Na szczęście, w odróżnieniu od wielu innych, którzy zakończyli swój żywot na Hammernip Hill, miał moc przenoszenia się, dokąd chciał – żeby tak jeszcze rozumiał, jak ta moc działa i jak się nią posługiwać świadomie!

MAŁA GRECZYNKA

W święta Bożego Narodzenia przyjechali Grecy.

Nie żeby którakolwiek z rodzin miała na tyle słabą wolę, by obchodzić Boże Narodzenie. Po prostu był to czas, kiedy większość świata indoeuropejskiego dostawała kilka dni wolnych od pracy. A że to plemiona indoeuropejskie niegdyś czciły magów z Westilu jako bogów, większość rodzin miała wakacje razem z potomkami swoich wyznawców.

Rodzina perska została unicestwiona – zupełnym przypadkiem – przez Tamerlana tysiąc lat wcześniej, rodzina sanskrycka zaś żyła w nędzy w odciętej od świata osadzie na przedgórzu Himalajów. Grecy natomiast świetnie sobie radzili, głównie dlatego, że w każdym kolejnym pokoleniu mieli Posejdona – maga morza, który pilnował, by ich statkom dobrze się powodziło, a statkom rywali nie. Owszem, mocno osłabli od czasu, kiedy Loki zamknął wrota, ale zostało im dość mocy, żeby zachować przewagę nad konkurencją.

Dlatego kiedy trzy długie czarne samochody nieomylnie przebiły się przez czary mające utrudnić odnalezienie osady rodziny Northów, wszyscy od razu wiedzieli, że to Grecy przyjechali na jedną ze swoich okresowych „niezapowiedzianych inspekcji”.

Nie żeby dorośli byli tym zaskoczeni. Kilka dni przed przybyciem Greków wrócił Thor. Jego zadaniem było prowadzenie siatki suszłaków, którzy mieli obserwować pozostałe rodziny – w tych czasach siatka składała się głównie z, mówiąc w przenośni, magików komputerowych, którzy podłączyli się do elektronicznych systemów łączności pozostałych rodzin. Z przechwyconych rozmów wynikało, że zanoszą się na inspekcję, a ponieważ Grecy mieli najwięcej pieniędzy, było najbardziej prawdopodobne, że oni ją przeprowadzą.

Northowie zawsze musieli ostentacyjnie demonstrować wolę współpracy i pokorę, żeby uniknąć wywołania następnej wojny. Z ostatniej ich rodzina wyszła jeszcze mniejsza i słabsza od Sanskrytów – ale konkurenci, zwłaszcza Grecy, mimo to nie tracili czujności.

Dlatego Danny, który we wrześniu skończył trzynaście lat, stanął w szeregu razem ze wszystkimi kuzynami. Był już dość wysoki, żeby być

w drugim rzędzie; aby uniknąć kuksańców (albo czegoś gorszego) od starszych chłopaków i otwartego lekceważenia ze strony dziewczyn, zajął miejsce na samym końcu i spuścił głowę. Nie zrobił tego jednak zbyt demonstracyjnie – nie chciał ściągnąć na siebie uwagi przesadnie uniżoną pozą.

Grecy wysiedli z samochodów przed drzwiami starego domu. Nikt tam już nie mieszkał, a kiedyś życie rodzinne tętniło w nim jak w ulu. W pierwszych latach istnienia osady Northowie co rusz dobudowywali do domu kolejne skrzydła i piętra – teraz piął się po zboczu wzgórza niby labirynt kreteński. Najstarsze części miały grubą konstrukcję z belek i dźwigarów, prawie pół metra dzieliło okładzinę ścian zewnętrznych od wewnętrznych ścian z listew pokrytych tynkiem. Między nimi było tylko powietrze i Danny dawno znalazł wejście do tej pustej przestrzeni, w której mógł niewidziany i niesłyszany wałęsać się po obrzeżach domu.

Właśnie w trakcie jednej z wędrówek w ścianach dowiedział się, jak naprawdę wykorzystywane jest Hammernip Hill, i usłyszał wyrzekania starego Gyisha na rozrzedzoną krew rodziny. Jednak od czasu afery ze schwytaniem klientów Danny nie ryzykował podobnych przeszpiegów. Starał się prawie zawsze być przez kogoś widzianym, żeby nikt nie mógł mu niczego zarzucić czy choćby zastanawiać się, gdzie się podział. I całe szczęście, że przyjął taką taktykę, bo Gyish i Zog zwerbowali kilkoro chłopców i dziewczyn, żeby mieli go na oku. W miarę jak dzieci coraz lepiej radziły sobie ze swoimi klientami, Danny'emu coraz trudniej było stwierdzić, czy w danej chwili ktoś go śledzi. Ostatnio przestał nawet opuszczać osadę zrobionymi przez siebie wrotami.

Lecz dziś wiedział, że odbędą się ważne spotkania Greków i rady rodziny, i chciał je podsłuchać. Podczas poprzednich wizyt obserwatorów z innych rodzin był za mały, żeby cokolwiek zrozumieć. A ponieważ Grecy na pewno byli szczególnie wyczuleni na wszelkie oznaki mogące wskazywać, że w rodzinie Northów pojawił się mag wrót – „nowy Loki”, tak by go nazwali – Danny chciał usłyszeć, czy padną z ich strony jakieś oskarżenia. Jeśli tak, nie będzie miał innego wyjścia, jak tylko uciec, mimo że jeszcze nie wpadł na pomysł, jak wydostać się z osady i nie dać się złapać.

Na razie jeszcze wciąż Northowie stali na dworze, na zimnym grudniowym wietrze, i byli przedmiotem inspekcji prowadzonej przez w dużej części tych samych ludzi, którzy nie tak dawno zabili wielu członków ich rodziny.

Grecy chodzili w tę i we w tę wzdłuż szeregu dzieci, uważnie

przyglądając się wszystkim po kolei. Niektórzy z nich – zwłaszcza kobiety w średnim wieku – nie kryli pogardy. I co w tym dziwnego? Większość kuzynów Northów była boso pomimo zimna, a ich włosy tylko mgliście pamiętały grzebień czy szczotkę. Wszyscy byli opaleni, umorusani i ubrani w połatane używane ciuchy z Wal-Marta albo darów, wybrane przez oszczędnych dorosłych szacujących rozmiar dziecka na oko.

A Grecy wystroili się jak na pogrzeb bogacza – w ciemne garnitury i suknie, które z pewnością dużo kosztowały. Włosy mieli nienagannie ułożone, a paznokcie wymanikiurowane. Przed wszystkim byli czyści. Eleganckie stroje nosili ze swobodą, jakby ubierali się tak na co dzień, i nie zważali na to, że się pobrudzą, brnąc w brei roztopionego śniegu z zeszlotygodniowej śnieżycy. Jeśli uwalają sobie ubrania, trudno, sprawią sobie nowe. „Stać ich na to, żeby kupić małą planetę”, powiedział kiedyś Thor. Tyle że żadne pieniądze nie mogły kupić dostępu do jednej jedynej planety, na którą wszyscy pragnęli się udać od prawie czternastu stuleci.

Co pewien czas chodzący wzdłuż szeregu Grecy zatrzymywali się przed takim czy innym dzieckiem i zadawali pytanie w starożytnym języku westiliańskim – z którego przed pięcioma tysiącami lat rozwinął się indoeuropejski – a jeden z Northów odpowiadał. Gdyby mówili głośnie, Danny mógłby ich zrozumieć; on jedyny wśród kuzynów biegle tym językiem władał. Mówili jednak cicho, więc dopiero kiedy podeszli bliżej, Danny dosłyszał, że te szeptane słowa to pytania o to, do jakiego rodzaju magii wskazane dziecko przejawia talent.

Powinien im odpowiadać Baba, ale akurat pojechał kupić nowy sprzęt. Danny podejrzewał, że Grecy specjalnie poczekali na jego wyjazd, by mogli porozmawiać z innymi, mniej nawykłymi do udzielania wymijających odpowiedzi. Skutek był taki, że na większość pytań odpowiadała ciocia Tweng – najbardziej małomówna z dorosłych – choć czasem wyręczał ją wujek Poot, bo on najwięcej pracował z dziećmi. Jedno było pewne: żadne pytanie nie pozostało bez odpowiedzi, i to natychmiastowej.

Małe dzieci stojące bezpośrednio przed Dannym nie były interesujące dla nikogo – jeszcze nie ujawniły żadnych szczególnych talentów, chociaż oczywiście potrafiły już wzbudzić małego klienta. Natomiast sąsiadką Danny'ego z prawej była Megan, córka Mooka i Lummy, która właśnie skończyła piętnaście lat, wielce obiecująca magini wiatru. Trochę więc o niej porozmawiano i Danny zauważył, że choć Poot nie mógł się jej nachwalić, to konkretne osiągnięcia, o jakich opowiadał, mówiły o umiejętnościach, które Megan przejawiała już w wieku

dziesięciu lat. Każde słowo było prawdą, ale obliczoną na sprawienie wrażenia, że Northowie to żałośnie słaba rodzina – są dumni, kiedy piętnastolatka umie robić coś, co zwykle potrafi utalentowany dziesięciolatek.

To dało Danny'emu do myślenia. Przed laty podsłuchiwał spór dotyczący tego, czy rodzina powinna okazywać siłę, żeby inni nie śmieli jej atakować i znieważać, czy raczej słabość, by nie budzić zawiści i niechęci.

– Atakują nas nie dlatego, że się nas boją – powiedział wówczas Baba – atakują nas, bo myślą, że to im ujdzie na sucho.

Jednak Gyish, może dlatego, że przewodził rodzinie podczas ostatniej wojny, zajął przeciwne stanowisko.

– Wszystkie rodziny są coraz słabsze i winią za to nas. Ogień nienawiści płonie silnie i długo, Odyne... muszą widzieć, że jesteśmy słabi, by ich nienawiść do nas była zaspokojona.

Najwyraźniej Baba dał się Gyishowi przekonać – albo Gyish pod jego nieobecność nakłonił pozostałych, by przyjęli strategię pokory.

– A ten tutaj? – spytała niska, tęga kobieta, która wyglądała na naczelnego inkwizytora Greków.

Danny podniósł głowę i spojrzał Pootowi w oczy. Poot milczał.

Odpowiedziała ciocia Tweng. Jednym słowem.

– Drekka.

Lekki uśmiech przemknął po twarzy Greczynki.

– I jeszcze tu jest?

– Nadal pokładamy w nim nadzieję – powiedział Poot, odwrócił się i poszedł dalej. Reszta ruszyła za nim.

Tylko tego mi brakowało, pomyślał Danny. Kolejny powód, żeby rodzina pragnęła mojej śmierci.

Dopiero teraz zauważył, że wśród dorosłych Greków jest jedenasto-, może dwunastoletnia dziewczyna. Była jedynym dzieckiem, które przywieźli ze sobą; zastanawiał się po co. Trzymała się z tyłu i miała znudzoną minę. Może była dzieckiem kobiety, która przez cały czas szła na czele grupy – przynajmniej na to wskazywało zachowanie przywódczyni Greków, która chwyciła dziewczynę za ramię i popchnęła naprzód jak nieposłuszną córkę. Może to rozwydrzony bachor, który dostaje histerii, kiedy zostanie sam w domu. Danny'emu przyjemnie było tak ją sobie wyobrazić, bo sam, jako syn Odyne, na okrągło wysłuchiwał podobnych oskarżeń na swój temat, choć był prawie pewien, że niczym na to nie zasłużył.

Padła komenda, by dzieci się rozeszły i zniknęły dorosłym z oczu, i większość z nich zrozumiała to tak, że dziś mają wolne i mogą iść się bawić, byle w odległych zakątkach osady. Rozległy się radosne krzyki i wrzaski, gdy tylko opuścili podwórze przed domem.

Oczywiście nikt nie zaprosił Danny'ego do wspólnej zabawy. Ruszył w stronę szkoły, jakby zamierzał pouczyć się czegoś w jednym jedynym miejscu, do którego inne dzieci nie zbliżyłyby się z własnej woli w dniu wolnym, ale po wejściu do budynku odczekał tylko chwilę, zanim wymknął się tylnymi drzwiami i okrążył Hammernip Hill, żeby podejść do starego domu od najbardziej osłoniętej strony.

Stromy stok opadał tutaj ku rowowi odpływowemu. Rów biegł dokładnie pod podłogą najnowszego skrzydła domu – najwyraźniej wykopano go na długo przed wybudowaniem tego skrzydła przeszło sto lat temu. Danny ostentacyjnie się nie rozglądał, by sprawdzić, czy ktoś go obserwuje. Wiedział, że strzygąc oczami na boki, sprawiłby wrażenie, że się gdzieś skrada, a jeśli po prostu da nura pod dom, nie bacząc na to, kto go może zobaczyć, będzie wyglądało, że robi coś niewinnego. Gdyby ktoś zapytał, powie, że lubi drzemać w panującym tam półmroku. Ta historyjka zabrzmiałaby trochę bardziej wiarygodnie latem, bo pod domem zawsze było dużo chłodniej. Zimą jednak można się tam było schronić przed wiatrem, więc i teraz mógł w razie czego powiedzieć, że to jego prywatna kryjówka.

Bo przecież tak było, czyż nie? Jedyne, co ukrył, to że zamiast położyć się na zimnej ziemi pod podłogą, przeczołgał się w zakamarek, gdzie było wejście do pustej przestrzeni w ścianach.

Znalazł je w wieku pięciu lat; wtedy mógł się tam wcisnąć łatwiej niż dziś. Jednak nauczony przyzwyczajeniem wiedział, jak wyginać ciało, by pokonać ciasne zakręty w narożnikach budynku. Sporo urósł przez te kilka miesięcy od czasu, kiedy ostatnio się tu zakradł, i bał się, że w którymś momencie będzie zmuszony zawrócić albo – co gorsza – utknie i będzie musiał wezwać pomocy. Ale nie, bez kłopotów przemykał znajomymi korytarzami.

Przywódcy dwóch rodzin mieli spotkać się w bibliotece, na przeciwległym krańcu domu, bo tam odbywały się wszystkie ważne spotkania. Na środku pomieszczenia stał wielki stół, a pod ścianami było kilka dodatkowych krzeseł.

Książki, napisane we wszystkich indoeuropejskich językach, a niektóre nawet po westiliańsku, zawierały całą wiedzę rodziny Northów aż po czasy starożytne, kiedy to wyodrębniały się plemiona. W każdym

plemieniu była rodzina bogów, którzy mieli poprowadzić swoich wyznawców do zwycięstwa i zapewnić im pomoc nieba i ziemi, zwierzęcia i drzewa. Nic wtedy nie mogło się oprzeć mocy rodzin i Indoeuropejczycy – Hetyci i Persowie, Aryjczycy i Celtowie, Ilirowie i Latynowie, Doryjczycy i Jończycy, Germanie, Nordowie i Słowianie – triumfowali nad wszystkimi napotkanymi tubylcami. Ich podboje zakończyły się, dopiero kiedy bogowie się znudzili albo znaleźli sobie ciekawsze zajęcia i odmówili pomocy w najeździe na następną krainę i ujarzmieniu bądź wyrznięciu jej mieszkańców.

Najlepiej powodziło się tym rodzinom, które najmocniej wspierały swoich wyznawców na roli i polu bitwy. Im większy jednak dane plemię zajmowało obszar, im więcej podporządkowywało sobie ludów, tym większe było prawdopodobieństwo jego rozpadu na mniejsze klany albo państwa-miasta. Kiedy dochodziło do takiego podziału, klany rywalizowały między sobą o względy swoich bóstw. Czasem podobny rozłam następował w łonie rodziny i część członków szła za jednym klanem, a część za drugim. Niektóre podzielone rodziny przez całe dziesięciolecia walczyły między sobą rękami swoich wyznawców.

Częściej jednak, aby zachować swoją siłę, rodzina wybierała jeden z klanów plemiennych i zostawała z nim, a inne musiały radzić sobie same, bez pomocy bogów. Jeśli wyznawcy nie służyli jej należycie, przechodziła do nowego klanu lub miasta, pozostawiając dotychczasowych podopiecznych bez wsparcia Westilian. To była sekretna saga w tle wszystkich historii, fal inwazji, wzlotów i upadków miast. I pomyśleć, że uczeni suszlacy sądzili, że intrygi bogów to wymysł Homera! Że Eddy, Wedy i Sagi są religijnymi baśniami! Jakże łatwo suszlacy przekonali samych siebie, że bogowie, których nie widzieli na własne oczy, nie mają prawa istnieć. Inna sprawa, że w porównaniu z dawnymi czasami rodziny westiliańskie nie były już bogami, lecz zaledwie cieniami niegdysiejszej chwały.

Danny prześliznął się wzdłuż zachodniej ściany biblioteki, tej bez okien. Okna kiedyś były, w czasach gdy mieściła się tam sala sypialna, ale zabito je w latach dwudziestych, kiedy przerobiono ją na bibliotekę. Dziś zostały po nich tylko skrzydła okienne i Danny musiał przeczołgać się pod nimi, jeśli chciał dostać się na sam koniec pomieszczenia. Nie trzeba było jednak iść aż tak daleko. Przed laty pierwszy raz przekłuł szpilkami tynk i tapetę po drugiej stronie, żeby móc zaglądać do środka. Im był starszy i wyższy, tym wyżej musiał robić dziurki.

Teraz już ściany nie przebijał, tylko schylał się, żeby zajrzeć jednym

okiem przez najwyższą ze starych dziurek. Trudno było rozróżnić twarze, ale mógł przynajmniej policzyć obecnych. Dawno się nauczył, że ważniejsze jest, by słyszeć, niż żeby widzieć. Jak już będzie wiedział, kto jest w bibliotece, rozpozna głosy i zorientuje się, kto mówi.

Nie znał żadnego z Greków, więc spojrzał przez dziurkę, żeby się rozeznac, kto jest w środku. Nie przyprowadzili ze sobą dziewczyny, więc było siedmiu dorosłych Greków, trzy kobiety i czterej mężczyźni. Nawet nie próbował nauczyć się ich imion, zapamiętał tylko, że nazywali się Argyros. Wygugła ich, jeśli to go będzie ciekawiło. Ta rozmowa była o Grekach i Northach i był zainteresowany tylko tym, co może zostać powiedziane na jego temat.

Wymiana uprzejmości trwała długo. Nie do wiary, ale zebrało im się na wspominki z ostatniej wojny. Grecy opowiadali o tym, jak jeden z nich wpadł w potrzask na ziemi Northów uzbrojony tylko w topór, którym musiał się bronić przed magami drzew.

– O tak – powiedział Gyish. – Alf miał jeszcze mleko pod nosem, nie wiedzieliśmy, co potrafi. Poluzował obuch tego topora, tak że kiedy wasz chłopak zamachnął się na jedno z drzew, topór się rozleciał, no i biedak musiał walczyć z drzewami drewnianym kijem!

– Stukły go na miazgę – powiedział Zog. – Wbiły go w ziemię jak batata.

Danny nie mógł uwierzyć, że chępią się tak w obecności rodziny zabitego chłopca – ale ku jego zaskoczeniu mężczyźni śmiali się, Grecy równie głośno jak Northowie.

Kobiety z obu rodzin miały kamienne twarze i milczały.

Były jeszcze inne opowieści, złośliwe uwagi o „magii pieniędzy” i podobne bzdety, aż w końcu ciocia Tweng się odezwała:

– No dobrze, obejrzelście naszych. Jakie wrażenia?

– Przydałoby się wam więcej mydła – powiedziała jedna z Greczynek.

Któryś z mężczyzn zachichotał.

– Nie, nie, Valbono. Agon mówił, że mają maga brudu, który ćwiczy na pozostałych dzieciach!

Na to wszyscy mężczyźni znów wybuchnęli śmiechem. A kobiety znów milczały.

Jak ci wrogowie mogli się razem śmiać?

Może teraz, po zakończeniu wojny, między wojownikami panował duch koleżeństwa. A może śmiechem wypierali z pamięci bolesne wspomnienia. Może tylko śmiech powstrzymywał ich przed pozabijaniem

się nawzajem.

– Tak to jest na wsi – powiedziała ciotka Lummy z uśmiechem w głosie. – Myje się ich, ale po pięciu minutach znowu są brudni. Pewnie moglibyśmy ich wychowywać w klimatyzowanych pudłach, ale świeże powietrze jest takie zdrowe, no i mają dużo ruchu, dzięki czemu nabierają krzepy.

– Ale boso? W zimie? – spytała Greczynka Valbona.

– Zdziwiłabyś się, jak bardzo stopy mogą się zahartować.

– Och, nie wątpię, że robią się z nich istne kopyta. Tyle że buty można zmienić, kiedy wyjdą z mody.

Mężczyźni znowu się roześmiali, jakby to był przezabawny dowcip.

– Myślę, że pora na mały poczęstunek – powiedziała ciocia Tweng.

– Jest zima, więc herbatę damy gorącą, ale w tym roku sprawiliśmy sobie lodówkę i jeśli macie ochotę na lemoniadę albo mrożoną herbatę, to też dostaniecie.

Danny omal nie parsknął śmiechem, po części rozbawiony ironią zawartą w jej słowach – Northowie mieli lodówki, odkąd sięgał pamięcią – a po części dlatego, że dotąd nie zdawał sobie sprawy, iż ciocia Tweng ma poczucie humoru, i to takie kąśliwe.

– I ciastka – dodała ciotka Lummy. – Herbatę i ciastka.

– Jak w Anglii – zauważyła jedna z Greczynek.

– Ściśle mówiąc, herbata pochodzi z Indonezji – powiedziała ciotka Lummy. – Dziwne, że jest rodzaj kawy Java, choć na Jawie produkują tylko herbatę.

– Herbatę i wiele innych rzeczy – wtrącił jakiś Grek – i to my przewozimy dużą część ich eksportu. Ale to prawda, że ich góry to jedna wielka plantacja herbaty.

Czyli był w Indonezji. Wielkie mi co, pomyślał Danny. Nie mógł dostać się na Westil, a wszystkim westiliańskim rodzinom dziś tylko na tym zależało.

Ciocie Tweng i Uck poszły po przekąski, które czekały na wózkach u szczytu schodów.

Gdy one wyszły, ktoś wszedł. Po długiej chwili w polu widzenia ukazała się mała Greczynka. Przechadzała się wolnym krokiem, patrzyła po regałach z książkami. Dorośli Grecy nie spuszczaali z niej oczu – ale i nie zganili jej za to, że weszła. Przypatrywali się tylko i tak bardzo byli na niej skupieni, że wszyscy Northowie też zaczęli ją bacznie obserwować.

Po drugiej stronie pokoju dziewczyna odwróciła się i spojrzała prosto na dziurkę w ścianie, przez którą patrzył Danny.

– Co się stało, Yllka? – mruknął któryś Grek; jedna z kobiet go uciszyła.

Dziewczyna obeszła stół, znikając z pola widzenia Danny'ego, za chwilę jednak pojawiła się znowu, teraz już dużo bliżej, po czym bez wahania skierowała się prosto w miejsce, gdzie Danny miał swój punkt obserwacyjny, i przyłożyła oko do dziurki.

Danny był tak zaskoczony, że instynktownie się cofnął. Oczywiście, nie miał gdzie się cofnąć, więc z głuchym hukiem walnął głową w szalunek zewnętrznej ściany. Natychmiast stłumił jęk bólu, jednak wiedział, że już po nim.

– Ktoś nas szpieguje – rzekł wujek Mook.

– Z drogi! – krzyknął Gyish. I rozległ się huk, gdy szufla z kominka rozwalila tynk i przebiła się przez część listew w miejscu, gdzie była dziurka od szpilki.

Danny wpadł w panikę. Rzucił się w stronę korytarza prowadzącego na zewnątrz, na próżno – korytarza nie było. Nigdy dotąd nie miał kłopotów z jego odnalezieniem, teraz jednak pod rękami czuł tylko twardy bal w kącie, wkopany głęboko w ziemię i podpierający belkę sufitową.

Nie było żadnego tajnego przejścia. Danny bezwiednie stworzył w ciemności magiczne wrota, tak samo jak to zrobił na drzewie, kiedy złapał klanty dziewczyn w swoją koszulkę. A teraz nie mógł tych wrót znaleźć. Utknął jak robak pod szkłem.

Łup! Szufla znów przebiła się przez ścianę, tym razem niżej. A potem zaczęły trzaskać wyciągane listwy i światło wpadło do przestrzeni między ścianami. Lada moment wszyscy zobaczą Danny'ego.

Ta dziewczyna coś zrobiła, uświadomił sobie nagle. Ukryła przed nim wrota, żeby nie uciekł.

Cóż, nie mogła ukryć wrót, które nie istniały. Danny nie potrafił robić ich świadomie, pamiętał jednak, co czuł, kiedy dokąds pędził i wrota pojawiały się same z siebie. A teraz groziło mu śmiertelne niebezpieczeństwo, pora więc wziąć nogi za pas.

Rzucił się w stronę drewnianego bala, myśląc o swoim celu – żeby wydostać się z domu, tak by mógł wykazać ponad wszelką wątpliwość, że w ogóle nie było go w pobliżu.

Skoczył naprzód... i całym impetem wpadł na drewno.

Muszę wziąć większy rozpęd, pomyślał. Mimo lęku cofnął się w stronę właśnie demolowanej ściany i puścił się pędem do miejsca, gdzie, jak zawsze sądził, było jego tajne przejście.

Znów wpadł na twarde drewno i runął na ziemię.

Tym razem jednak było inaczej. Był na powietrzu, zimowe słońce przebijało przez igły sosen. Dłonie miał pełne opadłych liści i igieł. Nie wpadł na bal będący częścią konstrukcji domu. Przeszedł przez nowe wrota, zderzył się z pniem żywej sosny i krew leciała mu z czoła.

Znał to miejsce. Kilka kroków dalej były jedne z sekretnych wrót, które pozwalały mu ominąć drzewa stróżujące. Już opuścił osadę. Zrobił wrota, które prowadziły ze ściany biblioteki poza obręb ochronnej bariery rodziny.

Zrobiłem wrota, kiedy potrzebowałem ich najbardziej, pomyślał Danny. Mogę przejść, dokąd tylko chcę.

Nie pora jednak zachwycać się sobą. Jeśli znajdą go za granicą ziemi Northów w sytuacji, kiedy żadne z drzew stróżujących nie pamiętało, by obok nich przechodził, będzie w takich samych opałach jak wtedy, gdyby zdybali go w przestrzeni między ścianami, do której nie ma żadnego niemagicznego wejścia. Musiał wrócić do osady, jeśli miał ich przekonać, że nie podsłuchiwał rozmowy w bibliotece.

Chyba że dziewczyna już to wiedziała i im powiedziała. Mógł tylko zgadywać, jak dobrze znała się na wrotach i magach wrót. Oczywiście, mogła być co najwyżej Kołatką – gdyby była choćby Przyjacielem Kluczy, wszystkie rodziny zażądałyby, żeby ją zabiło. Węszycielom i Kołatkom, najsłabszym magom wrót, pozwalano żyć wyłącznie po to, by szukali istniejących żywych wrót. Znalezienie wrót stanowiłoby dowód, że jedna z rodzin wbrew zasadom ma Brata Ścieżek albo Ojca Wrót. A wtedy wojna rozpętałaby się na nowo.

A tak naprawdę wszystkie rodziny mające Węszyciela czy Kołatkę żywiły nadzieję na odnalezienie dawno zapomnianych wrót do Westilu, które Loki jakimś cudem przeoczył, kiedy zamykał wszystkie wrota na tym świecie. Wtedy rodzina mogłaby przejść na inny świat, wrócić z ogromnie zwiększoną mocą i władać wszystkimi rodzinami westiliańskimi w Mittlegardzie.

Tu przejścia na Westil nie było. Był natomiast Danny North, dziecko, mag wrót, który tylko dlatego, że żył, łamał zasady, i którego powinno się zakopać na Hammernip Hill, by nie dopuścić do ponownego wybuchu wojny. Grecka Kołatka go znalazła. Nie mogła jednak wiedzieć, że to on. Jeszcze mógł z tego jakoś wybrnąć.

– Chyba nie myślisz o powrocie, co?

I tak oto nadzieja na ucieczkę prysła.

Oczywiście, był to klant jakiegoś dorosłego, więc głos brzmiał jak

szept pośród drzew, szelest liści. Ale był wystarczająco wyraźny.

– Thor – powiedział Danny. – Oczywiście, że wrócę.

– Rozumiem. Życie ci ciąży. Myślisz sobie, że Hammernip Hill to dobre miejsce na odpoczynek.

– Nikt nie wie, że to ja byłem w ścianie.

– Cóż, ja wiem – powiedział Thor.

Danny nie połknął przynęty. Jeśli klient Thora czekał tu na niego, to znaczy, że znał prawdę już wcześniej.

– Znasz to miejsce?

Thor wytworzył małą trąbę powietrzną, wzbijając liście i sosnowe igły.

– Obserwowaliśmy cię na zmianę, kiedy wychodziłeś i wracałeś.

Czasem trochę się spieraliśmy... czy on zdaje sobie sprawę, że robi wrota, czy po prostu myśli, że szybko biega?

– Zorientowałem się latem. Kiedy zabrałem żaloszne klancidła Tiny i Mony na czubek drzewa. Tak wysoko, że potem nie mogłem tam normalnie wejść.

– Nie nazywaj żalosznym czegoś, czego sam nie potrafisz

– powiedziało małe tornado, które było Thorem.

– Och, dobrze wiem, że jestem najbardziej żaloszny ze wszystkich.

Ale nikt mnie nie przeszkolił.

– A kto miałby cię szkolić? Mam nadzieję, że nie żywisz o to urazy.

– Twoi synowie mnie biją. Często.

– Wstrętni mali brutale, co?

– Są twoimi synami.

– Dostałem polecenie, żeby wziąć sobie żonę spośród suszłaków.

Zrobiłem to. Skutki były rozczarowujące.

– Ale klienci robić potrafią.

– Owszem, a także pokaźne ilości moczu, nawozu i kłopotów, poza tym niewiele. Ale cóż, człowiek robi to, czego wymaga dobro rodziny.

– Mimo to najwyraźniej wiesz o mnie od dawna i nic nie powiedziałeś.

– Gyish i Zog za nic w świecie nie pozwoliliby ci żyć. I wielu w rodzinie poparłoby ich w pełni.

– Ale nie ty. I nie... kim są pozostali? I czego właściwie ode mnie oczekujecie?

– Nie mogę ci tego powiedzieć, dopóki nie będę wiedział na pewno, że nie wrócisz. Bo nie można wykluczyć, że jesteś osłem i wszystko wyśpiewasz, wsypiesz ludzi, którzy cię chronili, a potem umrzesz razem

z nimi, by udowodnić swoją lojalność.

– A jak wy udowadniamie swoją?

– Tak jak to się w rodzinie Northów zawsze robiło. Wypatrujemy urodzonego wśród nas maga wrót, po czym strzeżemy i chronimy go do czasu, aż będzie dość duży, żeby uciec z tego więzienia i osiągnąć wiek dorosły.

Danny rozważał te słowa przez chwilę.

– Czyli tylko udajemy, że przestrzegamy traktatu?

– Och, Zog i Gyish przestrzegają go całym sercem. Gyish nigdy nie został dopuszczony do tajemnicy, nawet kiedy był Odynem. Jest dość szalony, żeby poważnie traktować wszystkie układy. Honor, rozumiesz. Ja go nie mam. Nie wobec wrogów. Nie, prawdziwy honor nakazuje robić wszystko, by rodzina powstała z popiołów szaleństwa Lokiego. Jesteś pierwszym po nim magiem wrót, który miał dość sprytu, żeby przetrwać tak długo.

– Nie byłem sprytny, po prostu nie wiedziałem, że to potrafię.

– Tak, ale kiedy już się dowiedziałeś, nie chwaliłeś się, nie zadawałeś pytań ani nie zacząłeś nagle szukać wszystkiego o Lokim w bibliotece. A zanim poznałeś prawdę, nie chełpiłeś się tym, jak szybko biegasz, ani nie dałeś się zauważyć przy robieniu nagłych skoków. Przez to właśnie większość twoich poprzedników wyładowała na Hammernip Hill.

– A mimo to wiedzieliście, kim jestem.

– Wiedzieliśmy? Raczej mieliśmy nadzieję. Twoja matka i ojciec... tak potężni, tak niezwykli. Jak myślisz, dlaczego chcieli razem machnąć sobie dzidziusia? Oboje mieli dzieci z poprzednich małżeństw. Pipo i Leonora byli bardzo obiecujący. Na swój sposób ekscentryczni. Alf i Gerd, twoi rodzice, dwoje najpotężniejszych magów od pokoleń. Wiesz, to dzięki nim wygramy wojnę.

– Myślałem, że przegraliśmy.

– Przegraliśmy? Tak to nazwaliśmy przez wzgląd na pozostałe rodziny. „Poddajemy się! Zróbcie z nami, co chcecie!”. – Minitornado opadło, jakby legło plackiem przed Dannym. – Tyle że za nic w świecie nie zawarliby tego traktatu i nie przestrzegaliby go tak długo, gdyby się nas śmiertelnie nie bali. Nawet dziś o nic nas nie oskarżają. Bo się boją twojej matki i ojca.

– Co w tym dziwnego? Ja też.

– Oboje muszą być w ciągłym ruchu, żeby nie wpaść w pułapkę. Reszta rodzin pragnie ich śmierci. I na wszystkie padł blady strach, kiedy twoja matka zaszła w ciążę z Alfem. A potem Alf został Odynem

i rozeszła się wiadomość, że ich jedyny syn jest... drekką? Och, na pewno uwierzyli nam bez zastrzeżeń.

– Ja uwierzyłem – powiedział Danny.

– Skąd miałeś wiedzieć, że magowie wrót nie robią klientów? To ściśle strzeżona tajemnica. Po co robić na odległość kopie samego siebie, kiedy można po prostu przenieść się, jak na skrzydlatych sandałach Merkurego, w dowolne miejsce, które chcesz zobaczyć? Ale my wiedzieliśmy. Twoja pozorna drekkowatość była dla nas tylko kolejnym obiecującym znakiem.

– Kim są ci „my”?

– Nasza piątka. Twoi rodzice, Mook i Lumtur.

Ciotka Lummy i wujek Mook. I Thor, oczywiście.

I mama, i Baba.

Danny się rozplakał. Nie poczuł nic, co by to zapowiadało. Po prostu... zapłakał. A potem szlochał głośno. I nawet nie był pewien dlaczego. Tylko że miało to związek z mamą i Babą.

– Nie rozumiesz, że musieli surowo cię traktować? – powiedział Thor. – Co by było, gdyby któreś z nich przyłapano, jak patrzy na ciebie z miłością? Albo dumą? Jak mieliby odpowiedzieć na pytanie, z czego właściwie są dumni, nie budząc podejrzeń? Musisz jednak wiedzieć, że są z ciebie dumni naprawdę. Z tego, jak dobrze się uczyłeś. Języki... toż to przecież cecha charakterystyczna maga wrót! Zadziwiające, że nikt nie domyślił się prawdy! I są dumni z twojej zaradności. Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale opuszczałeś osadę przez wiele miesięcy, zanim w końcu cię na tym przyłapaliśmy, i minęło jeszcze kilka następnych miesięcy, zanim podpatrzyliśmy, jak korzystasz ze wszystkich trojga wrót. Imponujące! Twoje wrota na razie sięgają na małe odległości, jak wrota Brata Ścieżek, ale masz trzynaście lat! O tak, są z ciebie dumni.

Danny wziął się w garść. Było mu wstyd, że popłakał się przy Thorze, ale teraz już nie mógł nic na to poradzić.

– Czyli mama i Baba nie chcą mojej śmierci?

– Och, nie zrozum mnie źle, Danny. Jeśli teraz wrócisz do osady, zostaniesz zabity. Może nie od razu, może zaczekają na powrót twoich rodziców. Ale tylko po to, żeby to oni mogli dać sygnał do ataku na ciebie. Rozumiesz?

– Nie. – Danny nie był pewien, na kogo jest wściekły: na Thora, bo powiedział, że rodzice każą go zabić, czy na rodziców dlatego, że to była prawda.

– Nie złość się, od tego się głupieje. Będą musieli pokazać, że nie

znają litości; że zasady, które odnoszą się do cudzych dzieci, odnoszą się też do ich rodzzonego syna. Zresztą w takiej sytuacji nie mogliby cię uratować. Gdyby okazali najmniejsze wahanie, Zog wydziobałby ci oczy, a Gyish ugotowałby krew w twoich żyłach.

– A tak teraz będą mnie ścigać i mnie znajdą.

– Pomyśl, Danny. Jak sądzisz, dlaczego mnie postawiono na czele siatki naszych informatorów? Jediną ścigającą cię osobą będę ja.

– Co mam robić? Może tego nie wiesz, ale trzynastoletnie dzieci nie są bezpieczne w świecie suszłaków, nawet jeśli nie polują na nich magowie z innego świata.

– Danny, Danny, nie jesteśmy z innego świata. Jesteśmy z tego świata. Od tysiąca trzystu lat.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Poradzisz sobie, Danny.

– Jak?

– Jesteś jednym z nas, Danny. Być może okażesz się jednym z najpotężniejszych magów w rodzinie... na co oczywiście liczymy, bo cały wysiłek pójdzie na marne, jeśli nie nauczysz się otwierać wrót do świata, którego nigdy nie widziałeś.

Danny chwilę o tym pomyślał.

– Otworzyłem wrota w to miejsce, chociaż nigdy go nie widziałem.

– Imponujące. Zobaczmy... trzy kilometry, to miejsce widać z Hammernip. Kurczę blade, jutro będziesz gotów przenieść się na planetę w innym układzie gwiazdnym!

– Nawet nie wiem, co jest trudne, a co łatwe!

– Cóż, mogę ci powiedzieć jedno: stwarzasz wrota tylko dla siebie.

Musisz się nauczyć zostawiać otwarte dla innych. Dopiero wtedy będziesz Ojcem Wrót.

– Próbowałeś przechodzić przez moje wrota?

– Szkoda, że nie widziałeś. Z rozpędu, z wysoko... Nigdy się nie udało. Twoje wrota istnieją naprawdę, ale jedynie ty możesz z nich korzystać. Na razie.

– Jak mam je otworzyć?

– Co ja, mag wrót jestem?

– W takim razie potrzebne mi są książki.

– Magowie wrót nigdy niczego nie mówili ani nie spisywali. To sami kłamcy, psotnicy, oszuści. A także uzdrowiciele, przewodnicy, tłumacze, ambasadorzy.

– Uzdrowiciele?

– Pomyśl, Danny. Zdarzyło ci się kiedyś po wyjściu z wrót nie być w doskonałej formie?

Danny wzruszył ramionami.

– Coś się dzieje podczas przejścia przez wrota – mówił dalej Thor.
– One uzdrawiają. Ciało, które wyłania się po drugiej stronie, jest idealne. Nie ma ślepych ani jednonogich magów wrót.

Teraz Danny sobie przypominał. Loki nie był znany jako uzdrowiciel, za to Hermes i Merkury owszem.

– Odejdź daleko stąd – powiedział Thor. – Rozmawiaj z ludźmi ich językiem, ale mów jak najmniej. Pozwól, żeby nauczyli cię wszystkiego, co potrzebujesz wiedzieć, by przetrwać. Suszłacy potrafią być okrutni, ale nie wszyscy są tacy sami, życzliwych jest dużo więcej niż nieżyczliwych. Przetrwaj dotąd, aż będziesz w stanie zrobić wrota, które pozostaną otwarte. Wtedy wróć tutaj. Tylko nie wejdź ot tak sobie; przenieś się wrotami do sypialni Lumtur i Mooka. Będą trzymać za ciebie kciuki. I czekać.

– Co stanie się wtedy?

– Wtedy porozmawiamy, czy i jak przeniesiesz nas wszystkich na Westil. Najpierw nas pięcioro. Wrócimy dość silni, żeby poradzić sobie z każdym, kto chciałby zrobić ci krzywdę. Kiedy inni zobaczą na własne oczy efekt podróży na Westil, zaczną głośno domagać się tego samego dla siebie. Będziesz bohaterem rodziny.

Danny pomyślał znowu.

– Czyli taki jest plan. Mam odejść, żeby rodzina mnie nie zabiła, i ukrywać się, a ty będziesz udawał, że mnie szukasz. Kiedy już bez nawet odrobiny waszej pomocy nauczę się zakazanej magii wrót, mam wrócić i ot, tak dać wam całą tę moc?

Thor wybuchnął śmiechem.

– Ach, Danny, miło słyszeć, że kombinujesz, jak na członka naszej rodziny przystało. Oczywiście, że nie dasz nam niczego za darmo. Zażadasz władzy. Będziesz nalegał, by mianowano cię Odynem na miejsce twojego ojca. A on przekaze ci władzę i pokłoni się przed tobą. Jakiegokolwiek ceny zażadasz, będzie tego warta.

Thor nic nie rozumiał. Danny'emu nawet przez myśl nie przeszło, żeby zostać głową rodziny, zwłaszcza że tę funkcję pełni Baba. Pozwolił jednak Thorowi sądzić, że przejrzał jego zamiary. Tym łatwiej będzie go zwieść.

– Północ, południe, wschód, zachód – mówił dalej Thor.

– Przemieszczaj się skokami. Im dłuższe, tym lepsze. Tylko nie rób wrót,

które kończą się nad wodą, przynajmniej dopóki nie nauczysz się robić wrót, tonąc.

– Zrobiłem wrota w czasie, kiedy rozwalano mi przed nosem ścianę. Szuflą i pogrzebaczem.

– Obiecujące. Tylko nie mów mi, dokąd się wybierasz. Staraj się być jak najmniej widoczny, bym mógł cię szukać na serio bez ryzyka, że cię przypadkiem znajdę. I nie pozwól, żeby ta mała Greczynka dopadła cię pierwsza. Na pewno wyślą ją twoim tropem.

Danny skinął głową i wstał.

– Masz mi jeszcze coś pożytecznego do powiedzenia?

– Wydajesz się znudzony. „A głos Boga jednak w wichrze był”. My, bogowie, po prostu nie robimy już takiego wrażenia jak kiedyś...

Danny nie został z nim dość długo, by usłyszeć, jak dokończył to zdanie. Dowiedział się wszystkiego, co Thor miał mu do przekazania. I wyciągnął z tego kilka oczywistych wniosków.

Po pierwsze, jego rodzice, Lummy, Mook i Thor może i czuwali nad nim, ale gdyby nawalił i dał się schwytać, zabiliby go równie ochoczo jak cała reszta. Dlatego nie byli mu przyjaciółmi, zwłaszcza że Danny nie miał pojęcia, na czym owo „nawalenie” mogło polegać.

Po drugie, jeśli klant Thora obserwował go przy przechodzeniu przez wrota od lat, nawet wtedy, kiedy Danny jeszcze nie wiedział, że to w ogóle są wrota, kto jeszcze mógł tu mieć swojego klanta podsłuchującego całą rozmowę? Synowie Thora, Lem i Stem, byli głupkami, a jakże, ale Danny nie sądził, by głupotę odziedziczyli po suszłackiej matce.

Po trzecie, Danny naprawdę zaczynał rozumieć, co robił wewnątrz siebie, by stworzyć wrota. Te prowadzące z domu tutaj były jego pierwszym aktem świadomej kreacji i dokonał tego po zaledwie jednym falstarcie. Całkiem nieźle. Już był przekonany, że może robić wrota, kiedy zechce. Nie musiał przy tym nawet iść, a co dopiero biec czy skakać. A teraz był równie dobry moment jak każdy inny, by sprawdzić, czy rzeczywiście to potrafi.

Potrafił. Tylko pomyślał o miejscu, w które chciał trafić, i już tam był, tuż przed ogrodzeniem wyznaczającym skraj pasa ziemi zajętego przez autostradę I-64. Samochody i ciężarówki zbliżały się, przemykały obok niego i nikły w oddali.

A potem, bez namysłu, znalazł się na wzgórzu po drugiej stronie autostrady. Za jego plecami istniały kolejne wrota – i jeśli Thor mówił prawdę, nikt nie mógł przejść przez nie za nim. Dlaczego w ogóle miałyby kiedykolwiek chcieć zrobić wrota otwarte dla innych? Nie chciał, żeby

ktoś za nim łąził.

Jeszcze jeden skok i był na parkingu Wal-Marta. Jedno wiedział na pewno: jeśli chce w świecie suszłaków uchodzić za normalnego, będą mu potrzebne lepsze ubrania niż te, które ma na sobie. I buty – musiał mieć buty. Sportowe, jakie widział w reklamach telewizyjnych i w internecie. Jakie nosili suszłacy w jego wieku. Jakich ciotki kategorycznie nie chciały mu kupić. „Lepiej chodzić boso, Danny. To cię hartuje”. Cóż, kij wam w oko, skąpiradła, mordercy, bydlaki. Jeśli uważacie, że do was wrócę, grubo się mylicie!

CZŁOWIEK W DRZEWIE

Królestwo Iswegii nie ma wschodniej granicy. Leży u stóp Icekame, łańcucha gór, które tworzą północną oś wielkiego kontynentu Westil. Wierzchołki Icekame zawsze pokrywa gruba warstwa śniegu i schodzą z nich co roku lodowce, przeorywując ubogą glebę i kamienistą ziemię wysokogórskich dolin.

Daleko stąd, w zamku Nassassa opodal grodu Kamesham nad rzeką Graybourn, rezydował król. Nie interesował się tym krańcem swojego królestwa. Za Icekame nie grasowały żadne hordy pragnące wdrzeć się przez wysokie przełęcze na jego ziemię. Była tam tylko Puszcza Głęboka, gdzie nie mieszkał nikt prócz magów cierni, którzy nie zabiegali o gości i nigdy nie ruszali się ze swoich siedzib.

Z punktu widzenia króla Icekame był lepszy od granicy. Na tym krańcu jego królestwa nie było nikogo, kto dybał na jego koronę albo jego ziemię, nie musiał więc trwonić pieniędzy na strzeżenie tej rubieży. A im dalej w głąb dolin, tym biedniej żyli ludzie, nie było więc sensu pobierać od nich podatków. Król mógłby to zrobić tylko raz, bo potem, pozbawieni środków niezbędnych do przetrwania, wymarliby albo zostali kosztownymi w utrzymaniu uchodźcami.

Dlatego ludzi z wysokogórskich dolin zostawiano w spokoju. Ubodzy i bezsilni, usiłujący wydrzeć ubogiej glebie dość żywności, by przetrwać zimę, znający smak mięsa tylko dzięki łowionym z rzadka ptakom i wiewiórkom, pochowali wiele dzieci, a człowiek czterdziestoletni był u nich starcem.

Mimo głodu – żyli. W przerwach od ciężkich prac, które pomagały ich rodzinom przetrwać, dzieci miały swoje zabawy, rymowanki, konkursy i wielkie przygody. Potem, kiedy dorastały, w ich żyłach, jak w drzewach na wiosnę, krążyć poczynały gorące soki miłości. Kobiety stawiały wymazane gliną chaty i śpiewem przy palenisku symbolicznie zmieniały swoich kochanków w mężów, po czym rodziły się dzieci i rodzice radowali się nimi, uczyli je, złościłi się na nie i trzymali je przy sobie, dopóki żyły.

Mieszkańcy królewskiego grodu Kamesham uważali, że ludzie

z wysokich gór żyją jak zwierzęta. Tak naprawdę jednak wieśniacy ci żyli czystym ludzkim życiem. Potrzebowali siebie nawzajem, żeby przetrwać, i dobrze o tym wiedzieli. Nie znali spisków ani tajemnic, ambicji ani sporów rodzinnych. Nie mogli sobie pozwolić na luksus spisania na straty żadnego mężczyzny, kobiety ani dziecka.

Wieśniacy z wysokich gór wiedzieli coś, o czym król w Kamesham nawet nie myślał: gdzie są wszystkie przejścia przez Icekame do Puszczy Głębokiej. W środku lata, gdy uprawy mogły radzić sobie same, rodziny pakowały trochę prowiantu i wyruszały na drugą stronę gór.

W drodze dorośli tłumaczyli dzieciom, co im wolno, a czego nie wolno będzie na miejscu brać: dość jedzenia na posiłki w czasie pobytu w puszczy, ale nic na zapas. Dość wody, żeby zaspokoić pragnienie, ale ani kropli na drogę powrotną.

– Zobaczymy maga cierni? – pytało wówczas dziecko. Zawsze miały nadzieję, że go zobaczą, a jednocześnie się tego bały.

– Wejdziemy do ich domów i do ich serc – zawsze odpowiadali rodzice – i żadnego z nich nie zobaczycie, bo oni są całym lasem. Widzą i czują wszystko, co się dzieje. Na wszystko baczą.

– I dzielą się z nami?

– Widzą, że nie zabieramy niczego z ich ziemi, pozostajemy dzień czy dwa i żyjemy tu jak wiewiórki i ptaki, zostawiają nas więc w spokoju.

Ponieważ dzieci wysysały nawet najmniejsze kości wiewiórek i małych ptaków, żeby przetrwać srogą zimą, na te słowa przebiegał je lekki dreszcz. Nic dziwnego, że przychodzili tu tylko latem. Kto wie, jak wygłodniałi są magowie cierni zimą?

Roop i Levet byli małżeństwem dość długo, by wydać na świat siedmioro dzieci, z czego, o dziwo, aż sześcioro wciąż żyło. Najstarsza z tej trzódki, Eko, jedenastoletnia, miała pewien dryg do warzyw korzeniowych; nie na tyle, by zasłużyć na miano magini, ale potrafiła znaleźć jadalne bulwy nawet w najgłębszym śniegu i między innymi dlatego rodzina przetrwała. Bracia i siostry podziwiali ją i cierpliwie znosili jej nieustanne szarogęszenie się, bo wiedzieli, że ich kocha i się o nich troszczy.

Rodzina co roku chodziła w to samo miejsce, na łąkę Człowieka w Drzewie. W poprzednich latach towarzyszyły im inne rodziny, ale przelekły się Człowieka w Drzewie i więcej tam nie wróciły. Roopowi i Levet to nie przeszkadzało. To była piękna łąka, idealna na dziecięce zabawy, a drzewa owocowe i jagody dostarczały słodczy i cierpkości, jakich nigdy nie zaznaliby w swojej wysoko położonej dolinie.

Dlaczego Człowiek w Drzewie ich nie przerażał?

Wielki dąb stał samotnie na samym środku łąki, jakby żadne inne drzewo nie śmiało wyrosnąć blisko. Jego masywny pień dowodził, że jest prastary – cała rodzina, trzymając się za ręce, nie mogła go objąć nawet w połowie.

Cztery metry nad ziemią kora wybrzuszała się w kształt człowieka, jakby ktoś był uwięziony między nią a twardzielą. Nie był to tylko niewyraźny zarys sylwetki, złudzenie optyczne. Postać ludzka miała idealnie zachowane proporcje, jej kolana były lekko ugięte, jedno bardziej niż drugie, a dłonie rozczapierzone tak, że kiedy światło padało pod określonym kątem, można było się doliczyć wszystkich pięciu palców. Nie miała jednak nosa, oczu, ust, brzucha ani sterczących palców u nóg, bo zwrócona była twarzą do wewnątrz, do twardzieli drzewa, a plecami do łąki.

– Myślę – powiedziała młodszym dzieciom Eko – że to mag drzew, który na przekór magom cierni przybył do Puszczy Głębokiej i próbował zmienić to wielkie drzewo w swojego klanta. Wtedy magowie cierni za karę uwięzili go wewnątrz drzewa, jego nie tylko zewnętrzne, ale i wewnętrzne ja.

– Nic nie wiesz o magii – powiedziała Immo, najstarsza z młodszych sióstr. – Jak człowiek mógłby żyć wewnątrz drzewa?

– A ty myślisz, że co to jest?

– Grzyb rosnący pod korą.

– Głupstwa opowiadasz. Wcale tak nie myślisz.

Ojciec usłyszał rozmowę i podszedł do nich.

– A ja myślę, że drzewo pożera dzieci, które za długo bawią się koło jego korzeni, ale tak długo je trawi, że mają czas dorosnąć.

Dzieci zaśmiały się, bo opowieści ojca zawsze były zabawne. Nawet mama odwróciła się do nich z miejsca, w którym siedziała w trawie, karmiąc najmłodsze dziecko.

– Jak długo, Baba? – spytała Eko. – Ile czasu to dziecko jest w drzewie?

– Przychodziliśmy tutaj z moimi rodzicami – powiedział ojciec

– i Człowiek w Drzewie już tu był. Ale nie tak wysoko jak teraz. Mój ojciec był mojego wzrostu i mógł dotknąć jego pięty, nie stając na palcach.

– Ojciec stanął przy drzewie, ale nie mógł dosięgnąć postaci, nawet kiedy lekko podskoczył. – Jest tu od setek lat. Nasza rodzina zawsze przychodzi go oglądać. Mój ojciec mówił, że nasi przodkowie zobaczyli go pierwsi, kiedy jego głowa wyłoniła się o, tutaj.

– Tam? – spytała Immo sceptycznie. – Przecież to nawet nie po tej samej stronie drzewa.

– On nie tylko rośnie pod korą – rzekł ojciec – ale i okrąża drzewo, a to długa droga. Powiadają, że kiedy okrąży całe, zostanie uwolniony.

– Kto tak powiada? – spytała Eko.

– Ojciec mojego ojca. Albo ktoś z rodziny. Albo jakiś nieznajomy, który odwiedził to miejsce razem z naszą rodziną. Albo ja.

– Tam w środku naprawdę ktoś jest? – zapytał Bokky, najstarszy chłopiec, który miał dopiero sześć lat.

– Tak – stwierdził ojciec. – Wierzę, że tak. Po co taki wielki dąb miałby zadać sobie trud, żeby wyrzeźbić w swojej korze kształt człowieka? Drzewa nie mają powodu nas okłamywać. Czy jawor udaje, że jest hikorą? Czy orzech udaje wierzbę?

– Ale jak on może tam żyć? – zdziwiła się Immo.

– Kto mówi, że żyje? – odparł Bokky zaczepnie.

– To po co trzymać tam trupa?

– Słyszałem dwie opowieści o tym – powiedział ojciec. – Jedna mówi, że to człowiek, który wynalazł ogień i spalił pierwsze drzewo. Magowie drzew nie zdołali zapobiec temu, by inni poznali ten sekret, i zaczęli palić drewno, ale drzewa w zemście uwięziły go w sercu puszczy.

– Jaka jest druga opowieść? – dociekały dzieci.

– Że był człowiekiem ściganym przez wielkiego króla, który zamierzał go zabić za to, że ośmielił się pokochać jego córkę. I że tu zginął, pod tym wielkim drzewem. Jego krew wsiąknęła w korzenie, a dąb ze współczucia otworzył przed nim serce i przywrócił go do życia. Córka króla rok w rok przychodziła tu na czele wielkiej procesji i tutaj, obok drzewa, płakała, a on pod korą słyszał ją, aż w końcu zestarzała się i umarła. To złamało temu człowiekowi serce i wtedy odwrócił się do świata plecami. Wciąż żyje, ale nic nie widzi ani nie słyszy, bo jego miłość odeszła na wieki, a on trwa wewnątrz drzewa, które go ocaliło.

Eko otarła łzę z oka, a Immo wyśmiała ją, ale ojciec uniósł dłoń.

– Nigdy nie drwij z czułego serca – rzekł.

Immo przewróciła oczami zawstydzona, lecz więcej nie czepiała się Eko i jej łzy.

– Czy kora na nim robi się coraz cieńsza? – spytał Bokky.

– Możliwe – przyznał ojciec. – Ale może tak się tylko wydaje przez to, że jest tak wysoko nad nami.

– A jeśli wyjdzie z drzewa, kiedy tu będziemy? – przestraszył się Bokky.

– Wtedy go powitamy – powiedziała Eko – i spytamy, która opowieść o nim jest prawdziwa.

– Nie ośmieliłabyś się do niego odezwać – stwierdził Bokky.

– Nie byłbym taki pewny – powiedział ojciec. – Twoja siostra jest odważna.

– Bała się przeskoczyć przez strumyk w północnym wąwozie

– zauważył Bokky.

– Kto przyjmuje każde idiotyczne wyzwanie, które rzucają mu inni, nie jest odważny, tylko głupi.

Wszyscy zaśmiali się z Bokky'ego, bo on przyjął wyzwanie, o którym mowa, i ojciec potem musiał zejść do wąwozu i zdjąć syna z gałęzi, na której zawisł. Trzeba było wezwać na pomoc połowę mężczyzn z wioski; trzymali sznur, którym ojciec był przewiązany, a potem wciągnęli ich obu na górę.

Noc była tak ciepła, że spali bez koców. Księżyc wisiał wysoko na niebie. W środku nocy Eko przebudziła się, spojrzała na dąb i w pierwszej chwili nie zrozumiała, co widzi. Myślała, że po drzewie pełźnie wąż, i pospiesznie zerknęła dookoła, by sprawdzić, czy dzieci są w bezpiecznej odległości. Dopiero kiedy nabrała pewności, że wąż na nikogo nie spadnie, znów spojrzała rozespanymi oczami na dąb i zorientowała się, że to porusza się ręka, łokieć i ramię, napierające na pień, tak jakby człowiek próbował wydostać się z drzewa.

I to właśnie robił. Tylko że ręka wydawała się dziwnie drobna, a kiedy wyłonił się bark i ciało odwróciło się w bok, Eko zobaczyła, że to smukły chłopiec, nie mężczyzna. Wyższy od Bokky'ego, ale nie cięższy, nie bardziej męski.

Powinam kogoś obudzić, żeby też to zobaczył, pomyślała.

Ale co będzie, jeśli spłoszy tego człowieka? Może robił to co noc, kiedy nikt nie patrzył, i przed świtem czmychał z powrotem pod korę? Gdyby go spłoszyła, mógłby przestać wychodzić i potem nikt by nie uwierzył, że to widziała.

Dlatego obserwowała go w ciszy. Wyprostowane ramię wyciągnęło się w bok, wyłoniła się prawa noga i chłopiec zwrócił się twarzą na zewnątrz. Wyswobodził obie nogi, potem obie ręce i... i boleśnie, jak się Eko zdawało, zawisł za szyję, bo jego głowa wciąż była w całości pod korą. A ponieważ drzewo nie podtrzymywało już reszty jego ciała, chłopiec szamotał się i wiercił, ale nie miał żadnego punktu oparcia. Bił rękami w korę, odpychał się od pnia, lecz nie mógł wydostać głowy.

Eko bała się, że chłopiec się udusi. Albo powiesi. Albo że po prostu

pozostanie tam bezradny i będzie wisiał, aż umrze z głodu. Albo aż jakiś niedźwiedź postanowi go pożreć. O ile w krainie magów cierni żyły niedźwiedzie. Nie słyszała, żeby ktoś widział niedźwiedzia w Puszczy Głębokiej, ale nigdy nic nie wiadomo.

Ledwie pomyślała o niedźwiedziach, a już była w połowie drogi do drzewa. Nikt z rodziny jeszcze się nie obudził, więc sama stanęła pod chłopcem i próbowała go dosięgnąć, żeby mu pomóc. Oczywiście, nie dała rady, więc wróciła i obudziła ojca, kładąc palec na jego ustach na znak, by nic nie mówił.

Zaprowadziła go pod drzewo i bez słowa pokazała, o co jej chodzi. Wziął ją na barana. Teraz mogła podeprzeć chłopcu stopy.

Dzięki temu mógł podnieść obie ręce i naprzeć dłońmi na pień dużo bliżej swojej głowy. Eko słyszała, że ojciec zaczyna głośno dyszeć – dźwigał cały jej ciężar i część ciężaru chłopca.

– Wychodźcie, dzieci – szepnęła. – Księżyc świeci. – Tak naprawdę w tej rymowance była mowa o słońcu, ale Eko potrafiła się dostosować do okoliczności.

Kora nie pękła, tylko się rozłożyła, a nawet cofnęła się w głąb, tak że jego twarz wyłoniła się jak z wody. Nie był urodziwy. Twarz miał płaską, nos wklęsły i sterczący jak żerdź dla ptaków. I gdy chłopak się uwolnił, stracił równowagę i poleciał na ziemię, pociągając za sobą wybawców.

Nadal nikt się nie obudził.

Eko wstała i podeszła do chłopaka. Był nagi, skulony w trawie. Dotknęła jego goleni. Wydał stłumiony okrzyk i szybko cofnął nogę, jakby go sparzyła.

Usiadła przed nim, patrząc z zadziwieniem. Żadna z opowieści nie mówiła, że Człowiek w Drzewie to tylko chłopiec.

– Ma ptaszka czy ptaka? – szepnął ojciec. – Jest już mężczyzną czy nie?

Eko potrząsnęła głową. Co ona mogła wiedzieć o tym, jak chłopiec staje się mężczyzną? Dość miała kłopotów ze zrozumieniem nieprzyjemnych zjawisk towarzyszących przemianie w kobietę.

Na dźwięk szeptu ojca chłopak powoli uniósł dłonie i zasłonił sobie uszy. Potem z mocno zatkanymi uszami i zaciśniętymi oczami zwinął się w kłębek.

– Chce być sam – szepnął ojciec.

Eko skinęła głową na znak zrozumienia, ale nie zgody. Ojciec, jakby pojmując oba znaczenia jej gestu, ostrożnie wycofał się w miejsce, gdzie spał obok mamy, Eko zaś dalej siedziała i patrzyła.

Obudziła się o brzasku. Chłopak zniknął. Instynktownie spojrzała na drzewo, żeby sprawdzić, czy to wszystko jej się przyśniło, czy wydarzyło się naprawdę.

Nie, to nie był sen. Postać człowieka zniknęła. W miejscu, z którego chłopak się uwolnił, drzewo było całkiem gładkie.

Nie został, żeby z nią porozmawiać. Nie zaczekał na świt. Ona nie wie, kiedy zasnęła, a on umknął. W głębi ducha zabolęła ją to, że była obecna przy jego – jak to nazwać, narodzinach czy raczej wyłonieniu się na świat? – a mimo to uciekł, kiedy spała. Nie usłyszała jego głosu. Co ważniejsze, niczym nie okazał, czy w ogóle ją słyszał i czy pamiętał, że pomogła mu wyswobodzić się z dębu.

Nie zrobiłam tego dla podziękowania, powiedziała sobie. Dlatego to nic, że nie podziękował.

Może nie potrafi. Może zna tylko język drzew.

Bo może urodził się wewnątrz drzewa. Może nigdy nie był człowiekiem. Może to on jest kłanem drzewa, nie odwrotnie. Czemu nie miałyby być na świecie drzew obdarzonych talentem do zaklinania ludzi? To by znaczyło, że zewnętrzne ja drzewa teraz tkwi w chłopcu i usiłuje zrozumieć otaczający go świat.

Eko leżała i cicho łkała. Wreszcie obudzili się pozostali i zobaczyli, że Człowiek w Drzewie zniknął. Wszyscy mieli tyle pytań i tak byli zawiedzeni, że ledwo zdołała ich przekonać, by wysłuchali jej opowieści o tym, co zrobili z ojcem tej nocy.

– Ale go puściłaś! – powiedziała Immo.

– Skoro nie był już więźniem drzewa – zauważył ojciec – dlaczego Eko miałyby go uczynić swoim więźniem?

Przez cały ranek ojciec i matka usiłowali przywrócić beztroski nastrój. Nadaremnie. Wszyscy widzieli, jak głęboko ojciec jest zasmucony. Odkąd sięgał pamięcią, Człowiek w Drzewie był tutaj. A teraz zniknął.

Kiedy nastało południe, wszyscy wiedzieli, że pora wracać. Nie była to już łąka Człowieka w Drzewie. Teraz była to zwykła łąka z dębem rosnącym pośrodku, miejsce, które nie miało w sobie nic nadzwyczajnego. Odtąd inne rodziny będą mogły tu przychodzić bez lęku przed tajemniczym więźniem. A ich rodzina, która Człowieka w Drzewie się nie bała, nie wróci tutaj już nigdy.

Gdy szli do domu ścieżką prawie niewidoczną, lecz wyrytą w ich pamięci, Eko miała wrażenie, że w zaroślach to po jednej, to po drugiej stronie miga przemykająca postać. Czy chłopak szedł za nimi, nie spuszczać ich z oka? Czy był głodny? Spragniony? Co będzie, jeśli

złamie nakazy magów cierni?

Bzdura. Magowie cierni na pewno wiedzieli, skąd się wziął, i nie poskapią mu wody z mijanych strumyków.

Wyłonili się z lasu i rozpoczęli długą wspinaczkę ku przełęczy. Wyruszyli o zbyt późnej porze, by za dnia dotrzeć do domu, rozbili więc obóz na zimnej polanie wysoko na zboczu tak stromym, że matka i ojciec przywiązali małe dzieci do pni młodych drzewek, by we śnie się nie sturlały.

– Może tak ten człowiek znalazł się w drzewie – zażartował Bokky.

– Był dzieckiem, które matka przywiązała do drzewa i zapomniała zabrać.

– Nie mogę uwierzyć, że odszedł – powiedziała Immo.

Odszedł, ale niedaleko, pomyślała Eko, kątem oka bowiem znów dostrzegła przemykający cień.

Czy następnego dnia poszedł za nimi przez przełęcz do wioski, tego Eko nie zauważyła. A mimo to jakoś wiedziała, że to zrobił, choć panowało zimno, a on był nagi. Dlatego po powrocie do domu wzięła starą, znoszoną tunikę ojca, którą mama trzymała, żeby pociąć ją na szmaty albo przerobić na strój dla najmłodszego dziecka – jeszcze nie zdecydowała – i zostawiła ją wraz z resztką swojej kolacji na skraju pola ziemniaków, w cieniu smukłego młodego dębu, na wypadek gdyby chłopak czuł się jakoś szczególnie związany z dębami.

Rankiem jedzenie i przyodziewek zniknęły. Eko się zastanawiała, dokąd chłopak poszedł. Może w dół rzeki. Może z powrotem na drugą stronę Icekame. A może odleciał jak ptak albo rył tunele w ziemi, szukając korzeni następnego drzewa. Kto mógł wiedzieć, co taka magiczna istota robi?

ZŁODZIEJ SKLEPOWY

Podczas wszystkich swoich poprzednich wypraw poza osadę Danny bardzo się starał, żeby nikt go nie zauważył. Lubił obserwować suszłaków i cieszył się, że na jakiś czas znalazł się poza miejscem, w którym, jak mu nieustannie przypominano, był czarną owcą.

Teraz jednak samo podglądanie suszłaków nie wystarczy. Musiał się do nich upodobnić. W Wal-Marcie było wszystko, czego potrzebował, żeby uchodzić za normalnego. Tylko że płaciło się za to pieniędzmi, a on ich nie miał. Nigdy nawet nie trzymał pieniędzy w ręku. Czytał o nich w książkach i w internecie; nauczył się nawet wszystkich nominałów i wiedział, jak wyglądają. Wiedza jednak pieniędzy mu nie da.

Wkrótce będzie potrzebował pieniędzy nawet na jedzenie i picie. Jednak nie dostanie u nikogo pracy, dopóki będzie nosił ręcznie szyte łąchy, które, co tu kryć, nie za dobrze na nim leżą i są poszarpane i brudne. No i nawet gdyby prawo pozwalało zatrudnić trzynastolatka, nie miał żadnego wyuczonego zawodu.

Pierwszy problem napotkał przy wejściu do sklepu, gdzie stary człowiek witał klientów. Wskazał stopy Danny'ego i rzekł:

- Buty.
- Nie mam – powiedział Danny.
- Bez koszuli i bez butów nie ma wstępu.
- Przecież mam koszulę.
- Bez koszuli albo bez butów nie ma wstępu.

Danny już miał zawrócić i wyjść, kiedy zobaczył matkę niosącą małą dziewczynkę, która na nogach miała klapki.

- A klapki mogą być?
- Klapki liczą się jako buty. Tylko że ty nie masz kłapek.
- Bo młodszy brat mi je ukradł. Widział go pan, kiedy wchodził, prawda? Biegł z moimi klapkami w rękach. Co, mam czekać na zimnie, bo brat zabrał mi klapki?

- Nikogo takiego nie widziałem – powiedział stary człowiek.
- No co pan – rzucił Danny. – Nie jest pan aż tak stary.

Mężczyzna się nasrożył, ale wtedy Danny uśmiechnął się szeroko.

– Proszę, niech mi pan pozwoli znaleźć brata, wtedy ja będę miał klapki, a on natarte uszy i wszyscy będą zadowoleni.

– Oprócz twojego brata – rzekł stary mężczyzna, teraz już lekko rozbawiony.

– Oj tam, powie, że skoro zabrał mi klapki i o mało nie wyleciałem przez niego ze sklepu, to się opłaciło.

– Ale zalewasz – powiedział starzec. – Tylko nie mów nikomu, że wszedłeś tymi drzwiami.

Danny wiedział, że musi szybko wziąć to, czego mu potrzeba, i się ulotnić. Nie oparł się jednak pokusie, żeby trochę pochodzić po Wal-Marcie i się porozglądać. Cały sklep był bożonarodzeniową krainą czarów. Wszędzie jemioly, twarze Świętego Mikołaja albo elfy; wszystko było czerwono-zielone – lampki choinkowe, sztucznie wyglądające plastikowe choinki, wypchane podarkami skarpety. Najwyraźniej Boże Narodzenie było dla suszłaków jeszcze ważniejsze, niż to mówiono w telewizji i w internecie.

Nawet pomijając wszystkie świąteczne dekoracje, Danny był oczarowany. Tyle rzeczy! Jedzenie, które wyglądało na niejadalne, ale i dużo takiego, na którego widok ślinka ciekła. Napoje, których smaku nawet się nie domyślał. Etykiety, które nic mu nie mówiły. Narzędzia, których przeznaczenia nie potrafił odgadnąć.

Ale wiedział, co to klapki. Mieli je tu nawet zimą. Podeszedł, nie zatrzymując się, zabrał jedną parę ze stojaka, dał nura za róg i skręcił w następną alejkę. Wtedy już były rozczepione i miał je na nogach.

Teraz jednak łąził za nim jakiś facet. Ilekroć Danny przystawał, żeby na coś popatrzeć, nieznajomy był w pobliżu i udawał, że ogląda coś innego.

Danny znał wszystkich w rodzinie Northów, ale nie suszłackich szpiegów, z którymi współpracował Thor. Mimo to domyślał się, że informatorzy Thora byliby nieco bardziej subtelni. Pedofil? Danny czytał o nich, ale przypuszczał, że nie jest dla nich wystarczająco młody, a nawet gdyby był, facet by go zaczepił, próbował się zaprzyjaźnić.

To detektyw sklepowy! Danny po namyśle uzmysłowił sobie, że chyba faktycznie zachowuje się jak złodziej – ogląda różne towary na pozór bez celu.

Cóż, moim celem jest znaleźć ubrania, które będą na mnie pasować, a potem wynieść je ze sklepu bez wydawania pieniędzy. To znaczy, że wzięłeś na oko właściwego małolata.

Danny przestał oglądać asortyment i zaczął baczniej przypatrywać

się ludziom. Jak zachowują się normalni kupujący?

Pierwsza sprawa – nie byli trzynastolatkami. Danny uświadomił sobie, że dzieci, które chodzą same po sklepie, muszą wyglądać podejrzanie w oczach personelu. Poważni klienci mieli więcej niż trzynaście lat – każdy, kto był za młody, żeby zrobić prawo jazdy, musiał przyjechać na zakupy z rodzicem, kimś dorosłym albo starszym rodzeństwem. Ponieważ przy Dannym takiej osoby nie było – ani teraz, ani w chwili, kiedy wszedł do sklepu – musieli założyć, że nie ma pieniędzy. Szczególnie że był ubrany tak, a nie inaczej. Równie dobrze mógłby powiesić sobie na szyi tabliczkę „Złodziej”.

Po drugie, większość normalnych klientów miała wózki lub koszyki. Skoro chowasz towary do koszyka, to znak, że nic nie ukradniesz, prawda? Będziesz chodził z nim po sklepie i brał następne rzeczy, a potem podejdziesz do kasy przy wyjściu i zapłacisz. Kto ma koszyk, nie upycha ukradkiem rzeczy po kieszeniach.

Dlatego Danny wrócił do wejścia po wózek. Nie do tego wejścia, przy którym stał stary człowiek, któremu skłamał, że ma brata. Jeszcze kazałby mu tego brata pokazać i co wtedy?

Kłopot w tym, że detektyw szedł krok w krok za nim i zatrzymał go we wnęce, w której czekały wózki.

- Chodź ze mną.
- Dlaczego? – spytał Danny.
- Chodź ze mną, bez gadania.

Danny podniósł głos.

- Nigdzie nie chodzę z obcymi.

Starsza pani dyżurująca przy wejściu podeszła do nich. Detektyw machnął jakąś legitymacją i kobieta się uspokoiła, ale Danny powiedział:

– Nie obchodzi mnie, co pani pokazał, nigdzie z tym panem nie pójde.

Detektyw westchnął teatralnie.

- Wywróc kieszenie.

Danny wywrócił je. Były puste.

- Podciągnij koszulę.

– Co, lubisz oglądać nagich małych chłopców? – spytał Danny.

– Nie jesteś taki mały, to raz, a dwa, chcę zobaczyć, czego tam sobie napchałeś.

Danny ściągnął koszulę przez głowę, zsuł klapki i opuścił spodnie do kostek. Jednym z nielicznych ustępstw rodziny Northów na rzecz nowoczesności było to, że kupowali bieliznę w suszłackich sklepach, więc

miał na sobie białe slipy.

– Dobry Boże! – powiedziała starsza pani. – Nie posuwa się pan za daleko? Przecież niczego nie ukradł.

– Ale ukradnie, nawet jeśli tego jeszcze nie zrobił – stwierdził detektyw.

Dlaczego nie sprawdzisz kłapek? – pomyślał Danny. Na głos powiedział:

– Niczego nie ukradnę – rzekł – tylko wybiorę sobie ubrania i włożę je do koszyka. Jak przyjdzie moja mama, to za nie zapłaci. I już nie mogę się doczekać, żeby powiedzieć jej o facecie, który koniecznie musiał obejrzeć mnie w samych majtkach.

– Nie kazałem ci zdjąć spodni.

– Właśnie że tak.

– Wcale nie.

Danny spojrzał na starszą panią.

– Sama pani słyszała.

– Nie pamiętam... – powiedziała zmieszana.

– Oj, co z pani za świadek?

– Robi panią w balona – rzekł detektyw do starszej pani.

– Mogę już wziąć wózek? – spytał Danny.

– Możesz wyjść ze sklepu. Jak przyjdzie twoja matka, o ile przyjdzie, będziesz mógł z nią wejść z powrotem.

– Jak pan chce. – Danny ze spodniami i koszulą w rękach wyszedł z wnęki.

– Włóż na siebie spodnie, do cholery! – rzucił detektyw ostro.

Danny był już w hali sklepu i ludzie gapili się na niego, kiedy paradował w samych majtkach.

– Najpierw każesz mi się rozebrać, a potem wyrzucasz mnie ze sklepu – powiedział głośno. – Widać Wal-Mart nienawidzi biednych. Zaraz przyjdzie moja mama, ma trochę pieniędzy i myśleliśmy, że kupi mi ubrania na święta w Wal-Marcie, bo tutaj jest tanio, ale nie, jestem za biedny, oskarżacie mnie o to, że kradnę, każecie mi się rozebrać, a potem wyrzucacie mnie na ziab! Mama ma mi kupić kurtkę, ale wy każecie mi czekać na nią na dworze, bez kurtki ani w ogóle bez niczego!

To było nie lada przemówienie. Detektyw stał całkowicie bezradny. Starsza pani przy wejściu posłała Danny'emu krzywy półuśmiech i, o dziwo, mrugnęła do niego. A nowo przybyli klienci patrzyli na detektywa niezbyt przychylnym wzrokiem.

Danny'emu przemknęło przez myśl, żeby zwrócić się bezpośrednio

do gapiów i powiedzieć im, jak wielkie mają szczęście, że nikt ich nie wyrzuca z Wal-Marta na ziąb, ale stwierdził, że to już byłaby przesada. Zamiast tego ruszył do drzwi, niezdarnie wciągając spodnie w marszu.

– Już wychodzę, już wychodzę. – Po czym naumyślnie potknął się o spodnie i runął na podłogę.

To przeważało szalę. Ludzie natychmiast pomogli mu wstać, podnieśli koszulę, którą upuścił, i stanęli między nim a detektywem.

– Co pan robi temu chłopcu? – spytała napastliwie jakaś kobieta.

– To złodziej – powiedział detektyw.

– Niczego nie ukradł – zauważyła starsza pani przy wejściu ze wzruszeniem ramion. – Sam pan to udowodnił.

– Poszedłem tylko po wózek – zapewnił Danny.

– Możesz robić zakupy z nami – rzekł jakiś mężczyzna. – Poręczymy za ciebie.

– Jeśli go wyrzucicie – dodała napastliwa kobieta – wyrzucicie nas wszystkich.

Detektyw machnął ręką z rezygnacją i odszedł. Danny wiedział jednak, że nie dał za wygraną. To był taktyczny odwrót – Danny robił to samo, kiedy był mały i bawił się z kuzynami w wojnę. Udajesz, że uciekasz, po czym zastawiasz pułapkę na tych, którzy cię gonią.

– Dzięki – powiedział do swoich wybawców, ale ze spuszczoneym wzrokiem, jakby wstyd mu było, że w ogóle potrzebował pomocy. Ileż to razy stosował ten trik, żeby odwrócić od siebie uwagę? A ci nieznajomi nabierali się na to jeszcze łatwiej niż ciotki i wujowie. – Chcę tylko wózek.

– Trzymaj się nas – powiedział mężczyzna. Miał ze sobą trójkę dzieci.

Danny zapamiętał jego twarz, na wypadek gdyby później musiał polecieć do niego po pomoc. Na razie jednak nie chciał, żeby ktokolwiek patrzył mu na ręce.

– Dzięki, ale niedługo przyjdzie mama i mam wybrać sobie jak najładniejsze ubrania. Dziś dostała od taty czek na święta i właśnie poszła go spieniężyć.

To była dobra historyjka, Danny to wiedział. Samotna matka wychowująca dziecko – niezbyt umiejętnie, sądząc z tego, że w zimie chodził boso i bez kurtki. A tata to skąpiradło, bo wysłał czek na święta dopiero w przeddzień Bożego Narodzenia. Co jednocześnie znaczyło, że ten życzliwy mężczyzna za nic w świecie nie będzie chciał być w pobliżu Danny'ego, kiedy przyjdzie jego rzekoma mama – nie planował

powiększać kręgu swoich znajomych o samotne kobiety w potrzebie, nawet w Boże Narodzenie.

Jestem w tym całkiem niezły, pomyślał Danny. W zwodzeniu ludzi poprzez opowiadanie im historyjek zgodnych z ich sposobem postrzegania świata – nie mają powodu wątpić w twoje słowa, więc nie wątpią. A nigdy po nim nie było widać, że kłamie. Opanował tę umiejętność do perfekcji przez lata płatania kuzynom psikusów, które przeważnie uchodziły mu na sucho.

I teraz, kiedy o tym pomyślał, to rozumiało się samo przez się, że jest dobry w sztuczkach, psikusach i kłamstwach – bądź co bądź był magiem wrót, nie? Pierwszym Lokim od czasu tamtego Lokiego, który zrobił największy kawał w dziejach, jakim było zamknięcie wszystkich wrót. A zwodniczość była częścią daru do stwarzania wrót – dlatego Hermes, Merkury, Loki i magowie wrót z innych rodzin mieli najwięcej do czynienia z suszlakami. I dlatego znano ich pod tyloma różnymi imionami – Eros i Kupidyn potrafili dostać się do każdej sypialni. Bóg Miłości, też coś! Jakby coś takiego w ogóle istniało!

Choć Danny poczuł się trochę dumny z siebie, pilnował, by jego twarz nie wyrażała nic oprócz tego, że jest biednym chłopcem, którego spotkało przykre doświadczenie. Poszedł po wózek. Ktoś wyciągnął pierwszy z brzegu i mu przysunął.

– Dzięki – powiedział Danny ze spuszczonymi oczami.

Kiedy przechodził obok starszej pani dyżurującej przy wejściu, mocno złapała go za ramię. Była niewiele wyższa od niego. Uśmiechała się.

– Większego cwaniaka w życiu nie widziałam – szepnęła mu prosto w twarz. – Tylko nie bierz za dużo; nikt nie powinien przez ciebie stracić pracy w Boże Narodzenie. – I puściła do niego oko.

Danny bez słowa pchnął wózek naprzód. Był już jednak dużo mniej zadowolony z siebie. Ta starsza pani przejrzała jego kłamstwa. Nie był tak sprytnym i utalentowanym oszustem, za jakiego się miał.

A mimo to wstawiła się za nim u detektywa, dopilnowała, by wszyscy usłyszeli jej świadectwo, że nie został złapany na kradzieży. I puściła go wolno, ostrzegając jedynie, by nie nakradł za dużo – nie żeby nie kradł w ogóle. Najwyraźniej Wal-Mart mógł zatrudnić ją jako żywy symbol ich troski o starszych ludzi, ale nie kupić jej lojalność.

Suszlacy byli bardziej skomplikowani, niż się komukolwiek z rodziny wydawało. Northowie zawsze mierzyli ich jedną miarą, jakby wszyscy suszlacy myśleli tak samo. Ta kobieta jednak była dość bystra,

żeby przejrzeć go na wylot, a przy tym dość wyrozumiała, by pozwolić mu na drobną kradzież. I ścisnęła jego ramię prawie tak mocno jak stryjeczny dziadek Zog, a on przecież był związany sercem z orłami!

Niebezpieczeństwo czyha wszędzie, ale w najmniej spodziewanych sytuacjach można znaleźć sprzymierzeńców. Czasem nawet ludzie, którzy wiedzą, że kłamiesz, pomogą ci i obdarzą cię odrobiną zaufania. Ileż nowego nauczył się w pierwszej godzinie wolności!

Popychając wózek, wrócił do działu z ubraniami dla chłopców. Tam szybko się przekonał, że jest zupełnie niewymiarowy. Za wysoki na większość ciuchów dla chłopców, za niski i chudy na większość tych dla mężczyzn. Znów zdjął koszulę i spodnie, nie bacząc na to, kto patrzy, i przymierzał ubrania na widoku – uznał, że kusiłby los, prosząc o zgodę na skorzystanie z przymierzalni. Detektyw wciąż obserwował go z daleka. Proszę bardzo, niech widzi, jak skrupulatnie odwieszam rzeczy, które nie pasują, a resztę wkładam do wózka, żeby mama zdecydowała, co z tego kupić...

Doszło do tego, że Danny był rozczarowany, kiedy przypomniał sobie, że ona nie istnieje i nikt za te rzeczy nie zapłaci.

Najtrudniej było dobrać buty, bo żeby sprawdzić, czy pasują, musiał przymierzyć je w skarpetkach, a tych nie mógł kupić. W końcu wziął dwie pary skarpetek, obie spięte u góry, włożył po jednej skarpetce z każdej pary, naciągnął buty i zawiązał sznurówki, i chwilę chodził w tę i w tę z drugimi skarpetkami od pary dyndającymi u kostek. Potem zdjął buty i skarpetki, wrzucił je do wózka i z powrotem wzuł klapki. I poszedł dalej kompletować swoją suszłacką garderobę.

Nie mogę być pazerny, powiedział sobie. Detektyw nie uwierzy w moją bajeczkę, jeśli wyładuję wózek po brzegi – albo włożę do niego zabawki. Zestaw trzech T-shirtów, komplet trzech par białych slipów, cztery pary skarpet, jedna para butów, dzinsy i bardziej eleganckie spodnie, może do kościoła, dwie koszule, mały plecak i porządna kurtka zimowa. Wszystko, co, jak Danny sobie wyobrażał, matka kupiłaby synowi, gdyby czek na święta musiał pójść tylko na ubrania.

A potem, żeby postawić kropkę nad i, poszedł do działu z kartkami świątecznymi i zaczął przeglądać te na półce oznaczonej „Dla Mamy”. Co pewien czas zerkał w stronę wejścia, jakby wypatrywał matki.

Pora ruszać.

Spojrzał na drzwi i raptem rozpromienił się, wyprostował, pomachał ręką. Pchnął wózek i zerwał się do biegu, slalomem między ludźmi zmierzającymi do kas. Nagle odbił w lewo – jakby jego matka skręciła

między regały – i pognał w głąb pierwszej lepszej alejki. Niech pan detektyw ma trochę ruchu, pomyślał. Na końcu alejki dał nura w jeden z centralnych korytarzy, od którego odchodziły kolejne wąskie alejki. Jak tylko wypatrzył taką, w której nie było żywej duszy – z artykułami biurowymi – zawołał: „Mamo!”, skręcił i popędził w jej głąb...

I znalazł się w zaroślach za sklepem, z wózkiem i całą jego zawartością.

Ależ mu ulżyło, kiedy zobaczył, że zdołał przenieść ze sobą cały wózek. W alejce prawie się zatrzymał, żeby wziąć wszystkie zakupy w ręce, ale postanowił chwycić mocno wózek i sprawdzić, czy przejdzie przez wrota. I udało się.

Ściągnął stare ubrania i wyrzucił razem z niepotrzebnymi już kłapkami. Włożył dzinsy, T-shirt i koszulę. Na to wszystko naciągnął kurtkę, a resztę ukradzionych ubrań wcisnął do plecaka.

Od razu zrobiło mu się cieplej. A buty Nike były na tyle wygodne, że mu nie przeszkadzały – i przyjemnie było czuć kamienie i patyki na ziemi tylko jako nierówności pod podszewkami. Tak dobrze mu się nie chodziło nawet w „najbardziej eleganckich” butach, które w rodzinie przechodziły z dziecka na dziecko. Nigdy jeszcze nie nosił nowych butów.

Spojrzał na teraz już pusty wózek i uznał, że jakoś nie w porządku byłoby zostawić go w krzakach. Narzucił więc plecak na ramię, po czym przepchnął wózek przez zarośla na wylany asfaltem plac na tyłach Wal-Marta, gdzie właśnie rozładowywano kilka ciężarówek. Tu wózek zostawił i ruszył na południe, w stronę krótkiego szeregu sklepów oddzielonego od Wal-Marta częścią parkingu. Przez chwilę korciło go, żeby przejść przed nimi jak zwyczajny człowiek, ale ostatecznie postanowił ominąć je od tyłu.

I ta decyzja ukształtowała następne kilka lat jego życia.

Za jednym ze sklepów dwaj chłopcy siedzieli na schodkach i palili papierosy. Mieli osiemnaście lat albo coś koło tego, oszacował Danny. Jeden ubrany był w strój roboczy, drugi, bardziej niechlujny, miał smętnie wyglądającą kurtkę, a obok niego leżał zmaltretowany plecak.

– Młody, jesteś chyba najgłupszym złodziejem na świecie – powiedział ten niechlujny.

Danny się zatrzymał.

– Złodziejem?

– Chodź no. Spójrz na niego, Tony. Zobacz! Nawet nie zerwał metek sklepowych.

– Zerwałem! – zaprotestował Danny.

– Może niektóre, ale co ci tu wystaje z kołnierza? To od koszuli czy od kurtki? – Niechlujny chłopak, który nie był Tonym, wstał i Danny poczuł, że oderwał coś z tyłu jego kurtki. Po chwili dostał do ręki metkę wielkości broszury, sławiącą zalety jakiegoś materiału i nazwisko projektanta, o którym w życiu nie słyszał.

– Dzięki.

– Głupi jak mój but z lewej nogi – stwierdził Tony.

– Nie, nie jest głupi – powiedział chłopak, który dopiero co nazwał go najgłupszym złodziejem na świecie. – Po prostu mało spostrzegawczy. Mam rację, młody? Jesteś mało spostrzegawczy?

– Na to wychodzi – zgodził się Danny.

– Zdejmij kurtkę, zobaczę, czy coś jeszcze ci tam dynda. I niech zgadnę, co masz w plecaku: następne rzeczy z metkami, zgadza się? Żeby ktoś, kto cię zatrzyma, nie musiał nawet pytać, czy je ukradłeś?

Danny zdjął kurtkę i chłopak oderwał coś od siedzenia jego spodni.

– Jak on mógł to przeoczyć, Eric? Powiesz mi, że jest ślepy?

Danny już otworzył plecak i zrywał metki i zabezpieczenia z innych ubrań.

– Co z nimi zrobić? – spytał, kiedy zebrał całą ich garść.

– Wyrzuć do śmieci – powiedział Tony. – Albo w krzaki. Tylko nie tutaj. Kierownik potem kazałby mi to sprzątać.

Eric podparł się pod boki i zmierzył Danny'ego wzrokiem.

– Ciekaw jestem, co miałeś na sobie przedtem.

– Inne ubrania.

– Ale nic, co chciałeś zatrzymać.

– Stare, syfiaste, brudne, używane łachy, skoro tak ci zależy na precyzji.

– Och, słuchaj go, Eric – rzekł Tony. – Prawdziwy intelektualista.

Pre-cy-zji.

Danny patrzył na Erica.

– A ty powiedziałeś „mało spostrzegawczy”.

– Bo skończyłem szkołę średnią. Na studia się nie nadaję, szkolny psycholog jasno dał mi to do zrozumienia. Ale chodziłem do budy dość długo, żeby ją skończyć. Zaraz następnego dnia ruszyłem w świat.

To się Danny'emu spodobało.

– Też chcę to zrobić.

– Tak, widzę – powiedział Eric. – W nowiułkach ubraniach, które mówią: „Chodźcie, obrabujcie mnie i jeszcze pobijcie”.

– To właśnie zamierzacie mi zrobić? – spytał Danny. Zastanawiał się,

czy nie pora zniknąć.

– Ile masz lat, dwanaście? – spytał Eric.

– Czternaście.

– Czyli trzynaście, zgadza się?

Danny skinął głową.

– Widzisz, to jest tak, młody. Na gigancie nie ma lekko. Z czego będziesz żył? Ja mam osiemnaście lat. Gdybym chciał, mógłbym znaleźć sobie robotę. Albo wstąpić do wojska. A co zrobisz ty? Poszukasz jakiegoś miłego pana, który weźmie cię pod swój dach w zamian za pewne drobne...?

– Nikogo takiego nie szukam. – Danny przypomniał sobie, o co oskarżył detektywa z Wal-Marta, i zemdliło go na myśl, że gdyby był sam, mógłby natknąć się na kogoś, kto taki był naprawdę. Nie żeby nie mógł bez większego trudu uciec. Ale co by było, gdyby został naszpikowany prochami? Albo ogłuszony? We śnie nie mógłby zrobić wrót i uciec.

– Tak, ale oni szukają takich jak ty, a dzieciak w twoim wieku... i to całkiem ładny... w nowych ubraniach, wyglądający, jakby nie miał piątej klepki i niczego się nie bał... powiedz mu, Tony.

– Jeśli tylko będzie się trzymał z dala od mojego ojczyma, nic mu nie grozi – mruknął Tony.

– Twój ojczym nie jest jedynym palantem na planecie Ziemi – zauważył Eric.

– Wiem – przytaknął Danny. – Tam, gdzie mieszkam, jest ich wielu. Eric klepnął go w ramię.

– A widzisz, Tony? Światowy człowiek!

– Wcale nie – powiedział Danny. – Nigdy nie byłem poza... domem. Farmą. – Prawie powiedział „osadą”, ale uznał, że mogliby to źle zrozumieć. Jakby należał do jakiejś grupy religijnej. Chociaż... rodzina składała się z bogów, a przynajmniej od nich się wywodziła, więc była poniekąd grupą religijną, czyż nie?

– Chłopak ze wsi! – krzyknął Eric. – Oj dana, dana!

– Nikt z mojej rodziny nigdy nie mówił „oj dana, dana” – rzekł Danny. Choć Lema i Stema byłoby na to stać, gdyby przyszło im to do głowy.

– Tak sobie myślę, młody... masz jakieś imię?

– Danny – powiedział Danny, bo nie miał konkretnego powodu kłamać.

– Mówię ci, Danny, świat jest okrutny, a ty, kurczę, jesteś za młody, żeby podróżować sam. Potrzebujesz kogoś, kto by się tobą opiekował.

- Eric chce przez to powiedzieć, że możesz mu się przydać
- wyjaśnił Tony.
 - Aleś ty bystry – przyznał Eric. – On mógłby robić za biedną sierotkę, a ja prosiłbym ludzi: „Nie mam czym nakarmić braciszka, pani da parę dolarów, co?”. Założę się, że nieźle by nam poszło.
 - Nie, jest za porządnie ubrany – zauważył Tony.
 - Cóż, tak czy tak będzie się musiał pobrudzić. Daleko w takich nowych ciuchach nie zajdzie.
 - Nie będą długo wyglądać jak nowe – stwierdził Danny. – I nie zamierzam ich brudzić. Gdybym chciał wyglądać jak brudas, zatrzymałbym ubrania, w których tu przyszedłem.
 - Jest szansa, żebyś je odzyskał? – spytał Eric. – Nie po to, żebyś włożył je teraz ani nic takiego, ale żebyś potem mógł w nich żeбраć.
 - Żartujesz? Nie chcę żeбраć.
 - Co, czeka na ciebie kierownicze stanowisko w wielkiej spółce w Filadelfii? A może w Atlancie?
 - Nie.
 - Za mikry jesteś, żeby nadawać się do kopania rowów. Boksujesz w wadze piórkowej? Uprawiasz wrestling w parach? A może jesteś mechanikiem zespołu NASCAR? Na gigancie musisz żeбраć, żeby przeżyć, Danny. Co, za dobry jesteś, żeby żeбраć? To wracaj do domu, do mamusi i tatusia.
 - Po prostu nigdy tego nie robiłem.
 - Idź po te ubrania. Są daleko?
 - W krzakach.
 - To idź po nie – powiedział Eric. – Zaczekam tu na ciebie. Możesz zatrzymać wszystko, co ukradłeś, dobrze ci poszło, musisz mieć nielicznego fuksa, skoro udało ci się tyle tego wynieść przy pierwszej próbie.
 - Skąd wiesz, że to była moja pierwsza próba?
- Tony parsknął drwiącym śmiechem.
 - Metki, zabezpieczenia!
 - Czyli miałem szczęście – rzekł Danny. – Jestem dobry w uciekaniu.
 - Przydatna umiejętność – stwierdził Eric. – Ale to moje rodzinne miasto. Więcej nie kradnij w moim rodzinnym mieście, jasne?
 - Jasne.
 - Wciąż mam tu wielu przyjaciół, na przykład Tony’ego. Planujesz coś ukraść z jego sklepu?
 - Nie.

– To dobrze, bo wtedy musielibyśmy spuścić ci manto.
– Skoro to twoje rodzinne miasto, co możesz wiedzieć o życiu na gigancie? – spytał Danny.

– Jestem na gigancie od czerwca. Wróciłem na Boże Narodzenie. Przywitać się z mamą i powiedzieć ojcu, żeby żarł gównem i zdechł.

– Już zdążyłeś? – spytał Tony. – Bo nie widzę żadnych siniaków.

– Zostawiłem mu wiadomość – odparł Eric. – A poza tym nie jest taki silny jak twój ojczym. Teraz by mnie palcem nie tknął. Jestem od niego wyższy.

Czyli żaden z tych chłopaków nie czuł się bezpiecznie w swojej rodzinie. Danny ciekaw był, jak by się czuli, gdyby ich rodziny miały Hammernip Hill.

– Idź po ubrania – powiedział Eric. – Ja tu zaczekam, a potem zabierzemy się okazją na północ. Tutaj za duża bieda, żeby żebrać. Za to w Waszyngtonie jest pełno ludzi, którzy wysupłają kilka dolców dla chłopaka z młodszym bratem. Zobaczysz.

– Kto nas tam zabierze?

– Ktoś. To co, idziesz po te łachy, braciszku, czy mam ci tyłek skopać?

– Myślisz, że dasz radę? – odciął się Danny, wczuwając się w styl tej rozmowy.

– Wątpisz? Rusz tyłek, braciszku. Nie każ mi czekać dłużej niż do końca następnego papierosa.

Danny potruchtał za Wal-Marta, przebrał się we wcześniej wyrzuconą koszulę i spodnie, wcisnął nowe ubrania do plecaka i wrócił biegiem do Erica i Tony'ego.

– Kurczę, chłopak nie żartował – powiedział Tony.

– Na imię ma Danny – przypomniał Eric.

– Nie muszę tego pamiętać – zachnął się Tony. – Ja z wami nie idę. Jestem człowiekiem pracującym.

– Wielkie mi co – rzucił Eric. – Świetne łachy, Danny. Jesteś do tego stworzony.

– Daj spokój, burak jest i tyle, te szmaty nic innego nie znaczą.

– Ale nie mówi jak burak – stwierdził Eric. – Mówi, jakby przeczytał w życiu choć jedną książkę. Będzie dobrym kompanem. Ja nauczę go żebrać, a on pokaże mi, jak uciekać, żeby nie dać się złapać. Będziemy sobie dobrymi braćmi, nawet sami zaczniemy myśleć, że naprawdę razem dorastaliśmy.

Pół godziny później Eric i Danny byli już na platformie pikapa, który

jechał aż do Staunton. Danny stwierdził, że to był najszcześniejszy zbieg okoliczności w jego życiu, że obszedł te sklepy od tyłu, nie od przodu.

ZŁODZIEJ WRÓT

Prayard, król Iswegii, był Bratem Fali – magiem morza obdarzonym mocą kierowania morskimi prądami.

Nic w tym zaskakującego. Mieszkańcy Iswegii, którym brakowało żyznych ziem pod uprawy, żyjący na tak dalekiej północy, że okres wegetacyjny zdawał się trwać raptem kilka tygodni, dawno stwierdzili, że handel i rabunek są im nieodzowne dla przetrwania; a jako że ich kraj otaczały góry, tylko ocean dawał możliwość prowadzenia obu tych rodzajów działalności.

W takim kraju jak Iswegia magowie morza byli niezbędni, by móc odbywać dalekie rejsy nawet przy przeciwnych wiatrach. Statek z dobrym magiem uciszającym morze nigdy by nie zatonął podczas sztormu; flotę prowadzoną przez Brata Fali prądy morskie niosły prosto do celu. Z kolei Ojciec Pływów, najpotężniejszy z magów morza, mógł związać część swojego zewnętrznego ja z określonym prądem tak, by ten płynął we wskazanym mu kierunku przez dziesięciolecia i wieki, nawet po śmierci maga. Tak długo Iswegowie polegali na szczegółowych mapach wszystkich starych prądów morskich ukształtowanych przez Ojców Pływów w ciągu ostatnich dwu tysięcy lat i na pracy współczesnych Braci Fal, że dawno przestali wyposażać swoje wielkie statki handlowe i wojenne w żagle czy w ogóle jakikolwiek napęd.

W takim kraju było nieuniknione, że wielcy magowie morza posiadają władzę polityczną, a co za tym idzie, że magia morza stanie się najbardziej pożądaną mocą. Dlatego talentu do niej szukano u większości dzieci, a te, które przejawiały go choć w najmniejszym stopniu, poddawano szkoleniu, by osiągnęły szczyt swoich możliwości, jakkolwiek skromne miały się okazać.

Nie żeby inni magowie byli bezwartościowi; Brat Mułu mógł poprawić jakość gleby, Technienie Wichru – odeprzeć niszczącą plony nawałnicę, Przyjaciół Kamieni – wskazać górnikom obfite złoża poszukiwanej rudy, Przyjaciół Łąk zaś – zapewnić solidne, a niekiedy nawet nadzwyczajne plony. Lud Iswegii cenił każdego maga.

Jednak magia morza stała się czymś na kształt religii. Dziecko

o takich zdolnościach było dla rodziny przepustką do wyższych warstw społecznych; żadne bariery nie mogły stanąć na drodze kogoś, kto potrafił ukoić morze albo wzbudzić prąd morski zmierzający w pożądanym kierunku.

Królowie Iswegii prawie zawsze poślubiali córki magów morza albo kobiety, które same były biegłe w magii morza, ponieważ panowało przekonanie, poparte zresztą pewnymi dowodami, że predyspozycje do magii morza mogą być dziedziczne.

Wypada poczynić subtelne rozróżnienie: było rzeczą absolutnie wiadomą i po wielekroć udowodnioną, że jeśli oboje rodzice są potężnymi magami dowolnego rodzaju, to ich dziecko z dużym prawdopodobieństwem posiada wielką moc w magii, do której odkryje w sobie powołanie. Jednak w dużej części świata zwanego Westil lub Mitherkame uważano za równie pewne, że to, w jakiej dziedzinie magii dziecko się wybije, ma tylko przypadkowy związek z talentami jego rodziców.

W Iswegii jednak znaczenie magów morza było tak wielkie, że król mag morza, dążąc do tego, by magami morza byli także jego następcy, obcował tylko z kobietami, które dowiodły, że są maginiami morza. A życie króla Prayarda się zagmatwało. Albowiem jego ojciec, król Oviak, wszczął wojnę z jarlem Grayu i poniósłszy błyskawiczną klęskę, zmuszony był przystać na polityczne małżeństwo swojego syna z Bexoi, siostrą zwycięskiego młodego jarla. Bexoi nie miała w sobie krzty magii morza, tylko niewielki talent przyjaciółki zwierząt.

Przesadą byłoby powiedzieć, że Bexoi wystarczająco dobrze radziła sobie z ptakami, by nazywać siebie Dziewczyną Pióra – przylatywały, tylko kiedy były w zasięgu słuchu, a i to jedynie te małe i mało pożyteczne, nawet nie gęsi lub kaczki, zdatne do zjedzenia, czy jastrzębie bądź inne ptaki drapieżne, które można by przyuczyć do polowania.

Dla każdego w Iswegii – w Grayu też, nawiasem mówiąc – było oczywiste, że małżeństwo z Bexoi miało położyć kres dziedzicznej dynastii magów morza, której ukoronowaniem był Prayard, najpotężniejszy Brat Fali w najnowszej historii Iswegii. Dzieci Prayarda i Bexoi miały być obdarzone dużo mniejszym talentem, i to najprawdopodobniej nie do magii morza.

Prayard był człowiekiem wielkodusznym i dla dobra narodu przyjął Bexoi za żonę, choć w duchu rozpaczał nad swoim utraconym potomstwem. Ani przez chwilę się nie łudził, że dziecko jego i Bexoi będzie wystarczająco potężnym magiem morza, żeby objąć po nim tron.

Spodziewał się raczej, że prawo sukcesji przejdzie na inny znaczny ród isweski – ten, w którym w następnym pokoleniu urodzi się wybitny mag morza. Innymi słowy, nie wyobrażał sobie, by władcą Iswegii mógł zostać ktoś, kto nie byłby w stanie dowodzić flotą statków bezżaglowych; dlatego uznał wymuszone przez Gray małżeństwo za akt przeciwko jednej konkretnej dynastii.

Jednak na małżeństwie postanowienia traktatu się nie kończyły. Wraz z Bexoi do Iswegii przybyła świta „sługów” i „zarządców” z Grayu, których z miejsca uznano – jak się okazało, słusznie – za szpiegów i namiestników, a czasem jednych i drugich jednocześnie. Wkrótce też stało się oczywiste, że Gray nie przystanie na zmianę dynastii rządzącej. Celem jarla nie było odebranie władzy rodowi Prayarda, lecz osadzenie na tronie Iswegii półkrwi Graya i słabego maga, którym dałoby się tak pokierować, żeby zajął się czymś innym niż magią morza; innymi słowy, trwał ujarzmienie Iswegii.

Forteca Nassassa, w której mieszkał król Prayard, stała się więc areną nieustającej cichej wojny między Iswegami i Grayami. Prayard na pokaz traktował małżonkę z pełnym szacunkiem, a raz w miesiącu dzielił z nią łożę; brak potomstwa składano wyłącznie na karb bezpłodności Bexoi, nie braku starań Prayarda. Zasiadała u boku męża, uczestniczyła we wszystkich jego oficjalnych spotkaniach i dostawała hojną pensję, z której utrzymywała liczne grono sługów i zarządców, stale mieszających się do polityki i interesów Iswegii.

Jednocześnie wszyscy wiedzieli, że Prayard ma kochankę – nie, nałożnicę, Anonoei – która urodziła mu dwóch synów, Eluika i Enoppa; tak podobnych do Prayarda, że Iswegowie już widzieli w nich następców ojca.

Gdyby Anonoei była maginią morzą czy w ogóle potężną maginią dowolnego rodzaju, synów tych już dawno w jakiś niewykrywalny sposób zamordowałiby agenci Grayu w służbie królowej. Albo z ich powodu wybuchłaby wojna. Jednak było wiadomo, że Anonoei nie ma żadnych magicznych zdolności, nawet słabej magii zwierząt Bexoi. Nie stwarzała kłanów, nie praktykowała żadnej dyscypliny, nie służyła żadnej sile przyrody. Zdawała się żyć tylko po to, żeby dawać przyjemność królowi Prayardowi i z miłością wychowywać synów.

Dlatego można było uwierzyć królowi Prayardowi – przynajmniej w dużym stopniu – gdy oświadczył Grayom, że synowie jego i Anonoei, choć otwarcie ich uznał, nie odziedziczą po nim tronu, tylko będą jemu służyć wsparciem i pociechą na stare lata. A jednak Iswegowie – zarówno

prości, jak i szlachetnie urodzeni – nie tracili nadziei, że Eluik i Enopp przejdą jak większość isweskich dzieci szkolenie w podstawach magii morza, ujawnią wielki talent i okażą się godni tronu. Wtedy staną na czele floty, która pomści klęskę ich dziadka Oviaka i upokorzenia, jakich Prayard nieustannie doznawał ze strony Grayów.

Dlatego Grayowie w Nassassa stale czuwali nad tym, by Eluik i Enopp nie przeszli żadnego szkolenia w magii morza. Mało tego, nalegali, żeby chłopcy nigdy nawet nie wsiedli do łodzi ani nie zobaczyli fal rozbijających się o brzeg. Tymczasem Iswegowie równie czujnie wypatrywali każdej, choćby najmniejszej obiecującej oznaki, że wbrew wszelkim pozorom chłopcy to niezbędne szkolenie otrzymywali.

I do tego zamku, pełnego intryg, nieufności, niechęci i ledwo wstrzymywanej agresji, przybył nieznajomy. Był drobnym i smukłym mężczyzną albo wyrosniętym młokosem, jego twarz nie nosiła śladu zarostu, ale oczy miał głębokie mądrością wieku dojrzałego i tak długo nie wypowiedział ani jednego słowa w żadnym języku, że większość mieszkańców zamku Nassassa uznała go za niemowę.

Nie zdawali sobie sprawy, ile stuleci przeżył wewnątrz drzewa, ani jak coś takiego w ogóle jest możliwe; mogliby się tego dowiedzieć tylko od pewnej małej wieśniaczki z gór.

Dziwny milczący chłopak pojawił się pewnego lata w ogrodzie kuchennym, ubrany w chłopskie szaty, które źle na nim leżały, wynędzniały i głodny. Zapadała noc i Hull, nocna kucharka, unurzana po łokcie w mącznym pyłe, sprawdzała, czy czeladnicy dobrze wyrobili kawały ciasta. Każdy czeladnik stał przy długim stole, kiedy poddawała ocenie jego lub jej wyrób, i pocił się w równej mierze ze strachu, co z gorąca bijącego od pieców chlebowych nagrzewających się po drugiej stronie dziedzińca.

Młoda Jib, obiecująca dziewczyna od zup, weszła i stanęła wyczekująco. Hull zobaczyła ją od razu i wpadła w złość – jak można być tak głupim, żeby przeszkadzać jej w kontroli ciasta? Jib jednak postępowała dokładnie tak, jak ją nauczono postępować w sytuacji, kiedy miała pilną sprawę, ale nie chciała wytrącić Hull z koncentracji. Pomimo irytacji Hull nie mogła dziewczynie niczego zarzucić.

Skończyła sprawdzać wyrób kolejnego czeladnika, sypnęła na stół dwie garści mąki i rzuciła na nie ciasto z charakterystycznym mokrym plaśnięciem.

– Nadaliśmy ci już imię? – spytała.

– Nie, pani – powiedział nieborak, który ośmielił się dać jej ciasto

zbyt gąbczaste.

– To dobrze – stwierdziła Hull – bo jeśli myślałeś, że to ciasto jest gotowe do lepienia bochenków, w domostwie króla imienia nie będziesz miał nigdy.

Czeladnik zbladł i natychmiast zanurzył dłonie w cieście, zagniatając je z mąką, którą dodała Hull. Trzeba będzie dosypać jej jeszcze więcej, Hull zdawała sobie z tego sprawę, ale ciekawa była, czy chłopak ma dość oleju w głowie, by samemu to zauważyć. Tak naprawdę dobrze się zapowiadał – jego chleby były całkiem smakowite – ale nadmierne pochwały na tak wczesnym etapie nauki nie przynosiły żadnego pożytku.

– No więc? – Hull odwróciła się do Jib.

– Chłopak w ogrodzie – odparła Jib. – Albo mężczyzna. Po ciemku trudno poznać.

– I ten chłopak albo mężczyzna przysłał cię tu z ogrodu bez ziół, których kazałam ci nazbierać? Bez kolendry i rozmarynu? Nawet nimi nie pachniesz.

– Był w cienistym ogrodzie, kiedy poszłam po kmin. Ogród jest zamknięty od zewnątrz, w środku nic nie zostało zniszczone, a mimo to tam był.

– Co więc sądzisz? Papryka wydała dziwny nowy owoc? – Jednak Hull już splukiwała mąkę i ciasto z rąk. Zaraz pójdzie zobaczyć, co się dzieje.

Dziewczyna zrobiła ruch, jakby chciała ją tam zaprowadzić.

– Myślisz, Jib, że bez twojej pomocy nie trafię do cienistego ogrodu? Idź po rozmaryn i postaraj się nie znaleźć po drodze żadnych intruzów.

Jib chwilę się wahała, jakby chciała bronić się przed absurdalnym oskarżeniem, że odnajdowanie intruzów to coś, co od niej zależy. Biedaczka – jak wszyscy pozostali, nie miała krzty poczucia humoru. Czy raczej nie mogła sobie wyobrazić, że może je mieć Hull, przez co w krążących o niej legendach wszelkie żarty kucharki uchodziły za objawy szaleństwa. Cóż, potężna władza nocnej kucharki niesie ze sobą ciężkie brzemie samotności. To także ironiczny żart; ale ponieważ Hull nie powiedziała go na głos, za całą rozbawioną publiczność sama musiała wystarczyć.

Intruz i wszystkie zamki pozamykane. Nie dopuszczała do siebie nadziei, choć człowiek pojawiający się w zamkniętym pomieszczeniu był znakiem, którego od małego kazano jej wypatrywać. W tym przypadku to jeszcze niczego nie przesądzało – do cienistego ogrodu łatwo się było zakraść, wystarczyło w jednym rogu poluzować osłaniającą go jedwabną

siateczkę albo po prostu rozerwać ją paznokciem.

Jib zarygłowała furtkę – Hull uznała to za znak, że dziewczyna ma trochę rozsądku. Łatwo mogła sobie wyobrazić, że posługacz kuchenny zostawiłby ogród otwarty, tak że po przyjeździe nie zastałaby w nim nikogo, a jakiś skrytobójca już wtedy mógłby do woli buszować po zamku.

Hull otworzyła furtkę, weszła i zamknęła ją za sobą.

Chłopiec – mężczyzna – siedział na ziemi pośrodku ogrodu, między grządkami. Dach z jedwabnej siateczki tłumiał blask księżyca w pełni, ale intruz był wyraźnie widoczny. Objął rękami kolana i spojrzał na nią bez wyrazu, po czym spuścił wzrok na grządkę.

– Fascynuje cię kolendra? – spytała Hull. – A może liczysz na nocną schadzkę z grubą, starą kucharką?

Intruz nie podniósł na nią oczu.

Hull przeszła po obwodzie ogrodu, sprawdzając siateczkę w miejscach, gdzie była umocowana. Żadnych wgnieceń, żadnych szczelin. Tak napięta jak wtedy, gdy ostatnio kazała ją naciągnąć, przed dwoma tygodniami. Jedno, co miłujący morze lud Iswegii potrafił jak mało który, to mocno naprężyć płachtę materiału. Od czasu do czasu zerknęła na chłopaka przez ramię – nie ruszał się i nie okazywał najmniejszego zainteresowania tym, co robiła.

Stłumiła rosnące podniecenie. To nie było możliwe. Mimo że dziadek nauczył ją znaków, których miała wypatrywać, ojciec jeszcze bardziej surowo wytłumaczył jej, że magów wrót nie ma na tym świecie.

Ale pierwszym ze znaków było pojawienie się człowieka w zamkniętym miejscu bez żadnych śladów wskazujących, jak się tam dostał.

Niemożliwe. Magowie wrót istnieli, owszem – dziadek, ku swojemu rozżaleniu, był jednym z nich. Tylko wrota nie mogły się zachować.

Dlatego w tej chwili najważniejsze było nie to, czy intruz jest magiem wrót, lecz czy odnalazł go Złodziej Wrót. Może z tego powodu siedział tutaj, na środku cienistego ogrodu, i nie mógł wyjść, bo wrota, którymi się tutaj dostał, zniknęły, a on nie potrafił pojąć dlaczego.

– Wiem, kim jesteś – powiedziała Hull. Podeszła do niego z boku, żeby ją widział, ale nie czuł się przez nią zagrożony. Zbliżała się w niespiesznym tempie, nie tak wolno, jakby się skradała, i nie tak szybko, jakby chciała zaatakować. – Wiem, że wszedłeś tu przez wrota, których nie widzi nikt oprócz ciebie. Sam je zrobiłeś?

Nie dał po sobie poznać, czy ją słyszy.

– Czy twoje przejście nadal jest otwarte? Możesz wyjść tą samą

drogą, którą wszedłeś?

Odwrócił głowę i spojrzał nie w twarz Hull, lecz na jej kolana. Potem znów utkwiał wzrok w grządce. Wydawało się, że młode pędy bazylii intrygują go najbardziej.

– Nikomu nie powiem, kim jesteś – zapewniła Hull. – Nikomu. Czyż nie zachowywałam tajemnicy mojego ojca przez całe jego życie? Tobie jednak ją zdradzę, żebyśmy oboje wiedzieli o sobie coś, czego nie wie nikt inny. Mój dziadek był magiem wrót, a ojciec odziedziczył po nim ten dar. Dziadek mieszkał w Lesie Magów, schowany tam przed wszystkimi królami, wszystkimi wrogami i wszystkimi oczami. Jego wrota były krótkimi korytarzami w lesie. Inni magowie, kiedy w ogóle dziadka zauważali, okazywali mu wielki szacunek, jako że był najbardziej utalentowanym magiem wrót od wielu stuleci.

Intruz – chłopak, zwykły chłopak, nie mógł być dorosłym, tak gładką miał skórę – powoli skinął głową, choć Hull nie wiedziała, czy zrobił to w odpowiedzi na jej słowa, czy w reakcji na jakąś swoją nieodgadnioną myśl.

– Pewnego dnia dziadek postanowił stworzyć Wielkie Wrota. Takie, które robi się dwa razy, raz, żeby przejść w jedną, drugi, żeby w drugą stronę. Prowadzące z tego świata do zaginionego świata Mittlegardu.

Chłopak przestał kiwać głową.

– Tak, był aż tak ambitny. Chciał przywrócić magii jej dawną wielkość, bo magowie, którzy przechodzą z jednego świata do drugiego i z powrotem, wracają nie tylko uleczeni ze wszystkich fizycznych dolegliwości oprócz wieku, ale i po dziesięciokroć silniejsi. Po stokroć. Zebrał więc tuzin magów, którzy szanowali go najbardziej, i powiedział im, że małe ma szanse na osiągnięcie celu, ale co będzie, jeśli jednak stworzy Wielkie Wrota, a potem umrze? Albo stworzy je w połowie i nie zdoła wrócić? Potrzebny był świadek, ktoś, kto będzie wiedział, gdzie one są. Poza tym, gdyby powstały wrota, przez które sam mógłby przejść, może znaleźliby się chętni, by podążyć za nim. Mój dziadek był wielkoduszny i przezorny; był urodzonym przywódcą. Mój ojciec nazywał go głupcem, ale to było już potem, oczywiście.

Dziadkowi się nie udało, jak się zapewne domyśliłeś. Zaczął się kręcić, a potem wirować w kółko. Dlatego że wrota, które stwarzał, nie były tylko zwyczajnym przeskokiem z jednego miejsca na powierzchni świata w drugie. Wiercił pod sobą... a może nad sobą, nikt tego do końca nie wie... wielką dziurę we wszechświecie, tunel prowadzący w miejsce na innej planecie, która krąży wokół innej gwiazdy. To największa

tajemnica magów wrót i powód, dla którego ich magia jest najbardziej pożądana i znienawidzona ze wszystkich.

Tylko nie mów tego żadnemu Iswegowi; dla nich liczą się jedynie magowie morza. Tak są krótkowzroczni. A przecież gdyby mag morza przeszedł wrotami do Mittlegardu i z powrotem, potem mógłby zamykać statki w wielkich bąblach powietrza, żeby pływały pod wodą, gdzie nie zobaczyłby ich żaden wróg! Mógłby zmienić morze w twarde szkło, po którym można by chodzić, albo spuścić całą wodę z zatoki i wlać ją z powrotem! Takich mocy żaden mag morza nie miał od co najmniej tysiąca lat.

Ale kto dziś wierzy w te opowieści? Zbyt dużo czasu minęło. Mój dziadek opuścił Las Magów, kiedy odebrano mu jego zewnętrzne ja. Nie mówiłam ci? To właśnie robi Złodziej Wrót, kiedy mag wrót zdobędzie prawdziwie wielką moc. Wiesz, że Ojcowie Wrót i Bracia Ścieżek stwarzają wrota z części swoich zewnętrznych ja; zupełnie jakby robili klanta. Dlatego najpierw takiego maga poznaje się po tym, że nie potrafi robić klantów. Bo w każdym stworzonych przez siebie wrotach musi zostawić małą cząstkę samego siebie, a im większe wrota i im dłużej mają wytrzymać, tym więcej siebie w nie wkłada.

Jednak Złodziej Wrót znajduje i kradnie zewnętrzne ja magów. Tak, dobrze usłyszałeś. Zabiera i nie oddaje. Im więcej siebie wkładają w swoje wrota, tym większy jego łup. Mój dziadek włożył wszystko w Wielkie Wrota, które próbował stworzyć, i kiedy je stracił, nie zostało mu nic. Nie potrafił zrobić nawet najmniejszych wrót. Ojciec mnie przekonywał, że dziadek był głupcem, skoro naraził wszystko dla jednych jedynych wrót. Ja jednak wiedziałam, że dziadek zrobił to, co wielki człowiek zrobić musi; dał z siebie wszystko. Gdyby nie włożył w to całego serca, potem już zawsze by się zastanawiał: czy dopiąłby swego, gdyby zdobył się na coś więcej? Dziadek nic sobie nie zostawił, nie musiał więc snuć rozważań, co by było gdyby.

Widzisz, jego wrota działały. Tak mówił mi sam dziadek. „Czułem więź – powiedział. – I nagle się zerwała. Jakby dłoń w tłumie wyciągała ci pieniądze z kiesy. Ani się obejrzyysz, już ich nie ma”.

Hull wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła ramienia intruza.

– Poczułeś to samo? Czy Złodziej Wrót zabrał twoje zewnętrzne ja, kiedy wszedłeś do cieniściego ogrodu?

Spojrzał na nią i teraz już była tak blisko, że nawet w ciemności mogła zajrzeć mu w oczy. Wydawały się głębokie i stare. Jeśli spojrzał na Jib, Hull mogła zrozumieć, dlaczego dziewczyna nie była pewna wieku

intruza. Oczy starca, skóra nowo narodzonego dziecka. Przedziwny człowiek. I taki milczący. Czy to z rozpaczy? A może jest niemy?

– Umiesz mówić? – spytała Hull.

Ledwo zauważalne wzruszenie ramion.

– Co? Nie wiesz, czy umiesz mówić? Rozumiałeś mnie wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, o co pytam. A przynajmniej że o coś pytam. Rozumiesz mnie? Kiwnij głową o, tak, jeśli mnie rozumiesz.

Intruz popatrzył na nią nieruchomym wzrokiem, po czym lekko kiwnął głową.

– Słuchaj więc, co ci proponuję. Okłamię innych; zrobię małą szczelinę w dachu i powiem, że wśliznąłeś się tamtędy. Nikt się nie domyśli, kim jesteś. Nie jesteśmy bowiem w Lesie Magów i tutaj magowie wrót budzą wielki lęk i nienawiść, bo wiesz, co się mówi o tym pradawnym psotniku, Lokim z Northów z Mitherkame: że ukradł całą moc istniejącą pomiędzy światami i gdzieś ją ukrył. Przez to, co zrobił, jeśli dziś na kogoś padnie podejrzenie, że jest magiem wrót, ciemnota wygna go lub zabije, królowie zaś będą chcieli go pojmać i wykorzystać jako narzędzie w swoich planach. Dlatego musisz ukrywać prawdę o sobie. Pomogę ci.

Oczywiście, jeśli zechcesz tu zostać – ciągnęła. – Jestem kucharką; mam prawo zapewnić stawę każdemu, kto dla mnie pracuje, i w ogóle komu tylko zapragnę. Stawę i dach nad głową, bo możesz spać w kącie kuchni, razem z czeladnikami i pomywaczami. Niczego lepszego nie mogę ci zaproponować, bo musiałabym dostać na to zgodę Rudderera, zarządcy zamku, a on nie będzie miał cierpliwości do niemego chłopca. Ani mężczyzny. Ale ja będę cię nazywała chłopcem, bo na chłopca wyglądasz. Bylebyś nie patrzył ludziom w oczy. Dasz radę chodzić ze spuszczoną głową i nie pozwalać, by ktokolwiek spojrział ci w oczy? Przedemną nie musisz ich ukrywać, ale są dziwne. Wiesz, że masz dziwne oczy? Na ich widok niektórzy zapragną, żebyś zniknął, a są tacy, którzy mają moc do tego doprowadzić. Nie patrz im w oczy, rozumiesz?

Skinął głową.

– Możesz więc zostać tutaj, jak długo chcesz. Dla zachowania pozorów będziesz wykonywał dla mnie drobne prace. Możesz na przykład być chłopcem na posyłki. Albo zmywać naczynia. Jesteś gotów to robić? Wtedy będę miała wytłumaczenie, dlaczego cię karmię.

Chłopak znów skinął głową i kąciki jego ust drgnęły w lekkim uśmiechu.

– Ach, a zatem rozumiesz – powiedziała Hull, choć tak naprawdę nie

miała pojęcia, co ten jego lekki uśmiech oznaczał. – Musisz to rozumieć przez wzgląd na mojego dziadka... i mojego ojca też, bo w nim także tkwiły załączki wielkiej magii, ale tłumił je przez całe życie w obawie, że Złodziej Wrót i jemu zabierze zewnętrzne ja i zrobi z niego kalekę wśród magów, takiego jak dziadek. Kogoś jak człowiek bez nogi. Nie, jak człowiek bez rąk i nóg, bo co można robić bez zewnętrznego ja? – Ugryzła się w język. – Och, wybac mi, jeśli tak samo jest z tobą... nie odpowiedziałeś, kiedy o to pytałam. I nie musisz. Z uwagi na magię, którą miałeś... albo masz, udzielę ci schronienia, dopóki będzie ci potrzebne. Chcesz? Zostaniesz na warunkach, które przedstawiłam?

Chłopak znowu spojrzał jej w oczy – och, jakże czuła głębię tych oczu, to było gorsze, niż zajrzeć z północnego parapetu zamku w urwisko nad przystanią rzeczną, które, powiadali, miało tysiąc łokci wysokości... zapadała się w jego oczy.

Otworzył usta.

– Dziękuję ci – rzekł.

W jego słowach pobrzmiwał akcent – ten sam, którego używała ona, łączący gwara jej dziadka i ojca z językiem Iswegów. Tak nie mówił nikt inny i może w tych dwóch słowach usłyszała zbyt wiele. Miała jednak wrażenie, jakby odezwał się jej własnym głosem – choć o nieco niższym tonie, właściwym dla chłopca, którego głos jest w trakcie przemiany.

Nie mógł nabyć tego akcentu w sposób naturalny. Nauczył się go dopiero teraz i pierwsze słowa z jego ust naśladowały jej głos jak echo, choć nie miał okazji tego ćwiczyć. Druga cecha charakterystyczna maga wrót. Ma dar do języków i zna nawet takie, których się nie uczył; wystarczy, że je usłyszy, i jego zewnętrzne ja odnajduje je w ustach innych ludzi.

Jeśli odnalazł jej język, jej i nikogo innego, to znaczyło, że wciąż miał swoje zewnętrzne ja, a przynajmniej pewną jego część. A zatem wciąż był magiem.

Wstała i poszła w najciemniejszy kąt, ten najbliższy furtki, którego Jib nie mogła zobaczyć, jeśli nie weszła do cieniściego ogrodu. Tam zdjęła jedwabną siateczkę dachu z pierwszych trzech haczyków w jedną i drugą stronę od narożnika, po czym ponownie zaczepiła ją na haczyku w samym rogu. Później pokaże to Jib na dowód, że chłopak dostał się tamtędy do środka, a potem umocował materiał na jednym haczyku. Nie mogła zdobyć się na to, żeby rozerwać jedwab. Był tak idealnie utkany, że Hull korciło, by na koniec lata odpiąć siatkę i złożyć, żeby nadawała się do wykorzystania za rok.

Kiedy odwróciła się, żeby wrócić po chłopaka, zobaczyła z zaskoczeniem, że już wstał i bezszelestnie przeszedł pod furtkę. Patrzył na nią tymi niesamowitymi oczami.

– Taka to ze mnie kłamczucha – powiedziała, wskazując róg dachu.
– Ciebie jednak nie okłamałam.

Uśmiechnął się do niej. Potem spuścił wzrok i teraz wydawał się mały, chociaż był dokładnie tak wysoki jak przedtem – jej wzrostu, a była dość wysoka jak na kobietę.

Wyprowadziła go z cienistego ogrodu. Czekał ze spuszczonej pokornie oczami, aż Hull zarygluje furtkę, i cicho ruszył za nią, gdy poszła między kamiennymi stołami rzeźniczymi do drzwi kuchni. Tam się zatrzymała, kiedy poczuła jego dłoń na swoim ramieniu.

Mówił cicho, a mimo to wyraźnie słyszała każde słowo.

– Jesteś taka jak twój ojciec i dziadek?

Oto wielkie pytanie lat jej dzieciństwa. Pomimo lęku przed Złodziejem Wrót myślała, że naturalną kolejną rzeczą będzie maginią wrót jak ojciec i dziadek. A jeśli nie, to przynajmniej obdarzoną sporą mocą maginią innego rodzaju.

Ojciec jednak poślubił kobietę, która nie miała w sobie krzty magii, i Hull odziedziczyła ten brak w całości. Matka była kochana i cierpliwa, ale pozbawiona szczególnych talentów poza jednym: zdolnością do kochania dzieci całym sercem, dzięki czemu wyrosły na ludzi pewnych siebie i ufnych w świat.

– Jedyńm moim darem – powiedziała Hull – jest dar pamiętania o wszystkich dobrych uczynkach i ufania tym, którzy zaufania są godni.

Zaczekał jeszcze chwilę, wciąż lekko dotykając dłonią jej ramienia – dokładnie tak samo, uprzytomniła sobie, jak ona dotknęła jego ramienia w cienistym ogrodzie.

Choć nie padło ani jedno słowo, zrozumiała niewypowiedziane pytanie, bo była to druga część żartu, który mówiła tylko samej sobie.

– Tak, jestem też dotknięta klątwą pamiętania wszystkich zniewag i krzywd, i równie skwapliwego obdarzania zaufaniem tych, którzy na to nie zasługują.

Zaśmiała się z własnych słów, otworzyła drzwi i wpuściła go do kuchni.

Wszyscy czeladnicy pilnie pracowali, lecz wiedziała, że uratowało ich to, że przed wejściem przystanęła, bo wcześniej na pewno wyglądali przez wysokie okna kuchni – widziała ślady mąki w miejscach, gdzie wdrapali się na blaty. Była jednak w dobrym humorze – odprężona,

przepełniona nostalgią rozbudzoną wspomnieniami o ojcu i dziadku i żalem za tym, co utracili – i dlatego puściła im płazem to marnotrawstwo czasu i nieposłuszeństwo.

– Jib! – zawołała.

Dziewczyna wyszła z za stołu, przy którym rozrywała zioła na kawałki.

– Wszedł przez róg dachu, a potem zaczepił materiał z powrotem na jednym haczyku i dlatego nie zauważyłaś szczeliny.

Jib skinęła głową.

– Nie winię za to nikogo oprócz wiatru – powiedziała Hull.

Napięcie lekko zelżało.

– Nie winię też tego chłopca za to, że głód przywiódł go w miejsce, gdzie może znaleźć coś do jedzenia. Jest wędrowcem, nie z Iswegii, a przynajmniej nie z tych okolic. Mało mówi. Możliwe, że jest ograniczony umysłowo. Nie będę jednak tolerować żadnej niezyczliwości. Jest pod moją ochroną, będzie posługiwał w kuchni tak, jak tego sobie zażyczę, i nie jest winien posłuszeństwa nikomu innemu. Zrozumiano?

– Nie rozumiem... podlega nam czy my jemu? – odezwała się śmiało Jib. Ma tupet dziewczyna, pomyślała Hull.

– Nikomu nie podlega ani nikt nie podlega jemu. Jest mój dopóty, dopóki zechce tu zostać.

– Ma jakieś imię? – spytała Jib.

Hull spojrzała na ciasta czeladników na stole, wyglądające już lepiej, ale wciąż niegotowe do lepienia bochenków.

– Klucha – powiedziała. – Nazwiemy go Kluchą. Będzie spał razem z resztą chłopców na zapiecku. Nie najlepsze posłanie, ale i nie najgorsze.

– Te ostatnie słowa były skierowane w równej mierze do Kluchy, co do pozostałych. – A teraz przynieście nowemu chłopcu kawałek chleba i sera i schłodzoną wodę z cytryną. – Wskazała na Jib. – Ty to zrób, skoro go znalazłaś. A reszta niech mi powie, dlaczego wasze ciasta są tak niegodne miana chleba jak glina na ścianie z plecionki.

Podczas gdy chodziła wokół stołu, sprawdzając kawały ciasta i wytykając wszelkie niedoskonałości, zobaczyła, że Jib szybko przyniosła chłopcu jedzenie i picie, i że Klucha ma potulnie spuszczone oczy. Dobrze, pomyślała. Nikt spoza kuchni nawet go nie zauważy.

FISTALK

Nietrudno było zdobyć dość pieniędzy, jedzenia i darmowych podwózek, żeby dostać się do Waszyngtonu – a to dzięki Ericowi. Wiedział, czego potrzebowali i kiedy. Wiedział też, do kogo się zwracać.

– Ta wygląda na miłą – mówił. Albo: – Ten będzie chciał zaszpanować przed swoją laską. – Albo: – Zobacz, ma dużo miejsca i jedzie daleko na północ, może nas podrzucić.

Wtedy zadaniem Danny’ego było podejść w swoich obszarpanych łachach do wskazanej osoby i poprosić o kilka dolarów.

– Muszę wrócić do Marylandu, do rodziny – mówił – ale tata za nic nie przyśle mi pieniędzy.

Albo, jeśli Danny i Eric zaczepiali kogoś razem, bo chcieli podwózki, nie pieniędzy, Eric mówił:

– Na postoju zostawiłem kluczyki w stacyjce i jak wróciliśmy, samochodu nie było. A muszę jakoś zawieźć braciszka do domu w Marylandzie. Nasi rodzice nie mają drugiego auta.

I ludzie przeważnie dawali im pieniądze albo proponowali, że ich podwiozą.

Kiedy zostawali sami, Eric był wręcz wniebowzięty.

– Dlaczego wcześniej nie skołowałem sobie takiego dzieciaka jak ty? Dała nam dwie dychy, a nie jednego dolara!

Efekt był taki, że pod koniec drugiego dnia podróży znaleźli się na National Mall w Waszyngtonie i Danny się uparł, że mimo zimna musi przejść całą długość ulicy.

– Zebranie to poważna robota, stary – powiedział Eric. – Musisz się jej trzymać, inaczej nie będziesz miał z czego żyć.

– Daj pozwiedzać, nigdy tu nie byłem – prosił Danny.

– Nie zgrywaj naiwnej sierotki, mnie nie nabierzesz.

– Owszem, to potrafię. Tak sobie myślę, do czego właściwie jesteś mi potrzebny?

Eric najwyraźniej już zdążył pomyśleć o tym samym, bo w odpowiedzi przedstawił całą listę powodów.

– Po pierwsze, nie wiesz, gdzie co jest, a ja znam to miasto.

Danny miał ochotę zaprotestować – czyż nie nauczył się na pamięć planu Mall? Lincoln na lewo, Kapitol na prawo, Waszyngton pośrodku, Biały Dom na północy. Tu i tam po obu stronach muzea. Jednak nie było sensu tego mówić – chodziło o to, że Danny nie zamierzał pozwolić, żeby Eric nim rządził, i tyle.

– Po drugie – ciągnął Eric – są faceci, którzy polują na takich maślaków jak ty, i sam sobie z nimi nie poradzisz. Po trzecie, są gliniarze, którzy widząc, jak jesteś ubrany, przekażą cię opiece społecznej, a oni znajdą twoją rodzinę i odeślą cię do domu, czego chyba nie chcesz.

Danny wysłuchał tego wszystkiego, cały czas udając potulnego, naiwnego. Kiedyś tym rozśmieszał ciotki, ale to było dawno, w czasach, gdy jeszcze uważały, że Danny jest zabawny.

– Widzę po tej żalösnej szopce, którą odstawiasz, że w ogóle mnie nie słuchasz – powiedział Eric.

– Jakbym słyszał czyjąś matkę – odciął się Danny.

Eric się rozzłościł.

– Powtórz to, a cię zostawię!

Danny wzruszył ramionami. Eric nie wiedział – a on ani myślał mu to powiedzieć – że jego, Danny’ego, nie złapie nikt. Ani pedofile, ani gliniarze, ani opieka społeczna. Za łatwo było zrobić wrota i uciec.

Eric tego nie wiedział, nie uwierzyłby w to, nawet gdyby Danny mu to wyznał. Długo patrzył na Danny’ego spode łba, po czym odwrócił się i poszedł.

No dobrze, chciał powiedzieć Danny. No dobrze, zrobimy po twojemu.

Jednak wrażenie, że został porzucony, szybko go opuściło. Całkiem nieźle poradził sobie w Wal-Marcie, zanim poznał Erica. Tutaj też sobie poradzi. A towarzystwo Erica nie było warte rezygnacji z prawa współdecydowania o tym, co będą robić. Eric albo wróci, albo nie. Na razie Danny chciał zwiedzić Mall.

Kierowca, z którym się zabrali, wysadził ich nieopodal pomnika Poległych w Wietnamie. Danny widział ludzi o oczach pełnych łez – i nie tylko pięćdziesięcio- i sześćdziesięciolatków, którzy mogli znać nazwiska wyryte w ścianie pomnika. U jego stóp leżały małe pamiątki – kwiaty, plastikowe i prawdziwe; jeden mały plastikowy żołnierz; listy, notki i kartki. Dla Danny’ego to wszystko nic nie znaczyło. Wojny i cierpienia suszłaków rzadko miały coś wspólnego z rodzinami westiliańskimi; z wyjątkiem tych okazji, kiedy suszłacy służyli rodzinom za marionetki toczące bitwy w ich zastępstwie. Suszłacy po prostu tacy byli, że walczyli

o rzeczy nieważne. Godność narodów? Kto ma władać takim czy innym nikomu nieznanym ludem? Wolność? Co suszłakom za różnica, która grupa pajaców nimi rządzi? Żaden i tak nie był wolny, bo sami nie mogli nic zrobić.

Danny'ego ukłuło w sercu na tę myśl, bo przecież nie tak dawno sądził, że skończy jako jeden z nich – o ile w ogóle będzie żył. A teraz wypełniała go moc maga wrót. Oczywiście, nie miał pojęcia, czy jest słabym Bratem Ścieżek, czy potężnym Ojcem Wrót – ale kimkolwiek był, choćby nędznym Węszycielem jak mała Greczynka, był dużo potężniejszy od wszystkich ludzi zgromadzonych przy murze pomnika Poległych w Wietnamie.

Uczył się historii z książek i kiedy mógł, śledził aktualne wydarzenia na amerykańskich stronach internetowych. Nie czuł rozpaczy tych ludzi po bliskich poległych na wojnie – ale żałował, że jej nie czuje.

Co było dla rodziny Northów odpowiednikiem tej ściany? Hammernip Hill?

Szedł na zachód jakby zatopiony w myślach, choć tak naprawdę nie miał w głowie nic na tyle konkretnego, by nazwać to „myślą”, aż w końcu dotarł do pomnika Lincolna. Wszedł po schodach do monumentalnej komnaty i spojrzał w górę na majestatyczny posąg człowieka siedzącego na krześle. A może to był tron? Brzydki człowiek, wychudzony jak zombi z kiepskiego filmu. Tak czy tak, tylko posąg, nie prawdziwy człowiek. Twarz, która widniała na każdej jednocentówce – monecie o najmniejszej wartości.

Oto bóg, którego czczą suszłacy, pomyślał Danny – z tą samą pogardą, uświadomił sobie, którą ciotki żywiły dla bohaterów suszłaków.

Dlatego na przekór ich odrzuceniu wszystkiego, co suszłakom drogie, został i przeczytał wszystkie inskrypcje na ścianach.

Na początku odruchowo z nich drwił. Rządy ludu, przez lud, dla ludu? A kimże jest ten lud i kogo obchodzi, kto nim rządzi!

Danny jednak spędził już wśród suszłaków całe dwa dni. Prosił ich o pieniądze, żywność i podwiezienie, i podzielili się z nim tym, co mieli. Dlaczego? Nikt z rodziny nie zrobiłby tego dla kogoś, kto nie był z Northów. Danny sądził, że – może z wyjątkiem, powiedzmy, cioci Uck – nawet by nie zauważyli, że jakieś suszłackie dziecko prosi o kilka dolców.

Oczywiście, Danny za każdym razem kłamał – ale nawet gdyby mówił prawdę, czemu suszłacy się tym przejmowali? Co ich to obchodzi, że cudze dziecko jest głodne albo nie ma jak wrócić do domu?

Bóg tych Amerykanów nie należał do żadnego ze starych panteonów Northów, Greków, Indian, Persów, Galów, Hetytów, Latynów, Gotów i innych band, którym świetnie się powodziło do czasu, gdy Loki zamknął Wrota. Bogiem tym byli sami ludzie. Pomyśleć tylko – naród, w którym każdy czci każdego. Nie jako jednostkę, lecz jako ideę. Najwyższym ideałem było zapewnić każdemu suszłakowi wolność i środki na utrzymanie rodziny. Inni ludzie byli ważni.

Danny poznał na własnej skórze bezduszość swoich bliskich. I dopiero co uciekł przed bezmyślnym okrucieństwem najstraszniejszego rodzaju – groźbą odebrania mu życia tylko dlatego, że był nie takim magiem, jak trzeba. Ten Abraham, ten Lincoln – czy walczyłyby o prawa kogoś takiego jak Danny? Maga wrót, który miał nieszczęście urodzić się w czasach, gdy magów wrót traktowano jak wrogów bogów?

A nawet jeśli, jakie by to miało znaczenie? Taki suszłak jak Lincoln niewiele mógłby dla Danny'ego zrobić, nawet gdyby pociągnął za sobą cały uzbrojony po zęby naród – czy, jak to było w jego przypadku, pół. Potężny mag mógł wykończyć każdego suszłaka, gdy tylko zauważał jego istnienie.

Zresztą suszłacy sami wykończyli Lincolna, nawet nie czekając na miejscowych bogów z osady rodziny Northów.

Za dużo myślał. Za długo stał w jednym miejscu. Poczł potrzebę biegu.

Obrócił się na pięcie i niemal sfrunął ze schodów, przeskakując po trzy stopnie naraz; jako że był boso i miał zahartowane, zgrubiałe stopy, pewnie trzymał się na nogach, czuł wszystko, po czym deptał, a mimo to nie bał się niczego. Tutaj nikt nie mógł go złapać; ziemia nie mogła zrobić mu krzywdy. Pobiegł wzdłuż sadzawki lustrzanej, okrążył wzgórze z pomnikiem Waszyngtona, śmignął przez kilka ulic, które przecinały Mall. Zignorował Biały Dom po swojej lewej stronie. Chciał dotrzeć na przeciwległy koniec Mall. Nie do Kapitolu – co go obchodzi Kapitol? Ale za Kapitołem była Biblioteka Kongresu.

Dotarł tam lekko zdyszany, ale tylko dlatego, że przez większość drogi miał pod górkę i od rana nic nie jadł, a Eric zabrał wszystkie pieniądze. Poza tym z plecakiem trochę inaczej się biega, człowiek łatwiej się męczy.

Przed drzwiami wejściowymi biblioteki uprzytomnił sobie, że wciąż jest ubrany jak żebrak. I bosy! Suszłacy mieli hopla na punkcie butów.

Gdzie tu się przebrać?

Potruchtał na tyły budynku – było nadspodziewanie daleko – i tam

znalazł długą ulicę z domami szeregowymi po drugiej stronie. Większość miała schodki prowadzące do drzwi frontowych, pod kilkoma ganekmi były wejścia do piwnicy. Danny wypatrzył dom, który wyglądał na pusty, zwinnie przeskoczył żelazne ogrodzenie i dał nura pod ganek. Przebrał się szybko. Teraz wyglądał bardziej normalnie. I miał buty na nogach.

Kłopot w tym, że był dzieckiem. Czy w ogóle go wpuszczą?

Odpowiedź była prosta.

Nie.

– Co, myśli pan, że coś ukradnę? – zapytał Danny.

– Albo pomazesz ściany – powiedział ochroniarz, ale z uśmiechem, jakby dając do zrozumienia, że nie on tu ustanawia reguły i wie, że nie powinny się odnosić do Danny'ego, ale jest, jak jest.

A Danny nie mógł mu wytłumaczyć: Mam nadzieję, że gdzieś tutaj – w bibliotece, w której jest wszystko – znajdę coś o magach wrót. Nawet gdyby miało to być w formie zbioru podań ludowych czy starożytnych legend, muszę dowiedzieć się, co powinienem umieć, i może znaleźć jakąś wskazówkę, jak się tego nauczyć. Magowie wrót podobno są niezwykle potężni i niebezpieczni, ale oprócz ratowania się z tarapatów nie przychodzi mi do głowy nic choć trochę groźnego, do czego mógłbym użyć magii wrót. Dlatego potrzebuję książki. Potrzebuję podpowiedzi.

Pomyślał o bibliotece w starym domu Northów. Tam były wszystkie odpowiedzi, których szukał. A czego mógł się dowiedzieć z książek w Bibliotece Kongresu? Najlepsze, na co mógł liczyć, to prastare legendy, traktowane przez współczesnych autorów jako czysty folklor czy nawet fantastyka, ale zawierające jakieś ziarno prawdy, którym mógłby się kierować.

Magowie wszystkich innych specjalności mieli nauczycieli obdarzonych tymi samymi umiejętnościami co oni. I tak Przyjaciół Drzew zapoznawał magów drzew z drzewami, a Przyjaciół Oka lub Brat Szpona magów zwierząt z ich zwierzętami.

To niesprawiedliwe! Danny poczuł, że oczy nabiegają mu łzami. Otarł je.

– Łzy nie dadzą ci wstępu – powiedział ochroniarz. Ale już się nie uśmiechał.

– Wiem – odparł Danny. I choć jego uczucia były szczerze, natychmiast pomyślał, jak je wykorzystać, jakie kłamstwa powiedzieć. Zaraz jednak porzucił ten zamiar. Ten suszłak był porządnym człowiekiem. Jego zadaniem było nie wpuszczać dzieci bez opieki, bo mogłyby coś uszkodzić. Gdyby pozwolił Danny'emu wejść, ryzykowałby,

że straci pracę. Po co Danny miałby mu narobić takich kłopotów? Zwłaszcza że było inne rozwiązanie. Mag wrót nie potrzebował drzwi, żeby gdzieś się dostać.

Danny zajrzał do holu. Nie widać było żadnych książek, za to zobaczył coś w rodzaju wnęki. Z wejściem do ubikacji. Zapisał sobie to miejsce w pamięci, żeby potem dostać się tam inną drogą. Odszedł.

Przystanął, podziwiając kopułę Kapitolu. Suszlacy może i nie znali magii, ale zbudowali to. Który mag kiedykolwiek coś zbudował? No dobrze, tak, magowie pracowali z przyrodą, więc wielkie sztuczne twory jak ten gmach nawet nie były dla nich interesujące. No ale mimo wszystko – bez żadnych szczególnych mocy, tylko dzięki zręczności rąk i rozumowi suszlacy budowali wielkie, piękne rzeczy. Owszem, brzydkie rzeczy też – ale ciotki zawsze mówiły o suszłakach tak, jakby jedynymi ich dziełami były wojny, smrody i głupota. Co nie było prawdą. Suszlacy tworzyli też czasem rzeczy piękne, potężne, mądre, użyteczne.

Może Loki też tak myślał. Może polubił suszłaków i zdał sobie sprawę, że jeśli pozamyka wszystkie wrota, przykuwając bogów do miejsca, w którym się znaleźli, i odbierając im możliwość ogromnego zwiększenia mocy w wyniku przechodzenia pomiędzy światami, suszlacy będą w stanie się usamodzielnąć. Świat od tej pory będzie należał do nich, nie do magów.

Danny jednak i tak musiał się nauczyć, jak być magiem wrót. Bo mimo wszystko zamierzał otworzyć wrota do innego świata. Westilu, pradawnej ojczyzny magów. Loki może i kierował się litością dla suszłaków, ale od tego czasu minęło prawie czternaście stuleci, suszlacy zdobyli i potęgę, i władzę. Chyba teraz już można otworzyć Wielkie Wrota. Do czego bowiem Danny był urodzony, jeśli nie do tego?

Nie jestem drugim Lokim, pomyślał. Jestem anty-Lokim, jego przeciwieństwem. Co on zamknął, ja otworzę. Co zepsuł, naprawię. Co ukrył, odnajdę.

Otworzył wrota prowadzące do Biblioteki Kongresu i znalazł się we wnęce przy ubikacji. Niedaleko widział strażnika, który nie chciał go wpuścić. Uwaga mężczyzny jednak skupiona była na tym, co działo się na zewnątrz, i na innych strażnikach w pobliżu. Nie wypatrywał intruzów, którzy jakimś cudem wśliznęli mu się za plecy.

Skoro już tu był, Danny skorzystał z ubikacji i łazienki. Przyjemnie było obmyć ręce i twarz. Dni bez mycia były dobre dla zebrania, złe dla komfortu osobistego.

Jakiś mężczyzna wszedł do ubikacji, zatrzymał się i spojrzał

na Danny'ego. Nie, nie na niego, na plecak.

– Jak to tutaj wniosłeś? – spytał.

Danny pamiętał tabliczki na zewnątrz, informujące, że wszystkie torby i plecaki podlegają kontroli. Ani słowa o tym, że nie wolno ich mieć. Najwyraźniej jednak to podejrzane, że dziecko wniosło plecak do ubikacji. A ten facet wyglądał na palanta, który z rozkoszą wyciągnąłby Danny'ego stąd za ucho i kazał go aresztować za kradzież dla czystej przyjemności z powiększenia sumy nieszczęścia na świecie.

Danny otworzył więc plecak i pokazał, że w środku ma tylko ubrania.

Mężczyzna skinął głową.

– No dobrze, ale zostaw tę torbę w szatni. – Po czym wszedł do kabiny, spuścił spodnie i zaczął smrodzić.

Danny w pierwszym odruchu chciał uciekać – zrobić wrota na zewnątrz budynku albo chociaż wyjść ze strefy skażenia na świeższe powietrze. Lecz stał nieruchomo i zastanawiał się, co teraz robić. Nie mógł zabrać plecaka z sobą, ale i nie chciał go stracić. Mógł wyjść z powrotem na zewnątrz i gdzieś go schować, ale wówczas by ryzykował, że ktoś plecak znajdzie i ukradnie. I wydawało się to jakoś... niewłaściwe. Niezgrabne, jak ciocia Tweng mawiała o topornych rozwiązaniach zadań z matematyki czy programowania. „Tak, to działa – mówiła – ale jest niezgrabne. Prawda jest prosta i zgrabna. Po tym się ją poznaje”.

Danny musiał znaleźć miejsce, gdzie mógłby schować torbę bez obaw, że ktoś się na nią natknie. Czy mag wrót nie mógłby otworzyć wejścia do jakiejś małej skrytki – na przykład podajnika papierowych ręczników – i czegoś tam wepchnąć?

Do tej pory robił tylko wrota, przez które od razu sam przechodził. Na pewno jednak nie mógłby wcisnąć się do podajnika ręczników bez zrobienia ogólnej demolki w próbie zajęcia miejsca teraz zajmowanego przez ścianę – albo bez połamania sobie wszystkich kości, żeby zmieścić się wewnątrz podajnika.

Stał więc dalej, nie bacząc na smród i stękanie mężczyzny, który wciąż się obficie wypróżniał. Danny pomyślał: Rzeczywiście suszłak jest pełen gówna.

Podajnik papierowych ręczników był wysoki, metalowy, jego dolną część stanowił przepelniony kosz na śmieci. Ten kosz na skrytkę nadawał się idealnie. Danny pomyślał, czy nie utknąć plecaka pod śmieciami, jednak w tym momencie był już zdecydowany spróbować utworzyć wrota, przez które sam nie przejdzie. Małe, tylko żeby wsunąć plecak przez

cienką blachę do wąskiego, zamkniętego schowka.

Co złego mogłoby się stać? W najgorszym razie potężny wybuch nuklearny w chwili, kiedy atomy plecaka spróbują zająć to samo miejsce co atomy podajnika, ściany i śmieci. A wtedy i tak byłoby mu już wszystko jedno. Kurczę, nawet nie narobiłby sobie kłopotów, bo winą za to obarczyliby jakiegoś terrorystę albo obce mocarstwo, co spowodowałoby wybuch niszczycielskiej wojny, w której zginęłyby miliony albo miliardy suszłaków. Głupie, impulsywne działania, które kończyły się śmiercią wielu suszłaków, były praktycznie rodzinną tradycją. W tej sytuacji wyjątek stanowiłoby jedynie to, że Danny zginąłby wskutek własnej głupoty.

Jednak fakt, że nie było żadnych legend o potężnych eksplozjach spowodowanych idiotycznymi postępkami nieprzeszkolonych magów wrót, wskazywał, że albo można to zrobić bezpiecznie, albo nie można tego zrobić wcale.

Próbował stworzyć wrota bez przechodzenia przez nie. Kłopot w tym, że tak naprawdę nie rozumiał, na jakiej zasadzie to się odbywa. Wiedział tylko, jakie to jest uczucie – co się w nim działo, kiedy myślał o miejscu, w którym chciał się znaleźć. Jak mógł poczuć to wszystko, ze zwizualizowaniem wnętrza kosza na śmieci włącznie, bez przeniesienia się tam?

Mężczyzna w kabinie westchnął z ulgą. Temu to dobrze, pomyślał Danny.

– Oż cholera – szepnął mężczyzna. – Cholera, cholera, cholera.

Danny przycisnął plecak do kosza i spróbował wyobrazić go sobie w środku. I nic.

Równie dobrze mógłbym skrzyżować palce i pomyśleć życzenie, stwierdził w duchu.

– Jesteś tam jeszcze? – spytał mężczyzna.

– Tak – powiedział Danny.

– W mojej kabinie nie ma papieru toaletowego. Mógłbyś wziąć trochę z sąsiedniej i mi podać?

Danny położył plecak na podłodze i poszedł do sąsiedniej kabiny. W pierwszej chwili chciał urwać kilka długich wstęg papieru toaletowego i przerzucić je nad ścianką między kabinami. Potem jednak zauważył, że za rozpoczętą rolką schowana jest druga, zapasowa. Dzielila go od niej tylko cienka blacha.

Ledwie wpadł na pomysł, a już wcielił go w życie. Przeniknie przez metal ręką, nie całym ciałem. Wysunął dłoń, rozbudzając w sobie to

wrototwórcze uczucie, i jego ręka weszła w blachę, jakby jej tam nie było – choć wciąż ją widział. A jego dłoń zniknęła. Pomyślał: Cześć, jestem jednoręki Danny, mag wrót, który zostawia cząstki siebie w metalowych skrzynkach.

Poczuł, jak jego palce zaciskają się na zapasowej rolce papieru toaletowego. Wyciągnął ją. Wyszła swobodnie. Nawet nie była zadrapana. Podobnie jak powierzchnia podajnika papieru toaletowego.

Wsunął dłoń z powrotem w blaszaną ściankę podajnika i nie poczuł żadnego oporu. Obmacał puste miejsce po zapasowej rolce papieru. Wcisnął rolkę z powrotem do środka, weszła bez trudu. Wyciągnął rękę – rolka została na swoim miejscu.

– Co robisz? – odezwał się mężczyzna.

– Biorę papier toaletowy dla pana – powiedział Danny.

– Możesz się pospieszyć?

Danny miał ochotę powiedzieć: Strasznieś pan nadęty jak na faceta, który utknął na kiblu i potrzebuje pomocy.

Ponownie włożył rękę w małe wrota, które zrobił. Tym razem nie było tego wrototwórczego uczucia. Wrota po prostu... były. I wiedział, że tam są, czuł je, miał na swojej mentalnej mapie. Był ciekaw, czy zostaną tu na zawsze, dostępne dla każdego, kto będzie chciał z nich skorzystać – czy woźny będzie mógł włożyć nową rolkę do podajnika bez konieczności otwarcia go kluczykiem.

– Szybciej! – nalegał mężczyzna. I, jak na zawołanie, wydał ogłuszające, przeciągłe pierdnięcie, po którym nastąpił kolejny plusk.

Danny'emu przebiegła przez myśl przewrotna wersja kwestii lady Makbet: „Jednakże kto by się spodziewał tyle kupy w tym starcu?”. Ciocia Uck byłaby z niego dumna, że znalazł stosowny cytat.

Danny podniósł rolkę na szczyt ścianki między kabinami.

– Pan łapie – powiedział.

Mężczyzna stęknął.

Danny puścił rolkę. Upadła na podłogę i przeturlała się pod ścianką z powrotem do kabiny Danny'ego.

– Nie zdążyłem – powiedział mężczyzna zbolalym głosem.

Danny wsunął rolkę nogą z powrotem pod ściankę. W ubikacji śmierdziało coraz gorzej.

– Dzięki – mruknął mężczyzna. – Za to, że pobrudziłeś ją butem.

Danny'emu chciało się śmiać z jego głupoty.

– Nie ma sprawy – rzekł.

Wyszedł z kabiny i skierował się prosto do kosza na śmieci. Zrobił

w nim wrota, przeciskając rękę przez ściankę. Wyjął garść wilgotnych, zmiętych papierowych ręczników i upuścił je na podłogę. Teraz już wrota istniały. Mógł wepchnąć w nie plecak.

Kiedy cofnął rękę, był ciekaw, dlaczego plecak od razu nie wyleciał z powrotem przez wrota. A potem przyszło mu do głowy, by sprawdzić, jakiej są wielkości. Przyłożył palec do metalowej powierzchni tuż obok miejsca, w którym wyczuwał obecność wrót. Nic. Dotknął wielu innych punktów i wszędzie napotykał twardy metal. Dopiero kiedy trafił dokładnie we wrota – miejsce, którego nikt nie odróżniłby od reszty powierzchni pojemnika – jego ręka przenikała do środka, jakby metalu w ogóle tam nie było.

A zatem magia niezbędna była nawet do tego, żeby odnaleźć wrota. Węszyciel nie potrafił otworzyć zamkniętych wrót, ale mógł wskazać, gdzie są. Przyjaciel Kluczy mógł wnikać we wrota, mimo że sam by ich nie zrobił. Dlatego wrota nie musiały być ukryte. Były nie do znalezienia dla tych, którzy nie znali magii wrót.

A może tylko takie kiepskie, niedorobione wrota, jakie stwarzał nieprzeszkolony mag jak Danny, były automatycznie ukryte. Może gdyby był prawdziwie potężnym magiem, potrafiłby robić wrota dostępne dla każdego.

W każdym razie plecak był schowany w koszu, Danny mógł go stamtąd w każdej chwili zabrać. Byleby kosz nieprędko został opróżniony. Chociaż podajniki papieru toaletowego były prawie puste, więc wkrótce zapewne zjawi się woźny.

Cóż, jeśli znajdzie mój plecak, po prostu ukradnę następny. Jakoś przeżyję bez tych żebraczych łańców. Zresztą może w ogóle przestanę żebrnąć.

Danny zebrał zużyte papierowe ręczniki wyjęte przez wrota i upchnął je na wierzchu kosza.

Usłyszał szum spuszczonej wody. Usłyszał, że tamten mężczyzna wstaje. Usłyszał zgrzyt zasuwanego rozporka. I kiedy mężczyzna odsapnął z ulgą, Danny już był za drzwiami. Dopiero później zdał sobie sprawę, że jego spotkanie z tym sraluchem potwierdziło wszelkie uprzedzenia rodziny względem suszłaków. Przypomniał sobie, z jakim uznaniem myślał o nich, patrząc na kopułę Kapitolu, i stwierdził, że to go czegoś nauczyło. Nie był pewien czego. Może tylko tego, że szlachetność i podłość mogą współistnieć w obrębie jednego gatunku. Może nawet w jednym człowieku. I dotyczyło to rodzin westiliańskich w takim samym stopniu jak suszłaków. Wielcy bohaterowie, nadęte pierdzidupy – może to byli

jedni i ci sami ludzie. Kto wie, może tamten sraluch za młodu dostał Medal Honoru.

Danny wmaszerował zdecydowanym krokiem do dużej sali – nie, ogromnej sali – wypełnionej stołami, blatami i monitorami komputerowymi. Tu i ówdzie stały regały z książkami, choć było oczywiste, że nie mogła to być znacząca część zbiorów Biblioteki Kongresu. Pewnie musiałeś wyszukać tytuł interesującej cię książki i poprosić, żeby ją przyniesiono.

Usiadł przy komputerze i zaczął zapoznawać się z oprogramowaniem. Pod wpływem impulsu wpisał do wyszukiwarki frazę „magia wrót”. Przewidywał, że wyskoczą tysiące wyników albo żaden, w zależności od tego, czy wyszukiwarka przeglądała zawartość książek, czy poprzestawała na szukaniu danej kombinacji słów w tytule.

Były tysiące wyników. No oczywiście – w wyszukiwarce zobaczył komunikat: OBSŁUGIWANA PRZEZ GOOGLE. Suszłacy potrafili czarować danymi, tak jak magowie drzew czarowali za pomocą drzew. Czy to możliwe, czy to rzeczywiście magiczna moc? Czy gdyby przenieść jednego z programistów z Google’a wielkimi wrotami na Westil i z powrotem, jego umiejętności ogromnie by wzrosły? Ale po co to robić? Komputery same w sobie były rodzajem magii – dla ludzi, którzy się na nich nie znali, były równie nieprzeniknione. Programiści uczyli się je kochać i rozumieć, żeby ich praca przynosiła właściwe efekty; tak samo magowie zwierząt robili ze zwierzętami, a magowie kamienia z kamieniem.

Danny’ego rozbawiło porównanie wszystkich wielkich magów w dziejach rodzin westiliańskich do stereotypowych komputerowych maniaków.

– Mogę ci w czymś pomóc, młody człowieku? – spytała jakaś kobieta. Według identyfikatora była pracownicą biblioteki.

– Mój tata poszedł do łazienki – powiedział Danny.

Uśmiechnęła się.

– Tak tylko byłam ciekawa, czy mogę ci pomóc coś znaleźć.

– Spojrzała na ekran. – „Magia wrót” – przeczytała. – Co to, projekt badawczy?

– Szukam starych legend o... magicznych podróżach. Przenoszeniu się z miejsca na miejsce.

– Jak w siedmiomilowych butach?

– Być może. – Danny nigdy tego określenia nie słyszał, ale domyślił się, co znaczy. Buty, które pozwalały jednym susem pokonać kilka mil;

może tak suszłacy postrzegali magię wrót. – Albo, bo ja wiem, skrzydlatych sandałach Hermesa.

– Och, znakomicie! Zapoznałeś się z tematem, zanim przyszedłeś. Zdziwiłbyś się, ilu ludzi przychodzi tak nieprzygotowanych, że nie wiedzą, po czym poznać to, czego szukają, nawet jak znajdują. Pozwól, że trochę zawęzę twoje kryteria wyszukiwania. – Usiadła na krześle obok i wprowadziła szereg terminów z różnymi plusami, minusami i nawiasami. Po chwili wyskoczyła dużo krótsza, bardziej precyzyjna lista tytułów. Wtedy kobieta wprowadziła następną komendę. – Lista drukuje się na moim stanowisku – powiedziała. – Przyniosę ci pierwsze sześć książek, będą do odebrania u mnie za jakieś piętnaście minut.

– O rany! – Danny naprawdę był pod wrażeniem.

– Jesteśmy tu po to, żeby służyć czytelnikom. I... w końcu mamy porządne oprogramowanie. Żebyś ty widział, jaki bałagan był tu przedtem. Znalezienie czegokolwiek graniczyło z cudem, jeśli nie wiedziałeś, czego dokładnie szukać.

I poszła.

Ech, suszłacy, pomyślał Danny. Czasem się ich kocha, czasem nienawidzi.

Wtedy po raz pierwszy zaświtało mu, że przykładanie jednej miary do wszystkich suszłaków ma nie więcej sensu niż określanie jednym słowem wszystkich zwierząt, które nie mogą dłużej niż minutę ustać prosto na dwóch nogach, albo wszystkich zwierząt o suchych nosach. Na co komu takie klasyfikacje? Słowo „suszłak” nie mówiło o ludziach nic poza tym, że nie urodzili się w rodzinie westiliańskiej. „Suszłak” oznaczało „nie z naszych” i wszystko, co poza tym opowiadało się o suszłakach, z reguły kompletnie nic nie znaczyło. W ogóle nie byli jednolitą „klasą”. Byli po prostu... ludźmi.

Danny nie miał ochoty sterczeć tu beczynnie, więc w czasie kiedy czekał na książki, poszedł do drugiej, mniejszej sali, w której siedzący przy stołach ludzie czytali, uczyli się lub robili notatki. Na ścianach były dzieła sztuki i Danny wszystkie obejrzał. Inni co najwyżej przelotnie zerkali na niego – najwyraźniej dziecko bez opieki tutaj nikomu nie przeszkadzało, jeśli tylko nie robiło hałasu i niczego nie dotykało.

Piętnastu centymetrów brakuje mi do tego, żebym został człowiekiem, pomyślał Danny. Wystarczyłoby, żebym był wyższy, może z lekkim wąsem, i nie musiałbym znosić tej podejrzliwości.

Chociaż tamten sraluch pewnie i tak traktowałby mnie z pogardą tylko dlatego, że jestem młodszy od niego i nie w garniturze.

Potrzebuję garnitur. Nie już teraz, ale koniec końców bez niego się nie obejdzie. Muszę być w stanie udawać kogoś z innej klasy społecznej. Potrzebuję ubrań, w których będę wyglądał bogato, a nie tylko takich z Wal-Marta. Co mi po tym, że dostanę się gdzieś przez wrota, jeśli nie będę tam pasował do otoczenia i wszyscy będą się na mnie gapić? Samo przeniesienie się z miejsca na miejsce nic mi nie da, jeśli tam, dokąd się przeniosę, nie będę wyglądał normalnie.

Ciekawe, co się nosi na Westilu? Kiedy stworzę Wielkie Wrota i tam przejdę, czy ludzie będą ubrani jak my? A może w coś tak niepodobnego do kradzionych ciuchów z Wal-Marta, jak nasze współczesne ubrania do starożytnych strojów egipskich czy chińskich?

Piętnaście minut minęło. Nie musiał nawet spojrzeć na zegar, po prostu to wiedział. Zawsze miał ten dar – budził się dokładnie wtedy, kiedy planował, przebywał poza domem tylko do wyznaczonej godziny, choć nie miał zegarka. Kiedy wracał spóźniony i omijała go kolacja, to nie dlatego, że tracił rachubę czasu. Powód był taki, że odkąd rodzice ustanowili zasadę, że jeśli nie przyjdzie na czas, nie dostanie jeść, spóźniając się, mógł liczyć na lepsze jedzenie – bo w drodze do domu wpadał do ciotki Lummy, która owszem, besztła go za brak odpowiedzialności, ale jednocześnie robiła mu pyszną kanapkę. „Przecież dorastający chłopak nie może opuszczać posiłków, tak się po prostu nie godzi”, mówiła, a wujek Mook przewracał oczami.

Danny wstał. Miła bibliotekarka musiała już wrócić. Oczywiście, jeśli o tych piętnastu minutach mówiła poważnie.

Była na swoim stanowisku, a obok niej, zgodnie z zapowiedzią, leżało sześć książek.

– To prawie najlepsze, co mogłam znaleźć – powiedziała, jak tylko podszedł dość blisko, żeby nie musiała podnosić głosu.

– Prawie? – spytał Danny.

– Mamy w zbiorach pewne osobliwości, które ciebie mogą nie interesować, ale mnie fascynują.

– Zależy, co pani rozumie przez „osobliwości”.

– Chodź, pokażę ci. Nie możesz tego dotykać.

– Czego?

– Zobaczysz.

Zaprowadziła go do wejścia dla personelu, a potem schodami na górę. U ich szczytu były drzwi z zamkiem szyfrowym. Wprowadziła kod, pociągnęła je do siebie i otworzyły się ze świstem powietrza.

– Kontrola klimatu – powiedziała. – Postaraj się nie robić globalnego

ocieplenia, kiedy tu będziesz. – Zachichotała.

Wszedł za nią do dużego pokoju pełnego ksiąg w akrylowych gablotach. Ona jednak zaprowadziła go dalej, do pomieszczenia, gdzie na regałach stały niezabezpieczone książki. Na niskim stole leżała duża, otwarta księga.

– Ta księga ma zaledwie paręset lat – powiedziała bibliotekarka
– i nie jest po angielsku, więc nie wiem, jaki możesz mieć z niej pożytek.

– Jest po duńsku, prawda? – spytał Danny.

Patrzyła na niego przez chwilę.

– Znasz duński?

Wzruszył ramionami. Oczywiście znał, ten język wywodził się ze staronordyckiego, ale przecież jej nie powie, że w dzieciństwie stykał się ze staronordyckim na co dzień. Podobnie jak z fistalkiem, starożytnym językiem Germanów w czasach, zanim ich mowę zniekształciły fenickie kolonie nad Morzem Północnym i Bałtykiem. Był to jeden z języków rodziny Northów, w nim spisana była część starych ksiąg. Uczyć się go nie uczyli, ale księgi przetrwały, a niektóre słowa i frazy zachowały się w staronordyckim, którym posługiwała się rodzina. Nauka języków przychodziła Danny'emu tak łatwo jak oddychanie. Potrafił czytać runy, którymi niegdyś zapisywano fistalk. Takie same runy jak te, których reprodukcje widniały na otwartej stronie księgi.

– Kiedy tę księgę skatalogowano – powiedziała mu bibliotekarka
– trafiła do działu historii Ameryki, bo uważano, że opowiada o kolonizacji Nowej Szwecji. Potem jednak ktoś, kto znał duński, stwierdził, że nic z tych rzeczy, tak naprawdę jest o Eryku Rudym, Leifie Eriksonie i kolonii w Winlandii. Dlatego przeniesiono ją tutaj. I kiedy przygotowywałam się do doktoratu, jeszcze zanim zaczęłam tu pracować, znalazłam ją i zorientowałam się, że jest o czymś zupełnie innym. To książka o książce, o starożytnej kronice spisanej runami.

– Zna pani duński? – spytał Danny.

– Jestem Dunką. Przeprowadziłam się tutaj z rodzicami, kiedy miałam siedem lat, i dlatego nie mam duńskiego akcentu. Ale jeszcze w Danii nauczyłam się czytać i nie zapomniałam języka, bo w domu zawsze były duńskie książki. Widzisz, ta księga opisuje manuskrypt znaleziony przez autora w starym kantorze w Kopenhadze, gdzie złożono księgozbiór zlikwidowanego klasztoru. Rękopis, o którym mowa, napisany był po łacinie i staronordycku, i przytaczał fragmenty rzekomo prastarej runicznej kroniki w nieznanym języku. Duński autor tej księgi próbował je odcyfrować... w dwóch rozdziałach pisze, jak nad tym pracował...

i owszem, udało mu się przetłumaczyć łacińskie i staronordyckie części manuskryptu, ale z runami sobie nie poradził.

Danny'ego powinno to nudzić, bo nie miało żadnego związku z jego poszukiwaniami wiedzy o wrotach – ale tak naprawdę był zafascynowany. A to dlatego, że potrafił odcyfrować runy widoczne na otwartej stronie.

– „Wtedy Tiu rozbił statki Kartaginy o skały, albowiem nie zgodzili się Kartagińczycy oddać hołdu walkirii” – przeczytał.

– Słucham? – spytała bibliotekarka.

Danny czytał dalej:

– „Wtedy Loki skrzył nowe wrota do niebios i walkiria przeszła przez nie wiele razy, gdyż stare wrota pożarli Kartagińczycy. I oto Odyn wzburzył niebiosy w furii i zdruzgotał potęgę Kartaginy, aż ci, co ocaleli, szlochali we krwi własnych dzieci”.

– O czym ty mówisz? – zdziwiła się.

– Właśnie tego szukałem – powiedział Danny. – Skąd pani wiedziała?

– Pamiętałam, że jego przekład staronordyckich fragmentów był pełen odniesień do dawnych bogów oraz magii drzwi i wrót. No i zobaczyłam, jak sprawdzasz na Google'u „magię wrót”, a wiedziałam, że ta księga nie wyskoczy ci w wynikach wyszukiwania, więc pomyślałam sobie, że cię zaciekawi. Ale to, co mówiłeś przed chwilą... co cytowałeś?

– Nie cytowałem, czytałem.

Bibliotekarka przebiegła spojrzeniem po otwartych stronach.

– Gdzie to wyczytałeś? Nie ma o tym mowy w duńskim tekście.

– Tutaj. – Danny wskazał na runy.

– To o Kartagińczykach, Tiu, Lokim i Odynie?

– Nie rozumiem, jak Kartagińczycy mogli pożreć wrota – powiedział Danny. – Czy to całość inskrypcji?

– Są jeszcze trzy inne. Ale... ty to rozumiesz?

– Ależ skąd! Wyobrażam sobie tylko, o co może chodzić. – Nie oparł się pokusie, żeby skłamać. Podobała mu się ta zabawa: najpierw mówił prawdę, której nie miał prawa znać, a potem udawał, że w rzeczywistości wcale prawdą nie była. Nie powinien tak z tej pani kpić, to nieładnie, ona przecież jest taka miła i uczynna, jednak czasem nie mógł się powstrzymać przed wykręcaniem takich numerów. Popisywaniem się. Inne dzieci miały do niego pretensje, ale ciotkom i wujkom to się często podobało – w czasach, zanim zaczęli uważać go za drekkę.

– Jak runy mogłyby mówić cokolwiek o Kartaginie? – spytała bibliotekarka.

Danny wskazał kilka znaków.

– Napisane jest to bez samogłosek, tak jak Semici zapisują słowa i nazwy. K-R-T-G. Kiedy Germanie odłączali się od ludów skandynawskich, byli pod dominacją kartagińskiej kolonii u nasady Półwyspu Jutlandzkiego. – Danny znał te fakty z historii, której rodzina Northów uczyła dzieci.

– Nigdy o tym nie słyszałam. Odkryli to archeolodzy? Żaden podręcznik historii o tym nie wspomina.

– Działo się to w okresie rozkwitu Kartaginy, jeszcze przed jej pierwszą wojną z Rzymem. Germańscy bogowie złamali potęgę Kartagińczyków. Ten tekst musi pochodzić z tamtych czasów. Ale nigdy dotąd nie słyszałem żadnej wzmianki o Lokim czy wrotach do nieba.

– To nawet do Skandynawów nie pasuje; zwykle nie mówią o niebie.

– Ale Kartagińczycy owszem. To odniesienie do innej planety, tak dalekiej, że blasku jej gwiazdy nie widać nawet w pogodną noc. Położonej wysoko na niebie, rozumie pani? W niebiosach. A Loki zrobił wrota, które miały ich tam przenieść.

– Czyli takich magicznych wrót szukasz? – spytała kobieta.

Danny nie odpowiedział wprost.

– W życiu nie słyszałem, żeby Loki „skręcił” wrota. Widzi pani? To jest to samo słowo, jakim opisuje się robienie sznura. Nie sądzi pani, że wrota raczej się wycina, otwiera, buduje, rzeźbi czy coś w tym stylu? Jak można skręcić wrota? – Danny wiedział, że nie mogła go rozumieć. Tą rozmową łamał tabu zakazujące członkom rodziny opowiadać obcym o jej historii. I sprawiało mu to wielką przyjemność.

Kobieta była zdumiona.

– Kim jesteś? Skąd pochodzisz? Do jakiej szkoły chodzisz?

– Uczyłem się w domu. Mogę zobaczyć resztę run?

– W takim razie co to za język, skoro potrafisz je czytać?

– Widdensprak – powiedział Danny, używając określenia oznaczającego „mowę ludzi, których znamy”. Nie była to jednak prawda; właściwie nikt tak nie mówił. Ale ten język był zbliżony do fistalku.

– Nigdy o nim nie słyszałam – powiedziała.

– Mogę przewrócić kartkę, czy pani musi to zrobić?

Opuściła rękę i powoli, ostrożnie przewróciła kartkę.

Danny przebiegł wzrokiem po runach. Także i ten tekst składał się ze słów, które znał albo które przypominały słowa mu znane, a gramatyka była prosta. W miejscach, gdzie język różnił się od fistalku, bardziej przypominał westiliański, chociaż do zapisywania westiliańskiego

używało się jeszcze innego alfabetu. A właściwie sylabetu, bo każdej kombinacji spółgłoski z samogłoską odpowiadał inny znak. Były też oddzielne znaki reprezentujące końcówki rzeczowników pospolitych i czasowników. Dzięki temu tekst zajmował dużo mniej miejsca na stronie, ale jego lektura wymagała znajomości 181 odrębnych run, z czego niektóre dość trudno było rozróżnić. Ogólnie biorąc, Danny wołał alfabet. Fistalk zapisywany był runami używanymi jak alfabet, choć część odpowiadała też sylabom. Było to zagmatwane i większość kuzynów po prostu odpuszczała sobie naukę czytania i pisania w fistalku i po westiliańsku. Ciotka Lummy często wieszczyła, że pewnego dnia znajomość westiliańskiego wymrze, przez co „jeśli Wielkie Wrota kiedyś zostaną otwarte, nie będziemy nawet umieli się dogadać z dalekimi krewnymi z naszego ojczystego świata”.

Przesłanie na tej stronie było kontynuacją poprzedniego.

– „Usłyszcie nas w krainie Mitherkame, usłyszcie nas wśród wielkich statków Iswegii, wśród wędrujących wydm Dapnu Dap, wśród milczących magów Lasu i rączych jeźdźców Woldu. Stawiliśmy czoło Belowi, a on zawładnął sercami wielu. Dzielni mężowie umykali przed jego oblicza jak jelenie, ale Loki nie uciekł”.

– Zmyślasz – powiedziała kobieta.

– Następną stronę? – zasugerował Danny.

– Niemożliwe, by o semickim bogu Belu czy Baalu mówiło się w jakimkolwiek indoeuropejskim języku, a co dopiero w jakiejś starożytnej formie germańskiego.

– Przegrała pani zakład. Myśli pani, że Hetyci nigdy tego imienia nie wspominali?

Dla Danny’ego Hetyci byli tylko inną gałęzią rodziny, choć już wymarłą. Tej kobiecie jednak wydawało się niezwykle, że w ogóle o nich słyszał.

– Ile ty masz lat? – spytała. – Co tak naprawdę tu robisz?

– Chciałbym przeczytać następną stronę.

– Nie czytasz, tylko się wygłupiasz. Dla ciebie to zgrywa, ale dla mnie to praca całego życia.

Pokręcił głową.

– Proszę mi wierzyć, to dla mnie co najmniej tak ważne jak dla pani.

– Myślałam, że chcesz zobaczyć coś starego. Nie spodziewałam się, że będziesz ze mnie drwił, udając, że to czytasz.

– Nie udaję.

Kobieta zamknęła księgę.

– Koniec. Idziemy.

Oczywiście, miała rację – Danny się z niej zgrywał, chociaż nie tak, jak sądziła. Teraz jednak stwierdził, że dość już tej zabawy. Podniósł księgę.

Bibliotekarka natychmiast doskoczyła, żeby mu ją wyrwać.

– Jak śmiesz dotykać! Zaufałam ci!

– Ta księga należy do tego, kto potrafi ją czytać – stwierdził Danny. Szarpnęła mocniej. On mocniej ścisnął. Gdyby zrobił teraz wrota, czy przeciągnąłby ją przez nie za sobą, skoro trzymała księgę razem z nim?

– Ta księga należy do Biblioteki Kongresu i mogą z niej korzystać tylko poważni uczeni.

Danny znów odwołał się do prawdy, bo wiedział, że ta kobieta mu nie uwierzy.

– Inskrypcje opowiadają o Lokim, stwórcy wrót. Ja jestem stwórcą wrót i muszę dowiedzieć się jak najwięcej na ten temat.

– To jakiś koszmar. Puść księgę, bo ją uszkodzisz.

– I kto wtedy straci pracę? Nie ja. Daj mi przeczytać resztę run i dostaniesz ją z powrotem.

– Ochrona! – krzyknęła.

Danny zrobił wrota i pozwolił, żeby go wessały.

Był z powrotem w łazience, z księgą w rękach. Kobiety nie było. Musiała zostać z pustymi rękami w tamtym pokoju dla personelu. A niech powie ochronie, co się wydarzyło. Zobaczymy, czy uwierzą.

Wziął papierowy ręcznik, wytarł blat wokół umywalki, położył na nim księgę i otworzył.

Na trzeciej stronie z runami napisane było:

Loki odnalazł mroczne wrota Bela, przez które bóg zalał ich świat strachem i przez które zabrał serca dzielnych mężów na swoją ucztę.

Serce Lokiego przeszył strach przed Belem i szczęki Bela pochwyciły jego serce, aby zabrać je z sobą.

Loki mocno trzymał swe serce i podążył za szczękami bestii.

Danny przeczytał to dwa razy, by mieć pewność, że dobrze wszystko zrozumiał, i nauczyć się tekstu na pamięć. Potem otworzył następną stronę.

*Loki udawał przed Belem, że jest uwięziony, lecz uwięziony nie był.
Jego serce trzymało szczęki; szczęki nie trzymały jego serca.
I gdy odnalazł wrota Bela, nasunął ich początek na serce słońca.
Niechaj Bel połknie serce słońca i zabierze je z powrotem do swego
mrocznego świata!
Mittlegard nie jest mu już domem.*

Cóż, jak miło. Pamiątkowa inskrypcja o osiągnięciach ówczesnego Lokiego. A zatem nie był pariasem – wyglądało na to, że toczyła się jakaś wojna z bogiem Kartagińczyków, a może po prostu z Kartagińczykami, i Lokiemu przypisano całą zasługę za odparcie wroga. Najwyraźniej dokonał tego, przesuwając wejście do wrót, choć Danny nie pojmował, jak można coś takiego zrobić, zwłaszcza jeśli naprawdę nałożył jeden ich koniec na środek Słońca.

Wystarczy. Danny przeczytał, co miał przeczytać. Zapamiętał to. Wiedział wszystko, co trzeba.

Sięgnął na dno kosza na śmieci i wyciągnął swój plecak. Narzucił go na ramię, wziął księgę i zrobił wrota z powrotem do pokoju, w którym bibliotekarka pokazała mu runy. Słyszał ją na korytarzu, wzywającą ochronę. Biedna, naiwna suszłaczka. Czy ona myślała, że ma tu cokolwiek do powiedzenia?

Odłożył księgę na miejsce i otworzył ją na stronie z pierwszą runiczną inskrypcją. Kusiło go, żeby zostać dość długo, by uśmiechnąć się do tej kobiety, kiedy wróci, ale nie, naprawdę starczy już popisów. Prawdę mówiąc, trochę, ba, więcej niż trochę wstydził się za siebie; ona okazała mu zaufanie i życzliwość, a on w zamian najpierw przechwalał się swoją wiedzą, a potem zrobił coś niezaprzeczalnie magicznego.

Jednocześnie wciąż był rozemocjonowany, bo dowiedział przy świadku, że on też jest magiem z rodziny Northów, i to nie byle jakim. Magiem niebezpiecznym – tak niebezpiecznym, że powinno się go zabić i pochować na Hammernip Hill.

Jeszcze raz skorzystał z wrót prowadzących do łazienki, a potem natychmiast przeniósł się następnymi na zewnątrz, w miejsce, z którego dostał się do biblioteki.

Stał tam szeroko uśmiechnięty Eric.

– Długo mi kazałeś czekać na zimnie, młody – powiedział. – Teraz

będziesz mi musiał to i owo wytłumaczyć.

DOM STONE'A

Danny chciał zrobić wrota i uciec. Albo wrócić wrotami do biblioteki.

Jednak przypomniał sobie, że Eric jest użyteczny. A chwilę później, że przecież miał nie myśleć o suszłakach tak jak reszta rodziny – dzieląc ich na dwie kategorie „użyteczni” i „zbyteczni”. Nie, jeśli Danny miał nauczyć się być człowiekiem, a nie jakimś żalonym, niedorobionym, niespełnionym bogiem, będzie musiał znaleźć dla Erica inne określenie. Może „przyjaciół”.

– Co widziałeś? – zapytał.

– Ważne, czego nie widziałem – powiedział Eric.

– To znaczy?

– Ciebie. – Eric uśmiechnął się szeroko. – Niezła sztuczka, ot tak stać się niewidzialnym.

– To zrobiłem?

– To widziałem – odparł Eric. – No weź, mnie możesz powiedzieć. Trzymałeś to w tajemnicy przez całą drogę z Lexington do Waszyngtonu, jesteś mi to winien.

Zdenerwował tym Danny'ego.

– Myślę, że z grubsza jesteście kwita. Zebrząc ze mną, zarobiłeś więcej, niż zwykle zarabiasz sam. I zabrałeś wszystkie pieniądze.

– Dzieliłem się z tobą jedzeniem.

– Na które zapracowałem. Nikt nikomu nie jest nic winien.

– Nie byłbym tego taki pewny. Na przykład... a gdybym tak powiedział o tobie glinom?

– Czy my mamy pięć lat? – spytał Danny. – „Rób, co każe, bo naskarzę mamie”?

– Myślę, że pewne agencje rządowe chętnie by cię zbadały.

A zatem Eric wcale nie był przyjacielem. Chociaż... przez całe życie kombinował, we wszystkim szukał korzyści dla siebie. Wystarczy mu pokazać, jak małą ma nad Dannym władzę, a zaraz na powrót zmieni się w pomocnego starszego brata.

– E tam, nie zrobisz tego – zbył go Danny.

– Tak sądzisz?

– Po pierwsze, kto ci uwierzy, kiedy zaczniesz opowiadać o chłopaku, którego poznałeś w Lexington? Co o mnie powiesz?

– Że potrafisz stać się niewidzialny.

– Jasne, zawsze chętnie słuchają opowieści nastoletnich żebraków o niewidzialnych dzieciach. Mają cały wydział agentów, którzy sprawdzają takie zgłoszenia.

– No dobrze. – Eric machnął ręką.

– Poza tym gdybyś pomyślał o tym jakieś trzy sekundy, znalazłbyś wielki słaby punkt pomysłu oddania mnie w ręce rządu.

– To znaczy?

– Trzy sekundy.

– Nie pogrywaj ze mną, młody.

Danny policzył na palcach do trzech.

– No dobrze – powiedział Eric znowu. – Po prostu stałbyś się niewidzialny i nie mogliby cię złapać. Ale co by było, gdyby dorwali cię z zaskoczenia i założyli ci kajdanki? Co ci po niewidzialności, kiedy jesteś skutny?

– I to jest trzecia sprawa. Nigdy, ani przez sekundę, nie byłem niewidzialny.

– Wiem, co widziałem.

– Nie widziałeś niewidzialnego dziecka – zapewnił Danny.

Eric już miał mu się odciąć, kiedy Danny podniósł trzy palce i znów zaczął odliczać.

– Jeśli nie byłeś niewidzialny, to jaki? – spytał Eric.

– Nie jaki, tylko gdzie.

– Aha, nie byłeś obecny, ale niewidzialny, tylko widzialny, ale nieobecny.

– I nawet gdybym ci to powiedział, uwierzyłybyś mi? A co by było, gdyby usłyszeli to inni? Zawsze ktoś był w pobliżu.

– Czyli skoro możesz się w każdej chwili ulotnić, czemu nie uciekłeś, kiedy cię tutaj nakryłem?

– Myślałem o tym – przyznał Danny. – Ale stwierdziłem, że choć ty porzuciłeś mnie tylko dlatego, że chciałem zwiedzić Mall, ja nie jestem typem człowieka, który porzuca przyjaciela.

Eric przewrócił oczami, po czym zamknął je, skinął głową i wyciągnął rękę.

– No dobra, stary. Jesteśmy przyjaciółmi.

– Cóż, ja wiem, że jestem dobrym przyjacielem. Za to ty dopiero co

groziłeś, że oddasz mnie w ręce gliniarzy albo rządu. Skąd mam wiedzieć, czy mogę na tobie polegać?

– Po pierwsze, w ogóle nie musiałem zabrać cię z sobą. Nie musiałem też łązić za tobą po Mall, od Lincolna przez Waszyngtona po Kapitol.

– Dlaczego po prostu nie poszedłeś ze mną, zamiast mnie śledzić?

– spytał Danny.

– Możemy zostawić ten temat? Martwiłem się o ciebie.

– Uhm, tak myślałem.

– Co myślałeś?

– Że ci na mnie zależy.

– Dostyc już, bo się porzygam.

– Czyli więcej nie będziesz mną dyrygował? – spytał Danny.

– Pewnie będę – powiedział Eric. – Tylko że nic z tego nie wyjdzie.

– I obyś o tym pamiętał.

– O wszystkim decydujemy wspólnie.

– Zgoda.

– Najpierw jednak musisz mi powiedzieć, jak to działa, to, co robisz.

– I znowu to „musisz”.

– Jak mam to wykorzystać z pożytkiem dla nas, jeśli nie wiem, jak to działa?

– Z pożytkiem dla „nas”?

– Jesteśmy przyjaciółmi i współpracownikami, nie? Ty jakoś nie miałeś nic przeciwko wykorzystywaniu moich umiejętności. Możesz mnie tego nauczyć? Znikania i pojawiania się gdzie indziej?

– Jednym słowem... nie.

– Nie możesz czy nie chcesz?

– Sam dopiero próbuję zrozumieć, na czym to polega.

– A gdzie byłeś, kiedy cię nie było?

– W bibliotece.

– Co, poczułeś nagłą potrzebę skorzystania z biblioteki? Chwylił cię głód książek?

– Musiałem się załatwić.

– I naprawdę tam poszedłeś?

– Naprawdę.

Eric przyjrzał mu się uważnie. Wydawał się usatysfakcjonowany.

– No dobra, czyli wiemy, że umiesz przenikać przez ściany.

– Oczywiście, że tak.

– Dlaczego „oczywiście”? – zdziwił się Eric. – Skąd miałbym

wiedzieć, że umiesz przenikać przez ściany?

– No dobra, nie oczywiście. Ale tak, umiem wchodzić i wychodzić z budynków tą samą drogą. Bez drzwi.

– Robisz dziury w ścianach?

– Nie. To są wrota.

– Proszę, przestań mówić tak, jakby chodziło o coś, co wie każdy głupi.

– Przepraszam.

– Na jak duże odległości to działa? Jak daleko możesz przejść?

– Nie wiem. Do tej pory przenosiłem się najwyżej o parę kilometrów.

Może.

– Ale możesz przejść wszędzie, gdzie chcesz?

– Jak dotąd tak.

– Nawet w miejsce, którego nigdy nie widziałeś?

Danny się zastanowił. Kiedy pierwszy raz przekroczył przez wrota granicę ziemi rodziny, nie wiedział, gdzie po drugiej stronie wyląduje.

A już na pewno nie miał pojęcia, jak jest w pustej przestrzeni w ścianie biblioteki Northów w starym domu, zanim się tam przeniósł.

– Tak. Ale nie jestem pewien, jak to robię. Ciągłe się boję, że wrota przerzucą mnie do wnętrza drzewa, kamiennego muru czy czegoś takiego i wysadzę w powietrze pół miasta.

– Ale do tej pory tak się nie stało – powiedział Eric.

– Jeszcze istnieję – stwierdził Danny – więc tak się nie stało.

– Możesz przenieść mnie ze sobą?

Danny wzruszył ramionami.

– Nie wiem. – Wyciągnął rękę. – Chcesz spróbować?

Eric się zawahał.

– Co się ze mną stanie, jeśli się okaże, że jednak nie możesz?

– Nie wiem.

– Albo jeśli możesz tylko zabrać mnie stąd, ale nie przenieść na drugą stronę? Czy po drodze rozpadnę się na cząsteczki?

– Masz naprawdę dziwną wyobraźnię – powiedział Danny.

– Muszę myśleć o konsekwencjach. Zawsze są jakieś konsekwencje.

– Nic nie wiem o tym, jak to działa, Eric.

– To chyba daruję sobie sprawdzanie, czy możesz mnie przenieść.

– Nie wiem, czy to ma jakiś związek, ale za każdym razem

przenoszę ze sobą swoje ubrania – rzekł Danny. – I to, co mam w kieszeniach. No i wkładałem przedmioty we wrota, przez które sam nie przechodziłem.

– A coś żywego próbowałeś przenieść? I czy po drugiej stronie nadal żyło?

– Nie, nie próbowałem.

Eric uśmiechnął się szeroko.

– A widzisz? Nie chcę być pierwszym królikiem doświadczalnym i skończyć jako pół człowiek, pół mucha, uwięziony w pajęczynie, wymachujący rękami i wrzeszczący „Pomocy! Pomocy!”. – Te ostatnie słowa wypowiedział cichym, piskliwym głosem.

– O czym ty mówisz? – spytał Danny.

– Nie oglądałeś starej, czarno-białej „Muchy”? Tej dobrej, nie tej z Jeffem Goldblumem?

– Mówisz o filmach?

– A dlaczego nie? Przecież to wszystko jest jak film. To znaczy, pilnuję swojego nosa, przypadkiem poznaję małolata, biorę go pod swoje skrzydła i nagle okazuje się, że skubaniec potrafi zniknąć z jednego miejsca i pojawiać się w innym. Jestem w odcinku „Strefy mroku”. Teleportacja. „Gwiezdne wrota”! – Czymkolwiek te „Gwiezdne wrota” były, Eric najwyraźniej za nimi przepadał. – Dlaczego wcześniej tak o tym nie pomyślałem? Oczywiście, ty nie potrzebujesz żadnej piramidy, wielkiej maszyny ani niczego takiego, więc to nie to samo.

– Rzadko oglądam filmy – przyznał Danny.

– Podsumujmy, co już wiemy. Możesz przenikać przez ściany. I wkładać różne rzeczy we wrota bez przechodzenia przez nie, zgadza się? Czyli jesteś, można powiedzieć, idealnym włamywaczem.

– Włamywaczem?

– No wiesz, gościem, co dostaje się do cudzych domów i kradnie, nie budząc domowników.

– Wiem, co to włamywacz.

– Skąd miałem wiedzieć, że wiesz? Skoro nie znasz „Muchy” ani „Gwiezdných wrót”, to ja nie wiem, czy ty spodnie przodem na przód umiesz włożyć.

Eric powiedział to z szerokim uśmiechem. Danny odwzajemnił uśmiech.

– Nie jestem włamywaczem.

– Poważnie? Skąd masz te ubrania?

– Z Wal-Marta.

– Płaciłeś kartą czy gotówką?

– Wyniosłem w wózku przez wrota.

– Czyli jesteś włamywaczem.

- Złodziejem sklepowym.
 - Czyli kiedy okradasz Wal-Mart, wszystko jest cacy, ale okradanie bogaczy...
 - Muszą być jakieś granice. Okradniesz Wal-Mart, to co najwyżej trochę podniosą ceny, żeby zamortyzować koszt.
 - „Zamortyzować”? – Eric wymówił to powoli, drwiąco, jakby znajomość właściwego słowa była powodem do wstydu.
 - Włamanie do czyjegoś domu to co innego, Eric. Tam są rzeczy osobiste.
 - Czyli... a jeśli obiecuję, że będziemy okradać tylko takich bogaczy, którzy nawet nie zauważą, że coś im zginęło?
 - Co mielibyśmy kraść?
 - Cokolwiek da się opchnąć paserowi – powiedział Eric.
 - Taki z ciebie wielki gangster, że wiesz, kto handluje kradzionym towarem?
 - Nie, ale znam ludzi, którzy znają ludzi, którzy prawdopodobnie znają ludzi, którzy handlują kradzionym towarem.
 - A my mamy ufać tym znajomym znajomych znajomych? Ten eksperyment niepokoi mnie dużo bardziej niż próba przeciągnięcia cię przez wrota.
 - Czemu ty miałbyś się niepokoić? Cokolwiek się wydarzy, tobie nic nie grozi. Ja biorę na siebie całe ryzyko.
 - I zapewne uważasz, że zasługujesz na więcej niż pięćdziesiąt procent tego, co zarobimy?
 - Tak – zgodził się Eric. – Na dwa razy więcej niż ty.
 - Mimo że to ja mam wchodzić do domów i ryzykować, że mnie złapią.
 - Przecież to dla ciebie żadne ryzyko. Nikt nie może cię złapać.
 - Mogą mnie rozpoznać. Mogą rozwiesić plakaty z moją podobizną.
 - No to co?
 - Wtedy nie mógłbym chodzić do sklepów ani pokazywać się na ulicach.
 - Nikt nie zwraca uwagi na takie ogłoszenia. Wierz mi, są w Waszyngtonie dzielnice, w których każdy jest na jakimś plakacie.
- Danny'emu wciąż nie podobał się pomysł okradania cudzych domów. A jednocześnie wydawało się to lepsze od żebractwa. Praca pod dachem, więcej pieniędzy, no i jeśli będą obrabiać tylko domy bogaczy, komu stanie się krzywda?
- Usłyszał głosy i podniósł głowę. Dwaj uzbrojeni mężczyźni

w mundurach wyszli z biblioteki.

– Chodźmy stąd.

– Za późno, zobaczyli nas – odparł Eric. – Jeśli damy nogę, będą myśleć, że znaleźli tych, których szukają.

– Przecież jestem tym, kogo szukają.

– Aha, czyli w bibliotece trenowałeś włamywanie się, co?

– Co wzięłem, odłożyłem na miejsce.

– Czyli nie masz w plecaku nic podejrzanego?

– Jestem czysty.

– To się wyłgaj, a nie puszczaj za tobą listu gończego.

– Nigdy nie rozmawiałem z gliną – powiedział Danny. – Wszystko schrzanię.

– To nie gliny, tylko ochrona budynku, a poza tym bądźmy szczerzy, młody, ty byś namówił jednoręką kobietę, żeby ci sweter udziergała.

Danny sądził, że z nich dwóch to raczej Eric ma większy dar przekonywania – przecież namówił go, żeby został włamywaczem. Jednak ochroniarze już krzyczeli na nich, że mają się nie ruszać, więc nie było okazji mu tego wytknąć.

– Otwórz plecak! – krzyknął jeden z ochroniarzy, podchodząc.

– I obaj wywróćcie kieszenie.

– Tak jest, już się robi, psze pana – powiedział Eric.

Danny rozpiął wszystkie zamki plecaka. Kiedy to robił, przyszło mu do głowy, że to podobna sytuacja jak wtedy, gdy zaczął go detektyw z Wal-Marta. Teraz nie było w pobliżu przechodniów, których można by wezwać na świadków, ale tamten fortel nadawał się do powtórnego wykorzystania – posunąć się dużo dalej, niż ochroniarze żądali, i kompletnie wytrącić ich z równowagi.

Ściągnął koszulę przez głowę, zsunął buty i spuścił spodnie.

– Mówiłem, żebyś wywrócił kieszenie! – ryknął ochroniarz. – Co ty robisz?!

Jego partner uśmiechał się złośliwie.

– To żebyście mogli sami przeszukać moje ubrania – powiedział Danny. – Bo nie chcę, żebyście mnie obmacywali.

– Ja nie mam nic przeciwko – dorzucił Eric. – Mnie możecie macać.

Danny podał spodnie i koszulę krzykaczowi, a buty i skarpetki jego partnerowi. Obaj stali z jego ubraniami w rękach jak idioci, bo nie mieli pomysłu, co z nimi zrobić. Wtedy Danny pod wpływem impulsu odwrócił się do nich plecami, schylił się, ściągnął slipy i rozłożył pośladki. Rany, ale było zimno.

– Stań prosto i podciągnij gacie! – Krzykacz już wrzeszczał.

Danny wykonał polecenie.

– Barry, on się chyba na ciebie wypiął – powiedział ochroniarz trzymający buty.

– Raczej na was obu – zauważył usłużnie Eric.

Danny stanął twarzą do nich, już w podciągniętych slipach.

– Nie wiem, czego szukacie, ale chciałem wam pokazać, że tego nie mam.

– Powinienem cię aresztować za obnażanie się w miejscu publicznym!

– Mnie się wydawało, że kolega tylko pomagał funkcjonariuszowi w pełnieniu obowiązków służbowych – powiedział Eric. – Pewnie nasz wyznaczony z urzędu adwokat mógłby wykazać, że przesłuchując dziecko, przekroczyliście swoje uprawnienia.

Ochroniarz Barry spojrział na Erica z żądzą mordy w oczach.

– Czego szukacie? – spytał Danny.

– Książki – powiedział ten, który nie był Barrym.

– Nie zmieściłaby mi się do odbytu – zauważył Danny. – I chyba w ogóle nikomu.

– Nikt nie twierdzi, że by się zmieściła! – ryknął Barry.

– To po co wam moje ubrania? – spytał Danny.

Barry rzucił ciuchy Danny'ego na ziemię i odszedł. Jego partner podał Danny'emu buty i skarpetki.

– Zabawny z ciebie gałgan – powiedział z uśmiechem. – Gdybyś był moim synem, zrywałbym boki ze śmiechu, tłukąc cię na kwaśne jabłko.

– Po czym odwrócił się i pobiegł za Barrym.

– To była ostra jazda – rzekł Eric. – Nie do wiary, że pokazałeś im tyłek z tak bliska.

– Wydawało mi się, że to dobry pomysł. – Danny nie wspomniał, co zrobił w Wal-Marcie. Psikusy są mniej śmieszne, kiedy ludzie wiedzą, że podobne numery wycinałeś już wcześniej.

– Chodźmy stąd – powiedział Eric. – Ten Barry pewnie się zastanawia, co mógłby zmieścić w twoim tyłku.

– Daj mi się ubrać – odparł Danny.

– Byle szybko. Robisz mi obciach. Z tymi chudymi, bezwłosymi kulasami obsypanymi gęsią skórką wyglądasz jak chihuahua. Albo nagi pies meksykański, czy jak go tam zwał. Najbrzydszy pies, jakiego w życiu widziałem. Jakbyś oglądał swojego dziadka gołego.

Danny wyobraził sobie gołych Gyisha i Zoga i uśmiechnął się mimo

woli. Oczywiście, gdyby Zog nasłał na człowieka stado jastrzębi – zwłaszcza jeśliby jednym z nich był jego klient – nie byłoby już tak wesoło.

Resztę dnia zajęło im zorganizowanie spotkania z facetem wyglądającym jak Arab, który urzędował na zapleczu małego sklepu spożywczego. Facet nie mógł oderwać oczu od Danny'ego.

– Dajcie spokój! Przecież to dziecko.

– Tak tylko wygląda – zapewnił Eric. – Naprawdę skończył dwadzieścia pięć lat, ale ma chore te, no, gruczoły.

– Mam czternaście lat – skłamał Danny, ale tylko trochę. Dopóki nie podrośnie, nikt nie weźmie go za piętnastolatka. – Nie wiedziałem, że ustala pan dolną granicę wieku dla dostawców.

– Mówcie, co macie.

– Wszystko, czego pan zechce – odparł Eric. – Bylebyśmy dali radę to we dwóch przytachać.

– To znaczy, że jeszcze nawet tego nie zrobiliście?

– Czego? – spytał Eric. – My znajdujemy rzeczy, to wszystko. Mamy szczęście. Ludzie gubią różne rzeczy, my je znajdujemy. Domyśla się pan więc, że na wielkoekranowe telewizory HD nie ma co liczyć, nie? Za ciężkie, żeby mój kuzynek je udźwignął.

Paser zrobił lekceważący gest.

– Wystawiajcie je na eBayu. Albo na Craig's List.

– Jasne. Jakbyśmy mieli stronę internetową, e-mail, komputer czy chociaż aparat fotograficzny, żeby robić zdjęcia towaru.

– To go znajdźcie. A teraz wynocha z mojego sklepu.

– Tylko jedno pytanie. Biżuteria? Dzieła sztuki? Laptopy i iPady?

Co?

– I nie wracajcie – rzekł paser.

– Czyli laptopy – rzucił Eric.

Facet wstał. Był niewiele wyższy od Erica, ale miał na sobie podkoszulek bez rękawów i wyglądał, jakby pod skórą zbudowany był z naprężonych sznurów.

– Cokolwiek mi przyniesiecie, rozwalę kijem baseballowym.

Od waszych łbów poczynając. Dlaczego to do was nie dociera?

– Cieszymy się, że będziemy z panem robić interesy – powiedział Eric. – Chodź, kuzynie. Nie przeszkadzajmy panu, na pewno zaraz ma następne spotkanie.

Danny z ulgą wyszedł za Erikiem z kantorka do sklepu.

– Jestem głodny – westchnął, oglądając przekąski przy kasie.

– Nie tutaj! – syknął Eric. – Chcesz, żeby nas zabili?

Kiedy wyszli na ulicę, Danny nie wytrzymał, musiał zapytać.

– To tak zwykle robisz interesy?

– Żartujesz? Świetnie nam poszło.

– Groził, że cię zabije!

– Nas. Kiedy mówił o kiju baseballowym, dotyczyło to też ciebie.

– Tylko że ja nie będę mu się pchał pod ten kij. Co teraz zrobimy?

Nikt ci nie powiedział o żadnym innym paserze. Twoi znajomi wcale nie mają takich dobrych układów.

– Och, będzie od nas kupował, zobaczysz.

Danny nie mógł powstrzymać śmiechu.

– Teraz rozumiem. Ty kantujesz nawet samego siebie.

– To nie kant – powiedział Eric. – Facet boi się, że przysłały nas gliny, że jesteśmy na podsłuchu i co tam jeszcze. Dlatego odstawił tę pokazówkę i nas wyrzucił. Ale jak wieczorem przyniesiemy towar, to go weźmie.

– Nie – stwierdził Danny. – Potrafię poznać, czy ktoś kłamie, i mówił serio, kiedy zabronił nam wracać.

Eric wzruszył ramionami.

– E tam, wiesz, jak jest. Łatwo zrezygnować z czegoś, czego się nie widziało. Jak przyjdziemy z towarem, zmieni zdanie.

– Albo zmieni nam głowy w miazgę.

– Zaufaj mi.

– I ty myślałeś, że zbyt niebezpiecznie jest przejść przez wrota.

– Dlatego tworzymy taki świetny zespół – powiedział Eric. – Obaj nie mamy pojęcia o zupełnie innych sprawach.

Danny nie był pewien, jak to jest z tym „świetnym zespołem”. Miał wrażenie, że zespół Erica składa się tylko z jednego członka i nie był nim Danny. Poznał to po tym, że Eric patrzył na niego z takim samym przejęciem, jakie okazywał, bajerując jeleni. Wierz mi, wierz mi, wierz mi, mówiła jego twarz. Teraz już Danny wiedział – to znak, że Eric nie tyle kłamie, ile po prostu czegoś od ciebie chce. Ufaj mi, dopóki nie dostanę od ciebie tego, na czym mi zależy.

Cóż, od Danny’ego chciał kradzieży bez komplikacji. Włamania bez włamania. A Danny mógł mu to zapewnić.

Szukając pasera, Eric wydebił zaproszenia na nocleg od dwóch znajomych. Jeden miał współlokatora, więc mogliby się tam zatrzymać tylko na jedną, najwyżej dwie noce.

Drugi, Ced, jakieś dwa lata starszy od Erica, zachwalał dom,

w którym mieszkał, jak alfons prostytutkę.

– Fajny, dwupiętrowy, w porządnej dzielnicy, a Stone, właściciel, po prostu lubi towarzystwo, byleby nikt mu nie zapychał kibla i nie odstawiał bara-bara na sofie. Korzystajcie od czasu do czasu ze zmywarki. Gdyby o coś poprosił, zróbcie to, ale bez obaw, prawie nigdy niczego od nas nie chce. Nazywa nas swoim „personalem” albo „ekipą”, ale jest w porządku.

Dla Danny’ego i Erica kluczowymi słowami były „możecie zostać, jak długo chcecie”. Dom stał jakieś sześć przecznic na wschód od Biblioteki Kongresu i dwie przecznice na zachód od Lincoln Park. Danny nie miał pojęcia, jak dzielnica musiałaby wyglądać, żeby być „nieporządna”, ale porządna prezentowała się całkiem ładnie, zwłaszcza w oczach chłopaka z farmy w Wirginii. Domy miały od frontu krótkie schodki prowadzące do drzwi z chodnika. Pod schodkami zwykle były piwnice albo mieszkania na parterze. Dużo ogrodzeń i furtek, ale w większości tak niskich, że gdyby ktoś miał ochotę, mógłby je bez trudu przeskoczyć. Ludzie spacerujący z psami w gęstniejącym mroku. Albo wracający z pracy. Albo wybierający się na wieczór do miasta.

– Trzy przecznice od stacji metra – powiedział Eric. – Nieźle.

– Nie jesteśmy stosownie ubrani do tej dzielnicy – zauważył Danny.

Eric wyliczył na palcach powody, dla których Danny jest za głupi, żeby żyć.

– A. Jesteśmy dziećmi. Jesteśmy ubrani jak dzieci. To nasz uniform.

B. Nie musimy być stosownie ubrani do tej dzielnicy. To dzielnica, w której będziemy mieszkać. Musimy być stosownie ubrani do dzielnicy, w której będziemy znajdować bezpieczne drogie rzeczy. W tamtej dzielnicy będziemy musieli uważać, żeby gliny nie zainteresowały się, co tam robimy.

– Czyli do tamtej dzielnicy jesteśmy ubrani stosownie? – spytał Danny.

– Zapomniałeś o numerze A? – odparował Eric. – Jesteśmy dziećmi.

– A to nie numer – mruknął Danny i Eric go popchnął. Danny potknął się o krawężnik i omal się nie przewrócił, ale Eric złapał go i pomógł odzyskać równowagę. A wszystko to ze śmiechem.

Eric może i był pełnym samolubem, ale przecież kuzyni Danny’ego nie byli inni. I nigdy z nim nie żartowali.

– To gdzie jest ta wspaniała dzielnica? – spytał Danny.

– Jeszcze nie wiem.

– Myślałem, że znasz Waszyngton.

– Mówiąc wprost, znam miejsca, gdzie się zebrze, i miejsca, gdzie

kupuje się narkotyki. A tam nie ma czego kraść. Albo inaczej: jest dużo rzeczy, które można kraść, ale jeśli to robisz, dopadają cię i zabijają na maksa.

Danny uśmiechnął się szeroko, przekonany, że to żart.

– Na maksa?

Eric nie śmiał się, kiedy odpowiedział:

– Zanim cię zabiją, obcinają ci różne części ciała, żeby ludzie, którzy cię znajdą, potem rozgłosili to ku przestrodze innym, którzy mogliby chcieć coś ukraść.

A zatem byli na świecie źli ludzie. Danny w zasadzie to wiedział – z wiadomości czytanych w internecie i lekcji historii w szkole. Nie myślał jednak o takich ludziach jak o żywych osobach, zwłaszcza działających w takim mieście jak Waszyngton.

Poszli pod adres, który dał im Ced. Dom był świeżo pomalowany, z obfitością kwiatów w doniczkach, skrzynkach i skrawku ziemi, który służył za ogródek. Mimo zimy wszystkie kwitły. Ich zapach wdzierał się do nosa Danny'ego, który stał i upajał się nim, przelotnie zaciekawiony, czy to możliwe, by ich gospodarz, Stone, był Sługą Nasion lub innym magiem roślin. To jednak byłby zbyt duży zbieg okoliczności – gdyby pierwsze miejsce, w którym zatrzymał się w Waszyngtonie, okazało się domem członka jednej z pozostałych rodzin.

Ced kazał im wejść bez pukania, ale Eric wyraźnie się krępował. Postąpił chwilę na progu, po czym zastukał i wcisnął dzwonek. Obaj usłyszeli jakieś poruszenie w środku i wreszcie otworzyła im kobieta... nie, dziewczyna w wieku około szesnastu lat, ubrana w za dużą, białą, zapinaną na guziki męską koszulę z zawiniętymi rękawami i chyba nic poza tym. Danny nie mógł oderwać od niej oczu, a jednocześnie czuł, że musi patrzeć wszędzie, tylko nie na nią.

Dziewczyna zmierzyła ich wzrokiem. Potem zawołała przez ramię:
– To nikt taki, jakiś chłopak chce się tu przekimać z młodszym bratem!

– Możemy wejść? – spytał Eric.

Spojrzała na niego z tak serdeczną pogardą, że Danny zaczerwienił się za niego.

– To chyba znaczy „tak” – powiedział.

– Czy wszystkie dziewczyny rodzą się ze zdolnością urywania ci jaj jednym spojrzeniem? – mruknął Eric i wszedł pierwszy do środka.

Ced właśnie wchodził do zabałaganionego salonu, wyraźnie wkurzony.

– Mówiłem wam, żebyście wchodzili bez pukania, kretyni. Jak ktoś dzwoni do drzwi, zakładamy, że to gliny. Jeszcze chwila i spuściłbym cały towar w kiblu.

– Wydawało mi się, że mieliśmy nie zapychać sedesu – powiedział Eric.

– Jakiś ty dowcipny – mruknął Ced.

– Przedstawisz swoich przyjaciół? – spytała dziewczyna.

– Przestali być moimi przyjaciółmi, kiedy wcisnęli dzwonek.

Danny wyciągnął rękę.

– Jestem Danny.

– Ile masz lat? – zapytała. – Dwanaście?

– Trzynaście.

– Uuu, jaki dorosły. A włosy na kłacie masz?

Danny nie bardzo wiedział, o co jej chodzi.

– Nie sędzę – powiedział.

– A gdzie indziej? – dociekała.

– Wyluzuj – rzekł do niej Eric. – To jeszcze dziecko.

– Staruch się znalazł. Ty kto?

– Eric. Masz jakieś imię?

– Jaki dziś dzień?

– Czwartek – odpowiedział Ced, który siedział na podłodze i skręcał papierosa. Danny mógł się domyślić, co w tym papierosie było.

– To mam na imię Lana – powiedziała dziewczyna.

– A gdyby dziś była środa? – spytał Eric.

– To rozpięłabym ci rozporek, zamiast gadać. W środy się puszczam.

– Całe szczęście, że poznaliśmy cię w postny czwartek – stwierdził

Eric.

– Nic lepszego nie umiesz wymyślić?

– Mam bardziej cięte riposty, ale takich nie rozdaję za darmo.

– Tak? Co, musisz je zemleć i mieszać z sokiem jabłkowym, żeby ktokolwiek je łyknął?

– Słuchaj... – Eric zwrócił się do Ceda. – Potrzebujemy nie tylko miejsca na nocleg, ale i porady. Jest pan Stone?

Lana wydała okrzyk, który zapewne miał uchodzić za wybuch śmiechu.

– Nie „pan” Stone – powiedział Ced. – Stone wystarczy. To jego imię. Być może jedyne.

– To tłumaczenie – wyjaśniła Lana – niedającego się wymówić imienia, które rodzice nadali mu w ich ojczystym języku.

Danny nadstawił uszu.

– Jaki to język? – spytał.

– Amazyński. Czy amazoński? Nie, pomyliło mi się z księgarnią internetową. Ambulatoryjny?

– Ona nie wie. – Ced podał Lanie jointa.

– Nie teraz – powiedziała.

Ced wzruszył ramionami i zatrzymał jointa, chociaż go nie zapalił.

– Po co wam porada Stone'a? – spytała Lana.

– Pomyślałem sobie, że skoro trochę czasu mieszka w Waszyngtonie, pewnie mógłby nam wskazać dzielnicę, w której najłatwiej o małe, drogie, bezpańskie rzeczy walające się w miejscach, gdzie ja i Danny moglibyśmy się na nie natknąć.

– Nie musicie o to pytać Stone'a. Skąd wyście się wzięli? Wszyscy wiedzą, że szukacie Georgetown.

– Myślałem, że to college – stwierdził Eric.

– Uniwersytet – uściśliła Lana. – Ale i ekskluzywna dzielnica. Albo możecie się wybrać do Chevy Chase w Marylandzie. Najprościej mówiąc, im dalej na zachód, tym wyższe dochody. Zgaduję, że spodziewacie się znajdować te drogie rzeczy w domach?

– Myślę, że tam będzie to bardziej prawdopodobne – odparł Eric.

Danny był przerażony, że Eric ot tak zdradza ich plany obcym. Skąd wiedział, że któryś z tych ludzi nie powie wszystkiego glinom?

– Twój mały koleżka uważa, że nie powinieneś głośno mówić o waszych kryminalnych intrygach – powiedziała Lana.

Eric spojrział na Danny'ego.

– Jeszcze nie jest do tego przekonany. Ale to od niego silniejsze; jest w tym tak dobry, że po prostu nie może przestać. Talent to przeznaczenie.

– W czym konkretnie dobry? – spytała Lana.

– W dostawaniu się do zamkniętych miejsc.

– Jak to robi?

– Myślę życzenie, a ono się spełnia – powiedział Danny. Ukląkł na podłodze i zaczął przeglądać pisma leżące na stoliku. Chciał zająć uwagę Erica czymś innym. Nie udało się.

– To czary, naprawdę – rzekł Eric. – Nie dotyka drzwi ani okien. Nie zostawia śladów stóp ani odcisków palców. Po prostu pojawia się wewnątrz domu.

Danny miał dość.

– Przestań, proszę!

– Nie denerwuj się, bo dziewczyna uwierzy, że naprawdę czarujesz

– uspokajał go Eric.

– Och, ja w to wierzę. Widać po nim, że ma w sobie magię. – Lana zsunęła się z sofy i uklękła przed Dannym.

Była tak blisko, że czuł na twarzy jej oddech, i wydawało się, że jeszcze trochę, a piersiami dotknie jego torsu. Chciał odwrócić się z powrotem do stolika, ale bał się, że wtedy wpadnie na nią i będzie to wyglądało tak, jakby się do niej dobierał.

– No, Danny... – Położyła dłonie na jego ramionach. – Wyczaruj coś dla mnie.

– Zostaw go, Lana, to jeszcze dziecko – upomniał ją Ced.

– Co, jest lolitkiem? – Objęła Danny’ego. Napierała na niego piersiami, jej oddech wpadał prosto w jego usta i nos, wargami muskała jego wargi, kiedy mówiła: – No, lolitku, czemu mnie nie całujesz?

Oderwał się od niej, ale jako że był na klęczkach, mógł tylko się odchylić. Na co najwyraźniej liczyła, bo dosłownie dosiadła go i pchnęła na dywan. Po chwili przygwoździła jego barki dłońmi do podłogi, ale ponieważ kolana wciąż miał zgięte pod sobą, wygiął się w łuk, biodrami ku górze. Siedziała na nim okrakiem i Danny czuł się jak nigdy dotąd. Do tej pory nie znał żadnych dziewczyn, tylko kuzynki, z którymi się wychowywał. A one były jak siostry. No, mniej niż siostry, bo dobrze je znał i nimi gardził. Lana nie była jego siostrą i nie gardził nią, przeciwnie, był niezmiernie zafascynowany nią i uczuciami, które w nim budziła. Jednocześnie jednak z każdym kolejnym ruchem jej ciała pod białą koszulą wpadał w coraz większy popłoch. Cóż to za magia, która działa na ludzi, nie na zwierzęta, rośliny lub żywioły? Czy to jest owo zakazane „zaklinanie ludzi”, o którym mówi się tylko szeptem?

– Przestań, Lana – powiedział Eric. – Nie przyprowadziłem go tutaj, żeby złapał od ciebie jakiegoś syfa.

Wykręciła się w bok, żeby posłać mu miażdżące spojrzenie. Danny nie widział jej twarzy, ale wykorzystując to, że odwracając się, puściła jego barki, podniósł się na łokciach. Niemal od razu tego pożałował, bo jej widok wzmógł wszystkie jego doznania w takim stopniu, że w głowie mu się zakręciło.

– Podoba ci się? – spytała go Lana.

– Chłopak nawet nie wie, co widzi – powiedział Eric.

– Nie musi wiedzieć. Wystarczy, że ja wiem. – Podniosła się na kolanach, sięgnęła rękami do tyłu, między swoje uda, wsunęła palce za pas Danny’ego i zaczęła ściągać mu spodnie i majtki.

Danny był tak zaskoczony i przerażony, że krzyknął i próbował

wycofać się na łokciach. To jednak tylko pomogło jej zdejmować mu spodnie, pospiesznie popęzł więc w przeciwnym kierunku, ku niej. Dzięki temu zachował spodnie.

– Pomóż mi ściągnąć ją z niego, zanim go zgwałci – powiedział Eric do Ceda. Chwycił Lanę pod jedno ramię i częściowo dźwignął ją z podłogi, zanim Ced pomógł mu z drugiej strony.

– Musicie poczekać na swoją kolej, chłopaki – protestowała, ale już po chwili zdjęli ją z Danny'ego.

– Podciągnij gacie – rzekł Eric z miażdżącą pogardą.

– Staram się – powiedział Danny. Tak naprawdę jednak ściągnęła mu spodnie tylko trochę i przyszło mu do głowy, że może wcale nie zamierzała tego zrobić, może tak naprawdę chciała tego, co spotkało ją teraz: Ced bezceremonialnie wypchnął ją z pokoju.

– Jestem nauczycielką tego chłopaka – mówiła jeszcze, chichocząc.

– Dostał stypendium do mojej prywatnej szkoły!

Ced wyprowadził ją za drzwi, narzekając bardziej ze smutkiem niż ze złością:

– Czasem zupełnie brak ci rozsądku, Lana.

Danny odczuł ulgę, kiedy wyszła. I zawód. Ale ulga była zdecydowanie silniejsza.

– Co to za jedna? – spytał Eric, kiedy Ced wrócił do salonu.

– Jednoosobowy rządowy program wsparcia dla napalonych?

– Moja żona. – Ced westchnął. – Nie współczujcie mi. Była taka, zanim się z nią ożeniłem.

– To po co to zrobiłeś?

– Wierz lub nie, ale jest już dużo spokojniejsza niż kiedyś.

I wtedy, ku swojemu zaskoczeniu, Danny usłyszał za ścianą kobiecy płacz.

– Czy to...

– Tak, to ona – powiedział Ced. – Teraz strasznie jej wstyd i nienawidzi siebie, więc przez następną godzinę będę ją musiał przekonywać, żeby nie rzuciła się do Potomacu ani nie zgłosiła się na zamachowca samobójcę do Greenpeace czy innego Towarzystwa Przyjaciół Zwierząt. – Ciężkim krokiem wyszedł z pokoju.

Jak tylko zniknął za drzwiami, Eric gruchnął na kanapę i zaśmiał się bezgłośnie, przewracając się z boku na bok, jakby rżał na całe gardło, a nie tłumiał wesołość.

– Dla mnie to mało zabawne – zachnął się Danny.

– Bo nie widziałeś swojej miny.

– Nie chcę tu zostać. A jeśli ona spróbuje znowu, jak będziemy spali?

– Widzisz? Już o tym fantazjujesz.

– Wcale nie. Ja tylko...

– Nie nadymaj się tak, bo pęknieś – powiedział Eric. – Tylko się z tobą droczyła, nie rozumiesz? Bo jesteś taki młody i jesteś prawiczkiem.

Ced i Lana wrócili do salonu. Lana uśmiechała się nieśmiało i teraz już była w sportowych szortach – wystawały spod rąbka koszuli.

– Przepraszam. – Oczy miała podkrążone od płaczu, ale Danny odniósł wrażenie, że zadziwiająco szybko się uspokoiła, o ile jej łzy w ogóle były prawdziwe.

– Nie przejmuj się – powiedział Eric. – Danny dorastał na farmie, nie przywykł robić tego z dziewczynami.

Danny nie miał pojęcia, co to znaczy, ale Lanę i Ceda to rozśmieszyło i był prawie pewien, że śmiali się z niego.

– O czym ty mówisz? – spytał.

– O tobie i owcach, oczywiście. – Eric też rechotał. – No, nie wmawiaj mi, że nie spędziłeś wielu niezapomnianych chwil z tą jedną szczególną owieczką.

Twarz Danny'ego płonęła ze wstydu i wściekłości.

– Przecież to niemożliwe!

– To chyba znaczy, że robił to nieraz – stwierdził Eric, wciąż rozbawiony. – Ale z nim zerwała.

Danny myślał o tym, jak zareagowałyby magowie zwierząt, gdyby ktoś z rodziny zrobił coś takiego któremuś z ich podopiecznych.

– Zwierzęta są... są pod opieką... gdyby ktoś z nas dopuścił się czegoś takiego, dziadek Gyish kazałby go zabić. Stryjeczny dziadek Zog zrobiłby to osobiście.

Dopóki mówił, śmiali się. Gdy jednak skończył, zamilkli i wybałuszyli na niego oczy.

– Serio? – spytała Lana cicho. – Twoja własna rodzina...?

– A potem pochowałiby go na rodzinnym cmentarzu na Hammernip Hill – dodał Danny.

– To po prostu... chore – powiedziała Lana.

– To zbrodnia – stwierdził Ced. – To maltretowanie. Gorzej, morderstwo.

– Spokojnie – odezwał się Eric. – Nie powiedział, że kiedykolwiek to zrobili, tylko że zrobiliby, gdyby ktoś zaczął posuwać owce. Dajcie spokój, to wszystko zupełnie wymknęło się spod kontroli. Nie

przyprowadziłem go tutaj, żeby był molestowany seksualnie. Jest taki młody, że mogliby cię za to zamknąć.

– Przecież nie zamierzałam zrobić tego naprawdę – broniła się Lana.

– Już to robiłaś – poprawił ją Ced. – Przeszłaś od zamiaru do czynu.

– Eric, moglibyśmy pójść gdzie indziej? – spytał Danny. Nie dlatego, że bał się dalszych zalotów Lany. Było mu wstyd, że oni wszyscy widzą w nim nie człowieka, tylko obiekt kpin. No i bał się, że za dużo powiedział o rodzinie. Wymienił nawet imiona Zoga i Gyisha. Czemu nie dał im od razu wydruku z Google Maps z instrukcjami, jak dojechać do osady? Teraz chciał już tylko stąd uciec.

– Wyluzuj – powiedział Eric. – Gdyby to ci się w pewien sposób nie podobało, po prostu byś się... ulotnił, nie?

Danny nie wiedział, co było gorsze – to, że Eric znowu mówił o jego magii wrót przy tych dwóch nieznanym, czy to, że poniekąd miał rację. Dlaczego nie skorzystał z wrót? Oczywiście, ponieważ ich ciała się stykały, niewykluczone, że zabrałby Lanę ze sobą. To by ją powstrzymało.

Jednak nie dlatego nie stworzył wrót. On nawet o tym nie pomyślał. Nie wyrobił w sobie jeszcze tego odruchu. Gdyby rzuciła się na niego z nożem albo brzytwą, pewnie też by zapomniał, że może uciec przez wrota. Czy kiedykolwiek był na tym świecie ktoś głupszy od niego?

Czego właściwie dokonał od czasu, kiedy odkrył, że ma tę moc? Uciekł z domu, bo, co tu dużo mówić, raczej nie miał innego wyboru po tym, jak mała Greczynka praktycznie przyłapała go na gorącym uczynku. A potem kradł, zebrał i teraz zamierzał rabować domy. No i za dużo gadał. I dał się przyłapać – Eric widział go, kiedy wchodził we wrota i kiedy przez nie wrócił. Cud, że rodzina jeszcze go nie wytropiła.

– Dasz mu się tu dziś przekimnąć bez obaw, że jakiś demon będzie go napastował w łóżku? – spytał Lanę Eric.

– Na jego miejscu bardziej bym się bała Ceda niż mnie

– powiedziała Lana. – Wiesz, Ced jest gejem. Tylko dlatego za niego wyszłam.

Ced przewrócił oczami.

– Tak karze mnie za to, że pomogłem ci ją ściągnąć z chłopaka.

– No chodź, Eric – namawiał Danny. – Pójdziemy stąd i poszukamy czegoś do jedzenia. – Nie był głodny, lecz chciał zabrać Erica gdzieś, gdzie będą sami, a potem odmówić powrotu do tego domu.

– Stone zawsze ma pełną lodówkę – powiedziała Lana. – Mrożone dania obiadowe. Lody. Sok, ale nic z konserwantami, glutaminianem sodu czy syropem kukurydzianym o wysokiej zawartości fruktozy. I dużo

owoców i warzyw. Najbardziej lubię ogórki.

– Lana! – próbował ją uciszyć Ced.

– Lubię zjadać je w całości. Gryźć i słyszeć chrzęst. – Odwróciła się do Danny'ego. – Wiesz, że warzywa krzyczą, kiedy jesz je na surowo? Trudno to usłyszeć, ale naukowcy wychwycili ten krzyk na superczułych przyrządach. Serio. Ale ja mam to w nosie. Myślę, że soczyste ogóreczki zasługują na cierpienie.

– Co, odstawiła prochy? – spytał Eric.

– Żadnych nie bierze – powiedział Ced.

– Może powinna?

– Próbuje być oryginalna i wyzwolona. Jak krzyżówka Madonny, Mae West i Britney Spears.

Danny czytał o Madonnie i Britney Spears w internecie i wiedział, że to piosenkarki. Nazwisko Mae West nic mu nie mówiło.

– Te suki do pięt mi nie dorastają! – Lana pokazała środkowy palec mężowi... naprawdę był jej mężem?... i kołyszając biodrami, wyszła z pokoju. Sportowe szorty, za duże na nią, z każdym krokiem zsuwały się coraz niżej. W końcu wystąpiła z nich i kopnęła je na środek pokoju. Tym razem nie płakała w kuchni; usłyszeli, że głośno tupiąc, weszła schodami na górę.

– Widzicie, co muszę znieść? – poskarżył się Ced.

– Prawdę mówiąc, oprócz molestowania dziecka wszystko, co widziałem, wyglądało całkiem znośnie – powiedział Eric.

– Od razu mówię, że nie jestem gejem – zapewnił ich Ced.

– Do tej chwili wcale tak nie myślałem. Ale skoro poczułeś potrzebę, żeby o tym powiedzieć...

– Weźcie sobie w kuchni coś do jedzenia. Przez ten czas ją uspokoję i zobaczycie, że to urocza dziewczyna. Po prostu nie ufa mężczyznom. Jej matka miała masę facetów i za dodatkową opłatą dorzucała im Lanę na deser.

– Aha – powiedział Eric.

Danny nie bardzo rozumiał, co Ced miał na myśli. Czy raczej rozumiał, ale nie mógł uwierzyć, że to mogło dziać się naprawdę. Lecz gdyby ktoś mu opowiedział o dziewczynie zachowującej się tak jak Lana, też nie mógłby uwierzyć. Jego kuzynki zaczynały mu się wydawać normalne. Jeśli przewracały go na podłogę, to zawsze po to, żeby go sprać albo natrzeć mu czymś twarz. Nigdy nie czuł się przy tym tak jak z Laną.

– Czemu z braku zaufania miałyby się tak zachowywać? – zapytał.

– Cóż, to pozwala jej panować nad sytuacją, nie? – powiedział Ced.

– Miała nad tobą pełną kontrolę, zgadza się?

– Pchnęła mnie na podłogę. Wzięła mnie z zaskoczenia.

– Wzięła cię? – spytał Eric. – Za co?

Eric i Ced zaśmiali się cicho, pewnie żeby Lana ich nie usłyszała.

– Jest w tym domu miejsce, gdzie mógłbym mieć od was spokój?

– spytał Danny.

– Czemu po prostu nie znikniesz? – odparował Ced i obaj z Erikiem mieli jeszcze większy ubaw. Danny wiedział, że Ced śmiał się, bo myślał, że to tylko żart, a Eric dlatego, że Ced myślał, że to tylko żart, gdy to wcale żartem nie było, przez co był to żart jeszcze lepszy. Danny’emu w ogóle nie chciało się śmiać. Tak naprawdę miał ochotę zniknąć i nigdy więcej nie zobaczyć Erica. Tylko że wtedy musiałyby wrócić do zebrania i sam szukać noclegu po zmroku w obcym mieście.

– Jestem zmęczony. Dziś wieczorem i tak już nic nie zrobimy i chcę się przespać. Nie słuchając chichrania takich palantów jak wy.

Tym wywołał kolejną salwę śmiechu.

Wyszedł i ruszył schodami na górę. Zaglądał za wszystkie niezamknięte drzwi na każdym piętrze, licząc, że znajdzie wolną, wysprzątaną sypialnię, ale takiego pokoju nie było. Wreszcie na strychu dał nura do małego składziku albo dużej garderoby o ścianach zastawionych pudłami i regałami pełnymi ubrań. Zdjął część ubrań z regałów na kółkach, zrobił z nich poślanie na podłodze i wziął jeszcze kilka, by mieć się czym przykryć. Potem zgasił światło, zamknął drzwi i po omacku poszedł na swoje prowizoryczne poślanie.

Nie od razu zasnął, bo ciągle myślał o Lanie, a potem o tym, jak Eric i Ced się z niego śmiali, i znowu o Lanie, a także o domu, za którym tęsknił tak okropnie, że prawie gotów był zginąć, byle tam wrócić.

W końcu, popłakując z tęsknoty i nieco żałując, że Lana nie pomolestowała go jeszcze trochę, zasnął.

Obudził się w całkowitej ciemności, ale równie dobrze mogło już być rano. W garderobie na strychu nie było okien, więc światło z ulicy nie dostawało się do środka. Chciało mu się siku. Przed snem nie odwiedził żadnej z ubikacji na trzech kondygnacjach pokonanych w drodze na górę. Teraz za karę będzie musiał myszkować po ciemnym domu.

A właśnie że nie. Widział te ubikacje, mógł po prostu zrobić wrota do jednej z nich i... chociaż nie, bo co, jeśli ktoś będzie w środku i nagle ni z tego, ni z owego wyrośnie przed nim trzynastoletni chłopak? Zaraz jednak przypomniał sobie, że łazienka między pierwszym a drugim piętrem była nie za dobrze wkomponowana w podest i przy drzwiach

znajdowała się wnąka.

Ledwie o tym pomyślał, a już zrobił wrota i przez nie przeszedł. Tutaj było w miarę jasno. Wokół panowała cisza, tylko z parteru dobiegały śmiech i rozmowy. Po cichu wszedł do toalety i się załatwił. Pomyślał, żeby skorzystać z jednej ze szczoteczek do zębów – miał nieprzyjemny smak w ustach – ale poprzestał na nabraniu wody na stuloną dłoń i przepłukaniu ust. Spuścił wodę, umył i wytarł ręce, położył dłoń na drzwiach i już miał wyjść, kiedy usłyszał, że jacyś ludzie idą po schodach. Może byli jeszcze dość daleko, by zdążył dopaść wrót i zniknąć, zanim dotrą na to piętro. A może nie.

Zgasił światło i zostawiwszy drzwi uchylone, zrobił nowe wrota i wyszedł nimi.

Znalazł się w pokoiku na strychu, tuż obok swego prowizorycznego posłania. Położył się, umeścił i przykrył ubraniami.

Już prawie zasypiał, kiedy coś sobie uzmysłowił: wychodząc z garderoby na strychu, nie widział nic. A teraz widział wszystko.

Czyżby jego oczy oswoiły się z ciemnością? Nie, bzdura – kiedy się obudził, wzrok miał przyzwyczajony do mroku, a teraz wrócił prosto z łazienki, w której paliło się jasne światło. Zgasił je dopiero tuż przed stworzeniem wrót.

Otworzył oczy. Drzwi między garderobą a resztą strychu były otwarte. Kiedy wychodził, były zamknięte. Kto mógł tutaj być?

Próbował zgadnąć.

– Pan Stone? – spytał bardzo cicho.

– Bez obaw – odpowiedział jeszcze cichszy szept. – Dochowam twojej tajemnicy lepiej niż ten idiota, który cię tu przyprowadził.

Danny dostrzegł kontury postaci, która wstała z krzesła niedaleko drzwi.

– Śpij dobrze – powiedział mężczyzna, którego sylwetka zarysowała się w wejściu do garderoby. A potem drzwi się zamknęły.

Z jednej strony to super, że Stone zobaczył, jak Danny zmaterializował się w garderobie na strychu, i nie wpadł w panikę.

Z drugiej – czy to znaczyło, że wiedział, co widzi? Że był z którejś z rodzin? A może to jeden z obserwatorów Thora? I co to znaczyło, że dochowa tajemnicy Danny'ego lepiej niż Eric? „Lepiej” jeszcze nie znaczy „skutecznie”.

Ja naprawdę jestem najgłupszym człowiekiem na świecie, pomyślał Danny. Tak głupim, że pewnie już niedługo pożyję.

Tak głupim, że zaraz po tym, jak zrozumiałem, że najpewniej zginę,

jedyną moją myślą było pragnienie, aby Lana przyszła tu i przed śmiercią wychędożyła mnie do utraty tchu. Mam trzynaście lat, a już jestem zepsuty do szpiku kości i pozbawiony krzty rozsądku. To będzie akt darwinowskiej sprawiedliwości, jeśli umrę, nie dostając szansy na spłodzenie potomstwa. Wzmocni się pula genowa przez usunięcie z niej moich genów.

Czy nie byłoby to ironią losu, gdyby się okazało, że uciekłem od rodziny, by nie wylądować na Hammernip Hill, po to tylko, żeby zginąć tutaj i oszczędzić im fatygi? Bo tak to się skończy. Włamię się do czyjś domu i właściciel rozwali mnie ze strzelby. Nie sądzę, żebym był dość szybki, by zrobić wrota i przejść przez nie w ułamku sekundy między naciśnięciem spustu a dolecaniem pocisku do mojego ciała.

Miał taki zamęt w głowie, że był pewien, że za nic nie zaśnie. I nagle zrobiło się rano, w jego nozdrza wsącał się aromat kawy niosący się aż po strych, drzwi garderoby stały otworem, wpuszczając światło, a on, porządnie wyspany, o dziwo czuł się całkiem nieźle i zdecydowanie nie tak głupio jak wieczorem.

Co tylko dowodziło, że jest absolutnie tępy i nawet nie pamiętał nauk wyciągniętych ze swoich poprzednich błędów.

Eric siedział przy stole kuchennym, z głową złożoną na skrzyżowanych ramionach obok pustego kubka po kawie. Ktoś wsadził mu za kołnierz kilka ciętych kwiatów, jakby Eric był wazonem. Danny uśmiechnął się na ten widok.

– Cieszę się, że jesteś dziś w lepszym humorze.

Mężczyzna pod pięćdziesiątkę, szczupły i niewysoki, ale z dość charakterystyczną szpakowatą brodą, stał przy lodówce i pił z wysokiej szklanki jakąś ohydnie wyglądającą ciemnozieloną miksturę. I znowu tak jak w nocy na strychu, dopiero kiedy się odezwał, Danny go zauważył.

– Pan Stone?

– Stone to moje imię.

– A nazwisko?

– W tym domu Stone wystarczy. Widzę, że podoba ci się to, co Lana zrobiła z kwiatami. Kochasz się w niej?

Danny'ego przeszedł dreszcz.

– Oby nie. Nie sądzę. Ona nie kocha się we mnie. – A potem, ponieważ jakże mógłby nie zrobić z siebie durnia, dodał: – Prawda?

– Na pewno nie kocha się w tobie ani w nikim innym, chociaż trochę podkochuje się w swoim terapeutę. Masz na imię Danny?

– Tak. – Było trochę za późno, żeby próbować pozostać incognito w tym domu; Danny wzdrygnął się na wspomnienie tego, jak

poprzedniego wieczoru podał Lanie rękę i się przedstawił.

– Cóż, Danny, bardzo uważaj na Erica. Mam wrażenie, że nie jest dość bystry, by wiedzieć, że nie zabija się gęsi, która znosi złote jaja.

Eric ani drgnął. Widać naprawdę spał.

– Jeszcze żadnego jaja nie zniosłem – rzekł Danny – ale dzięki za radę. Bo to była rada, prawda?

– Raczej przestroga. Rada by brzmiała: Spław tego oferwę Fagina, Oliverze Twiście, i przekonaj bogatego dziadka, żeby cię adoptował.

– Ja znałem wszystkich moich dziadków i babcię. Odszedłem z domu, bo nie chciałem, żeby moja rodzina dłużej była moją rodziną. Zwłaszcza moi rodzice.

– Nie wątpię, że masz swoje powody, i nic mi do tego.

Danny złapał aluzję. Był o krok od tego, żeby wypłacić kolejne szczegóły dotyczące spraw rodziny.

– Bądź ostrożny, kiedy pójdziesz szukać zgubionych przedmiotów w cudzych domach. Niektórzy nie lubią zastawać u siebie włamywaczy, a stać ich na najlepszą broń, legalną i nielegalną. A ponieważ na co dzień przeważnie nie mają okazji zabijać ludzi, siłą rzeczy będą mieli większą motywację, żeby do ciebie strzelić, tak tylko, by zaspokoić ciekawość co do tego, jakie to uczucie użyć broni, że tak powiem, w gniewie.

– Przyjąłem do wiadomości – zapewnił Danny.

– W takim razie idę do pracy. Pamiętaj, żeby nie przynosić tutaj rzeczy zabranych z cudzych domów. Nawet na kilka minut, żeby skorzystać z kibla. Jeśli to zrobisz, sam cię wydam glinom.

– Rozumiem.

– W takim razie śmiało, wsuwaj śniadanie. Albo lunch, jeśli tak ci lepiej pasuje o tej niehumanitarnej porze. – I z tymi słowami Stone wyszedł.

UKRYTY POKÓJ

Danny i Eric pojechali metrem do Foggy Bottom, a stamtąd piechotą poszli do Georgetown. To bez sensu, że metro nie miało stacji w Georgetown – czym służący tych wszystkich bogaczy dojeżdżali do pracy?

– Myślisz, że to przypadek, że tu nie ma stacji? – powiedział Eric.

– Burzuje dopilnowali, by dzieciaki ze slumsów nie miały jak tutaj tanio i szybko przyjechać, żeby rozrabiać. Co ich obchodzi, że służący muszą zasuwać kawał pieszo? Za to im płacą, nie?

Danny słyszał gorycz w głosie Erica. Pewnie powinien podzielać jego stosunek do ludzi bogatych. Co on jednak wiedział o bogaczach? Jedynym światem, jaki znał, była osada rodziny Northów i okoliczne lasy, pola i wzgórza. Obserwował suszłaków na swoich tajnych wyprawach poza osadę, ale w okolicach Lexington i Buena Vista nie było prawdziwych bogaczy. Takich jak w Georgetown.

– Nie gap się – skarcił go Eric.

– Dzieci się gapią – odparł Danny. – Zachowuję się jak dziecko.

– Nie widziałeś nigdy dużych domów?

– Hm, widziałem akademię wojskową w Lexington, Uniwersytet Południowej Wirginii i niektóre budynki uniwersytetu Washington and Lee. Wyobrażasz sobie, ile sal wykładowych mogłoby być w każdym z tych domów? W tym tutaj można by zmieścić Wal-Marta.

– E tam. – Eric machnął ręką.

– Zabawnie byłoby spróbować – stwierdził Danny.

– Co ci tak wesoło? Traktuj to poważnie.

– A po co w tej chwili powaga? Jest środek dnia i na razie tylko wybieramy domy, które chcemy okraść.

– Nie kradniemy, tylko znajdujemy bezpieczne rzeczy.

– W cudzych domach – przypomniał Danny. – Jestem tu nowy, daj mi pobyć turystą.

Nadjechał radiowóz. Eric zeszywniał.

– Widać nie dość dobrze się kamuflujemy.

– Może się nie zatrzyma – odparł Danny.

Zatrzymał się. Wyszli dwaj gliniarze.

– Dzień dobry – powiedział Danny, kiedy byli jeszcze daleko.

– Spróbuj tym razem się nie rozbierać – szepnął Eric.

– Wiecie może panowie, czemu na tym domu jest tyle flag? – spytał

Danny.

Gliniarz zerknął na dom.

– To ambasada duńska.

– Fajnie.

– Dostaliśmy parę zgłoszeń... podobno kręcicie się po ulicach, jakbyście robili tu rozpoznanie.

– Rozpoznanie? – zdziwił się Danny.

– Że niby szukamy domów, które moglibyśmy okraść – powiedział

Eric. – Nie no, na czym polega nasze przestępstwo? Że jesteśmy nastolatkami bez samochodu?

– To na razie nie przestępstwo – rzekł gliniarz. – Tylko wykroczenie.

Danny zaśmiał się, a glina uśmiechnął się szeroko.

– Większość ludzi nie śmieje się z żartów policjantów. Za bardzo się boją.

– To co, dostaniemy upomnienie czy nas zgarniecie? – spytał Eric.

– Ani jedno, ani drugie. Chcę tylko wiedzieć, co tu robicie w tak zimny dzień.

– On odprowadza mnie do domu po lekcji śpiewu – powiedział

Danny. – A dzisiaj przypomniało mi się, że jeszcze nigdy nie widziałem ambasad.

– Gdzie mieszkanie?

I znów odpowiedział Danny.

– Parę przecznic od Wisconsin, tuż za Nebraska.

– A gdzie miałeś swoją, hm, lekcję śpiewu?

– Na wschód od Kapitolu. Koło Lincoln Park.

– I tędy wam po drodze?

Eric wreszcie włączył się do rozmowy.

– Chciał zobaczyć dzielnicę ambasad. Dlatego wysiedliśmy w Foggy Bottom. Jego rodzice nie chcą, żeby wychowywał się w limuzynach. Dlatego płacą mi za to, żebym odprowadzał go na lekcje i z powrotem, i pilnował, by nikt go po drodze nie pobił ani nie porwał.

– Jesteś jego ochroniarzem? – spytał glina sceptycznie.

– Al-Kaidy bym nie powstrzymał, ale z łobuzami i natrętnymi żebrakami nie mamy kłopotów.

Teraz odezwał się drugi glina.

– Niech ten mały coś zaśpiewa.

– Mam trzynaście lat – powiedział Danny. – Mówi pan o mnie jak o niemowlaku.

– Śpiewaj – powtórzył glina.

– Tylko uprzedzam, głos mi się jeszcze nie ustabilizował po mutacji.

– Dla mnie brzmi normalnie – powiedział drugi glina.

– Przedtem byłem prawdziwym sopranem. Mogłem śpiewać „Un Bel Di” w oryginalnej tonacji. W porównaniu z tym teraz jestem barytonem, wie pan?

– Nadal nie słyszę śpiewu.

Więc Danny zaśpiewał. Jedną z arii, których nauczył się na pamięć w czasach, kiedy Baba i mama często puszczała w domu muzykę klasyczną. Nie że kiedykolwiek przestali słuchać opery; po prostu ostatnimi czasy rzadko bywali w domu. A dzięki swojemu darowi do języków Danny nigdy nie miał kłopotu, żeby śpiewać razem z solistami po włosku, niemiecku czy francusku, w idealnej tonacji. Jako małe dziecko był zabójczo słodki i zapewne także z tego powodu kuzyni go nie znosili. Ale właśnie dlatego teraz podał jako wymówkę lekcje śpiewu – na jakie inne lekcje mógłby chodzić bez instrumentu? Może gry na harfie. Hm, szkoda, że wcześniej nie wpadł na pomysł z harfą.

Uraczył ich arią „Fin ch’han dal vino” z „Don Giovanniego”.

Wprawdzie niektórych fragmentów nie pamiętał, ale przecież gliniarze nie byli muzykologami, więc po prostu śpiewał dalej, omijając trudne momenty. Śpiewał, jakby miał nigdy nie przestać.

Nie wykonywał tej arii od lat i zaskoczyło go, jak brzmi jego własny, teraz już głębszy głos. Barwa taka sobie, ale tonacja wciąż idealna.

– Nie za dobry jesteś, mały – powiedział drugi gliniarz.

– Dlatego biorę lekcje – wyjaśnił Danny. – Byłem świetnym chłopięcym sopranem, ale sopran musi mieć ton czysty jak piszczałka. Teraz uczę się vibrato. Nie ma pośpiechu, to nie jest tak, że jutro mam recital w Kennedy Center.

– Powodzenia, mały – rzekł pierwszy glina. – Nie stójcie za długo przed ambasadami, to nic wam nie będzie.

– Chyba nie będą do nas strzelać ani nic takiego?

– Te bardziej wojownicze wystawiają własne warty – powiedział pierwszy glina. – Wracajcie bezpiecznie do domu.

Drugi policjant dodał:

– „Don Giovanni” nigdy nie brzmiał gorzej. – A zatem ten gliniarz znał się na operze.

– Nigdy nie słyszałem, jak śpiewał – powiedział Danny.

– „Don Giovanni” to tytuł...

Danny posłał mu szeroki uśmiech.

– Dowcip uczniów wokalistyki. Jak dowcip policjantów, nie każdy go chwyta.

Gliniarze wsiedli do radiowozu. Danny i Eric ruszyli dalej.

– To był kit czy naprawdę brałeś lekcje? – spytał Eric.

– A śpiewałem tak, jakbym brał? – odbił pytanie Danny.

– Na pewno brzmiało to jak opera, nawet jeśli masz trochę skrzeczący głos.

– Gdy się mieszka z moją rodziną, wiele się można nauczyć.

– Dziwna rodzina.

– Wspominałem o tym, że nie są normalni? Nie? W takim razie wspominam: nie są normalni.

– Chyba lepiej nie obrabiać ambasad – powiedział Eric.

– Cieszę się, że co do tego jesteśmy zgodni – odparł Danny.

– Zastanawiam się tylko, dlaczego właściwie idziemy przez dzielnicę ambasad.

– Nie wiedziałem, że to tutaj. To znaczy, słyszałem o niej, ale nigdy tu nie byłem. Spoko, nie ciągnie się w nieskończoność, wcześniej czy później pojawią się jakieś normalne domy.

– Przynajmniej to tłumaczy, dlaczego wszystkie są takie duże

– zauważył Danny.

Pół godziny później byli na Czterdziestej Czwartej między Garfield a Hawthorne i patrzyli na dom nad domy. Posiadłości po drugiej stronie ulicy wszędzie indziej wydawałyby się wielkie, ale w porównaniu z tym monstrem były jak domki dla lalek.

– Chyba tego szukaliśmy – stwierdził Danny.

– Pewnie mają tak wielką hipotekę, że nie stać ich na zakupy

– zauważył Eric. – Ani chybi jadą na owsiance i chudym mleku. A zimą nie ogrzewają domu i żeby nie zamarznąć, wciąż się gimnastykują.

– Umieram z ciekawości, jak jest w środku.

– To zrób wrota czy jak to tam zwał i sobie zobacz.

– Teraz? – spytał Danny. – W biały dzień? Na ulicy?

– O tej porze pewnie w domu nie ma nikogo. Oprócz służących.

Możesz mieć kłopoty, żeby dopchać się do szuflad.

– Muszę przyznać, że w dzień byłoby łatwiej.

– Zaczekam na ciebie w tych krzakach – powiedział Eric.

– Jasne. Wtedy na pewno nie będziesz wyglądał podejrzanie.

– To tam nie wchodzi.
– Tak sobie myślę... a jeśli teraz coś tam znajdę? Czemu by tego od razu nie wziąć?
– Bo co będzie, jeśli cię z tym złapią?
– Podam ci to przez wrota. Wtedy nie będę miał tego przy sobie.
– Nie zamierzam czekać na ciebie pod ścianą, bo złapaliby nas na pewno.

Danny się zaśmiał.

– No coś ty, Eric. Mówisz, że umiem przenikać przez ściany, ale to wcale nie znaczy, że rzeczywiście przez nie przenikam. To nie jest tak, że otwieram w nich drzwi czy coś. Robię wrota w przestrzeni. Zrobię je tutaj i kiedy zobaczysz, że wystaje z nich moja ręka z czymś w garści, weź to i schowaj do kieszeni.

– Co? Twoja ręka nagle pokaże się w powietrzu?

– Nie wiem. Nigdy tego nie widziałem. Tylko to robiłem. Tak jakby.

– Nie ruszę się stąd.

– To dobrze, bo jak cię nie będzie i nie weźmiesz tego, co ci podam, nie podzielę się z tobą pieniędzmi.

– Podzielisz się, inaczej zrobię ci wrota w tyłku.

– Spróbuj – odparował Danny. – Zobaczymy, jak ci wyjdzie.

– Idź już – powiedział Eric. – Ja będę tutaj, ty rozejrzyj się po domu.

Danny zrobił więc wrota z krzaków na sam środek supereleganckiego salonu.

Wrażenie było takie, jakby nikt tu nie mieszkał. Nawet wielka sztuczna choinka wyglądała bezdusznie, jak w poczekalni u dentysty. Ten pokój pozował do zdjęcia. Były obrazy na ścianach, parę rzeźb i wazonów, ale wszystko za duże, żeby to zatańczyć na stację metra Foggy Bottom. Choć teraz, kiedy przeszli taki kawał, Danny uznał, że bliżej im byłoby do stacji na rogu Wisconsin i Nebraska. Nieważne – i tak niczego tu nie dotknie.

Nasłuchiwał głosów i szelestów. I alarmów. Pamiętał przestrogi Erica o czujnikach ruchu. Chciał usłyszeć czyjś głos, może śpiew, bo wtedy by wiedział, gdzie ten ktoś jest, i mógłby albo ominąć go z dala, albo od razu wyjść. Panowała jednak cisza – może ktoś się uczył, pracował albo drzemał i zaraz wstanie, przyłapie go na gorącym uczynku, obaj zaczną krzyczeć, a wtedy...

Ruszył schodami na górę. Żadnego skrzypienia. Żadnych alarmów. Przynajmniej głośniejszych. Kto wie, może w tej chwili dzwonki brzęczały już na sześciu różnych komisariatach, ale nawet gdyby przyjechała policja,

mógł się łatwo ulotnić.

Szybko zajrzał do wszystkich pokoi. Nikogo, kto mógł go przyłapać. Przystąpił do bardziej metodycznego przeszukania. Otwierał kolejne szuflady. W dwóch sypialniach było dużo biżuterii, ale wyglądała tandetnie. Jaskrawe barwy, fantazyjne wzory. Plastik. Znalazł kilka łańcuszków, na oko z prawdziwego złota, ale były tak lekkie, że nie opłacało się ich zanieść paserowi.

Laptopów i komputerów na tym piętrze nie było.

Ruszył do schodów prowadzących na następne piętro. Góra w zasadzie była jedną wielką rupieciarnią. Stare ubrania, stare meble, nieotwierane od lat pudła. Nic, co można sprzedać.

Na podłodze stał duży, stary sejf, ale pusty. Danny nie potrafił otworzyć zamka, lecz zrobił małe wrota, włożył w nie rękę i obmacał wewnątrz.

Jednak ten stary sejf nasunął mu pewną myśl – może gdzieś w domu jest drugi, bardziej nowoczesny.

Gdzie?

Danny wrócił na dół, do salonu, i wyszedł wrotami.

Eric omal nie krzyknął.

– No co, chyba spodziewałeś się, że wrócę?

– Zaskoczyłeś mnie, to wszystko – powiedział Eric, odzyskując rezon. – Znalazłeś coś?

– Tanią biżuterię. Żadnych laptopów. Może w kuchni są jakieś porządne noże.

– Wielki dom, pusto w środku. Wiedziałem.

– Nie zajrzałem jeszcze do piwnicy. Wyszedłem tutaj tylko dlatego, że na strychu mają stary sejf. Ciężki; nie do wiary, że zataszczyli go po schodach na górę. Tak sobie jednak myślę, że stary sejf jest na strychu, bo gdzieś w domu mają nowy. Jeśli ktoś raz już sprawił sobie sejf, to znak, że uważa, że cenne rzeczy trzeba trzymać bezpiecznie zamknięte.

– Dobrze kombinujesz. Tylko że ja nie umiem otwierać sejfów.

Pamiętasz, że mieliśmy znajdować bezpańskie rzeczy?

– Ale gdzie mogliby ukryć sejf? – spytał Danny.

– W piwnicy? – podpowiedział Eric.

– Może. Sprawdzę.

– Za obrazem?

Danny skinął głową.

– To miałyby sens. Gdzie jeszcze?

– Może nie pamiętasz, ale ja też pierwszy raz robię za włamywacza.

Danny nie uwierzył. Sądził raczej, że Eric pierwszy raz uczestniczy we włamaniu, które mogło przynieść naprawdę cenne łupy.

– Zaraz wracam. – Znowu przeszedł przez wrota.

Za obrazami w salonie nie było nic. Zszedł do piwnicy. Zajmowała taką samą powierzchnię jak wyższe kondygnacje. Tutaj były komputery. Dwa gabinety z oknami na tylne podwórko. W obu szafki na dokumenty, ale żadnych kosztowności, tylko papiery. Danny zabrał laptopa z biurka pana domu – bo chyba jego żona nie trzymałaby swojego zdjęcia na biurku – i włożył do torby.

Zamiast wrócić na górę, do salonu, zrobił nowe wrota – małe, w sam raz na torbę z laptopem. Przełożył ją przez nie, przekonany, że po drugiej stronie komputer zawisnie w powietrzu tuż obok pierwszych, pełnowymiarowych wrót. Nic. Eric go nie wziął.

Idiota ze mnie, pomyślał Danny. Połączył nowe wrota z niewłaściwym końcem poprzednich, czyli przeniósł torbę z laptopem do salonu okradanego domu. Już bardziej starannie stworzył nowe wrota i tym razem Eric niemal od razu wyjął mu torbę z ręki.

Przynajmniej Danny sądził, że to Eric ją zabrał.

Mieli więc jednego laptopa. I, po przeszukaniu gabinetu pani domu, iPada, którego podał Ericowi przez następne małe wrota. Ale nigdzie nie było sejfu.

Gdzie mogli go ukryć?

Znowu obszedł piwnicę i tym razem zauważył, że ściany w kącie składu pod kuchnią były solidnie wzmocnione zastrzałami. Jakby stało nad nimi coś ciężkiego. Mam cię, pomyślał.

Wbiegł schodami na górę i poszedł do kuchni. Wzmocnione ściany podtrzymywały wielgachną kuchenkę. A nawet dwie.

Na stole leżała niedojedzona kanapka. Czyżby jednak ktoś tu był?

Danny dotknął kanapki. Chleb był suchy. Czyli leżał tu długo. Może od wczoraj.

Obszedł parter i dopiero teraz spostrzegł, że łazienka dla gości nie jest dość duża, by zajmować całą wolną przestrzeń między salonem a sporym pokojem z telewizorem i kominkiem.

Nigdzie nie widział żadnego wejścia. Przynajmniej na parterze. Może wchodziło się tam od góry?

Znowu schodami na piętro. Rozejrzał się, szukając miejsca położonego bezpośrednio nad niedostępną częścią parteru. Było w garderobie pana domu w głównej sypialni. Danny ukląkł i uniósł wykładzinę. Ustąpiła bez oporu i tak, był tam ukryty właz.

Danny go otworzył.

Z otworu buchnął straszliwy odór. Znał go. Padlina. Wiedział też, jak poradzić sobie ze smrodem. Oddychał przez usta, zamykając przewody nosowe u ujścia do gardła.

Kiedy otworzył właz, w środku zamigotało i zapaliło się światło. Wejście było ni to drabiną, ni to schodami. Ostrożnie zszedł na dół i znalazł to, czego się mniej więcej spodziewał – cztery związane ciała na podłodze. To mężczyzna tak śmierdział. Miał w czole dziurę od kuli i już się rozkładał.

Pozostałe trzy osoby – biała kobieta, czarna kobieta i biała jedenasto-, może dwunastoletnia dziewczyna – nie rozkładały się. Nie były przytomne i Danny domyślił się, że długo leżą tu bez wody. Dość długo, żeby pan domu zaczął śmierdzieć.

Jeśli przyniosę im wody i je ocucę, zobaczą mnie i będą się zastanawiać, jak się tu dostałem. A w domu jest pełno moich odcisków palców. Dotykałem ram wszystkich obrazów na parterze. Dotykałem gałek w drzwiach.

No ale przecież moich odcisków nie ma w policyjnych kartotekach. I dobra strona tego wszystkiego jest taka, że ten, kto to zrobił tym ludziom, pewnie wyłączył wszystkie kamery i alarmy przeciwwłamaniowe.

W kącie stał solidnie wyglądający sejf. Drzwi były szeroko otwarte. W środku pusto.

Że też z całej dzielnicy musieliśmy wybrać dom już okradziony! – pomyślał Danny. Zrobił wrota dość duże dla siebie, wprost do kryjówki Erica w krzakach.

– Skończyłeś? – zapytał Eric. – To chodźmy.

– Oddaj laptopa i iPada – powiedział Danny.

– Co takiego? Chyba nie wymiękasz, co?

– Znalazłem domowników. Ojciec nie żyje. Pozostali są nieprzytomni, pewnie umierają. Nie będziemy próbowali opchnąć laptopa z tego domu.

– Nigdy w życiu. W coś ty mnie wpakował?

– Ja? Wpakowałem ciebie? Bezczelny jesteś. – Danny wziął od niego torbę. – A iPad?

– Włożyłem do środka.

Danny wrócił przez wrota do ukrytego pokoju. Wyjął iPada i laptopa z torby, dokładnie je wytarł i położył obok sejfu. Wszedł po drabinie na górę i podniósł słuchawkę telefonu. Brak sygnału. Cisza. Pierwsi włamywacze musieli przeciąć kable.

Opuścił dom po raz ostatni.

– Chodź – powiedział do Erica. – Musimy znaleźć telefon.

– Telefon? Po co?

– Żeby zawiadomić policję. Może uratują tych, którzy jeszcze żyją.

– To nie nasza sprawa! – wykrzyknął Eric ze złością. – W ogóle nas tu nie było. Koniec, kropka.

– Tylko że tu byliśmy. – Danny skierował się na północ, w stronę Nebraska. Na rogu Nebraska i Massachusetts były sklepy i zakłady usługowe. Eric ruszył za nim. Złapał go za ramię.

– Stój, stary!

Danny wyrwał mu się i zrobił wrota na róg Nebraska i Wisconsin, jeszcze dalej, za to blisko stacji metra.

Stały tam dwa kościoły – katolicki pod wezwaniem świętej Anny i baptystów na Wisconsin Avenue. Na pewno były w nich telefony. A jeśli oba okażą się zamknięte, to jeszcze lepiej – nie trzeba będzie prosić o pozwolenie ani się tłumaczyć.

W kościele baptystów trwało jakieś spotkanie, ale drzwi katolickiego były zamknięte na klucz. Danny wszedł wrotami do środka, zlokalizował zakrystię i przeniósł się tam następnymi wrotami. Nie zastał nikogo. Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał 911. Podał dyspozytorowi adres domu, do którego się włamał, i powiedział, co znalazł w ukrytym pokoju pod włazem w garderobie w głównej sypialni.

– Mężczyzna jest martwy, ale pozostali chyba żyją. Trzy osoby. Na waszym miejscu wysłałbym tam karetki.

– Już je wysyłamy. A gdzie ty jesteś, młody człowieku?

– W tym domu mnie nie zastaniecie. Więcej się do niego nie zbliżę.

– Kim jesteś? Są z tobą rodzice? Mogę porozmawiać z którymś z nich?

Czy mój głos brzmi dziecinnie? – pomyślał Danny.

– Nie jestem stąd. Jestem turystą.

– Proszę, nie rozłączaj się, mam tu kogoś, kto musi z tobą porozmawiać.

Domyślił się, że próbują go zatrzymać do czasu, aż przyjedzie po niego radiowóz. Wytarł słuchawkę w koszulę i położył ją na biurku, nie rozłączając się. Wrócił wrotami do nawy głównej, a stamtąd następnymi na róg Nebraska i Wisconsin. Wyglądało na to, że nikt nie zauważył jego przybycia, i sądząc z braku ogólnego zamieszania, nikt nie widział też jego zniknięcia przed kilkoma minutami. Cóż, zmotoryzowani dostrzegają pieszych tylko wtedy, kiedy czekając na czerwonym, nie mają nic innego

do oglądania.

Szybko odszukał wrota prowadzące z powrotem w miejsce, gdzie zostawił Erica, i przeszedł przez nie.

Eric był jakieś sto metrów dalej, szedł przygarbiony, z rękami w kieszeniach. W oddali wyły syreny zmierzające do domu, w którym popełniono morderstwo. Danny wołał nie biec za Erikiem, bo jeszcze jakiś przejeżdżający glina by pomyślał, że „ucieka z miejsca zdarzenia”. Czytał dość kryminałów, żeby wiedzieć, czego nie powinien robić. Przeniósł się wrotami w krzaki tuż przed Erikiem, zaczekał, aż nadejdzie, i wtedy wyszedł na chodnik, stając z nim twarzą w twarz.

Eric mało nie dostał ataku serca.

– Nie rób tak! – powiedział ze złością.

– Przepraszam. Wezwałem policję.

– Tak. Słyszę syreny. Dzięki, że zrobiłeś to, kiedy jeszcze byłem blisko miejsca zbrodni, kretynie!

– Na Wisconsin są restauracje i inne takie, możemy coś zjeść.

– Za co? – spytał Eric. – Jeśli dobrze pamiętam, nie wyniosłeś z tego domu nic oprócz głupich, bardzo głupich kłopotów.

– Za pieniądze z mojego zebrania, które masz w kieszeni

– powiedział Danny. – Przecież mieliśmy dzisiaj w ogóle nic nie kraść, pamiętasz? A tego domu to już na pewno nie obrobimy. Czyli możemy wydać na lunch dokładnie tyle, ile planowaliśmy od początku.

– Naczelna zasada włamywacza: nie wzywać glin – stwierdził Eric.

– Jesteś człowiekiem czy nie? Tam były dwie niewinne kobiety i niewinna dziewczynka, prawdopodobnie umierające, które spędziły parę dni w jednym pokoju z rozkładającym się trupem taty tej dziewczynki.

– Właśnie; po czymś takim nigdy nie dojdą do siebie, będą miały przetrane życie, będą żałować, że nie umarły razem z nim. No więc?

– Gdybym nie wezwał glin, to byłoby tak, jakbym własnoręcznie je zamordował.

– Nieprawda. To byłoby tak, jakbyś w ogóle nie wszedł do tego domu i o niczym nie wiedział.

– Ale byłem w tym domu i wiem. Co cię napadło?

– A ciebie? – rzucił Eric. – Tylko mi przeszkadzasz.

– No dobra, w porządku, rozumiem – powiedział Danny.

– Do zobaczenia w domu. – I przeniósł się wrotami do sypialni na strychu domu Stone'a. Zszedł schodami do łazienki, wysikał się, umył ręce i powędrował do kuchni poszperać w lodówce.

Kiedy jadł naprędce przygotowaną kanapkę, przyszło mu do głowy,

że w ukrytym pokoju w tamtym domu jest martwy człowiek, który już nigdy nie zje żadnej kanapki. I mała dziewczynka, która przez wiele lat nie będzie w stanie spojrzeć świata prosto w oczy. A jednak nie zepsuło to smaku kanapki ani nie odebrało mu przyjemności jedzenia.

Czy to znaczy, że jestem nie lepszy od Erica? Że potrafię pozostać nieczuły na cierpienie innych, jakby nie miało żadnego znaczenia?

Nie, jem tę kanapkę ze smakiem, bo zrobiłem wszystko, co mogłem. I dlatego, że jestem głodny – że ja jestem głodny. Nikt inny nie czuje mojego głodu i nikomu innemu nie zależy na tym, żeby go zaspokoić. To jest moje ciało, a skoro ewolucja wykształciła je tak, żeby odczuwało przyjemność podczas jedzenia, nie muszę się wstydzić tego, że jej doznaję, gdy inni cierpią.

Przynajmniej ta dziewczynka wiedziała, że ojciec kochał ją, kiedy umarł. Przynajmniej nie musiała się dowiedzieć, że oboje rodzice zabiliby ją bez skrępowań, gdyby miała jedną określoną wadę.

Jednak z tą myślą – o swoich rodzicach, o ich gotowości do posłania go na Hammernip Hill, o rodzinie i jej dziwnej nienawiści do swoich – stwierdził, że kanapka przestała mu smakować.

To dopiero ciekawostka. Rozpacz innych nadaje jedzeniu smak, ale moja własna rozpacz sprawia, że staje się mdłe. Nijakie. Nawet obrzydliwe.

Odłożył kanapkę.

– Cholera – zaklął głośno. Potrafili dosięgnąć go nawet w Waszyngtonie i wszystko zepsuć.

SIEROTY

Jeszcze zanim Eric wrócił do domu Stone'a, Danny postanowił, że nie zostanie włamywaczem. Mało tego, miał już po dziurki w nosie współpracy z Erikiem.

Owszem, Eric pomógł mu przetrwać i dostać się do Waszyngtonu. Ale czy Danny nie wymyślił bez niego, jak okraść sklep? Jasne, było parę chwil groteskowego dramatu – a może komedii? – zanim wydostał się z Wal-Marta, lecz się wydostał, nie? Z ubraniami. To nie tak, że zawdzięczał Ericowi życie. Co najwyżej kilka posiłków i podwózek. Taki dług można spłacić gotówką – nie wymagał od Danny'ego, by pozwalał Ericowi sobą rządzić dzień w dzień, robota po robocie.

Pierwszego dnia w Waszyngtonie rozdzielili się na Mall. Gdyby tylko Danny był bardziej ostrożny, kiedy przeniósł się wrotami do Biblioteki Kongresu. Gdyby tylko Eric go nie śledził. Wtedy dziś już na dobre miałby go z głowy.

Oczywiście, wówczas Danny nie trafiłby do domu Stone'a. Chociaż czy aby na pewno? Drzwi Stone'a były otwarte, ale nie dla każdego. I Stone nie przejął się, kiedy zobaczył, jak Danny przeniósł się wrotami na strych. Stone dużo wiedział i mógłby pomóc Danny'emu zrozumieć pewne rzeczy. Oczywiście, o ile nie był powiązany z jedną z rodzin. Wówczas Danny po prostu uciekłby przez wrota z nadzieją, że nauka, iż obcym nie należy ufać, tym razem zapadnie mu w pamięć.

A potem wrócił Eric i zamiast pójść do kuchni, żeby dyrygować Danny'ym – lub przeprosić – ruszył do telewizora i włączył lokalne wiadomości.

– Danny, jesteś?! – zawołał. – Chodź, stary, musisz to zobaczyć!

Gdyby Eric nie powiedział „stary”, Danny kazałby mu pójść wytrzeć sobie tyłek nieheblowaną dechą. Ale to „stary” zabrzmiało tak, jakby byli sobie prawie równi. Więcej: „stary” to jakby fajniejszy sposób powiedzenia „proszę”.

W każdym razie Danny wszedł do salonu, jedząc jabłko – kanapka była półtorej godziny wcześniej – i zobaczył na ekranie reportera stojącego przed domem, do którego on sam dostał się wrotami.

– Pan Wheelwright zarzucił projektowanie gier elektronicznych i ogłosił, że pragnie się skupić na prowadzeniu wraz z żoną fundacji charytatywnej, która finansuje prace nad protezami kończyn i innymi przyrządami bezpośrednio sterowanymi mózgiem. Powtarzam: Abel Wheelwright nie żyje, zamordowany w trakcie włamania. Jego żona, Eleanor Wheelwright, ich córka, Hannah, i osobista asystentka pani Wheelwright, Dana Redd, zostały odwiezione do szpitala. Są odwodnione i wyczerpane, ale ich życiu nic nie zagraża. Według lekarzy, są w dobrym stanie.

Policja prosi o informacje o dziecku, od którego otrzymała zgłoszenie o wydarzeniach w domu Wheelwrightów. Gdyby nie ten telefon, wdowa po panu Wheelwrightcie, jej córka i pani Redd prawdopodobnie już by nie żyły. Według policji to dziecko nie jest podejrzanym, ale prawdopodobnie było w domu ofiary i może mieć inne informacje niezbędne do schwytania sprawców tej zbrodni.

Na ekranie pojawił się numer telefonu kontaktowego policji i stacja puściła nagranie zgłoszenia Danny’ego. Eric odwrócił się z szerokim uśmiechem.

Ced, który też był w pokoju, odłożył książkę i spojrzał na Danny’ego.

– To ty, prawda?

Danny wzruszył ramionami.

– Kto to pozna?

– To on – powiedział Eric. – Byliśmy tam. Chłopak jest bohaterem.

– Wcześniej mówiłeś co innego – zauważył Danny.

– A co ja wtedy mogłem wiedzieć? Było zimno. Byłem zmęczony.

Uratowałeś troje ludzi. To dobry uczynek.

– Może jest nagroda – zastanawiał się Ced.

– Może nie dam im się znaleźć – odparł Danny.

– Czemu? – spytał Ced.

– „Tak, panie władzo, byłem w tym domu, bo szukałem masła orzechowego, a mój przyjaciel Eric czekał na zewnątrz, aż mu wyniosę kanapki. Potem wróciliśmy do domu pana Stone’a koło Lincoln Park, tego samego, w którym prawie naga Lana molestowała mnie może pół minuty po tym, jak się tam pierwszy raz zjawiłem”.

– Po co miałbyś ją do tego mieszać? – zaprotestował Ced.

– A dlaczego nie? Jak ktoś doniesie, że to ja wezwałem policję, postaram się, żebyście wszyscy tego pożałowali.

– Młody to prawdziwa zakąła – rzekł Eric z dumą i irytacją zarazem.

– Odrzuca wszystko, na czym moglibyśmy zarobić, i robi coś dokładnie odwrotnego.

– A Eric koniecznie chce robić wszystko, za co możemy dostać po tyłku – odciął się Danny.

– Hej, sam go nadstawiasz, komu popadnie!

Ced lekko się obruszył.

– Lanie go nie nadstawiał. Jasne, ściągała mu spodnie, ale tylko dla żartu.

– To nie był żart – powiedział Eric. – A poza tym mówię o czymś, co stało się wczoraj, zanim tu przyszliśmy. Danny pokazał tyłek dwóm ochroniarzom, którzy się nas czepiali.

– Pokazałeś tyłek glinie? – spytał Ced z podziwem.

– Był o dwa kroki od niego – ciągnął Eric. – Mówię ci, rozłożył półdupki, że gwiazdkę mu było widać!

– Cieszę się, że te kobiety i dziewczyna mają się dobrze – stwierdził Danny. – Tylko to mnie obchodzi. – Wrócił do kuchni.

Siedział tam Stone.

– A zatem mówili o tobie w wiadomościach – powiedział.

Danny skinął głową i poszedł do lodówki.

– Tak, dokonuję wielkich wyczynów, odkąd tu przyjechałem. – Był zgorzkniały i wiedział, że to słyhać.

– Uratowałeś ludziom życie, to nie byle co.

– I pokazałem tyłek glinie. Szkoda, że ktoś nie wrzucił tego na YouTube. Możesz sobie wyobrazić, jaki jestem dumny.

– Jesteś jeszcze dzieckiem i tyle.

– Kuzyni bez przerwy się na siebie wypinają. Zwłaszcza kiedy...

– Już miał powiedzieć: „są w postaci klanta”, ale nawet jego głupota miała swoje granice i może to właśnie była jedna z nich: nieużywanie słowa „klant” przy nieznanym.

– Czyli to był odruch – rzekł Stone.

– Jestem jednym wielkim odruchem. – Danny pomyślał o swojej reakcji na bliskość Lany. O fakcie, że wciąż rozpamiętywał tamten moment z żalem, że jej nie pocałował. Nie dotknął. A jednocześnie wstyd mu było, że to czuł.

– Myślisz o Lanie – powiedział Stone.

Danny prawie podskoczył z zaskoczenia. Czyżby Stone czytał mu w myślach?

– Kim jesteś? – spytał.

– Mężczyzną, który kiedyś miał trzynaście lat – odparł Stone. – No,

mnie nie oszukasz, widziałem, jak się zarumieniłeś.

– Nie rumienię się.

– Widziałem, jak twoja twarz poczerwieniała, a na ustach pojawił się dziwny półuśmiech.

Danny ukrył twarz w dłoniach.

– Równie dobrze mógłbym nosić billboard.

– Spokojnie, Danny. Bardzo umiejętnie się maskujesz, kiedy kłamiesz. Jesteś urodzonym oszustem, co właściwie nie może zaskakiwać. Ale niewielu mężczyzn potrafi ukryć, że myślą o kobiecie.

– Dlaczego to, że jestem „urodzonym oszustem”, nie może zaskakiwać? Jeśli to prawda, nie jest to talent, z którego byłbym dumny.

– Ale dzięki niemu jeszcze żyjesz i jesteś w Waszyngtonie.

– W Waszyngtonie jestem dzięki Ericowi.

– Eric powiedział ci, co robić. Jednak nie on sprawił, że jesteś w tym dobry; to wrodzone.

– Tak, jestem urodzonym przestępcą.

– Jesteś urodzonym magiem wrót.

Danny zamarł.

– Spokojnie – powiedział Stone. – Myślisz, że komuś doniosę i cię zabiją. Albo że ja sam cię zabiję.

– Przeszło mi to przez myśl – odparł Danny.

– Jak by to zgrabnie ująć? Mam głęboko gdzieś rodziny, ich traktaty, lęki i zasady. Kiedy Loki zamknął wrota, nie tylko rodziny zostały na lodzie.

Świat zawirował Danny’emu przed oczami. O czym Stone mówi? Jak dużo wie?

– Kuchnia to nieodpowiednie miejsce na tę rozmowę – stwierdził Stone. – Sądząc po dźwiękach dolatujących z salonu, kilka osób zaraz chwyci wilczy głód. – Wstał od stołu. – Weź, co chcesz, i chodź do mojego pokoju.

Danny wyjął z lodówki butelkę jogurtu. Rozejrzał się za szklanką, po czym stwierdził, że wypije cały litr. Poszedł za Stone’em schodami do pokoju od frontu, tego z najlepszym widokiem i wymagającego najkrótszej wspinaczki.

Stone siedział w wygodnym fotelu zwróconym w stronę ulicy. Danny klapnął na sąsiedni, trochę mniej miękki.

– Jeszcze mnie nie zabiłeś – powiedział.

– Gdybym spróbował, po prostu uciekłybyś przez wrota – odparł Stone.

– To prawda. Wiesz o wrotach, ale nie jesteś z żadnej z rodzin, zgadza się?

– Całkowicie.

– Kim więc jesteś? Skąd ktoś, kto mieszka w Waszyngtonie, może wiedzieć cokolwiek o rodzinach, wrotach i o mnie?

– Przecież znasz historię rodziny... czy mity, jak to nazywają antropolodzy. Opowieści o tym, jak Zeus, Eros, Ares i każdy, jak leci, płodzili dzieci ze śmiertelnymi kobietami, a Afrodyta, Atena i nawet cnotliwa Diana uwodziły każdego faceta, który wpadł im w oko. A to tylko u Greków. Ileż jest legend o tym, jak to królowa tycich elfów zwabia śmiertelnika do tajemnego królestwa, gdzie pieprzą się jak króliki dotąd, aż znudzona delikwentem odsyła go do domu. Jak myślisz, co się stało z dziećmi, które zmajstrowali?

– To ty? – spytał Danny.

– Nie ja osobiście. Pół tuzina moich dalekich przodków. Wszyscy ci półbogowie jak Herakles... nie zastanawiałeś się nigdy, jak to z nim było? Kiedy błąkał się po Ziemi, niewpuszczony na Olimp? Tak naprawdę było trzydziestu kilku synów około dziesięciu Zeusów, wszyscy o imieniu Herakles, i dlatego legendy o nim słyszy się w tak wielu krajach, od Włoch po Bałkany. Był czas, że samo imię Herakles i umiejętność wzbudzania klanta albo inny przebłysk boskości pociągały laski bardziej niż kasa.

– Ile ty masz lat?

– Czterdzieści – powiedział Stone. – Nie pozwól, żeby uprzedzenia zamydliły ci oczy. Wy wszyscy w rodzinach mówicie o sobie tak, jakbyście byli jedynymi czarodziejami na świecie. Czyste westiliańskie rodowody i tak dalej. Ale dużo więcej... nieporównanie więcej jest nas, którzy nie należymy do żadnej rodziny oprócz naszych rodziców i rodzeństwa. Nie uczestniczyliśmy w waszych durnych wojnach i przeważnie nie wchodzimy wam w drogę. Thor z twojej rodziny... jesteś Northem, prawda? Masz idealny amerykański akcent i tak dalej, choć u maga wrót to jeszcze niczego nie dowodzi... Thor ma siatkę przekupionych obserwatorów, ale jest pewien swojej wyższości i przez myśl mu nie przejdzie, że większość z nas się go nie boi i mówimy mu tylko to, co chcemy, żeby wiedział.

– I mówisz o tym tak otwarcie? – zdziwił się Danny.

– Jestem dużo bardziej dyskretny od ciebie. Teraz już Eric wie, co potrafisz, i możesz być pewien, że Ced i Lana wkrótce też się tego dowiedzą, podobnie jak wszyscy, których zapach Westilu sprowadzi

do tego domu.

– Zapach Westilu?

– Kwiaty, które hoduję. Nie występują naturalnie na tej planecie.

Moja specjalność to kwiaty westiliańskie... różne gatunki kwitnące przez cały rok. Przyzywają tych, którzy mają ich zapach we krwi.

– Naprawdę jesteś Pasterzem Korzeni?

– Raczej Przyjacielem Łąk. To jeden z minusów życia poza rodziną.

Sam do końca nie wiem, kim jestem, bo uczyłem się tego na własną rękę. Znam tylko podstawową zasadę: kochaj źródła swojej siły i im służ. Jeśli mają się dobrze pod twoją ręką, ty też na tym zyskujesz. Kto wie jednak, kim mógłbym zostać, gdybym miał przewodnika i nauczyciela? Mój ojciec miał w sobie trochę z Kuzyna Kałuży, matka była Opiekunką Błota. Czego mogli mnie nauczyć? Kto wie, może byli z urodzenia Panem Wody i Panią Gliny, tylko jak ja nie mieli nikogo, kto by ich wyszkolił.

– Mnie też nikt niczego nie uczył.

– Wiem – powiedział Stone. – Bo i jak? Przysięgli zabijać takich jak ty, kiedy tylko objawicie swój talent. Chociaż złamaliby słowo, gdyby uznali, że przeszkolenie maga wrót zapewni im rozstrzygającą przewagę. Sęk w tym, że to by się nie powiodło. Z tobą też, przykro mi.

– Jak to?

– Magiem wrót nie jest się długo.

– A to niby co ma znaczyć?

Stone zawiesił głos i Danny miał wrażenie, że zastanawia się, które kłamstwo powiedzieć.

– Jesteście psotnikami. Wkurzacie ludzi.

– Ale świetnie umiemy uciekać. – Danny dziwnie się czuł, używając liczby mnogiej, jakby znał całą masę innych magów wrót, jakby był członkiem wielkiego zakonu.

– Danny, musisz przejść szkolenie.

– Przyjaciele Łąk mogą szkolić magów wrót?

– Są pewne ogólne umiejętności, których uczyć może każdy. Ale nie ja będę cię szkolił. Ja tylko miałem cię znaleźć.

– To właśnie nie daje mi spokoju – powiedział Danny, choć dopiero teraz przyszło mu to do głowy. – Ze wszystkich domów w Waszyngtonie jakimś cudem wylądowałem w tym jednym jedynym, gdzie moje znikanie i pojawianie się nie wpędziło właściciela w panikę.

– Zarzucam sieć i magowie w nią wpadają.

– Cóż, nie ja w nią wpadłem. To Eric znalazł ten dom. Jego kumpel wiedział, że nie pobierasz komornego.

– Kumpel? – spytał Stone.

– Znajomy.

– Przypomnij sobie – powiedział Stone. – Czy Eric znał Ceda?

Danny wyteżył pamięć. Ced jakoś tak nagle się pojawił i zaczął z nimi rozmawiać. Na ulicy. Chociaż nie, jak o tym pomyśleć, to najpierw zwrócił się do Danny'ego. Słowami: „Coś ty za jeden i czego chcesz?”. A powiedział tak tylko dlatego, że Danny podszedł do niego i stanął mu tuż przed nosem.

Dlaczego to zrobiłem?

– Mówiłeś poważnie o tych westiliańskich roślinach?

– Ich pyłek osiada Cedowi na ubraniu, bo Ced tu mieszka. Niech zgadnę. Nawet nie wiedziałeś, dlaczego go zaczepiłeś. To tak jak w tej dziecięcej zabawie, kiedy jeden czegoś szuka, a pozostali naprowadzają go na cel, mówiąc „ciepło” i „zimno”. Kiedy wychwyciłeś zapach tego pyłku, poczułeś się bezpieczniej. Jakbyś znalazł się na znajomym terenie w obcym mieście. I im bliżej Ceda podchodziłeś, tym bezpieczniej się czułeś.

– I to przez ten pyłek?

– Warto utrzymywać te rośliny przy życiu. Zwłaszcza że nowych nie dostanę – powiedział Stone.

– Słowo honoru, myślałem, że Eric go zna.

– Ced potrafi rozmawiać z każdym jak ze starym znajomym

– wyjaśnił Stone.

– Czyli mnie znalazłeś. Twoje westiliańskie rośliny przyciągnęły mnie tutaj, dając mi złudzenie bezpieczeństwa. Po co?

– Jest nas cała grupa. Swego rodzaju magowie. Zagubieni Westilianie. Nazywamy siebie Sierotami, bo nie należymy do żadnej z rodzin; ale chcemy mieć szkolenie, wsparcie, ochronę. Dużo się od siebie nawzajem uczymy. Badamy źródła magii. Próbujemy zrozumieć, dlaczego działa i dlaczego niektórzy potrafią ją stosować, a inni nie. Każdy robi to, na czym zna się najlepiej. Ja hoduję te rośliny, one rozkwitają dla mnie. I w ten sposób werbuję. Ściągam każdego, kto zareaguje na pyłek, trzymam ich przy sobie, żeby zobaczyć, jakimi są ludźmi, i jeśli robią przyzwoite wrażenie, proponuję im nauczyciela. Tak jak tobie.

– Ale ty nie jesteś nauczycielem.

– Ja zajmuję się werbunkiem. Poza tym jestem tu, można powiedzieć, na widoku. Pyłek, który cię zwabił, przyciągnie też każdego Westilianina, który cię szuka.

– A Ced i Lana? Co robią u ciebie dwaj suszlacy?

– Ced nie jest suszlakiem – powiedział Stone.

– Jest magiem?

– Westilianinem, Sierotą jak ja. Nie ma jak ustalić, kiedy jego przodkowie odłączyli się od jednego z wielkich rodów. Ale jego matka zapewne była dość zdolną maginią zwierząt. Ced twierdzi, że latała z ptakami, choć podejrzewam, że tylko powtarza to, co od niej usłyszał. Sama na pewno nie latała, nie w swoim ciele; przypuszczam, że wcieliła się w ptaka związanego z nią sercem i o tym opowiadała synowi. Widział, jak pewne ptaki do niej przylatywały, widział, jak im służyła. Umarła, kiedy miał około dziesięciu lat. Próbował sam wykształcić w sobie magię ptasią, jak to nazywał. Jednak ku jego gorzkiemu rozczarowaniu okazało się, że wcale nie jest magiem zwierząt.

– A czego?

– Wiatru. Potrafi manipulować wiatrem. Wytwarzać małe trąby powietrzne, wiry pyłowe i tym podobne. Może też podtrzymywać wiatr. Umiejętność w sam raz, żeby wysuszyć pranie rozwieszona na sznurku; robił tak, kiedy jego rodzina była bez grosza przy duszy i nie stać ich było na suszarkę. Przydaje się też podczas żeglugi.

– A potrafi wywołać sztorm?

– Och, nie, przynajmniej na razie.

– To marny z niego mag wiatru.

– Widzę, że jesteś snobem jak wszyscy w twojej rodzinie – stwierdził Stone. – Ilu znasz prawdziwie wielkich magów?

Danny był zbity z tropu, ale po namyśle uznał, że łatwo to policzyć: dwóch. Babę i mamę. Nikt inny nie miał ich mocy i ich smykałki do stosowania jej we współczesnym świecie.

– Dwóch – powiedział.

– A co z resztą twojej rodziny? Ilu jest mniej więcej na poziomie Ceda?

– Kilku.

– A jaki poziom by osiągnęli, gdyby nie przeszkolono ich w niczym poza ogólnymi umiejętnościami, których może nauczyć Przyjaciół Łąk?

Danny wzruszył ramionami.

– No dobra, przepraszam – powiedział. Po chwili ciekawość wzięła nad nim górę. – A co potrafi Lana?

– Zupełnie nic. Toleruję tę dziewczynę, bo Ced wziął ją pod swoje skrzydła. Jest za nią odpowiedzialny. Tak samo przez wzgląd na ciebie toleruję Erica.

- Kiedy ja go nie znoszę.
- On cię przeraża, bo jest kompletnym samolubem.
- Nie chcę robić tego, co mi każe.
- To nie rób. Jest na tym świecie kilka miejsc, gdzie mógłbyś zamieszkać z ludźmi, którzy zostaliby twoimi mentorami, i gdzie żadna z rodzin nigdy by cię nie znalazła.

Myśl o udaniu się w bezpieczne miejsce wydała się Danny'emu niezmiernie kusząca. Do tej pory nie wyobrażał sobie, by taki azyl w ogóle mógł istnieć na tym świecie.

I dlatego w głowie błyskało mu słowo „frajer”.

- Nie sądzę – powiedział.
- Dlaczego?
- Bo nie ufam ci na tyle, żeby oddać życie w twoje ręce. Skąd mam wiedzieć, że to nie pułapka? Że nie czeka mnie tam śmierć albo więzienie, albo że nie trafię do jednej z rodzin, która wykorzysta mnie jako pretekst do wznowienia wojny z moją rodziną?

Stone westchnął.

- Twoja ostrożność jest godna uznania. Gdzie się podziała, kiedy poznałeś Erica? Powiedziałem ci o tobie i twojej mocy tyle, co nikt inny, ale ty nie możesz zaufać komuś, kto mówi ci prawdę, nie, wolisz ufać drobnemu kanciarzowi, który chce zrobić z ciebie włamywacza na swoich usługach.

- Jestem jego dłużnikiem – powiedział Danny.

- Spłaciłeś swój dług wobec niego – odparł Stone. – Jesteście kwita.

- Jestem jego dłużnikiem – powtórzył Danny.

Stone patrzył na niego w milczeniu.

Danny przez długą chwilę siedział nieruchomo pod jego spojrzeniem. Chciał wytłumaczyć Stone'owi, że Eric przeważnie był wobec niego cierpliwy, że go uczył. Owszem, rządził się, był palantem. Ale między nimi było coś więcej niż tylko dług. Obowiązek serca. Coś, co nie mogło ot tak zniknąć tylko dlatego, że Danny nagle uznał, że nie podoba mu się to, czego Eric od niego chce. To uczucie jednak nie miało nic wspólnego z logiką. Nie potrafił go obronić. Nie miał nic do powiedzenia.

Stone westchnął ze smutkiem.

- Możesz wyjść.

- Gniewasz się? – spytał Danny.

- Myślę, że jesteś głupcem, ale cieszę się też, że przynajmniej uczysz się zachowywać ostrożność.

– Muszę zrobić jeden skok z Erikiem, żeby miał trochę pieniędzy, kiedy odejdę.

– Odchodzisz? – spytał Stone. – Dokąd?

– Jak sam powiedziałeś, do mojego nowego nauczyciela.

Stone znowu westchnął, ale tym razem z ulgą.

– Sprawdzę, kto będzie mógł cię przyjąć.

– I postaram się nie okraść domu, w którym będą martwi albo umierający ludzie.

– Pamiętaj, co powiedziałem: łupy nie mają tu wstępu.

– Zawarłem umowę i jej dotrzymam.

Stone skinął głową.

– I dzięki – powiedział Danny. – Że mnie tu ściągnąłeś. I że zaproponowałeś mi nauczyciela.

– Miło wiedzieć, że nie jesteś sam na tym świecie, co? – spytał Stone.

Tylko że tak naprawdę jestem sam, pomyślał Danny. Nie ma innych magów wrót. Ani nikogo, kogo znałbym dłużej niż kilka dni. Nazwa grupy Stone'a była trafnie dobrana. Sieroty.

Tym właśnie jestem, pomyślał Danny. Miło mieć na to określenie.

WTYCZKA

W Georgetown było więcej policji niż zwykle, więc Eric uznał, że to niedobre miejsce na ich „pierwsze” prawdziwe włamanie.

– Tak naprawdę niczego nie zabraliśmy – wyjaśnił – więc dom Wheelwrightów się nie liczy. Poza tym to była akcja ratunkowa, nie włamanie. – Eric teraz mówił o tym tak, jakby cała ta tak zwana akcja ratunkowa była jego pomysłem.

– Nazwanie włamania „pierwszym” wskazuje, że będzie i drugie – zauważył Danny.

Eric spojrzał na niego z lodowatym spokojem.

– Nie będziesz mógł przestać.

– Kto mi zabroni? – Danny’emu ta rozmowa coraz bardziej przypominała zwykłą sprzeczkę z jednym z kuzynów.

– Nie ja – odparł Eric. – Wiem, że nie mogę cię do niczego zmusić.

– W takim razie przestanę, kiedy będę chciał przestać.

– Mów, co chcesz, ale będziesz to robił nadal, bo tak naprawdę to lubisz.

– Nic o mnie nie wiesz.

– Być w cudzym domu, kiedy domownicy śpią, mieć pewność, że nie uruchomiłeś żadnych alarmów, bo nie otwierałeś żadnych drzwi, i że czujniki ruchu są wyłączone, na wypadek gdyby ktoś z rodziny wstał w nocy do kibla, dzięki czemu możesz pójść, gdzie chcesz, i zabrać, co chcesz. Jesteś jak anioł, taki jesteś potężny.

– Czyli już to kiedyś robiłeś – stwierdził Danny.

– Parę razy. Jak byłem mniej więcej w twoim wieku. W Buena Vista nikt nie miał alarmów ani czujników ruchu, przynajmniej nie w takich dzielnicach jak ta, w której mieszkała moja rodzina. Dużo ludzi spało przy szeroko otwartych oknach. Tak, trochę pozwiedzałem okolicę. Zabrałem parę rzeczy. Podglądałem dziewczyny, które spały nago w upalną noc. Kto by tak nie robił?

– Ja – powiedział Danny.

– Kim będziesz, kiedy dorośniesz, pastorem?

– Nie włamywaczem.

– Będziesz gejem, jeśli nie chcesz patrzeć na śpiące nagie laski.
– Mów tak dalej, a uznam, że dom Wheelwrightów to nasza ostatnia robota.

– Wyluzuj, Danny – rzucił Eric. – Przepraszam, jeśli cię denerwuję, ale daję ci słowo, z nas dwóch ja jestem ten normalny.

– To dołujące, ale ci wierzę – stwierdził Danny.

Obaj udawali, że żartują.

Eric zaprowadził Danny'ego do dzielnicy Spring Valley, przy Massachusetts Avenue, blisko zbiornika wodnego Dalecarlia. Szli chodnikiem biegnącym wzdłuż jednej strony Sedgwick Street jak dwóch zwyczajnych nastolatków i oglądali domy.

– Trzy okna mansardowe. Duży dom – powiedział Eric.

– Dzieci – zauważył Danny. – I to dużo; są zwykłe rowery i jeden na trzech kółkach. Nie mają pieniędzy.

– Albo mają tyle, że stać ich na dzieci.

Skęcili na Tilden. Nagle zrobiło się nieco bardziej bogato – dom z basenem, drugi z garażem na trzy samochody, trzeci z łodzią na podjeździe.

– No dobra, tutaj – zdecydował Eric.

– W porządku – zgodził się Danny. – Gdzie chcesz być, kiedy będę ci podawał fanty?

Eric rozejrzał się wokół.

– Daleko do przystanku autobusowego.

– No to co? Przecież nie mówię, żebyś czekał tutaj. Potem musielibyśmy taszczyć to wszystko kawał drogi, a w tym czasie mogłyby nas wypatrzeć jakieś podejrzliwe gliny, nie? Dlatego wybierz miejsce blisko sklepu, w którym urzęduje nasz oporny paser, i tam podam ci towar.

Eric spojrzał na Danny'ego z konsternacją.

– Możesz tak zrobić?

– To tak jakbym wybijał otwór w powietrzu – powiedział Danny.

– Jestem w domu, robię małą dziurę, wkładam do niej rękę i podaję ci fanty, gdziekolwiek jesteś.

Eric pokręcił głową.

– To zbyt wygodne, żeby było prawdziwe.

– Cóż, ma to też swoje niewygodności. Moje pytanie brzmi: ile tego chcemy wziąć?

– Ile czego?

– Ile pieniędzy? Ile domów mam obrobić? Ile laptopów, ile Xboxów, ile iPadów? Ile biżuterii?

– Nie wiem – przyznał Eric. – Dużo. Facet będzie zbijał ceny wszystkiego jak szalony; będziemy mieli szczęście, jeśli dostaniemy dziesięć procent wartości.

– Będziemy mieli szczęście, jeśli dostaniemy cokolwiek – rzekł Danny. – Nadal uważam, że po prostu zabierze towar i nic nam nie da.

– Nie przetrwałby długo w branży, gdyby wieść o tym się rozeszła.

– Niby jak miałyby się rozejść? Masz aż tak szerokie znajomości w półświatku stolicy?

– Mówisz jak spiker w wiadomościach telewizyjnych.

– Po prostu myślę, że bez względu na to, ile ukradnę, będziesz potrzebował innego pasera.

– Tego znamy.

– Dobrze, niech ci będzie. – I z tymi słowy Danny zrobił wrota bezpośrednio do małego ogródka, który zauważył podczas ich pierwszej wizyty u pasera. Był o raptem dwa domy od jego sklepu i Eric mógł tam układać łupy w stos, ukryty w krzakach przed oczami przechodniów.

Pomyślał, że trochę niegrzecznie było kazać koledze samemu wracać taki kawał drogi, więc przeniósł się wrotami z powrotem na Tilden Street. Eric stał w tym samym miejscu, w którym go zostawił.

– Co zrobiłeś? – spytał.

– To, co powiedziałem – odparł Danny. – Teraz już są wrota stąd tam. Szkoda, że nie mogę cię przez nie przeprowadzić. Oszczędzilibyśmy na przejeździe autobusem.

– Kiedy tak znikasz... a gdyby ktoś patrzył?

– To co by powiedział? „Chłopak zniknął i po paru sekundach pojawił się znowu”. Gliny uwierzyłyby mu z miejsca i czatowałyby tu całą noc, aż wrócę.

– Nie musisz się wymądrzać – powiedział Eric. – Po prostu myślałem, że nie chcesz zwracać na siebie uwagi.

– Jeśli zwrócisz uwagę, gdzie jesteśmy – odparł Danny – to przekonasz się, że zobaczyć nas można tylko z tamtego domu, a w tej chwili jest pusty.

– Ale wieczorem ktoś tam może być.

– Tylko że wieczorem będzie ciemno. Widzisz gdzieś latarnie? Eric wzruszył ramionami.

– Twoja sztuczka, ty decydujesz.

– Chcesz przejść ze mną przez wrota, zamiast telepać się autobusem?

– Nie. – Eric się wzdrygnął. – Mówiłem ci, że nigdy tego nie zrobię.

– Nie masz nic przeciwko temu, że sam tak wrócę do domu?

– Rób, co chcesz – rzucił Eric z irytacją.
– Nie ma sprawy, pojedę z tobą autobusem.
– Och, jakiś ty kochany – powiedział Eric sarkastycznie. – Aż tak się poświęcisz dla mojej skromnej osoby?

Danny dotrzymałby mu towarzystwa, ale skoro Eric miał się zachowywać jak skończony dupek, postanowił dać spokój. Raz jeszcze przestąpił przez wrota i wybrał się do sklepu pasera po coś do jedzenia i picia. Butelkę soku pomarańczowego i baton Payday później był już z powrotem na ulicy i szedł do domu Stone'a. Mocno go kusiło, żeby stworzyć wrota do kantorka i zobaczyć, co robi paser, ale wybił to sobie z głowy. A gdyby facet go zauważył?

Z drugiej strony – co by było, gdyby Danny nie przeniósł się tam całym ciałem? Skoro mógł włożyć w małe wrota dłoń, dlaczego nie twarz?

Dał nura do ogródka, w którym Eric wieczorem miał odbierać kradziony towar. Potem zrobił małe wrota, których ujście było wysoko na ścianie kantorka pasera. Wsunął do nich twarz, tylko na tyle, żeby zajrzeć do środka.

Paser siedział za biurkiem i wypełniał jakieś papiery. W pokoju nie było żadnych kradzionych rzeczy na widoku – same pudła, prawdopodobnie z towarami sprzedawanymi w sklepie. Może paser nie przyjmował tu fantów. Albo może po prostu trzymał je w jednym z pudeł i później ktoś po nie przychodził.

Drzwi ze sklepu otworzyły się i wszedł sprzedawca.

– Pomyślałem, że to cię zainteresuje; przed chwilą był jeden z tych dzieciaków i kupił batona i colę.

Sok pomarańczowy, kretynie, pomyślał Danny. Nie colę.

Paser sięgnął do tyłu i podniósł aluminiowy kij baseballowy.

– Mam nadzieję, że przyjdą. Dawno nikogo porządnie nie sprąłem.

– Czyli wpuścić ich?

– Najpierw daj mi sygnał, żebym był gotowy.

– Dlaczego nie kupisz tego, co mają do sprzedania? – spytał sprzedawca.

– To gliny – powiedział paser.

– Ten mały wygląda na dwanaście lat.

Trzynaście, powiedział Danny w duchu. Czy ty na niczym się nie znasz?

– Przysyłają takich, co wyglądają młodo, żebym zrobił coś głupiego. Co ty, myślisz, że ci gówniarze kiedykolwiek gdzieś się włamali? Nawet jeśli nie są glinami, dadzą się nagrać na jakiejś kamerze albo zwiną coś

z nadajnikiem radiowym.

– To lepiej nie słucz ich za bardzo, Rico – rzekł sprzedawca.

Rico. Taki to z niego Arab.

– Wiem lepiej od ciebie, jak prowadzić mój interes.

– Lubię tę pracę. Jak będziesz mi płacił pensję, siedząc za pobiciem?

Albo morderstwo?

– Nie zabiję nikogo.

– Po prostu przegonię tych smarkaczy, Rico. Nie wyślę ich do ciebie.

– Rób, co chcesz, mamusiu – burknął Rico.

– Ktoś musi się o ciebie troszczyć, pilnować, żebyś nie zrobił czegoś głupiego.

– Pracujesz jako sprzedawca w sklepie, kretynie. Jak możesz wiedzieć, co jest głupie?

Sprzedawca odwrócił się, żeby wyjść. Nagle zatrzymał się i szybko obrócił, by spojrzeć w miejsce, skąd Danny podglądał tę scenę.

Chłopak wycofał się przez wrota, gdy tylko zdał sobie sprawę, że został zauważony. Tej chwili nigdy nie zapomni – sprzedawca się przeraził, jakby zobaczył odciętą głowę dziecka albo coś takiego. Choć jak o tym pomyśleć, to, co zauważył, pewnie było równie straszne – ludzka twarz z bystrymi oczami, wisząca na ścianie.

Danny usiadł i śmiał się jak szalony. Wyobrażał sobie, jak sprzedawca próbuje wytłumaczyć paserowi, co zobaczył na ścianie jego kanciapy. Nic dziwnego, że tak wielu magów nie mogło się oprzeć pokusie płatania figlów suszłakom – i na przykład wysyłali klanty z mgły, by snuły się po domach jak duchy. Albo składali małe klanty z liści i płatków kwiatów, które pląsały po ogrodzie jak duszki. Każdy mag jako tako kontrolujący swoje zewnętrzne ja potrafił stwarzać takie zjawy na zawołanie.

Oczywiście, Danny nie miał zewnętrznego ja, więc nie mógł robić klantów. Mógł za to stworzyć wrota i wsadzić w nie twarz, a to było coś trochę podobnego. W ten sposób mógł sam zobaczyć, jaka to zabawa. Zważywszy na to, ilu magów odstawiało takie numery, Danny nie rozumiał, dlaczego magów wrót uważa się za szczególnie podstępnych i bałamutnych. Jeśli magowie wrót nie mieli jakichś umiejętności, o których jeszcze nie słyszał, to wszyscy zwyczajni magowie znali więcej sztuczek, w dodatku fajniejszych.

Ugryzł kawałek batona i wypił resztę soku pomarańczowego. Potem, ponieważ pokusa była zbyt silna, zrobił następne małe wrota i przełożył przez nie pustą butelkę po soku. Sprzedawca zastanie ją na samym środku

lady. Rozwinął baton do końca i papierek też wsunął we wrota. A niech facet spanikuje. Może paser Rico pomyśli, że zwariował, i go wyleje z roboty. Nie pracować więcej dla takiej gnidy to najlepsze, co mogło sprzedawcę spotkać.

Danny szedł, dopóki nie skończył batona. Wtedy ruszył biegiem do domu. Wrota fajna rzecz, ale przyjemnie było zmusić ciało do pracy na pełnych obrotach, sadzić susy jak antylopa – tak to odczuwał. Pewnie bardziej przypominał strusia.

Gdybym był magiem zwierząt, myślał w biegu, chciałbym, żeby moim bratem serca był struś. Dwunogi, galopujący na nogach jak szczudła, szybszy niż samochody na tych osiedlowych uliczkach.

W okolicy nie było strusi, no chyba że w zoo i na fermach. Musiałby mieszkać w Afryce lub Australii, żeby związać się sercem z takim ptakiem.

Może moim bratem serca jest trzynastoletni chłopiec, pomyślał Danny. Ich akurat nie brakuje. Może to ja jestem czyimś bratem serca i ten ktoś od zawsze mną steruje, tylko że nigdy nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Ale to byłoby zaklinanie ludzi, magia prawdziwie nieczysta. Posiąść ciało i umysł drugiego człowieka? To byłaby niewola. Nie żeby ktokolwiek miał coś przeciwko, gdyby ktoś z rodziny robił takie rzeczy suszłakom. Ale jeśli potrafięś uczynić suszłaka swoim bratem serca, to samo mogłeś zrobić Westilianinowi i dlatego była to nieopisana zbrodnia.

Jaką magię musiałby opanować taki Westilianin, zaklinacz ludzi, by przejąć władzę nad jego ciałem? Mógł mieć całą stajnię podporządkowanych sobie magów, dysponować mocą ich wszystkich. Zaklinanie ludzi to była najbardziej niebezpieczna z magii – mogła bowiem zmienić Westilianina w niewolnika. Prawie jak kanibalizm.

Jeśli ktoś w którejkolwiek rodzinie okazał się magiem wrót, był skazany na śmierć, ale nie zawsze tak było. Magia wrót nie była z natury zła. Co by było, gdybym był urodzonym zaklinaczem ludzi? Gdybym przejął władzę nad Gyishem albo Zogiem i zmuszał ich, żeby robili, co zechcę? Danny'ego przeszedł dreszcz, mimo że był spocony od biegu. Kto chciałby siedzieć w tych okropnych starych pierdołach i pociągać za sterujące nimi dźwignie? Chociaż fajnie byłoby ich rękami wlać Lemowi i Stemowi, tak jak oni lali Danny'ego.

Jakim ja człowiekiem się staję? – pomyślał Danny. Pewnie jak już użyjesz jednej zakazanej magii, te jeszcze gorsze zaczynają wyglądać kusząco. Bądź co bądź, mogą mnie zabić tylko raz. Co za różnica, czy

skręca mi kark za kradzież gęsi czy za kradzież kaczki?

Kiedy wrócił do domu, w salonie Lana siedziała na oparciu kanapy, z nogami na poduszkach. Zerknęła w bok, żeby zobaczyć, kto przyszedł, po czym znów wlepiała wzrok w telewizor. Był wyłączony.

– Co oglądasz? – spytał Danny.

– Jedyne dobry program w telewizji – odpowiedziała.

– Też go uwielbiam.

Lana spojrzała na niego zimno.

– Jeśli myślisz, że prześpię się z tobą tylko dlatego, że się przymilasz, zapomnij.

Danny był w szoku.

– Czy ty tylko o tym myślisz?

– To ty tylko o tym myślisz.

– Nie wiesz, o czym myślę.

– To akurat wiadomo od chwili, kiedy się tu zjawiłeś.

Danny tak się zezłościł, że mógł otwarcie mówić to, co normalnie krępowałby się powiedzieć.

– No tak, jasne, jesteś półnaga, lepisz się do mnie, dyszysz mi w twarz, rzucasz mnie na podłogę, więc o czym innym mogę myśleć? Dlaczego nie zaczęłaś od rozmowy?

– Bo cały czas myślałbyś o tym, żeby mnie przelecieć.

– Może i tak – przyznał Danny. – Kiedy masz na sobie tylko białą, prześwitującą koszulę, rzeczywiście nie da się nie pomyśleć, czy trudno byłoby rozpiąć guziki. Ale teraz? Kiedy jesteś ubrana jak człowiek?

– W tej chwili myślisz o tym, jak wyglądałam, kiedy mnie pierwszy raz zobaczyłeś.

– Jesteś beznadziejna. Gdy wszedłem przed chwilą, pomyślałem sobie, że jak to fajnie, że siedzisz i patrzysz w wyłączony telewizor, i jeszcze potrafisz z tego zażartować, i chciałem pożartować razem z tobą, a ty nagle zmieniłaś temat na to, czy chcę się z tobą przespać. To tobie jest tylko jedno w głowie i nie obchodzi mnie, jak ciężkie miałaś życie, i tak jesteś najbardziej obleśną dziewczyną, jaką kiedykolwiek znałem, a znałem kilka naprawdę obleśnych.

– Obleśna? – powiedziała drwiąco. – Uuu, ale jestem obleśna!

Danny nagle zerwał się do biegu i całym impetem rzucił się na oparcie kanapy, przewracając ją do tyłu. Nieraz robił tak z jeszcze cięższą starą kanapą na tylnej werandzie szkoły rodziny. Dawał radę ją przewrócić, kiedy siedziała na niej tylko jedna kuzynka. Gdy było ich więcej, musiał skoordynować atak z jednym z pozostałych chłopaków, ale

chętnych nigdy nie brakowało. W końcu dziewczyny nauczyły się wstawać z kanapy na widok nadbiegającego Danny'ego i to też było fajne.

Lana jednak była zupełnie nieprzygotowana, więc przewaliła się do tyłu z krzykiem. Danny natychmiast skoczył na nią, łaskocząc ją bezlitośnie. Śmiała się do łez.

– Przestań, bo się zleję! Przestań, gnojku!

Danny przestał, podniósł się na kolana i spojrzał na nią z góry.

– Mam trzynaście lat – powiedział. – I tylko to mam ochotę robić z dziewczynami. – Po czym wstał i poszedł do kuchni.

Ced siedział przy stole i czytał grubą książkę zadrukowaną drobnym maczkiem.

– Połaskotałeś ją, co?

– Podobało jej się – rzekł Danny. – To było widać. – Poszedł do lodówki. Jednak po batonie i soku pomarańczowym nie był głodny.

Usłyszał dźwięk otwieranych drzwi i zobaczył Lanę opartą o framugę.

– Posikałam się przez ciebie, gówniarzu śmierdzący!

– Czego innego się spodziewać po dziewczynie? Tylko sikanie wam w głowie. „Muszę do łazienki”. „Ja chcę siusiu”. „Kto pójdzie ze mną przypudrować nosek?”. Na dziewczyny wszystko działa moczopędnie.

Pobiegła do zlewu i złapała nóż stołowy.

– Zabiję cię, gnojku!

– Tym nożem? Możesz co najwyżej posmarować mnie majonezem.

Ced wybuchnął śmiechem i Lana odwróciła się do niego gwałtownie.

– Jesteś moim mężem! Stawaj w mojej obronie, zamiast rechotać!

– To ty masz nóż – zauważył Ced.

– Wiesz, że nie znoszę być łaskotana! – krzyknęła mu w twarz.

– Cóż, może mały nie znosi być gwałcony – odpowiedział Ced łagodnym tonem. – Teraz jesteście kwita.

– Będę musiała zmienić majtki!

– On pewnie też musiał.

– Nieprawda! – zaprotestował Danny.

– Oj, zła wiadomość, kochana moja – stwierdził Ced. – Tracisz formę.

Lana rzuciła się na niego z nożem, ale złapał ją za nadgarstek. Danny miał wrażenie, że tak naprawdę wcale nie próbowała go dźgnąć. Chciała, by ją powstrzymał.

Ced posadził ją sobie na kolanach i pocałował. Czy raczej próbował pocałować, bo uparcie się przed nim uchylała. Pocałował ją więc w szyję.

– Przestań mnie obśliniać! – krzyknęła.

– Idę na górę, do mojego pokoju – powiedział Danny.

Ced podniósł Lanę i posadził na stole przed sobą, dokładnie na książce.

– Jeśli to książka z biblioteki, będziesz musiał zapłacić karę

– uprzedził Danny.

Lana i Ced złączyli się w głębokim pocałunku. Danny był zdziwiony, że nie dławią się nawzajem.

– Co wy, wampiry jesteście? – spytał. – Próbujecie kąsać się w szyję od wewnątrz?

Nie zwracali na niego uwagi.

Poszedł korytarzem do schodów.

– Nigdy się nie ożenię! – powiedział głośno na odchodnym. – To zbyt obrzydliwe. – Tak naprawdę jednak miał swoiste poczucie triumfu. Wyłaskotał ją tak, że straciła panowanie nad sobą, i dzięki temu odzyskał trochę dumy osobistej. Teraz jesteśmy kwita, pomyślał.

No, prawie kwita. Bo kiedy ją łaskotał, dotykane jej ciała, nawet przez ubranie, sprawiało mu przyjemność. Poniekąd miała rację, mówiąc, że chłopaki myślą tylko o jednym. Najwyraźniej jak już raz tak o niej pomyślał, nigdy nie dawało się tego do końca wyłączyć. Nie wiedział, że tak to działa, i trudno się dziwić, skoro jedynymi dziewczynami, które do tej pory znał, były nienawidzące go kuzynki.

Zaszedł tylko na pierwszy podest schodów. Stone czekał w drzwiach swojego pokoju i machał kartką wielkości papieru listowego.

– Mam dla ciebie nazwisko i adres.

– Nazwisko już mam – powiedział Danny – i miałem cichą nadzieję, że ten dom to mój adres.

– Nauczyciela – wyjaśnił Stone. – I domu, w którym możesz zamieszkać. Żadna z rodzin nie wie o istnieniu tych ludzi. I zwróc uwagę, że nie mówię ich nazwiska na głos. Ciebie proszę o to samo.

Danny podszedł do niego.

– Nie wiem, czy chcę wyjechać z Waszyngtonu. To miasto mi się podoba.

– Miasto czy Lana? – spytał Stone. – Ona ma męża.

– Wiem. Zauważyłem. Ale powiedziałem: „To miasto mi się podoba”. Po co miałbym wyjeżdżać?

– Rób, jak chcesz. – Stone jednak złożył kartkę na pół i chciał wsunąć Danny’emu do kieszeni spodni.

Danny się cofnął.

– Daj mi ją do ręki. Nie pchaj mi rąk do kieszeni.

Stone przewrócił oczami i podał mu kartkę.

– Nie każdy w tym domu chce cię molestować.

Danny rozłożył kartkę.

– Marion i Leslie? Czy któreś z nich jest mężczyzną?

Stone dał mu w twarz – mocno. Danny, zaszokowany, zatoczył się w bok i łzy napłynęły mu do oczu.

– Myślisz, że to wszystko żart? – powiedział Stone. – Skąd wiesz, że nie ma w tym pokoju czyjś zewnątrzni ja, które słyszy każde twoje słowo? Ci ludzie są gotowi przyjąć pod swój dach i wyszkolić maga wrót, mimo że mogą ściągnąć na siebie gniew wszystkich rodzin, a ty traktujesz to jak żart?

– Jeśli ktoś może mnie usłyszeć, to może też przeczytać twoją durną kartkę.

– Myślisz, że nie wiem, jak nie dopuszczać do siebie ich zewnętrznych ja?

– To dlaczego sądzisz, że są tu i słuchają?

– Bo gdybyś miał o czymkolwiek pojęcie, wiedziałbyś, że mogliby być w sąsiednim pokoju i podsłuchiwać przez ścianę, a tam nie mógłbym ich wyczuć.

– To i tak nie daje ci prawa mnie bić.

– Tu idzie o czyjeś życie, ty samolubny gadzie! Wbij sobie wreszcie do głowy, że inni ludzie też są ważni.

– Jestem Westilianinem – rzekł Danny pogardliwie. – Nikt nie jest ważniejszy ode mnie. – Chciał, żeby te słowa zabrzmiały ironicznie, może nawet przepraszająco, ale Stone najwyraźniej nie tak je odebrał.

– Nie jesteś Westilianinem. Tak jak wszyscy ci Amerykanie nie są Celtami, Niemcami, Włochami, Polakami, Rosjanami czy skąd jeszcze pochodzą ich rodziny. Minęło prawie czternaście stuleci od czasu, kiedy twoi przodkowie żyli na Westilu.

– Wiem – zapewnił Danny. – Przepraszam, że powiedziałem ich imiona na głos. Naprawdę zapomniałem, że miałem tego nie robić.

– Przecież dopiero co ci tego zabroniłem! – obruszył się Stone.

– Jak powiedziałem Lanie, mam trzynaście lat! Od razu zapominam wszystko, co mi się mówi. Ciotki zawsze na to narzekały, ale nie ja jeden tak miałem.

– Młodość i głupota to żadne usprawiedliwienie. Jeśli przez ciebie zginą albo cokolwiek im się stanie, osobiście cię zabiję. Jasne?

– Nie powiedziałem ich adresu ani nazwiska.

Stone wyszarpnął kartkę z dłoni Danny'ego.

– Wszystko odwołuję. Nie wyślę cię tam. W ogóle nie wyślę cię nigdzie, najwyżej z powrotem na ulicę. Jesteś zbyt samolubny i głupi, żeby ci pomagać.

– Jestem magiem wrót – powiedział Danny – więc jestem ważny dla ciebie i twoich Sierot, nawet jeśli uważasz mnie za głupka.

– Może wolę, żebyśmy poczekali jeszcze tysiąc lat na takiego, który będzie mądry.

– Przepraszam – powtórzył Danny. – Szczerze, z całego serca. Więcej nie będę taki nieostrożny. Będę to traktował poważnie. Wiesz, ja wiele spraw traktuję poważnie. Nie bez powodu udało mi się tak długo przetrwać.

– Ja mam wrażenie, że nie zginąłeś tylko dlatego, że twoja rodzina była zbyt leniwa, by cię zabić.

– Potrafisz być okrutny – powiedział Danny.

Stone ponownie złożył kartkę i mu podał.

Danny nie chciał jej przyjąć.

– Weź to – ponaglił Stone. – Nie powinienem był wpadać w złość, wszystko przez tę twoją nonszalancję.

– To mi niepotrzebne – odparł Danny.

– Nie upieraj się, mały. Nie przetrwasz w Waszyngtonie długo. Rozejdź się wieść o znikającym dziecku, rodziny się domyślą, że to mag wrót, i będą cię ścigać.

– Chodziło mi o to, że ta kartka nie jest mi potrzebna. Nauczyłem się jej treści na pamięć.

– Aha.

– Przepraszam – powiedział Danny. – Ciągle nawalam, chociaż wcale tego nie chcę. To nie jest tak, że wszystko olewam. Po prostu jakoś tak wychodzi.

Stone skinął głową.

– Zapomniałem, że to dla magów wrót typowe. Nigdy nie traktują niczego poważnie, wszystko jest dla nich jednym wielkim żartem.

– Ale ja traktuję to poważnie.

– Mówi się, że wielu nienawidziło Lokiego, jeszcze zanim pozamykał wrota. Większość magów wrót ma kłopoty ze zdobywaniem przyjaciół na stałe, przynajmniej wśród Westilian.

– Tak, cóż, plemię Policzkujących Ogrodników też zapewne nie jest zbyt popularne.

– Zostawiłem ci ślad na policzku – powiedział Stone.

– Ciekawe – odparł Danny. – Czyżby siniak?
– Może. Ale nie krwawi.
– Musisz nauczyć się bić z większą siłą.
– I znowu ta twoja nonszalancja. Widzisz?
– To daj mi w twarz. – Danny odwrócił się, poczłapał na piętro i zrobił sobie przystanek w ubikacji. Udany dzień, nie ma co. Jak tak dalej pójdzie, pewnie go zastrzelą w którymś z domów.

Tak się jednak nie stało. Eric wrócił zmęczony i nie w sosie po długim spacerze i jeździe autobusem. Oglądali telewizję, zjedli kolację, a potem znów oglądali telewizję, tym razem z Cedem i Laną, którzy nabijali się ze wszystkich programów z równym zapałem. Wreszcie zapadł zmrok i poszli w stronę sklepu Rico. Danny pokazał Ericowi, gdzie ma stać, i przeniósł się wrotami na Tilden Street.

W domu z basenem nie było nikogo, co znaczyło, że w środku mogły być czujniki ruchu. Mimo to wszedł do środka i po prostu przemieszczał się wrotami z pokoju do pokoju, żeby nie chodzić po korytarzach. Znalazł sejf i przez miniwrota wyjął zawartość – trochę porządnie wyglądającej biżuterii, gotówkę i plik obligacji na okaziciela, a także akty urodzenia i inne bezwartościowe osobiste dokumenty i zdjęcia. Odłożył na bok to, co chciał zatrzymać, resztę schował z powrotem do środka. A potem wyszedł wrotami na zewnątrz, zamiast dalej krążyć po domu i szukać możliwego do opchnięcia paserowi sprzętu elektronicznego.

Na ulicy schował obligacje i gotówkę pod ubranie, po czym zrobił nowe wrota do domu na Sedgwick z trzema oknami mansardowymi i rowerami na podwórku. Domownicy spali, tylko matka i ojciec oglądali film w swojej sypialni.

To Danny'emu nie przeszkadzało. Zlokalizował dwa Xboxy i dwa Wii. Każdą konsolę odłączał od prądu, po czym robił miniwrota i podawał ją Ericowi. Czekał, aż poczuje, że Eric ciągnie sprzęt do siebie, zanim go puścił. Podał mu też wszystkie dyski z grami, jakie znalazł. Trochę odpoczynku od tych ogłupiaczy dobrze dzieciom robi – przynajmniej tak zawsze mawiały ciotki, kiedy wyjaśniały, dlaczego rodzina ma tylko jedną konsolę do gier, starą Segę, i trzy gry, w które i tak rzadko kiedy pozwalały grać.

W tym samym domu były trzy laptopy, dwa w pokojach dzieci i trzeci schowany do torby. One też przeszły przez miniwrota. W garażu Danny spojrzął na mercedesa i ogromny wóz sportowo-terenowy i zaczął się zastanawiać, czy dałby radę przejechać przez wrota czymś tak dużym. Dopiero Eric miałby niespodziankę!

Jednak nie mieliby jak spieniężyć auta – to już było zupełnie innego rodzaju przedsięwzięcie i nie chciał mieć do czynienia z ludźmi zajmującymi się kradzionymi samochodami. Zresztą i tak pewnie nic by z tego nie wyszło – nawet nie wiedział, jak miałby to zrobić. Może sam przeniósłby się przez wrota, ale samochód by się w nich nie zmieścił i jechałby dalej? Chociaż bez jego nogi na pedale gazu pewnie zwolniłby i się zatrzymał. Nie po raz pierwszy Danny żałował, że nie pozwolono mu nauczyć się prowadzić samochodu. Ani nawet traktora, którego rodzina używała do prac rolnych.

Nie wracając na ulicę, obskoczył przez wrota wszystkie pozostałe domy, w których, jak wcześniej uznali z Erikiem, mogło być coś ciekawego. Jeden z nich to była całkowita porażka – właściciele sprawili sobie za duży dom jak na swoją kieszeń, przez co oprócz salonu i jadalni był praktycznie nieumeblowany. Za to z pozostałych czterech wyniósł biżuterię, portfele, karty kredytowe, laptopy, iPady i Kindle, a nawet parę kosztownie wyglądających wazonów, choć równie dobrze mogły to być podróbki z Wal-Marta.

Jeśli to nie wystarczy, żeby na jakiś czas ustawić Erica, mówi się trudno. Te drobne, łatwe łupy z kilku domów to wszystko, co Danny zamierzał ukraść. Do końca życia.

No chyba że naprawdę będzie musiał to robić, żeby mieć co jeść. Niczego nie mógł wykluczyć, ale na pewno nie planował zostać zawodowym włamywaczem. To byłoby zbyt żalosne, gdyby pierwszy mag wrót od nie wiadomo ilu lat wykorzystywał swoją moc tylko do okradania suszłaków.

Przeniósł się wrotami na Tilden Street, by zobaczyć, czy gdzieś włączył się alarm albo czy przyjechały gliny. Na ulicy panowała absolutna cisza. Rano będzie ogólna konsternacja i dużo narzekania, ale tej nocy wszyscy się wyśpią.

Przeszedł wrotami do ogródka, w którym Eric siedział otoczony stosem laptopów i rzędami innych urządzeń elektronicznych. Lekko drżał. Dwa wazony leżały w trawie.

– Te wazony to albo skarb, albo tandeta.

– Albo coś pomiędzy – odparł Danny. – Ale stawiam, że tandeta.

Chcesz je potłuc, żeby się rozgrzać?

– Nie. Skoro już tu są, to a nuż okażą się coś warte? Chyba nie zrobiłeś nic głupiego? Nie wystawiłeś rewersów podpisanych swoim nazwiskiem?

– Doskonały pomysł. – Danny przeszedł z powrotem przez wrota,

policzył do pięciu i wrócił. Teraz Eric już stał i na widok Danny'ego aż nogi się pod nim ugięły z ulgi.

– Co z ciebie za kretyn?

– Taki dowcipny – powiedział Danny. – Oczywiście, nie jestem idiotą. Nie podpisałem rewersów swoim nazwiskiem.

– To dobrze.

– Tylko twoim.

– Akurat! Czyli teraz musimy zrobić kilka kursów, żeby zanieść to wszystko do sklepu.

– Dziś po południu trochę ich... szpiegowałem – rzekł Danny.

– Sprzedawca nas nie wpuści.

– Jaki sklep całodobowy nie wpuszcza klientów? – zdziwił się Eric.

– Cóż, nie każdy przynosi im stertę laptopów.

– To jak się tam dostaniemy?

– Pomyślałem sobie, że włożę to wszystko przez wrota do kantorka Rico.

– Rico? Co, jesteś z nim po imieniu?

– Tak zwracał się do niego sprzedawca.

– Kiedy szpiegowałeś.

– Sprzedawca mnie widział. Tylko moją twarz. Pewnie myśli, że mu się przywidziało.

– Czyli kiedy wejdziemy, może uciec z krzykiem – stwierdził Eric.

– Nie. Będzie lepiej, gdy to wszystko nie pojawi się tam w magiczny sposób. Niech Rico nie wie, jak to robimy.

– A nawet jak się dowie, to co? Przecież cię nie złapie.

– Ale ciebie owszem – powiedział Danny. – I mógłby wziąć cię na zakładnika, żeby zmusić mnie do obrobienia wszystkich domów w Waszyngtonie. A na koniec pewnie i tak by cię zabił.

– Hm... tak, masz rację – przyznał Eric. – Lepiej, żeby nie widzieli rzeczy wyłaniających się znikąd. Chociaż pojęcia nie masz, jak fajowo to wygląda z drugiej strony, kiedy mi to wszystko podajesz. Jakby nocne powietrze rodziło drogi sprzęt elektroniczny i biżuterię. A ja robię za połoźnego.

Danny wciąż był skupiony na kłopotach z transportem.

– A gdybym przeniósł to wszystko na alejkę sklepową niewidoczną z kasy?

– Wtedy moglibyśmy mu pokazać, gdzie jest towar, i nie będzie musiał wiedzieć, skąd się tam wziął. Dobra myśl! – ucieszył się Eric.

Danny stworzył miniwrota na poziomie ziemi i wsunął w nie

wszystkie laptopy naraz. Ułożone w stos były ciężkie, ale weszły gładko i sterta nie fiknęła. Potem zrobił szereg następnych wrót, w które wkładał kolejne rzeczy po kilka naraz, aż w końcu – przynajmniej tak sobie wyobrażał – wszystko znalazło się w równym rządku w alejce sklepowej.

Jako że przed sklepem nie wybuchł tumult, zapewne żaden klient nie zobaczył rzeczy pojawiających się znikąd. Albo biedak zemdlął.

W każdym razie w środku było już wszystko oprócz biżuterii; Eric zawinął ją w swoją koszulę, którą niósł jak paczkę.

– Nie zimno ci? – spytał Danny.

– Biżuteria mnie grzeje.

Przeszli pod sklep i skierowali się do drzwi.

Na ich widok sprzedawca zrobił dziwną minę.

– Spadajcie – powiedział cicho. – Nie chcecie się z nim widzieć.

– Potrzebujemy pieniędzy – odparł Eric – a on potrzebuje towaru.

– Nie znacie go – tłumaczył sprzedawca łagodnym tonem. – Uważa, że jesteście drobnymi łachudrami, i pośle was do szpitala.

Eric położył na ladzie zawiniątko z koszuli i otworzył je.

– O kurde! – Sprzedawca włożył rękę pod ladę i zapewne wcisnął tam jakiś guzik, bo z zaplecza wyłonił się Rico zbrojny w aluminiowy kij baseballowy.

– Uprzedzałem, gnojki, co was czeka, jeśli wrócić – powiedział.

– Powinieneś na to spojrzeć – rzekł sprzedawca. – Oni nie żartują,

Rico.

Rico łypnął groźnie na Danny'ego i Erica, po czym spojrzał na wypełnioną biżuterią koszulę na ladzie.

– Podróbki – burknął.

– Dziwne, że ludzie trzymają podróbki w sejfie – stwierdził Danny.

– Zdarza się. Dam wam za to pięć dych.

Eric zaczął zawijać biżuterię z powrotem w koszulę.

Kij opadł lekko na jego rękę. Cios był na tyle mocny, że Eric krzyknął i puścił koszulę.

– Sto dolców – powiedział Rico. – Jeśli to wam nie odpowiada, dostaniecie figę plus dwie rozbite głowy.

– Mamy przez to rozumieć, że nie chcesz zobaczyć reszty? – zdziwił się Danny.

– To nie wszystko? – zapytał z szacunkiem sprzedawca.

– Zamknij się, José! – uciszył go Rico.

– Ach, José – rzucił Danny. – Miło poznać twoje imię.

– Co jeszcze macie? – spytał Rico.

– Dla pasera, który daje sto dolców za biżuterię wartą pięćdziesiąt tysięcy, nic.

– Na ulicy warta jest może pięć tysięcy, nie pięćdziesiąt, więc mogę wam dać pięć stów. To prawda, trochę zaniżyłem cenę, bo powiedziałem wam, gnojki, żebyście tu nie wracali, a wróciliście.

– Myśleliśmy, że jesteś poważnym biznesmenem – stwierdził Danny.
– A ty zrobiłeś krzywdę mojemu koledze.

– Chodźmy stąd i już. – Eric wyglądał, jakby zbierało mu się na łzy. Skrzyżował ramiona na piersi jak dziewczyna, która boi się dostać w biust piłką do baseballu.

– Nie – powiedział Rico. – Twój kolega zostanie tutaj, a ty przyniesiesz resztę towaru.

– Och, towar już tu jest – odparł Danny. – To się nazywa dostawa przed terminem.

– Gdzie? – spytał José. – Nie widziałem, żebyście przynieśli coś jeszcze.

– W głębi sklepu – rzekł Danny. – Zdrzemnąłeś się.

Rico spiorunował José spojrzeniem.

– Wcale nie – zaprotestował José. – Nawet nie czytałem ani nie oglądałem telewizji. Siedziałem tutaj i patrzyłem na te cholerne drzwi.

– To chodź i sam zobacz. – Danny zaprowadził ich między regały. Laptopy i konsole do gier były za rogiem alejki. Dopiero teraz zauważył, że przewody i kable niektórych konsoli wyglądały jak ucięte – urywały się nagle i znikwały. Najwyraźniej w mroku panującym na zewnątrz nie zorientował się, że część przewodów nie przeszła przez miniwrota w całości. Odciągnął psujące ogólne wrażenie konsole od wrót i przewody wysunęły się do końca.

– Dużo elektroniki – powiedział Rico.

– Dobre laptopy – zapewnił Danny. – Najnowsze modele.

– Gówno prawda – burknął Rico. – Wszystkie używane. Nie dam za nie więcej niż parę stów. Może dwadzieścia pięć dolców od konsoli.

– Jaja sobie robisz, człowieku? – oburzył się Eric. – Możesz dostać za to dużo więcej.

– Daj spokój – rzekł Danny. – On musi pokryć koszty ogólne i jeszcze na tym zarobić. Musi płacić pensję José. A jeśli nie znajdzie kupca? No i nie wiemy, w jakim ten sprzęt jest stanie, może w ogóle nie działa.

– Bystry chłopak – powiedział Rico.

Eric był niezadowolony, ale Danny uniósł dłoń, żeby go uciszyć.

– George, przecież to i tak więcej, niż mieliśmy nadzieję wyciągnąć na pierwszej robocie. Jak towar mu się spodoba i sprzeda go za porządne pieniądze, następnym razem podniesie naszą dolę.

– Właśnie – przytaknął Rico.

A Danny’emu ulżyło, że Ericowi nawet powieka nie drgnęła, kiedy nazwał go George’em. Nie było co zdradzać paserowi ich prawdziwych imion. Danny’emu pewnie by to nie zaszkodziło, ale facet mógłby dopaść Erica, gdyby warunki umowy przestały mu odpowiadać.

– Chodźcie do kantorka po wypłatę – zaprosił Rico. – José, weź ten pakunek z lady.

– Robi się, szefie. – José poszedł z powrotem do frontowej części sklepu.

– I zamknij interes! – zawołał za nim Rico. – Nie do wiary, że pozwoliłem wam pokazać mi to wszystko przy otwartych drzwiach.

Nagle rzucił Danny’ego na regał z towarem, podciągając mu koszulę do uszu, i zaczął go obszukiwać.

– Muszę wiedzieć, że nie masz podsłuchu. Nie pozwolę, żebyście wrobili mnie w przestępstwo, którego inaczej nigdy bym nie popełnił.

– Nie jesteśmy na podsłuchu – zaprotestował Eric. – Zabieraj łapy od chłopaka, z boku.

– Spokojnie, George – udobruchał go Danny. – Musi mieć pewność, że nie jesteśmy wtyczkami. – Zaśmiał się, wyobrażając sobie siebie i Erica podłączonych do gniazdka elektrycznego.

– Coś śmiesznego? – spytał Rico.

– Łaskoczesz – powiedział Danny.

– No dobra, jesteś czysty. Teraz ty, George. Ściągaj portki, bo inaczej niechcący ścisnę cię za jaja za to, że nazwałeś mnie zbokiem.

Eric opuścił spodnie do kostek i pokazał, że też nie ma ukrytego nadajnika.

– Pierwszy raz w życiu ktoś mnie prosi, żebym się na niego wypiał – stwierdził.

– Podciągnij gacie, mądralo – polecił Rico. – No dobrze, chodźcie do kantorka.

Danny wszedł pierwszy i ruszył w stronę biurka. Eric był tuż za nim. Nagle Danny usłyszał okrzyk bólu i głuchoe łupnięcie, i odwróciwszy się, zobaczył Erica wijącego się z bólu na podłodze. Rico właśnie brał potężny zamach kijem baseballowym.

– Nie mówiłem wam, gnojki, co się stanie, jeśli tu wrócicie?

– powiedział cicho. – Nie ostrzegałem?

José stanął w drzwiach z biżuterią zawiniętą w koszulę Erica.

– *Ay Dios!* – krzyknął. – *Santa Trinidad!*

Biurko oddzielało Danny'ego od kija baseballowego.

– Nie ruszaj się – nakazał Rico. – Inaczej będę walił twojego koleżkę, aż mu łeb pęknie jak arbuz.

– Nie chcesz mieć plam krwi na podłodze – ostrzegł go José.

– Myślisz, że wiesz, czego chcę? – Rico skoczył naprzód i zamachnął się kijem. Trafiłby Danny'ego w pierś, gdyby nie to, że Danny w tej samej chwili przeniósł się wrotami z powrotem na zewnątrz.

Rany boskie, ależ tam było zimno! Zaczekał tylko parę sekund i wrócił przez wrota do kantorka, tym razem jednak wyszedł z nich tuż obok Erica. Zamierzał podnieść go na nogi i uciec, ale kiedy spróbował pociągnąć go za sobą, Eric krzyknął z bólu.

Rico stracił równowagę, kiedy jego wściekły cios napotkał pustkę. Obrócił się gwałtownie, ze zdziwioną miną zachwiał się i oparł o biurko. José wyglądał, jakby go zemdliło. On jeden zdawał się wiedzieć, co przed chwilą zobaczył – Danny'ego znikającego z jednego miejsca i pojawiającego się gdzie indziej.

– Szybki z ciebie gnojek, co? – powiedział Rico. – Chcesz, to uciekaj, a ja po prostu wyżyję się na twoim koleżce. On nigdzie się nie ruszy, chyba że na noszach. Złamałem mu żebra, a może i kręgosłup.

– Wzniósł kij wysoko i zamierzył się na głowę Danny'ego.

Jaki Danny miał wybór? Mocno chwycił Erica za nadgarstek i z całej siły pociągnął go w stronę chwilę wcześniej stworzonych wrót. Robiąc to, był przekonany, że nic z tego nie będzie; mimo że sam przeniknął przez wrota w mgnieniu oka, potrzebował czasu, żeby przewlec przez nie bezwładnego kolegę. A zanim tego dokona, kto wie, co zrobi Rico? Może pobije Erica jeszcze bardziej, a może złapie go za nogę i pociągnie do siebie silniej?

Dlatego Danny odruchowo zrobił coś, czego nie robił nigdy dotąd i nie wiedział, że to potrafi. Przemieścił wrota. Przesunął ich wlot nad bezwładne ciało kolegi.

Udało się. Eric leżał w ogródku, wciąż niezdolny wstać – ale był poza kantorkiem Rico.

Tylko że Rico trzymał go za nogę. A właściwie nie tyle Rico, ile jego potężne ręce. Wystawały z wrót. Może zdołałby przejść w całości, gdyby Danny nie puścił Erica. A tak, pozbawiony kontaktu z Danny'ego, najwyraźniej nie mógł ani cofnąć rąk, ani wsunąć ich głębiej. Utknął.

Danny nie odważył się dotknąć tych rąk – wtedy Rico mógłby

przejsć cały albo wciągnąć go z powrotem.

Dlatego po prostu zrobił nowe wrota do kantorka.

Zobaczył przerażonego pasera, którego ręce sięgały ku podłodze, ale tuż poniżej łokci znikwały.

– Puść mnie, gówniarzu! – krzyknął Rico na widok Danny'ego.

– Przecież cię nie trzymam – powiedział Danny.

José siedział w drzwiach, oparty plecami o futrynę, i patrzył na Danny'ego szeroko otwartymi oczami.

– Czyli naprawdę widziałem cię na ścianie – wymamrotał. – Nie zwariowałem, widziałem cię.

– Jasne – odparł Danny. – Gdzie ten palant trzyma pieniądze?

– Sejf sklepowy jest pod ladą.

– Nie. Prawdziwe pieniądze.

– Zabije mnie – wzbraniał się José.

– Bez użycia rąk? – spytał Danny.

Rico jęczał głośno.

– Puść mnie!

Danny wszedł za biurko i pootwierał szuflady. Nic. Uważnie przyjrzał się spiętrzonych pod ścianą masie szafek, regałów, papierów i towarów na sprzedaż. Zaczął wnikać rękami do szafek i obmacywać wnętrza każdej z nich. Wreszcie z jednej wyciągnął pliki banknotów. W niektórych były setki, w innych dwudziestki.

Włożył dłonie do tej samej szafki i wyjął pistolet oraz pudełko amunicji. Z rozmachem położył je na biurku.

– Pora, żebyś się zamknął, Rico – powiedział.

Rico ucichł.

Danny odliczył dziesięć setek.

– Tyle spodziewałem się dostać za towar, który przyniosłem. Tysiąc.

– Odliczył następnych dwadzieścia setek. – To powinno pokryć koszty leczenia George'a. – Resztę pieniędzy zaniósł José.

– Nie, człowieku, nie chcę z tego ani centa.

– Zastanów się. Byłeś świadkiem upokorzenia tego palanta. Myślisz, że nie zabije cię przy pierwszej okazji? Weź te pieniądze, wyjedź z Waszyngtonu, z tej części kraju, ze Stanów w ogóle. Nie rozumiesz? Od tej chwili jesteś na bezrobociu. To twoja odprawa.

– Muszę zostać, wysyłam pieniądze rodzinie.

– Tyle nie wystarczy, żeby na jakiś czas zapewnić jej byt?

– Mam ośmioro dzieci, a tyle kosztował mnie sam przyjazd do Stanów. Nie mogę wyjechać.

– Wiesz co, mam pomysł – rzekł Danny. – Tu jest pistolet. Tu pudełko amunicji. Chcesz być bezpieczny od Rico, to weź gumowe rękawice ze schowka gospodarczego i zrób, co trzeba. Ja go nie zabiję, ale jeśli ty to zrobisz, nie zmartwię się.

– Nie, stary, nie! – przeraził się Rico. – José, no coś ty, zawsze ci pomagałem, stary, nic ci nie zrobię, tylko odłóż pieniądze na miejsce, weź spluwę i zastrzel dzieciaka. Uratujesz mi życie, rozumiesz? A ja wiem, jak traktować przyjaciół.

– Przynieśliśmy mu kupę biżuterii i sprzętu elektronicznego – powiedział Danny – i widziałeś, jak nas potraktował.

– Jesteśmy przyjaciółmi, José! – przekonywał Rico. – Wciągnij mnie z powrotem, mały. Mówię serio, możesz zatrzymać wszystkie pieniądze, możesz zabrać swoje fanty, tylko oddaj mi moje ręce.

I nagle wybałuszył oczy.

– Kto mnie trzyma?! Ktoś łapie mnie za ręce! – A potem wrzasnął.

Danny nie miał pojęcia, co się dzieje. Czy Eric coś robi? A może jest tam pies? Albo szop? A może Rico udaje? Musiał wrócić do Erica, bo może i do niego coś się dobrało.

– Wychodzę – powiedział. – Zabieram tylko uczciwą cenę za towar i pieniądze na leczenie George'a. Towar zostawiam. Nie okantowałem Rico, nie okradłem go. Kiedy wyjdę, policzę do dziesięciu i wepchnę jego ręce z powrotem do kantorka. Przez ten czas możesz zabrać pieniądze i uciec. Albo odstrzelić mu łeb. Albo jedno i drugie. Ja wybrałbym jedno i drugie.

José wstał i wyszedł z kantorka.

– Widać nie chce ani pieniędzy, ani twojej śmierci, fuksiarzu – rzekł Danny do pasera.

Wtedy José wrócił do kantorka, naciągając na dłoń gumową rękawicę.

– Nie! O nie, nie, stary, nie! – krzyknął Rico.

Danny wyszedł przez wrota do ogródka.

Eric, wykręcony w bok, gryzł pasera w kciuk prawej dłoni. Krew lała się z rany i ściekała mu z ust. Miał drapieżny wyraz oczu, jak jeden z jastrzębi Zoga, hiperczuły, ale całkowicie bezduszny.

– Przestań – powiedział Danny. – Jeśli dotknę ciebie, kiedy ty dotykasz jego, on się uwolni. Puść go. Przestań!

Eric jakby go nie słyszał. Warczał jak pies, jak niedźwiedź. Wreszcie padł na plecy i wypluł odgryziony palec. A potem pluł raz po raz, żeby pozbyć się krwi z ust.

– To było ohydne – skomentował Danny. – Ale sprawiedliwe.

W tej chwili usłyszał strzał. Był stłumiony i odległy, jako że padł wewnątrz sklepu dwa domy dalej.

Danny nie dotknął Rico. Wykorzystując swoją nowo odkrytą umiejętność, przesunął wrota nad jego rękami, aż zniknęły bez śladu.

– Przeszedłem przez wrota – rzekł Eric z szerokim uśmiechem.

– Właśnie widzę – odparł Danny.

– I czuję się dużo lepiej.

– Nie powinieneś był się ruszać. Pewnie połamał ci zebra, a może i kręgosłup.

– Nie sądzę. To znaczy, takie miałem wrażenie zaraz po tym, jak mnie uderzył, ale teraz już mi lepiej. – Eric wstał. – Prawdę mówiąc, czuję się świetnie. Chociaż chyba nadwreżyłem sobie szczękę, odgryzając mu kciuk.

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś.

– Chcę, żeby to ścierwo nigdy więcej nie złapało za kij baseballowy.

Gdybyś nie zabrał stąd jego rąk, drugi kciuk też bym odgryzł.

Danny podał mu trzy tysiące dolarów.

– Jeśli nic ci nie jest, to zdaje się, że go oszukałem. Tysiąc z tego było za towar, ale pozostałe dwa tysiące miały pójść na twoje leczenie.

– Żartujesz? Wisiał nam co najmniej pięć. Dałeś mu więc zniżkę.

Powiedzmy, że jego kciuk wart był tysiąc. I tak jest tysiąc do przodu.

– On chyba nie żyje – powiedział Danny.

– Zabiłeś go?

– Nie. Tylko robiłem za podżegacza. Myślę, że José właśnie go zastrzelił.

– Nie nasza sprawa. – Eric wzruszył ramionami. – Uratowałeś mi tyłek, stary. Ostrzegałeś, że facet to zrobi, a ja ci nie wierzyłem. Z nas dwóch to ja miałem być ten cwany, a to ty wiedziałeś, co się stanie.

– Ty też wiedziałeś, ale nie chciałeś uwierzyć.

– Kończę z włamaniami – stwierdził Eric.

– Cieszę się – odparł Danny. – A teraz bierzmy pieniądze i chodźmy stąd.

– Hm – mruknął Eric.

– Co?

– Może po tym strzale lepiej, żeby nie widziano, jak oddaliśmy się od tego sklepu.

– W stronę sklepu nie pójde na pewno – powiedział Danny. – Kto wie, czy José nie zastrzeliłby i nas, gdyby nas zobaczył? O ile nie jest już

w połowie drogi na Union Station.

– Rusz głową. Dopiero co udowodniłeś, że możesz przenieść mnie przez te twoje wrota w jednym kawałku. Dlatego wróćmy prosto do domu Stone’a.

– Nie – postawił się Danny.

– Jak to? Przecież to potrafisz, to łatwe.

– Nie wrócisz tam. Ja też nie.

– Właśnie że wrócę!

– Jesteś uwalany krwią zamordowanego człowieka – tłumaczył Danny. – Nie naniesiesz jej do domu Stone’a. Masz trzy tysiące dolców, więc pójdziesz do toalety, umyjesz się, a potem wyjedziesz z Waszyngtonu.

– Moje rzeczy są u Stone’a!

– Moje też i wszystkie są nic niewarte. Za stówę kupisz sobie nowe.

– Wrócę tam, czy weźmiesz mnie ze sobą, czy nie – upierał się Eric.

– Mówisz, że nie jestem twoim szefem? Cóż, ty nie jesteś moim.

Danny westchnął.

– No dobrze, niech ci będzie. Przeniosę cię tam, a potem sobie pójdę. Bo nie zamierzam zwać tego wszystkiego Stone’owi na głowę.

– Zgoda. Jak tylko spakuję swoje rzeczy, obmyję się i tak dalej, też sobie pójdę. Słowo.

Danny sądził, że Eric mówi szczerze. Potem jednak postanowi zostać jeszcze parę dni. I zacznie się przechwalać, jak to urwał facetowi kciuk podczas bójk. A ponieważ policja będzie szukać tego, kto odgryzł kciuk Rico i zostawił go w ogródku parę domów dalej, było więcej niż prawdopodobne, że swoim gadaniem wcześniej czy później ściągnie gliny do Stone’a.

– Daj rękę – powiedział. – Trzymaj mocno, żebyś nie utknął pośrodku jak Rico.

Nagle Eric się przestraszył.

– Chyba nie zostawisz mnie w połowie drogi, co?

Danny przewrócił oczami.

– To się mnie trzymaj. Przytul mnie jak mamusia, a przejdiesz razem ze mną.

– Nie, pójdę pieszo – stwierdził Eric.

– Uratowałem ci życie. Myślisz, że teraz zrobię ci krzywdę?

Eric zastanawiał się przez chwilę.

– Dlaczego dajesz mi wszystkie pieniądze? Skąd mam wiedzieć, że mnie nie zabijesz i ich nie odbierzesz?

– Pieniądze od początku miały być dla ciebie. Nie przyszło ci do głowy, że mogę wejść przez wrota do skarbcza każdego banku na świecie i wziąć tyle forsy, ile zechcę?

Eric się rozzłościł.

– Było tak od razu powiedzieć! Po co tracimy czas na jakieś durne włamania i użeranie się z Rico, skoro mogłeś łatwo zdobyć porządne, czyste pieniądze?!

– Paczki banknotów, numery seryjne na listach FBI... Oglądałem seriale kryminalne. No już, wykonałem twój plan, załatwiłem ci pieniądze i zabrałem cię stamtąd, zanim facet mógł ci spuścić jeszcze gorszy łomot. Chodź. – Danny wyciągnął rękę, jakby chciał uściskać dawno zaginionego brata.

Eric wszedł w jego ramiona i mocno Danny'ego objął.

– Jesteś najlepszym, co mnie w życiu spotkało, młody – powiedział.

– Wiem – odparł Danny.

I przeniósł ich wrotami w miejsce, gdzie się poznali, za sklepami koło Wal-Marta w Lexington. Zaczynał prószyć śnieg.

Eric dopiero po chwili zorientował się, gdzie są. Do tego czasu Danny zdążył mu się wyrwać.

– Dostałeś swoje trzy tysiące dolców. Jesteś w rodzinnym mieście. Idź do domu, zmyj z siebie krew. Pokaż się ludziom. Nikt nie będzie szukał tajemniczego odgryzacza kciuków w tych stronach, a nawet gdyby, będziesz miał alibi; nie mogłeś odgryźć tego kciuka, bo piętnaście minut później widziano cię trzysta kilometrów od miejsca zdarzenia.

– Ty szuj! – syknął Eric. – Okantowałeś mnie!

– Od tego jestem – odparł Danny. – Pamiętaj o tym, kiedy będziesz wydawał trzy tysiące zdobyte dzięki mojemu kantowi.

Eric wciąż był wściekły, ale zaczynał się uspokajać.

– Moja rodzina nie może zobaczyć tych pieniędzy, bo zaraz znikną.

– To pokaż im tylko tysiąc. I powiedz, że to dla nich, żeby przez jakiś czas lepiej im się żyło.

Eric uśmiechnął się szeroko.

– Od razu by to przepili.

– A ty na co je wydasz?

– Na nowe ubrania. Bilet na autobus. Resztę przejem i przepiję, a potem wrócę do żebrania.

Danny podziwiał jego samowiedzę.

– W takim razie dzięki, Eric. Za to, że opiekowałeś się mną przez te kilka dni. Dużo się od ciebie nauczyłem.

– A ty jesteś, kurde, Houdini. Ja od ciebie nie nauczyłem się ni cholery.

Danny uśmiechnął się szeroko, pomachał mu i zniknął.

Przeniósł się wrotami parę kilometrów dalej, do szkoły średniej imienia Parry’ego McCluera, stojącej na wzgórzu z widokiem na Buena Vista. Na kilku swoich wypadach poza osadę rodziny przychodził na zalesione zbocze nad szkołą i obserwował stamtąd suszłacką młodzież – drużyny trenujące na boisku, dzieciaki wsiadające i wysiadające z autobusów i samochodów na parkingu. Kadre pedagogiczną. Wiedział, że o tak późnej porze w środku nie będzie nikogo. A mieli tam pełno komputerów.

Przeniósł się wrotami do holu, a stamtąd do sekretariatu. Komputery były wyłączone. Danny włączył jeden i zaczekał, aż się uruchomi. Potem sprawdził na Google Maps adres Marion i Leslie Silvermanów: droga numer 68 w pobliżu Yellow Springs w stanie Ohio, gdzie nosiła nazwę Xenia Avenue. Skorzystał z opcji zdjęcia satelitarnego, żeby obejrzeć ich dom na zbliżeniu. Była to spora farma, otoczona polami, ale od wschodu sąsiadująca z osiedlami mieszkaniowymi.

Próbował sobie wyobrazić, jak to, co widział na ekranie, wygląda z poziomu ziemi. Czy naprawdę mógł przenieść się w miejsce znane mu tylko ze zdjęcia satelitarnego w Google Maps? A jeśli przeniesie się tylko do wnętrza komputera i go rozsadzi?

W czasie swoich wypraw poza osadę rodziny często przenosił się w miejsca, których nigdy wcześniej nie widział, ale to były zaledwie parokilometrowe przeskoki. I wykonywał je bez świadomości, co robi; było to dla niego tylko elementem biegu, szybkiego biegu, powodowanego pragnieniem, by biec daleko i coś zobaczyć – nawet nie wiedział co. Tak właśnie za pierwszym razem trafił do szkoły średniej imienia Parry’ego McCluera, omijając całe Buena Vista. Chociaż jak o tym pomyśleć, to zapewne widział zbocze, na którym wylądował, zanim się tam przeniósł.

Cóż, jeśli nie dam rady dostać się tam jednymi wrotami, zrobię ich kilkadziesiąt. Albo kilkaset. Przecież to nie jest tak, że muszę za nie płacić.

Zamknął oczy i wyobraził sobie wysadzany drzewami podjazd prowadzący od Xenia Avenue do interesującego go domu. Pomyślał o adresie. O nazwiskach.

A potem zrobił wrota i znalazł się na miejscu. Na podjeździe w środku nocy. Wokół zalegał nieodgarnięty śnieg, ale niebo było bezchmurne. Zaraz na północ od podjazdu Silvermanów powinna być Brookside Drive, dochodząca do Xenia Avenue od drugiej strony.

I rzeczywiście, była tam.

Danny wrócił do stworzonych przez siebie wrót i raz jeszcze przeniósł się do sekretariatu szkoły. Wykasował historię w przeglądarce, po czym usunął wszystkie ciasteczka i pliki tymczasowe. Wreszcie odinstalował samą przeglądarke. Trochę to potrwało, ale uznał, że zrobił wszystko, co mógł, by nikt nie zdołał ustalić, że ostatnią rzeczą sprawdzaną na tym komputerze był pewien adres w Ohio.

A potem wrócił przez wrota na podjazd Silvermanów. Nie zamierzał ich budzić w środku nocy. Poszedł do stodoły ogrzanej ciałami dwudziestu paru krów i ułożył się w kącie do snu.

SŁUGA CZASOPRZESTRZENI

Marion i Leslie Silvermanowie byli tak starzy, że wszystkie ich dzieci już dorosły i wyprowadziły się z domu. W dniu, kiedy zjawił się u nich Danny, Leslie – pani Silverman – z dumą pokazała mu ustawione na pianinie zdjęcia pięciu małych rodzin. Danny, jak skończony gamoń, zapytał:

– Czy któreś z nich są Sierotami?

Leslie uniosła brwi.

– Nie sądzisz, że gdyby jedno z nich było sierotą, to sierotami byłiby także wszyscy pozostali?

Po chwili Danny uprzytomnił sobie, jak musiała zrozumieć jego pytanie.

– Chodziło mi o to, czy są magami... jak wy.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. – Leslie była autentycznie zdumiona.

– Czy przygarnęliśmy niewłaściwego przybłędę? – spytał Marion z kuchni, gdzie smażył placki.

– Myśli, że jedno z nas nie żyje – odparła Leslie. – Albo my oboje.

– Nie – powiedział Danny. – Myślałem tylko... bo Stone mówił...

– A teraz mówi, że rozmawiał z Bostonem! – zawołała do męża.

– Jak myślisz, Marion, zatrzymamy go? Czy wyrzucimy?

Danny był kompletnie zbity z tropu. Zaprosili go do domu, jak tylko Leslie znalazła go w stodole – przed świtem, bo krowy podobno grymasiły, jeśli nie došlo się ich codziennie o tej samej, bardzo wczesnej porze. Do tej chwili sądził, że doskonale wiedzieli, kim jest. Ale nie, najwyraźniej przygarniali wszystkie przybłędy, jak leci.

– Słuchajcie, wystarczy, że zadzwonicie, a Stone wszystko wam powie – przekonywał. – To on mnie tu przysłał.

– A teraz każe nam rozmawiać z jakimś Astonem – stwierdziła Leslie. – Marion, czego dodałeś do tych placków? Też będę miała zwidy?

– Tylko jeśli zapomniałaś wziąć leki, skarbie! – odkrzyknął Marion.

– A teraz cicho sza, nie złość mnie, bo wszystko przypalę.

– Krzyczę, żebyś mnie słyszał, nie dlatego że jestem zła.

– Krzyk to krzyk. Straszymy ciasto.

– Czyli on smaży placki, a pani doi krowy? – Danny zmienił temat, bo najwyraźniej uparli się udawać, że nic nie wiedzą o magii ani o powodach jego przybycia. Chyba że nie udawali, co by znaczyło, że Stone zrobił mu świetny kawał. Cóż, dobrze chociaż, że wysłał go do tak gościnnej rodziny.

– Każde z nas robi to, co lubi najbardziej – powiedziała Leslie

– a kiedy trzeba zrobić coś, czego oboje nie znosimy, zajmuje się tym ten, kto tego mniej nie znosi. Albo się zmieniamy. Ja doję krowy, bo wcześniej wstaję, a on jest od placków, bo mnie placki nie lubią i zawsze się przypalają.

– Myślałem, że może skoro oboje macie imiona, które mogą być i męskie, i kobiece, myli się wam, co jest robotą dla mężczyzny, a co dla kobiety. – Danny zaśmiał się, przekonany, że błysnął dowcipem.

Najwyraźniej nie.

– Przepraszam – powiedział.

– Nie wiem za co – odparła Leslie.

– Mam już sobie pójść?

– Wielkie nieba, nie! Dopiero zaczynamy się poznawać.

– Po prostu mam wrażenie, że ciągle mówię nie to, co trzeba

– stwierdził Danny.

– Skądże znowu! Skąd ci to przyszło do głowy?

– Nie trafiłem tu przypadkiem, miałem wasz adres. Wasze nazwiska. Nie zmyślam. Nie jestem włóczęgą.

– Ależ mi ulżyło. Kamień z serca.

Czy mówiła to z ironią? Danny nie mógł być tego pewien. Nie potrafił czytać w tych ludziach tak jak w swoich ciotkach. Czuł się raczej tak jak wtedy, kiedy usiłował rozgryźć, o czym mama i Baba rozmawiali nad jego głową. Rozumiał wszystkie słowa, ale nie całość. Ciotki zawsze mówiły to, co myślały. A przynajmniej zawsze myślały to, co mówiły.

Nieprawda, uświadomił sobie. Po prostu dłużej je znał i nabrał wprawy w odgadywaniu ich myśli.

Usiadł więc i chwilę się zastanowił.

– Jesteście ostrożni, prawda? – powiedział. – Bo nie wiecie, czy nie jestem pułapką.

– Wiem, jak wygląda pułapka, skarbie – odparła Leslie. – Używamy takiej na myszy, którym się ubzdura, że są mile widziane w domu. Jeśli jesteś pułapką, ciekawe, czego mielibyśmy użyć na przynętę i gdzie cię postawić.

– To może ja sam wejdę w pułapkę, żeby wam pokazać, że nią nie jestem?

Przeniósł się wrotami z krzesła, na którym siedział, na drugie po przeciwnej stronie pokoju.

Leslie odwróciła się i spojrzała w miejsce, gdzie się ulokował, kręcąc głową.

– Cóż, na pewno pokazałeś, że mi ufasz.

– Czy zrobiłbym to, gdybym był szpiegiem którejś z rodzin?

– A czy zrobiłbyś to, gdybyś miał rozum?

– Na pewno udowodniłem, że wiesz, kim są magowie, bo nie zaczęłaś krzyczeć i panikować.

– Nie mogę krzyczeć i panikować. Marion smaży placki.

– Nie dostaliście od Stone’a wiadomości o mnie? – spytał Danny.

Teraz już nie udawała, że nie wie, kim jest Stone.

– Najwyraźniej dotarłeś tu szybciej niż e-mail.

– Stone chyba nie wiedział, że zjawię się u was już teraz. Odszedłem w pośpiechu, bo byłem zamieszany w coś głupiego i nielegalnego, i nie zdążyłem go uprzedzić.

– Głupiego i nielegalnego – powiedziała Leslie. – Widzę, że sam sobie udzielasz referencji.

– Jestem doskonałym włamywaczem – odparł Danny – ale marnym negocjatorem z szalonymi bandziorami, którzy łamią mojemu durnemu, chciwemu koledze żebra kijem baseballowym.

– Mam ostrzec sąsiadów, żeby zamykali drzwi i okna na noc, kiedy tu będziesz?

– Żartujesz? Gdybym chciał się gdzieś dostać, i tak by mnie nie powstrzymali. Nie jestem tu jako włamywacz. Jestem tu jako uczeń.

– Rolnictwa to ty lepiej się naucz w jakiejś szkole, bo my nie jesteśmy prawdziwymi farmerami. To rodzaj hobby.

Danny westchnął.

– Macie telewizor? – Jeśli tak, przynajmniej będzie miał jakąś rozrywkę.

– Nie, przykro mi, wyrzuciliśmy stary, czarno-biały, lata temu.

– Teraz są kolorowe. I płaskoekranowe. I kablówka.

– Jak miło, że mnie o tym poinformowałeś. Przez pewien czas mieliśmy kablówkę. Ja uważałam, że tylko na kablówce jest cokolwiek wartego oglądania, Marion stwierdził, że nie będzie płacił za telewizję, bo Bóg chce, abyśmy czerpali ją za darmo z powietrza, nie z rury za pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. I na tym stanęło.

Danny zaśmiał się mimo woli i Leslie wreszcie się uśmiechnęła.

– Pewnie, mamy telewizję, ale czy naprawdę uważasz, że to najlepszy sposób spędzania wolnego czasu?

– W osadzie rodziny rzadko mogliśmy ją oglądać.

– À propos, uczyli cię tam prowadzić gospodarstwo?

– Po co? – spytał Danny. – Nie miałem talentu do roślin ani zwierząt. Ciotki uważały, że zbyt niebezpiecznie byłoby dopuścić mnie do żywych roślin. Chyba bały się, że zabiję wszystko, czego dotknę.

– I co, robisz postępy?

– W czym?

– Niezabijaniu wszystkiego, czego dotykasz. – W głosie Leslie czuć było pewne napięcie. Nie pytała o rośliny.

Danny bacznie jej się przyjrzał. Dlaczego miałaby pytać o zabijanie, jeśli nie była w kontakcie ze Stone'em? Mógł tylko przypuszczać, że Stone dowiedział się od Erica czegoś o tym, co zaszło w kantorku pasera. I ani chybi przekazał to Silvermanom.

– Nikogo nie zabiłem. Chociaż próbował ktoś zabić mnie i mojego kolegę. Uznałem, że zawsze mogę uciec, więc szkoda fady. Ale pewien człowiek pracował dla faceta, który chciał nas zabić, i jemu groziło poważne niebezpieczeństwo. Dlatego dałem mu pistolet, ale i tyle pieniędzy, że gdyby chciał, mógłby wyjechać z kraju. Wybór należał do niego.

– A co sądzisz o kanibalizmie? – spytała Leslie. – Lubisz ludzkie mięso? Wolisz je *en soufflé* czy w postaci kebabu? A może tylko raz na jakiś czas bierze cię chęćka na małe kawałeczki podane w temperaturze ciała jako tatar?

– Eric odgryzł temu człowiekowi kciuk. Nie wiedziałem, że to robi, i właśnie go wypluwał, kiedy do niego wróciłem. Na moją obronę powiem, że chciał odgryźć też drugi, ale mu nie pozwoliłem.

– Jakbyś zabrał dziecku cukierek, co? – spytał Marion. Stał w drzwiach kuchni. – Wygląda na to, że sytuacja mocno cię przerosła. Ale Stone mówi, że Eric potwierdza twoją wersję. – Miał telefon komórkowy przy uchu.

– Pozwoliłeś Stone'owi słuchać tego, co mówiłem?

– W Waszyngtonie zostawiłeś za sobą krwawy szlak. Musieliśmy się zastanowić, czy w ogóle warto cię uczyć – powiedziała Leslie. – Jeszcze nie jestem pewna. Chociaż przynajmniej wiem już, że raczej cię nie zabijemy.

– Nie zabijecie mnie? – Danny zerwał się na nogi. – Nad tym się

zastanawiacie? W czasie kiedy mnie karmicie i jesteście tacy mili?

– Skoro potrafisz uciec przez wrota na pierwszą oznakę zagrożenia

– wyjaśnił Marion – myślisz, że ot tak powiemy ci, o czym myślimy?

Słuchaj, z magami wrót zawsze były kłopoty. Nie da się ich

zdyscyplinować, nie można... cóż, jeśli nabierają ogłady, to dlatego, że mają taki kaprys. Nawet ci, którzy nie robią poważnej krzywdy innym Westilianom, są w gruncie rzeczy koszmarem na jawie dla śmiertelników, którym postanowią płatać figle. Porywają ludzi, przeciągając ich przez wrota. Głosem i sposobem zachowania udają kogoś, kim nie są. Ech, wy Loki, Hermesowie i Merkurzy, ależ z was harcownicy.

– Płatałem figle tylko kuzynom, nikomu innemu.

– Ale byli jedynymi znanymi ci ludźmi, którzy nie byli od ciebie więksi, a poza tym wtedy jeszcze nie wiedziałeś, że jesteś magiem wrót, mam rację? Wyjaśnijmy sobie coś. My dwoje może i jesteśmy z krwi i wyszkolenia Westilianami, ale nie należymy do żadnej z rodzin, żyjemy na co dzień wśród suszłaków i ich lubimy. Prawdopodobnie sami jesteśmy w dużej części suszłakami i nie przyjmujemy cię pod nasz dach, jeśli miałyby to przysporzyć zmartwień naszym przyjaciółom.

Danny usiadł z powrotem.

– I co ja mam powiedzieć? Gdybym był złośliwym psotnikiem, zapewniłbym was, że nigdy, przenigdy nie zrobiłbym miejscowym suszłakom niczego takiego. Złośliwym psotnikiem nie jestem, ale co mogę wam powiedzieć, jak nie dokładnie to samo?

– Cóż, rozumuje logicznie – zauważył Marion.

– Mówisz tak, jakby to była zaleta – odezwała się Leslie.

– Zróbmy tak – ja go będę uczył, ale jeśli postanowimy się go pozbyć, ty usmażysz placki i każemy mu je zjeść. Co ty na to?

– Za duże ryzyko. Psy mogłyby dorwać się do placków i zdechnąć pierwsze.

Danny'emu trochę chciało się śmiać z ich rozmowy, ale jako że ważyły się jego losy, sytuacja tak naprawdę nie była zabawna.

– Uciekłem z domu, bo zamierzali mnie posłać na Hammernip Hill. Nie zostanę tu, jeśli wy też będziecie się każdego dnia zastanawiać, czy dać mi jeszcze pożyć.

– Hammernip? – spytał Marion.

– *Hamar-gnipe*, „Szczyt grani” – przetłumaczyła Leslie. – Zrzucanie ludzi z *hamar-gnipe* było podstawowym sposobem składania ich w ofierze bogom. – Odwróciła się do Danny'ego. – Ja studiowałam, Marion nie. Dlatego doksztalcam go, kiedy mogę.

– A ja pluję jej do zupy – oznajmił Marion radośnie.
– Nasze Hammernip to żadna grań, raczej pagórek – rzekł Danny.
– Wzgórze. Kopiec. – Spojrzał na Mariona. – Jeszcze nie jestem na studiach. Tylko czytam.

– Skarbie – powiedziała Leslie – każdy na Ziemi żyje z dnia na dzień tylko dlatego, że ludzie, których spotyka każdego dnia, postanawiają go nie zabić. Na przykład ty mógłbyś w tej chwili sięgnąć przez wrota do mojej piersi i wyrwać mi serce. Albo ścisnąć je tak mocno, żeby stanęło.

Na samą myśl Danny’emu zrobiło się niedobrze.

– Przecież to chore – jęknął, ale mimo woli pomyślał: Fajowo. Czemu sam na to nie wpadłem?

– Magowie wrót nieraz tak robili – zauważyła Leslie.

– Przyjmujemy cię na ucznia – zdecydował Marion. – Niech to na razie wystarczy.

– Nie tak szybko – zaprotestował Danny. – Zachowujecie się, jakbyście oddawali mi wielką przysługę i mieli prawo poddawać mnie próbom, zanim mnie „przyjmiecie”... ale nie jesteście magami wrót. Nigdy nie znaliście żadnego maga wrót. Nie ma podręcznika magii wrót ani instrukcji szkolenia magów wrót. Czego możecie mnie nauczyć?

– Są pewne podstawowe umiejętności, których nie opanowałeś.

– To mi o nich powiedzcie.

– Jak placki będą gotowe. – Marion wrócił do kuchni.

– Nieznośny, co? – spytała Leslie. – Jest Przyjacielem Kamieni, wyczuwa obecność dużych złóż ropy i węgla, ma uprawnienia geologa... tak naprawdę skończył studia, zrobił nawet doktorat. Opłaty za eksploatację szybów i kopalń pozwalają mi zaspokajać rolnicze pasje. Rzuciłam studia, żeby za niego wyjść, i utrzymywałam go, dopóki nie skończył nauki. I jeśli cię to ciekawi, jestem maginią zwierząt, a konkretnie Siostrą Szpona, choć to niezbyt trafne określenie, skoro moimi siostrami serca są krowy. Z drugiej strony, lepsza nazwa niż Kumpela Wymion.

– Jesteś Siostrą Krów? – spytał Danny. – Nic dziwnego, że musisz doić krowy.

– Nigdy mnie nie kopią. Bardzo dobrze się rozumiemy. Czasem żałuję, że nie jestem związana z innym zwierzęciem. Chciałabym poczuć, jak to jest skakać jak gazela, atakować jak lew czy szybować jak jastrząb.

– Mój wujek Zog czasem bywa jastrzębiem. Kiedy nie jest sępem.

– Jakże stosownie, z metaforycznego punktu widzenia – powiedziała

Leslie. – Kiedyś znalazłam Zoga, może to ten sam. Wy, rodziny, tak często używacie imion z odzysku, że trudno o pewność, czy mówimy o tym samym człowieku.

– Jest tylko jeden Zog. Gniewny, bezwzględny drań.

– Nie przypominam sobie, żeby za sobą zostawił kogoś z odgryzionym kciukiem i kulą w mózgu.

– Bo on pożera swoje ofiary – powiedział Danny.

Leslie zaśmiała się głośno.

– Oj, zabawny jesteś.

– Byłby do tego zdolny.

– Cóż, kiedy łączy się ze swoim bratem serca, to oczywiste, że czuje smak tego, co jego brat serca je. Ja na przykład mogę ci powiedzieć, że znam słodką rozkosz przeżuwania paszy. A mimo to nigdy nie miałam trawy w ustach. Ani na poły przetrawionej, ani świeżej.

Danny poczuł lekką ulgę, ale i rozczarowanie.

– Myślałem, że im dłużej wcielasz się w swojego brata serca, tym bardziej się do niego upodabniasz.

– Może temperamentem, ale nie dietą. Jestem bardzo spokojna, lecz strachliwa, łatwo się płoszę.

– Jakich podstaw możecie mnie nauczyć? Bo nigdy nie potrafiłem tego, czego uczono inne dzieci.

– Czyli czego konkretnie?

– Odnajdowania swojego zewnętrznego ja. Robienia klientów.

Kochania źródła swojej siły i służenia mu. I tak dalej.

– A dlaczego myślisz, że nic z tego nie robiłeś?

– Bo jak próbowałem, nic się nie działo.

– Nie sądzisz, że to mogła być wina twoich nauczycieli?

– Może – powiedział Danny. – Ale co mag wrót miałby kochać i czemu służyć? Drzwiom i oknom? Poza tym jak ktoś nie ma zewnętrznego ja, to raczej nie może nic z nim zrobić.

– Każdy ma zewnętrzne ja, Danny. Nawet najzwyklejszy na świecie suszłak, czy umie je uwolnić i kontrolować, czy nie.

– Ja nie mam – upierał się Danny.

– Cóż, w takim razie długa droga przed nami, bo je masz, zapewniam cię. Na początek jednak pozwól, że powiem ci coś, co o magach wrót wiadomo. Bez zewnętrznego ja nie stworzyłbyś wrót. Wrota to twoje klanty. Każde z nich powstają wokół małej części twojego zewnętrznego ja i ty decydujesz, czy mają się otworzyć, czy zamknąć, czy zupełnie zniknąć. Kiedy przyzywasz do siebie zewnętrzne ja, wrota nie tylko

zamykają się, ale i giną. Znikają na zawsze.

– Czyli Loki zamknął wszystkie wrota, po prostu przyzywając do siebie swoje zewnętrzne ja?

– Wówczas zamknąłby tylko te wrota, które sam zrobił. On zamknął wszystkie wrota, nawet te stworzone przez dawno nieżyjących magów.

– Ale jak wrota mogą istnieć po śmierci ich stwórcy, skoro są tylko klantami?

– Co dzieje się z dowolnym innym magiem, kiedy ktoś zabija jego ciało w czasie, gdy jego zewnętrzne ja steruje klantem albo bratem serca?

– Klant zaczyna zanikać – powiedział Danny, wracając pamięcią do lekcji w szkole. – I dalej robi to, co mag nakazał mu przed śmiercią. Mówili nam, że opowieści o duchach wzięły się właśnie z tego, że ktoś zobaczył zanikającego klanta martwego maga.

– A jeśli umrzesz, będąc z bratem serca? – spytała Leslie.

– Wtedy mamy zwierzę, które potrafi mówić albo przynajmniej rozumie ludzką mowę. Stąd legendy o mówiących zwierzętach i wilkołakach. Ale zewnętrzne ja stopniowo zanika i w końcu ginie w umyśle brata serca. – Danny odniósł to do własnej magii. – Czyli wszystkie wrota, które zrobię, po mojej śmierci będą nadal istnieć przynajmniej przez jakiś czas.

– Tylko te, których nie zamkniesz i nie przygarniesz do siebie.

Danny nie lubił się przyznawać do słabości, ale jak inaczej miał się czegokolwiek nauczyć?

– Nawet nie wiem, co to znaczy.

Leslie przez długą chwilę bacznie mu się przyglądała.

– Mam rozumieć, że nie umiesz zamykać własnych wrót?

– Czemu miałbym je zamykać?

– Wszystkie nadal gdzieś są? Ile?

Danny przebiegł myślą mentalną mapę swoich wrót.

– Nie jestem pewien, jak je liczyć. Co z tymi, które robiłem dwa razy, raz w jedną, drugi raz w drugą stronę?

– Myślę, że to dwoje wrót – powiedziała Leslie. – Po prostu prowadzą w te same miejsca.

– No nie wiem... Mnie się wydaje, że to jedno wrota, tylko podwójnie mocne.

Leslie skinęła głową, marszcząc czoło w zamyśleniu.

– Może tak magowie stwarzają wrota dość mocne, by przetrwały całe stulecia po ich śmierci... splatają ze sobą dwoje lub więcej wrót. Trudno powiedzieć – zastanawiała się na głos. – Rozumiesz chyba, od prawie

czternastu stuleci nie mieliśmy porządnego maga wrót, więc niewiele wiemy, możemy jedynie przypuszczać albo wyciągać logiczne wnioski.

Tymczasem Danny liczył w pamięci wszystkie skupiska wrót. Największe z nich tworzyły wszystkie jednorazowe wrota, które powołał do istnienia na ziemi rodziny Northów, nawet nie zdając sobie sprawy, że to robi.

– Możliwe, że jakieś przeoczyłem, ale wydaje mi się, że w sumie mam około dwustu pięćdziesięciu wrót.

– Dobry Boże! I wszystkie istnieją naraz?

– Cóż, w danej chwili mogę korzystać tylko z jednych. I niektóre to tylko małe przeskokki przenoszące mnie przez mur albo na drzewo. Z początku nie wiedziałem, że je robię. Ani że przez nie przechodzę. Myślałem, że po prostu tak dobrze się wspinam i biegam.

– Zdajesz sobie chyba sprawę, że to nadzwyczajne. Wielcy magowie często potrafią kontrolować do tuzina odrębnych klientów albo dwóch, czasem trzech braci serca naraz. Jednak każdy podział zewnętrznego ja powoduje, że go ubywa. Po pierwszych kilkunastu wrotach powinno ci się wyczerpać całkowicie. W dawnych czasach wielcy magowie wrót cenili swoje wrota, byli z nich dumni, a mimo to zawsze trzymali w zapasie trochę zewnętrznego ja, żeby w razie zagrożenia móc uciec.

Danny doskonale zrozumiał, co wynika z jej słów: robił coś, czego nie potrafili nawet wielcy magowie.

– Oczywiście nie wiem, ile zewnętrznego ja jest we wrotach potrzebne – mówiła dalej Leslie. – Może wszyscy magowie wrót mogli utrzymywać tyle wrót co ty, ale przyznawali się tylko do kilku. W sumie chyba nie tak trudno je kontrolować. Przecież wrota same z siebie nic nie robią, tylko sobie stoją, mam rację?

– Chyba że je przestawię.

– Możesz je przestawiać?

– Jeden i drugi koniec. Mogę przesunąć wrota nad kimś i w ten sposób tak jakby przenieść go na drugą stronę.

– Czyli możesz przenosić ludzi przez wrota wbrew ich woli?

– Chcesz, żebym ci pokazał?

– Chcę, byś obiecał, że nigdy mi tego nie zrobisz.

– Nawet gdybyś leżała przed nadjeżdżającym pociągiem albo ciężarówką, a ja mógłbym przenieść cię wrotami w bezpieczne miejsce?

– Postaram się nie wchodzić pod koła ciężkich pojazdów, więc nie powinno być takiej potrzeby.

Danny już się uczył – może nawet trochę więcej, niż zamierzali mu

przekazać. A oni uczyli się od niego. Leslie chciała tylko, by wiedział, że on też ma zewnętrzne ja, że wrota są jego klantami. Do tej pory jednak nie miała pojęcia, że każdy koniec wrót można przesunąć i że jeden mag może utrzymywać tyle wrót naraz. Danny uznał, że to cenne informacje.

– Przez to, że nigdy nie mogłem znaleźć mojego zewnętrznego ja, nie bardzo uważałem, kiedy inne dzieci uczyły się przywoływać je do siebie. Wszyscy ostrzegali, że zewnętrzne ja może się zgubić. Albo pociągnąć za sobą za dużo wewnętrznego ja i wtedy można stracić orientację, gdzie się zostawiło swoje ciało. Tyle że nie rozumiem, jak to się odnosi do wrót. Zawsze wiem, gdzie są i gdzie jestem ja. Nie mam poczucia, że jakaś częśćka mnie jest w nich. Jak mam je do siebie przywołać?

– Jak ci to wytłumaczyć? Kiedy będąc z moją siostrą serca, chcę wrócić do swojego ciała, po prostu... przygarniam zewnętrzne ja do siebie.

– Nawet nie wiem, co to znaczy.

– Przynajmniej wiesz już, że każde wrota są częścią twojego zewnętrznego ja.

– To tak jakby powiedzieć, że przedmioty spadają z powodu grawitacji. To, że dajesz czemuś nazwę, nie znaczy, że to rozumiesz czy masz na to wpływ.

– Wiesz, co czujesz, kiedy uwalniasz zewnętrzne ja.

– Wiem, co czuję, kiedy robię wrota. Ty mówisz, że uwalniam wtedy swoje zewnętrzne ja, ale ja mam wrażenie, że... że robię wrota i tyle.

Siedzieli i patrzyli na siebie.

– To na nic – powiedział Danny. – Wszyscy oprócz mnie wiedzą, co to znaczy „przygarnąć zewnętrzne ja”. A ty nie masz pojęcia, jakie to uczucie stworzyć wrota. Skąd twoja pewność, że to jedno i to samo?

– Sama nie wiem.

To było dobijające. Zanosilo się na to, że cała ta „nauka” w zbyt dużym stopniu oparta będzie na zasadzie „prowadzi ślepy ślepego”.

Jednocześnie jednak jakże ożywczo było rozmawiać o magii z kimś, kto nie traktował go ze współczuciem, strachem ani pogardą. Z kimś, kto widział w nim kogoś jeśli nie równego sobie, to przynajmniej godnego szacunku. Sam fakt, że tych dwoje, jak Stone, uważa go za prawdziwego maga – może nawet wielkiego maga – zmienił jego ocenę samego siebie. Takie wyskoki jak wypięcie tyłka na ochroniarza biblioteki już nie wydawały się zabawne i pomysłowe. Danny teraz zdał sobie sprawę, że to były wybryki niesforne go dziecka, kogoś, kto czuje się słaby i dlatego musi okazać pogardę dla władzy – jeśli sądzi, że to mu się upiecze.

Mam rzadką i przerażającą moc, pomyślał, i jedyne, co mi przyszło do głowy, żeby z nią zrobić, to obnażyć tyłek i powiedzieć „tere-fere”, bo wiedziałem, że nie mogą mnie za to ukarać.

Z drugiej strony jak wiele wybryków Lokich i Merkurych, opisanych w legendach i kronikach rodziny, brało się z tego samego dzieciennego poczucia niższości i bezkarności?

Chciał więc kontynuować tę poważną rozmowę z Leslie.

– Próbuję wymyślić – powiedział – co kocham i czemu służę, żeby zdobyć moc stwarzania wrót. O ile magia wrót rzeczywiście działa na tych samych zasadach co inne dziedziny magii.

– Tego nie wie nikt – stwierdziła Leslie. – Niektórzy mówią, że magowie wrót niczego nie kochają i niczemu nie służą, dlatego są tak niebezpieczni, nieodpowiedzialni i dziecinni.

To trochę zabolalo, lecz Danny przed chwilą dokładnie to samo pomyślał, więc nie mógł czuć się urażony.

– ...Ale w ostatnich latach w rozmowach między Sierotami pojawiła się pewna teoria.

– Chętnie jej wysłucham, bo z całego serca próbowałem kochać i służyć drzewom, ziemniakom, myszom, psom i skałom, i nic. Nawet mnie nie zauważały. A rośliny po prostu usychały.

– Do tego trzeba czasu.

– Trzeba czasu, żeby nabrać w tym wprawy – powiedział Danny.

– Ale u tych, którzy mają prawdziwy dar, błyskawicznie pojawia się jakaś iskra. Tak jak to było ze mną; z czymkolwiek jestem związany, nigdy nie wiedziałem, że to kocham i temu służę. Po prostu miałem moc tworzenia wrót, a potem stało się to odruchem. Automatycznym. Nawet nie wiedziałem, że używam wrót.

– To jak, chcesz poznać tę teorię? – spytała Leslie.

– Zamieniam się w słuch.

– Czasoprzestrzeń – oznajmiła Leslie.

– Czyli co, jestem sługą fizyki?

– To nauka, nie magia. Fizyka czasoprzestrzeni mierzy; ty zmieniasz.

– No dobra, czyli kocham i służę czasoprzestrzeni. Nie mogę powiedzieć, że to bez sensu, bo czy ma sens kochanie i służenie kamieniowi, błyskawicy czy wodzie? Ale czasoprzestrzeń? To właściwie... wszystko. Jak mogę kochać i służyć wszystkiemu?

– To podłoże wszystkiego, co istnieje, ale sama w sobie nie jest niczym.

– A to już obraźliwe. Dla czasoprzestrzeni. Właśnie dlatego nie

potrafisz robić wrót. – Danny uśmiechnął się szeroko.

– Nonszalancja i żarty ci nie pomogą.

Danny'emu zrobiło się wstyd, ale po chwili przekora podsunęła mu kontrargument.

– Skąd wiesz, że nie? Skąd wiesz, że żarty nie są formą kochania i służenia czasoprzestrzeni? Czasoprzestrzeń to przyczynowy wszechświat, zgadza się? Zbiór związków między wszystkim, co istnieje w przestrzeni... a to oznacza wymiar... i w czasie, co oznacza przyczynowość. – Danny był dumny, że rzuca takie mądre terminy, choć jeśli miał być szczery, ledwo je rozumiał.

– W szkole musisz być prymusem – powiedziała Leslie. – Takim, co to popisuje się na lekcjach. Ale cię rozumiem. Za takiego prymusa wysłałam.

– Znasz powiedzenie „Los bywa przekorny”? – spytał Danny.

– Wystarczy obejrzeć „Forresta Gumpa”, żeby się o tym przekonać.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Różnie w życiu bywa, raz lepiej, raz gorzej, i wydaje się, że wszystkim rządzi przypadek. Tak, rozumiem, o co chodzi.

– I to jest czasoprzestrzeń, zgadza się? To znaczy, zgodnie z twoją teorią.

– To tylko teoria. I nie jest moja.

– Więc czasoprzestrzeń to psotnik. Ni z tego, ni z owego dzieją się dziwne rzeczy. Zwariowane zbiegi okoliczności, które skłaniają ludzi do wyciągnięcia fałszywych wniosków na temat funkcjonowania wszechświata. Modlisz się za kogoś i ten ktoś do ciebie dzwoni. Co rusz spotykasz tego samego nieznanego, jakbyście w jakiś sposób byli sobie pisani. Tyle że nic się za tym wszystkim nie kryje. To się po prostu zdarza. Czasoprzestrzeń płata nam figle.

– Czyli twierdzisz, że dowcipkując, kochasz czasoprzestrzeń i jej służysz?

– Twierdzę, że robiąc ludziom kawały, pomagam losowi być przekornym – powiedział Danny – i może dlatego czasoprzestrzeń dała mi moc tworzenia wrót.

– Cóż, jest w tym pewien przewrotny sens. Loki i wszyscy pozostali magowie wrót byli psotnikami i oszustami. Między innymi po tym się was poznaje.

– Wmawiamy ludziom nieprawdę, żeby skłonić ich do robienia tego, czego nigdy byś nie zrobił w racjonalnym wszechświecie.

Leslie skinęła głową.

– Czyli twoja niesforność jest źródłem twojej mocy?

– Hej, to nie ja powiedziałem, że magowie wrót kochają czasoprzestrzeń i jej służą.

– Intrygujące. Myślę, że warto się temu przyjrzeć. To umacnia całą teorię. Odpowiedz mi więc na takie pytanie: Magowie wrót mają też niezwykły dar do języków. Jak to się z tym wszystkim wiąże?

Danny wzruszył ramionami, choć strasznie się cieszył, że była ciekawa jego opinii.

– Kiedy uczysz się obcego języka, zaczynasz rozumieć, co inni ludzie wyrażają dźwiękami, które wydają, oraz ćwiczysz się w wydawaniu dźwięków, które skłonią ich do robienia tego, czego od nich chcesz.

Zgadza się? Język daje nam złudzenie, że mówimy o rzeczywistości, choć równie łatwo powiedzieć nieprawdę, jak prawdę. I pozwala przekonać ludzi, żeby kierowali się tą nieprawdą w działaniu, czyli w pewnym sensie zmienia rzeczywistość. – Danny’emu ta teoria podobała się coraz bardziej.

– Czy język tak naprawdę nie jest tylko systemem powoływania do życia sztucznych tymczasowych rzeczywistości? Czy nie jest to po prostu nasz sposób tworzenia rzeczywistości dla siebie nawzajem?

– Bardzo przewrotne rozumowanie, ale to faktycznie mogłoby tłumaczyć związek jednego z drugim.

Marion stanął w drzwiach.

– Chłopak wciska ci kit, Leslie. Wymyśla to wszystko na poczekaniu.

– Może tak robią wszyscy magowie wrót. – Wzruszyła ramionami.

– Skąd wiecie, że to nieprawda? – spytał Danny. – Wychodzę z Wal-Marta w kradzionych ciuchach i kogo spotykam? Chłopaka, który może mnie zabrać do miasta, w którym magiczny pyłek prowadzi mnie do Stone’a, a Stone do was, żebyście mogli mnie wyszkolić. Czym to tłumaczyć, jeśli nie tym, że czasoprzestrzeń uwzięła się zrobić ze mnie bardziej skutecznego psotnika?

– Czemu czasoprzestrzeni miałyoby na tym zależeć? – zdziwił się Marion.

– A czemu kamieniowi zależy na tym, żeby zostać uformowanym w coś... kamiennego przez magów kamienia? Dlaczego woda chce płynąć tam, dokąd kierują ją magowie wody? To są obiekty nieożywione, lecz ożywają pod opieką maga, który je kocha i im służy.

– Może czasoprzestrzeni nie podoba się, że od zamknięcia wrót w 632 roku naszej ery jej repertuar figlów jest poważnie ograniczony – powiedziała Leslie.

– Otóż to – stwierdził Danny. – I jej frustracja narasta, bo rodziny przez cały ten czas zabijały wszystkich magów wrót... dlatego czasoprzestrzeń wydała mnie na świat i jakoś tak wszystko urządziła, żebym przeżył. Może powołała mnie do istnienia po to, żebym zrobił Wielkie Wrota i przywrócił magii tego świata choć trochę prawdziwej mocy.

– Życiowa misja. – Leslie westchnęła. – Tylko nie licz, że na czasoprzestrzeni można polegać. Jak za bardzo jej zaufasz, spłata ci psikusa.

Danny zrozumiał ukryte znaczenie jej słów – że jeśli oni zaufają jemu, mogą wyjść na tym tak samo.

– Może i czasoprzestrzeń chce odtworzenia Wielkich Wrót, ale to, że rodziny zabijają magów wrót, to niejedyny powód, dla którego od czternastu stuleci tych wrót nie ma – zauważył Marion.

– Bynajmniej. – Leslie skinęła głową.

– Zabijanie magów wrót nie wystarczy? – spytał Danny.

– Rodziny zabijają tylko tych, o których wiedzą – rzekł Marion.

– My, Sieroty, mieliśmy sześciu magów wrót, przynajmniej o tylu wiemy, i rodziny nigdy ich nie znalazły.

– To dlaczego nie przenosimy się na Westil?

– Przez Złodzieja Wrót – powiedział Marion.

– Magiem wrót nie jest się długo – dodała Leslie.

To samo powiedział Stone.

– Dlaczego? Kim jest Złodziej Wrót? – spytał Danny.

– Jak tylko ktoś nabierze dość mocy, żeby spróbować otworzyć Wielkie Wrota na Westil, przychodzi Złodziej Wrót i kradnie jego wrota – stwierdził Marion.

– Kradnie. Jak?

– Gdybyśmy to wiedzieli, może moglibyśmy temu zapobiec. Mag żyje dalej, tylko nie może już robić wrót. Jakby skradziono mu całe zewnętrzne ja.

– Kto może zrobić coś takiego?

– Złodziej Wrót.

– Ale kim jest Złodziej Wrót?

– Osobą, która kradnie wrota. I tak w kółko.

– Wolałabym wierzyć, że to wszystko jest psikusem czasoprzestrzeni – powiedziała Leslie. – Choćby dlatego, że Złodziej Wrót działa od stuleci. Nikt nie może żyć tak długo. Dlaczego więc nie przyjąć, że to czasoprzestrzeń odbiera magom wrót ich zewnętrzne ja?

– Czasoprzestrzeń kocha wrota – rzekł Marion. – Gdyby było inaczej, nie pozwoliłaby na ich powstanie.

– W takim razie Złodziej Wrót jest wrogiem czasoprzestrzeni – stwierdził Danny.

– No właśnie! – przytaknął Marion.

– I dlatego mamy nadzieję – dodała Leslie – że czasoprzestrzeń... czy los, czy czysty przypadek, czy cokolwiek innego... stworzy Ojca Wrót wystarczająco silnego, by przeciwstawił się Złodziejowi Wrót.

Spojrzeni na Danny'ego w ciszy.

– Placki na pewno są gotowe – odezwał się Marion. – Chyba już się przypaliły. – Wrócił do kuchni.

– Liczycie, że to ja stawię czoło Złodziejowi Wrót – stwierdził Danny.

– Ty też na to liczysz – powiedziała Leslie. – Bo jeśli go nie pokonasz, przestaniesz być magiem wrót. Wyrwie ci całe zewnętrzne ja.

– A może Złodziej Wrót jest magiem wrót, który kocha i służy czasoprzestrzeni... robiąc psikusy samej czasoprzestrzeni?

– Łaskocze łaskoczącego.

– Jeśli nigdy nie spróbuję stworzyć Wielkich Wrót, czy Złodziej Wrót zostawi mnie w spokoju?

– Nie wiemy, kim jest, nie wiemy, czy to w ogóle człowiek, i nie ma kogo o to spytać. Wiemy tylko, że Złodziej Wrót kradnie wrota dopiero wtedy, kiedy ktoś próbuje połączyć Westil z Mittlegardem.

– W takim razie nigdy nie zrobię Wielkich Wrót.

– A zatem jesteś jeszcze bardziej bezużyteczny, niż sądziłam – powiedziała Leslie. – Nie szkolimy cię po to, żebyś włamywał się do domów, wykradał tajemnice państwowe czy czemu tam jeszcze chciałbyś poświęcić życie. Nawet nie chodzi o moc uzdrawiającą, która bierze się z przejścia przez wrota. Nie, tobie warto pomóc tylko i wyłącznie po to, żebyś stworzył Wielkie Wrota, którymi magowie będą mogli przemieszczać się między światami i pomnażać swoją moc.

– I chcecie, żeby dokonał tego wasz uczeń, bo liczycie, że zdobędziecie kontrolę nad tym nowym źródłem mocy, rozbijecie rodziny i obejmiecie władzę nad oboma światami.

Leslie skinęła głową.

– Teraz rozumiesz.

Danny wybuchnął śmiechem. Bohaterowie zostali zdemaskowani.

– Wy, Sieroty, nie jesteście lepsi od rodzin.

– O nie, my chcemy, żeby Wielkie Wrota były otwarte dla

wszystkich. Nawet suszłaków, żeby mogli obudzić drzemiące w nich zdolności.

– Cóż za egalitaryzm – rzekł Danny kpiąco.

– Odezwał się elitarysta – odcięła się Leslie.

Ale Danny nie mógł się powstrzymać – gardził mrzonkami Sierot tak bardzo jak podobnymi rojeniami rodzin.

– Mam trzynaście lat. To wszystko mnie przerasta.

– Jesteś magiem wrót – stwierdziła Leslie. – Rozumiesz wszystko, co ci się mówi.

Czy rzeczywiście? Czy dlatego był tak dobrym uczniem?

– To nie takie proste – zauważył.

– Służ czasoprzestrzeni, a my postaramy się nauczyć cię zamykać twoje własne wrota.

– Przecież nie potraficie. Jak możecie mnie tego nauczyć?

– Opiszę ci, jakie to uczucie przygarnąć do siebie swoje zewnętrzne ja, a ty będziesz się starał to uczucie odtworzyć i zobaczymy, czy w ten sposób zamkniesz wrota. Może pewnego dnia, z moją pomocą, przypadkiem lub w wyniku dorastania, to ci się uda.

Danny myślał o tym przez chwilę.

– Może nie będzie to zupełna strata czasu.

– To się nazywa mieć niskie oczekiwania – skwitowała Leslie.

– A zatem umowa stoi. Zaczynamy.

– Zdaje się, że właśnie to zrobiliśmy. I mózg mi wysiada. Chyba nadwerżyłeś go tą twoją teorią, że psikusy służą kapryśnej naturze czasoprzestrzeni.

– To kiedy będziemy mieli pierwszą prawdziwą lekcję?

– Jutro po śniadaniu – powiedziała Leslie. – Nie, jutro rano w porze dojenia krów.

– Dlaczego tak wcześnie?

– Bo nauczę cię doić krowy.

– Nie odróżniam krowy od aparatu fotograficznego.

Leslie się uśmiechnęła.

– Taką z autofocusem wystarczy skierować na cel i pociągnąć za ogon.

– Myślisz, że trzeba mnie przyuczyć do zawodu? Że jeśli będę doił krowy, to zostanę magiem zwierząt, który znajdzie braci serca na pastwisku?

– Chcę, żebyś ciężko pracował i skoncentrował się na czymś innym niż tworzenie wrót.

– I w czym mi to pomoże?

– Może w niczym, ale warto spróbować. Danny, sędzę, że wpadliśmy na kilka dobrych pomysłów. Jednak jedynym sposobem, żeby się przekonać, czy są czegoś warte, jest spróbować je obalić. Jeśli nam się nie uda, to może znaczyć, że jesteśmy na właściwym tropie.

– Dlaczego nie wypróbujemy najpierw czegoś innego? Czemu nie pokażecie mi wrót tych wcześniejszych magów? Wtedy mógłbym nauczyć się zamykać ich wrota, tak jak to zrobił Loki.

– Nie da rady. Loki pozamykał wszystkie stare wrota, a Złodziej Wrót zabiera wszystkie nowe. Na świecie nie ma już żadnych wrót. Oprócz tych, które ty stworzyłeś.

– Dlaczego więc Złodziej Wrót nie interweniuje, nie próbuje mnie powstrzymać? Na co czeka? – spytał Danny.

– Zapytam go o to, kiedy spotkam się z nim za tydzień – powiedziała Leslie.

Tak oto szkolenie Danny'ego w podstawach magii zaczęło się od nowa. Tym razem jednak miał trochę nadziei. Przedtem, kiedy ciotki i wujowie próbowali go uczyć, wszyscy byli przekonani, że nie ma daru do magii. Teraz i on, i Silvermanowie wiedzieli, że jest całkiem niezłym magiem, więc może i efekty będą lepsze.

Spędzili nad tym wiele tygodni i miesięcy. Następnego lata Danny doszedł do wniosku, że łatwiej wysmarkać się w łokieć, niż przygarniać do siebie fragmenty zewnętrznego ja, które utrzymywały wszystkie stworzone przez niego wrota. Jednak poza codziennymi obowiązkami na farmie nie miał nic ważniejszego do roboty, niż spróbować zapanować nad swoją magią wrót.

Życie na małej farmie mlecznej biło życie włamywacza na głowę. Mieszkając i pracując u Silvermanów, czuł się dużo lepiej niż w towarzystwie Erica, Ceda i Lany. I może pewnego dnia dozna olśnienia i wszystko zrozumie.

Jeśli czasoprzestrzeń chce, żebym zamykał wrota, to się tak czy owak stanie, myślał sobie. A jeśli nie, nie nauczę się tego nigdy, bez względu na to, jak bardzo się będę starał.

Tymczasem jestem bezpieczny, poza zasięgiem Northów i wszystkich innych rodzin, które chcą mnie zabić albo wykorzystać jako pretekst do wywołania wojny o prawo do korzystania ze stworzonych przeze mnie Wielkich Wrót. Tak, moje życie w Yellow Springs i tak jest lepsze niż lata spędzone w Wirginii.

BOHATER KRÓLOWEJ

Klucha schodził wszystkie ścieżki i korytarze zamku Nassassa i teraz znał je na pamięć.

Poznał wszystkie miejsca publiczne, wspinając się na belki dachowe i krokwie albo zagrzebując się w strzesze. Nikt nigdy nie spojrział w górę i nie zauważył patrzącego w dół chłopaka, a nawet jeśli ktoś podnosił wzrok, to albo oślepił go blask świec, albo twarz Kluchy skrywała się w dymie.

Poznał korytarze, którymi chodzili wszyscy, te, z których korzystała tylko służba, a także przejścia dające żołnierzom dostęp do otworów strzelniczych i obserwacyjnych, machikułów i tajnych bram wypadowych, które chroniły zamek.

Poznał opuszczone komnaty, których drzwi były mocno zamknięte i do których nie wchodził żaden służący; poznał prywatne pokoje, do których prowadziły drzwi schowane za gobelinami, meblami i pod dywanami albo udające meble, i wiedział, kto do nich wchodził i z nich wychodził. W tych prywatnych pokojach zbierał się tajny rząd Iswegii i próbował wpływać na decyzje króla, i w tych prywatnych pokojach król Prayard spotykał się z Anonoei, swoją nałożnicą, by spłodzić synów, którzy zapewne kiedyś przejmą po nim tron.

Poznał puste przestrzenie, które w ogóle nie były komnatami, lecz raczej wybrykami architektury. Wchodzić do nich można było jedynie przez strych, a i to tylko wtedy, gdy zrywano fragmenty starego dachu, by wymienić dachówki albo strzechę. Wówczas robotnicy widzieli takie miejsca; ale innych, w fundamentach zamku, w kanałach wentylacyjnych, które dostarczały powietrze do głęboko położonych komnat, w przestrzeniach między komnatami, z których nawet podczas budowy nie usunięto pokruszonych cegieł i kamieni – tych nie widział nikt oprócz Kluchy, jako że dostać się do nich mógł tylko Brat Ścieżek albo Ojciec Wrót.

Teraz Klucha już rozumiał, że naprawdę jest tym, kim nazwała go Hull jego pierwszego wieczoru tutaj, w cieniście ogrodzie na wzgórzu za kuchniami. Wtedy uprzytomnił sobie, że to, co sam uważał

za znajdowanie drzwi, było tworzeniem wrót.

Sięgnął w głąb siebie, w wir snów, wspomnień, nawyków i odruchów swojego umysłu, i zrozumiał, jak robić wrota dokładnie tam, gdzie chciał, by były, przesuwając je w razie potrzeby i przywoływać z powrotem do siebie, kiedy spełnią swoje zadanie, tak żeby nie rozproszyć swojego zewnętrznego ja, utrzymując zbyt wiele wrót naraz.

Miał około dziesięciu stałych wrót, poza tym przemieszczał się z miejsca na miejsce, używając nóg i rąk. Wszystkie jego wrota ukryte były tam, gdzie nikt nie mógł zobaczyć, jak w nie wchodził i z nich wychodził. Ludzie, którzy w ogóle raczyli na niego spojrzeć, widzieli go tylko, gdy bujając się, macając rękami, balansując ciałem, wdrapywał się po ścianach i tapetach, sunął po belkach i dźwigarach, i znikał w wąskich kanałach wentylacyjnych i korytarzach. Dlatego zyskał sobie opinię człowieka wiewiórki, kogoś, kogo widziano tylko w przelocie; szczura smyrgającego po zamku.

Naturalną kolejną rzeczą jeśli w zamku dochodziło do kradzieży, on był pierwszym podejrzanym. Podejrzenia prowadziły do pytań, a Klucha nie znosił pytań. Nie lubił rozmawiać z ludźmi. Rozmowy prowadziły do kłótni, a on miał dosyć kłótni. Nie pamiętał, dlaczego miał ich dosyć, to bowiem ginęło w jego zamierzchłej przeszłości, w czasach przed drzewem, które wciąż wydawały mu się chaotyczne i niepojęte. Wiedział tylko, że mówienie znudziło mu się dawno temu i wtedy po prostu przeszedł do działania. Zrobił coś, co budziło w nim zadowolenie i wstyd zarazem, dlatego nie mógł nikomu spojrzeć prosto w oczy, a mimo to zawsze wiedział, że postąpił słusznie.

Coś ukradł, tyle wiedział. Teraz jednak skończył z kradzieżami, tak przynajmniej sądził. Dlatego zawsze starannie sprawdzał, co ludzie przynoszą do zamku. Potem wszystkie te rzeczy obserwował, zapamiętywał, do kogo należą, gdzie są przechowywane, komu zostają przekazane i dokąd zabiera je nowy właściciel, i tak dalej, w misternej sieci wzajemnej wymiany.

Kiedy coś ginęło, zazwyczaj wiedział o tym przed właścicielem, bo nocą często sprawdzał, czy wszystko jest na swoim miejscu, robiąc małe jednorazowe wrota, które pozwalały mu sięgać do kufrow, szuflad, szafek, skrzynek, misek, pod łóżka, za gobeliny i do wszystkich zakamarków.

Potem, kiedy ktoś go pytał – zwykle Hull – czy wie, gdzie się zapodział taki czy inny przedmiot, miał gotową odpowiedź. „Jest w kufrze z mapami Rudderera”, powiedział kiedyś. Dwa dni później człowiek niegdyś zwany Rudderem zadyndał na falochronie i jego funkcja i imię przeszły

na jego następcę.

Innym razem Klucha wiedział, że pewien poszukiwany przedmiot jest tam gdzie zawsze, że osoba oskarżająca zmyśla. Powiedział to Hull i pomoc kuchenna, która skłamała, dostała w skórę i została odesłana w hańbie do swojego domu.

Z czasem, zamiast podejrzewać Kluchę o kradzieże, większość ludzi przestała kraść i kłamać, bo wiedzieli, że on wszystko wie. Niektórzy się go bali i co pewien czas usiłowali doprowadzić do wyrzucenia go z zamku, ale kiedy ich prośby trafiały do króla, zawsze odpowiadał: „Wtedy musiałbym znaleźć nową piekarkę i nocną kucharkę na miejsce Hull, a tego nie zrobię. Poza tym zauważyłem, że skarżą się na Kluchę ci sami ludzie, których przyłapał na kradzieży albo oskarżaniu innych o kradzież”. Po czym patrzył z niewinnym rozbawieniem, jak wycofywali się zmieszani.

Król Prayard miał jednak własne obawy w związku z Kluchą i pewnego dnia zaczął mówić na głos w prywatnej komnacie, w której czekał na Anonoei.

– Pozwalam ci tu mieszkać, mój chłopcze, bo twoja dyskrecja jest bez zarzutu. Nie rozgłaszasz, co widzisz. Zważ też, że niczego od ciebie nie żądam, nie jesteś bowiem moim szpiegiem.

Klucha nic nie powiedział, ale zadrżał lekko na belce, na której leżał.

– Jestem pewien, że wiele razy oglądałeś mnie z Anonoei. Stałeś się nieostrożny i znalazłem na podłodze kawałki słomy, a kiedy podniosłem głowę, zobaczyłem twoją stopę. Anonoei jest niewiastą bardzo skromną i gdyby cię zauważyła, byłaby zawstydzona i dotknięta. Proszę, staraj się być ostrożniejszy.

Klucha nadal nic nie mówił. Zresztą jak mógł powiedzieć królowi, ileż to razy Anonoei, leżąca na plecach pod robiącym swoje Prayardem, spoglądała mu prosto w oczy i mrugała do niego? Znalazł w komnacie inny punkt, z którego mógł obserwować króla z kochanką, gdy chciał poznać treść ich rozmów.

Hull wciąż uważała się za opiekunkę Kluchy i w istocie nią była. Klucha jednak wiedział też, że jest pod ochroną króla, a przypomnienie Prayarda, że nigdy nie żądał, by został jego szpiegiem, było w mniemaniu Kluchy wyraźną przestroga, że pewnego dnia w ten sposób władca go wykorzysta.

Tak naprawdę Prayard nie musiał tego żądać, bo wraz z inwentarzem przedmiotów Klucha miał żywo w pamięci wszystkie zasłyszane rozmowy nieprzyjaciół i przyjaciół króla. Ośluchał się tyle obłudy, że musiał

nakreślić w myśli skomplikowany diagram pozwalający mu się połapać, kto jest kim w zamku.

Byli przyjaciele króla, szczerze mu oddani, przyjaciele, którzy prowadzili własne gry, i przyjaciele, którzy potajemnie służyli królowej i jej sługom z Grayu. Byli przyjaciele królowej lojalni wobec starszego brata Bexoi, jarla Grayu; jej przyjaciele szpiegujący ją na polecenie Prayarda; jej przyjaciele, którzy byli na usługach Prayarda, ale podawali mu fałszywe informacje; i przyjaciele królowej lojalni wobec jej bratanka Frostincha, jarlinga, czyli następcy jarla Grayu, który przybywał na zamek, kiedy mu się podobało, i snuł własne plany i intrygi, często sprzeczne z zamiarami jego ojca.

Królowa nie miała prawdziwych przyjaciół. Nie zwierzała się nikomu, mało mówiła, nigdy się nie skarżyła. Prayard traktował ją z wyszukaną kurtuazją i ostentacyjnie odwiedzał jej łóżko raz w miesiącu, ale wylewał swoje nasienie na jej brzuch, by nie począć dziecka. Nic nie mówiła o tym upokorzeniu, choć Klucha nieraz widział, że kiedy mąż ją opuszczał, brała jego nasienie w rękę i próbowała je w siebie włożyć.

Klucha chciał jej powiedzieć: O Bexoi, nawet gdyby ci się udało, on by nie uwierzył, że w ten sposób poczęłaś jego dziecko. Gdyby chciał mieć dziecko z tobą, starałby się je splodzić; skoro tego nie robi, potępiłby cię na posiedzeniu tajnej rady królewskiej za twoje rzekome cudzołóstwo, a potem odesłał okrytą hańbą do domu ojca. Co wtedy stałoby się z twoim dzieckiem, Bexoi?

Chciał to powiedzieć, ale nigdy tego nie zrobił, bo z królową nie rozmawiał. Bexoi tak naprawdę nie rozmawiała z nikim i dlatego intrygowała Kluchę jak nikt inny w zamku, nie wiedział bowiem, czego ona chce, na co liczy, czego się boi, co planuje, co czuje i co sądzi o wszystkim i wszystkich – przynajmniej nie z jej ust. Widział tylko, co robi.

Jak ktoś, kogo Klucha tak uważnie i tak często obserwował, mógł pozostawać tak doskonale przed nim ukryty?

Obserwował ją przez trzy lata spędzone w Nassassa i w pewnym momencie stało się coś dziwnego. Zakochał się w niej.

Z początku tak tego uczucia nie nazywał. Przyznawał się przed sobą tylko do pewnego zaciekawienia jej codziennym życiem, a potem do swoistej obsesji. Sądził, że podglądanie królowej to zły i niebezpieczny nawyk, i starał się z tym walczyć; ale mijał dzień lub dwa i znowu łapał się na tym, że patrzy na nią z jednego ze swoich punktów obserwacyjnych w jej komnatach.

W końcu musiał przyznać, że ją kocha, kiedy główny agent Frostincha w zamku, Luvix, oficjalnie sprawujący funkcję łowczego i koniuszego królowej, zrezygnował z planu zaaranżowania jej śmierci w wypadku na polowaniu, jako że Bexoi nigdy nie polowała. Klucha podsłuchał go, gdy instruował swoją ówczesną kochankę, Sleethair, główną damę dworu królowej, by pokazała się na uczęszczanym korytarzu pijana i zwymiotowała dokładnie w tym samym momencie, kiedy on, Luvix, wejdzie do komnaty Bexoi, żeby wlać jej do gardła szybko działającą truciznę.

Na wieść o spisku Klucha nawet nie postanowił złamać długo przestrzeganej przez siebie zasady nieingerencji. Po prostu sięgnął przez wrota do rękawa Luvixa, w którym schowana była fiołka z trucizną, i ją zabrał.

Jednak miał też wyobraźnię i zastanowił się, co się stanie, kiedy Luvix wejdzie do komnaty Bexoi i zorientuje się, że fiołka zniknęła. Czy darowałby królowej życie świadom, że już podniósł na nią rękę? Nie.

Toteż tego wieczoru, kiedy Sleethair czule pożegnała się ze swoją panią i zostawiła ją, by dać jej zasnąć w bezpiecznie zamkniętej komnacie, Klucha zeskoczył z sufitu. Tak jak się spodziewał, Bexoi nie krzyknęła, nie powiedziała ani słowa, choć niewątpliwie ją zaskoczył. Jej samodyscyplina była doskonała i między innymi to w niej kochał, jako że sam dążył do podobnej perfekcji. Ponieważ wiedział, że Luvix wystawił pod drzwiami swojego człowieka nasłuchującego w komnacie wszelkich dźwięków, które mogłyby go zmusić do porzucenia planu, położył palec na ustach i dał znak królowej, by wstała z łoża.

Ku jego ogromnej uldze nie sprzeciwiła się, nie próbowała z nim dyskutować. Skinęła głową, wstała i narzuciła na ramiona ciepłą szatę, gdyż w zamku było zimno tej jesiennej nocy – ale nie aż tak, żeby kazano napalić w piecach.

Kiedy królowa opuściła łożo, Klucha zaczął układać poduszki w ludzką sylwetkę pod pościelą. Ku jego zaskoczeniu, Bexoi położyła mu dłoń na ramieniu, by go powstrzymać. Odłożyła poduszki na miejsce i na oczach zszokowanego Kluchy zaczęła formować płomień świecy, kurz ze ścian i słomę z podłogi w klanta.

I nie był to zwyczajny klient, lecz idealny jej sobowtór, choć może nieco młodszy, o doskonalszej urodzie. Klucha ciekaw był, czy tak zamierzyła, czy może po prostu tak siebie postrzegała i nie zdawała sobie sprawy, w jakim stopniu lata spędzone w Nassassa postarzyły ją i zdarły radość z jej twarzy.

Klant był nagi i kiedy wsuwał się pod pierzynę, Klucha podziwiał jego płynne, wdzięczne ruchy. Nie widział nikogo, kto potrafiłby z taką wprawą sterować klantem sobowtórem, od czasu... od czasu...

Nie pamiętał, tak odległa to była przeszłość, wiedział jednak, że w dawnych czasach wielu magów potrafiło stwarzać idealne sobowtóry samych siebie. Nabierali się na to prawie wszyscy oprócz samego Kluchy, choć wtedy nosił inne imię. Kiedy to było? Kim wówczas byłem? Nie mógł sobie tego przypomnieć, bo gdy sięgał pamięcią tak daleko, wokół siebie widział tylko drzewo, włókna w drewnie przenikające jego ciało rzekami życia, które utrzymywały go w ponadczasowym, otepiałym letargu.

Dlaczego tam byłem? Przed czym się ukrywałem? Co zrobiłem, zanim wszedłem do drzewa? Czemu miałbym wybrać śmierć za życia, a potem spocząć tam i zapaść w sen? Jak długo spałem?

Żadne odpowiedzi nie przychodziły mu do głowy. Jednak wspomnienia czasów przed drzewem były tuż, na wyciągnięcie ręki, i to go na chwilę rozkojarzyło. Bexoi musiała podejść i stanąć na wprost przed nim, żeby mu przypomnieć, że przybył tu w określonym celu. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego piersi. Klucha oprzytomniał i skinął głową.

Pokazała mi, że jest prawdziwie potężną maginią ognia i światła, a nie żalostną Dziewczyną Pióra, za którą uważają ją wszyscy. Ja też nie będę się przed nią ukrywał. Zamiast podnieść klapę w podłodze i zaprowadzić ją na dół, do tunelu, z którego nie będzie nic widzieć, zabiorę ją do wnętrza ściany i pokażę jej wszystko, co tu się wydarzy.

Wyciągnął rękę i Bexoi ujęła jego dłoń. Zaprowadził ją do swoich stałych wrót w tej komnacie, które znajdowały się w tej samej ścianie, pod którą stało jej łóżko. Wskazał kamień, w którym umieścił wrota, i punkt, w którym się otwierały. Było tam dziwne zagłębienie i dlatego to miejsce wybrał.

Wsunął palec we wrota i Bexoi szeroko otworzyła oczy ze zdziwienia. Potem cofnął palec, wziął ją za rękę i włożył jej palec we wrota. Rozmyślnie zrobił podwójne, solidne wrota, przez które każdy mógł przejść – oczywiście każdy, kto wiedział, gdzie są. Ona teraz to wiedziała. Czy Klucha będzie z nią, czy nie, w chwilach zagrożenia będzie mogła znaleźć to tajne przejście i schronić się po jego drugiej stronie.

Lekko popchnął ją naprzód. Kiedy zbliżyła się do kamienia, wrota wchłonęły ją, opływając jej ciało. Przeniknęła na drugą stronę, nie trzymając go za rękę, więc przekonała się, że może z nich korzystać, nawet kiedy będzie sama. Klucha ruszył za nią.

Przerwa między murami powstała bez zamiaru architekta; druga ściana podierała schody prowadzące do machikułu. Ta pusta przestrzeń miała przy ścianie zewnętrznej bardzo wysoki sufit, który opadał i stykał się z podłogą jakiś metr przed przeciwległą ścianą komnaty królowej.

Bexoi roznieciła w ciemności cichy płomyk bez użycia podpałki – to potrafili tylko Mistrzowie Ognia i Jeźdźcy Światła. Zawisł w powietrzu, zamiast tkwić na jej palcu, co znaczyło, że była Jeźdźcem Światła, najpotężniejszym z magów ognia. I znów Kluchę poruszyła myśl, że nie widział takiej mocy od czasu... od czasu...

Zaprowadził królową w miejsce na wysokości łoża i zrobił dla niej jednorazowe wrota. Przyciskając twarz do kamienia, będzie mogła wszystko widzieć z punktu obserwacyjnego na drążku podtrzymującym baldachim. Klucha zrobił podobny wizjer dla siebie.

I czekali, wciąż w zupełnej ciszy.

Drzwi się otworzyły. Wszedł Luvix. Zobaczył klanta leżącego w łożu, zamknął drzwi za sobą i zasunął rygiel.

Klant usiadł prosto i nic nie powiedział. Klucha nie wiedział, czy Bexoi chciała, by klant zachowywał się tak, jak zachowałyby się ona, czy nie potrafiła sprawić, żeby mówił. Nie mógł od niej oczekiwać aż takiej perfekcji w klantowaniu – w tych czasach, kiedy nikt nie mógł zwiększyć swojej mocy, przechodząc przez Wielkie Wrota do Mittlegardu, taka maestria była praktycznie nieosiągalna.

I wtedy coś sobie uprzytomnił: wszyscy wielcy magowie tworzący własne sobowtóry i krzeszący ogień z niczego żyli w czasach przed zamknięciem Wielkich Wrót. Noszę w pamięci wspomnienia sprzed czternastu stuleci. Tak długo tkwiłem w drzewie!

Luvix sięgnął do rękawa. Nie było tam nic.

Klucha wcisnął fiolkę trucizny do ręki Bexoi. Nie spojrzała, co to jest. Może się domyśliła. W każdym razie nie odrywała oczu od wizjera.

Luvix zdał sobie sprawę, że musi ją zabić i tak – przerażająca świadomość tego faktu była wypisana na jego twarzy. Działanie trucizny mógł wytłumaczyć czymś innym, ale krwawej rany albo skręconego karku nie da się zatuszować. Wszyscy poznają, że to morderstwo.

Przeprowadzone zostanie dochodzenie. Jeśli Luvixowi uda się zataić swoją rolę w śmierci królowej – rzecz wcale niepewna, prawdopodobnie musiałby na wszelki wypadek zabić swoją kochankę Sleethair – wówczas o zamordowanie młodszej siostry jarla Grayu obwiniona zostanie Iswegia i wojna wybuchnie na nowo. Jeśli zaś Luvix zostanie schwytany, Frostinch zapewne wykorzysta to jako pretekst, by obalić swojego ojca i zostać

jarlem Grayu na jego miejsce. Tak czy tak, chaos i cierpienie, krew i śmierć.

Luvix sięgnął nie po sztylet, który nosił u pasa, lecz po nóż schowany w bucie.

– Proszę – powiedział klant Bexoi. Głos miał chropawy, na poły szepczący, ale w pełni wiarygodny. Klucha był oszołomiony z podziwu dla królowej. Gdyby magowie wrót potrafili stwarzać klanty, pomyślał, chciałbym, żeby moje były tak doskonałe.

– Przykro mi, lady Bexoi – odszepnął Luvix. Złapał ją za włosy, wbił cienkie jak igła ostrze w jej oko i chwilę wiercił nim w otworze w kości, przez który przechodziłby nerw wzrokowy, gdyby to była prawdziwa kobieta.

Klant musiał być dość solidny, żeby Luvix nie poznał, że nie jest rzeczywisty; solidny na zewnątrz i wewnątrz, by ostrze napotkało wystarczający opór kości, mózgu i podstawy czaszki. Gdyby Klucha jeszcze nie kochał królowej, pokochałby ją w tej chwili za perfekcję jej dzieła.

Kiedy Luvix wyciągnął sztylet, z oczodołu trysnęła krew, a ostrze oblepiały kawałki mózgu. Wyglądało to tak autentycznie, że Klucha wyciągnął rękę i dotknął stojącej obok kobiety, by się upewnić, że to ona jest prawdziwa i że nie zanika po śmierci jej sobowtóra w łożu.

Skrytobójca wytarł ostrze w prześcieradło, zostawiając na nim plamę. Schował nóż z powrotem do buta i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Klucha zauważył, że plama krwi zniknęła. Bexoi nie musiała już podtrzymywać iluzji.

Luvix na pewno pójdzie pokazać się Sleethair. Potem ona wróci tutaj, znajdzie ciało i zacznie krzyczeć, ludzie się zbiegną...

– Mamy parę chwil – powiedział Klucha cicho. – Czy zastaną puste łoże? Czy ciebie w nim, żywą?

Królowa wysunęła twarz z wizjera i odwróciła się do niego.

– Pokazałam ci coś, czego nie widział nikt inny.

– I ja tobie – odrzekł Klucha.

– Jesteś Ojcem Wrót.

– A ty Jeźdźcem Światła.

– Przez całe życie ukrywałam to przed wszystkimi. Nie wie o tym nikt na świecie oprócz ciebie.

– Hull domyśla się, kim jestem.

– I pozwalasz jej żyć?

– Ona by mnie nie zdradziła.

– A ty mnie zdradzisz?

– Jeśli we mnie wątpisz, oddaj mi tę fiolkę trucizny, a tu i teraz ją wypiję.

Uśmiechnęła się.

– Wybrałbyś śmierć nad moją nieufność?

– Nie, dopóki nie przejdiesz bezpiecznie przez wrota do swojej komnaty – rzekł Klucha. – Nie chciałbym, żebyś tu utknęła, gdyby się okazało, że nie jestem tak silny, jak sądzę, i wrota zginęłyby razem ze mną.

– Będę musiała częściej z tobą rozmawiać. Nie jestem pewna, co robić z powiernikiem; nigdy go nie miałam.

– Rozmawiaj z nim – odparł Klucha – a on będzie rozmawiał z tobą.

– Ojej! Dwoje największych milczków w zamku, a trajkoczemy jak kwoki w kurniku.

– Co tam zastaną? – spytał Klucha znowu. – Martwego klanta? Czy żywą królową?

– Żywą królową – powiedziała Bexoi. – Niech Luvix się zastanawia, co poszło nie tak z jego zgrabnym morderstwem. Niech spróbuje zgadnąć. Albo jeszcze lepiej, niech ponowi próbę teraz, kiedy wiem, gdzie mogę się schronić. Wrota tu zostaną?

– Dla ciebie zawsze będą otwarte. Zostawię też wizjer, żebyś mogła sterować swoim klantem.

– Nie potrzebuję wizjera.

– Widzisz oczami klanta?

– Jestem w tym bardzo dobra.

Klucha zajrzał przez wizjer do komnaty. Ciało klanta wciąż było całe, wciąż nagie i piękne, wciąż z wydłubanym okiem i poplamione krwią, która wyciekła na policzek.

– Jakże doskonały twór – powiedział. – I jakże sprytnie udawałaś, że masz tylko słaby talent do ptaków.

Poczuł, że otarła się o niego, idąc z powrotem w stronę wrót.

– Jak je znaleźć od tej strony? – spytała.

– Zrobiłem tak, żeby migotały. Od tej strony zobaczyć je może tylko ten, kto już raz przez nie przeszedł.

Przygasiła płomyk. Rzeczywiście, kamień w jednym miejscu migotał. Dotknęła go palcem, przeszła na drugą stronę. Zanim zniknęła, odwróciła się i uśmiechnęła do Kluchy.

Został, żeby popatrzeć. Klant po prostu zniknął. Bexoi odwróciła się plecami do Kluchy i zrzuciła szatę z ramion.

Naga, ponownie zwróciła się twarzą do niego i potrzęsła głową. Bez wątplenia zdała sobie sprawę, że Klucha widział już jej nagiego sobowtóra, zresztą mógł podziwiać jej wdzięki z dowolnego miejsca wewnątrz komnaty. Nie mogła się przed nim ukryć, więc nie było powodu próbować.

I teraz, kiedy wiedział już, że ją kocha, świadomie postanowił nie patrzeć na jej nagie ciało. Wbił wzrok w drzwi.

Otworzyły się. Weszła Sleethair w towarzystwie żołnierza w mundurze Grayu – spiskowca, który trzymał straż pod drzwiami. Luvix nie wtajemniczyłby w swój plan nikogo więcej.

Spojrzeni na Bexoi. Siedziała na łożu, na którym spodziewali się ujrzeć zamordowaną królową z wydłubanym okiem.

– Myślałam, że udałaś się już na spoczynek – powiedziała Bexoi.
– A ten co robi w mojej komnacie bez zaproszenia? Oddaj się w ręce straży, żołnierzu. Zostaniesz odesłany do Grayu, jak tylko powiem mężowi o twoim niestosownym zachowaniu. Masz szczęście, że nie każę cię wychłostać.

Strażnik natychmiast czmychnął.

– Ja... ja... przepraszam, że... że przeszkadzam – wyjąkała Sleethair.

– Cóż, skoro już tu jesteś, zostań – zdecydowała Bexoi. – Przyśnił mi się dziwny sen i teraz nie mogę zasnąć. Tu, obok mnie... spędź ze mną noc.

– Ale, Wasza Wysokość, ja...

Klucha ciekaw był, jaką znajdzie wymówkę, było bowiem oczywiste, że nade wszystko pragnęła wrócić do Luvixa i powiedzieć mu, że nie zabił królowej. Albo zarzucić mu kłamstwo. Albo po prostu uciec z Nassassa.

Sleethair położyła się obok królowej.

– Zwykle pachniesz jak Luvix – powiedziała Bexoi zimno. – Ale dziś czuć od ciebie wymiocinami. Jesteś chora?

– Tak – odparła dama dworu niemal radośnie. Klucha wiedział, że myślała: To dla mnie szansa, żeby się stąd wydostać!

– Cóż, cieszę się, że wyrzuciłaś z siebie to, co ci zaszkodziło. Gdyby jeszcze było ci niedobrze, wymiotuj na podłogę po swojej stronie łoża i rano po sobie posprzątasz. Nie zamierzam tej nocy być sama.

I na tym się skończyło. Klucha stłumił śmiech. A niech Luvix przewraca się przez całą noc z boku na bok, zachodząc w głowę, dlaczego nie wybuchła wrzawa, kiedy Sleethair „znalazła ofiarę”. A niech Sleethair

spędzi bezsenłą noc u boku kobiety, której morderstwo knuła. Przy odrobinie szczęścia Luvix zabije pechowego żołnierza, zanim się dowie, że Bexoi żyje – a wtedy Sleethair zacznie się zastanawiać, czy zabiłby i ją, gdyby przestała być mu potrzebna.

Ocaliłem królowej życie, zabierając mordercy truciznę i przybywając tu z ostrzeżeniem, pomyślał Klucha. Jednak mogła poradzić sobie sama, bez mojej pomocy, choćby musiała podpalić zdrajcę samą siłą woli, gdy dobyłby noża, czy sprawić, by trucizna zapłonęła i wyparowała, gdy otworzyłby fiolkę.

Aha, Bexoi wciąż tę fiolkę ma.

Klucha przeniósł się wrotami do kuchni i ułożył się na swoim pościeliu wśród chłopców śpiących na zapiecku.

Następnego ranka w zamku gruchnęła tragiczna wieść, że Sleethair, główna dama dworu królowej Bexoi, umarła w nocy. Ci, którzy widzieli ją wymiotującą, poświadczali, że chorowała, ale sprawiała wrażenie, jakby jej się polepszało. Tymczasem Luvix wydawał się udręczony i kiedy tego popołudnia wyjechał do Grayu, wszyscy przypisali to rozpacz z powodu śmierci kochanki – akurat ta tajemnica nie była ściśle strzeżona.

Klucha przyszedł do królowej trzy noce później, kiedy sytuacja się uspokoiła. Jak tylko jej nowa dama dworu zamknęła drzwi, zszedł po ścianie z sufitu. Także i tym razem nic nie powiedział.

Bexoi przyzwała go gestem i podszedł do niej. Byli prawie tego samego wzrostu, jako że ona była dość wysoka, a on wciąż miał chłopięcą, tyczkową sylwetkę nastolatka, który jeszcze nie w pełni przeistoczył się w mężczyznę. Wzięła jego twarz w dłonie i pocałowała go mocno, ale słodko. To nie był pocałunek, jakim królowa obdarza poddanego czy ocalona kobieta bohatera, który ją uratował. To był pocałunek kochanki i Klucha to poznał, choć nie wiedział jak.

– Przystałam na plany brata wobec mnie – szepnęła mu na ucho – bo Prayard jest jednym z najpotężniejszych żyjących magów i chciałam mu rodzić dzieci. On jednak nie chce mi ich dać. Ty jesteś większym magiem od niego, mój wybawco; twoje nasienie jest dla mnie cenniejsze. Chcę, żebyś mi je dał. Chcę twojego dziecka.

– Król będzie wiedział, że nie jest jego – szepnął Klucha.

– Powiem mu, że kiedy wyszedł, włożyłam w siebie jego nasienie. Już tego próbowałam i to nie skutkuje, ale będzie udawał, że mi wierzy. Nie ośmieli się oskarżyć mnie o cudzołóstwo, bo wtedy musiałby przyznać, że nie dawał mi swojego nasienia i tym samym łamał traktat.

Klucha skinął głową. Myślała bardziej subtelnie od niego.

Zrzuciła z siebie szatę i zaczęła go rozbierać.

– Jestem starszy, niż ci się wydaje – powiedział.

– To dobrze. Bałam się, że taki młokos sobie nie poradzi – szepnęła.

– Jestem najstarszym spośród żywych. Nie wiem, czy moje nasienie jeszcze żyje.

– Nawet jeśli nie, przynajmniej zaznamy przyjemności, sprawdzając. Jesteś pierwszym człowiekiem, jakiemu w swoim życiu zaufałam.

Spłodzimy razem dzieci, będziemy rozmawiać o wszystkim i nikt ani przez chwilę nie będzie podejrzewał, że chodząca po ścianach Wiewiórka, posługacz kuchenny Klucha, jest ojcem wspaniałego syna królowej Bexoi, przyszłego władcy królestwa.

– Albo synów – rzekł Klucha.

– I córek – dodała Bexoi. – Ale jeśli Prayard przestanie mnie odwiedzać, my też, niestety, będziemy musieli przestać.

– Eluik i Enopp będą chcieli zabić wszystkie nasze dzieci – zauważył Klucha. – O ile nie wyręczy ich Anonoei.

Zaśmiała się cicho i beztrąsko.

– Kiedy tylko zajdę w ciążę, każę ją wygnąć razem z jej synami, a drogi Prayard nie będzie mógł mi się sprzeciwić. Moje dziecko będzie następcą tronu i lud będzie się radował, gdyby zaś Anonoei tu została, zapanowałoby oburzenie. Z chwilą, gdy powiję potomka, jej synowie staną się bękartami i potencjalnymi buntownikami. Nie, nie będą dość blisko naszych dzieciątek, żeby podnieść na nie rękę.

– Pomyślałaś o wszystkim – szepnął Klucha, który teraz już leżał obok niej w łóżu i przekonywał się, że jego ręce same doskonale wiedzą, co robić z nagą kobietą, choć nie pamiętał, czy kiedykolwiek z jakąś był.

– Od dawna wiedziałam, że mnie obserwujesz – powiedziała Bexoi.

– Teraz cieszę się, że nie kazałam królowi cię zabić.

– Możesz to zrobić, jeśli ci się znudzę – zauważył Klucha.

– Spłodź mi dziecko, a nigdy mi się nie znudzisz. – Uciszyła go pocałunkiem.

VEEVVEE

Piętnastoletniemu już Danny'emu u Silvermanów coraz bardziej doskwierała samotność. Jego sytuacja zrobiła się podobna, jak kiedy jeszcze przebywał w osadzie rodziny, tyle że nie musiał użerać się z kuzynami, którzy nim gardzili. Zdobywał porządne wykształcenie, czytając wszystko, co znajdował w internecie, i studiując książki z biblioteki. Nie miał zaległości w nauce. Przeciwnie, w większości przedmiotów osiągnął poziom uniwersytecki. Kiedy Marion i Leslie od czasu do czasu sprawdzali stan jego wiedzy, zawsze na koniec kiwali głowami i mówili: „Oby tak dalej”. Ale Danny'emu brakowało towarzystwa rówieśników. Przyjaciół.

Teraz, gdy minęło trochę czasu, mógł spojrzeć z dystansu na swoją znajomość z Erikiem i zrozumiał, że powodem, dla którego pozwalał mu sobą rządzić, było to, że choć Eric nie za bardzo go lubił i widział w nim tylko kogoś, kogo można wykorzystać, to jednak był kimś w rodzaju przyjaciela. U Silvermanów czuł się jak jedyny więzień w zakładzie o złagodzonej rygorze.

Wciąż biegał, jak w czasach, kiedy mieszkał w osadzie Northów. Teraz jednak nie była to tajemnica, przed niczym nie uciekał – miał pozwolenie. Biegał otwarcie po drogach wokół Yellow Springs. Biegał tam i z powrotem po Xenia Avenue, czasem przecinał pola i biegał po East Enon Road – albo drodze numer 18, bo tak była oznaczona na dalszym odcinku. To była najlepsza trasa do biegania i jednocześnie najgorsza, bo mijała szkołę średnią w Yellow Springs.

Czasem, kiedy biegał za dnia w ciągu roku szkolnego, skręcał w lewo na drogę z Dayton, która od północy przylegała do terenów szkoły. Widział wówczas uczniów na bieżni – przeważnie nie była to drużyna lekkoatletyczna, tylko zwyczajne dzieciaki na lekcji wuefu – i zastanawiał się, jak by to było, gdyby razem z nim biegało kilku czy kilkunastu kolegów. Przy takich okazjach udawał, że jest z nim ktoś, kto mówi „Szybciej nie dasz rady, ślamazaro?” albo „Widziałem, jak przeskoczyłeś tę wielką kałużę, dobra robota”. I czasem naumyślnie wskakiwał do kałuż, jakby chciał ochlapać tego wyimaginowanego kolegę – ot, taki psikus

(oczywiście, że psikus, czyż nie był magiem wrót?). Albo wytyczał sobie jakiś cel, jakby w odpowiedzi na wyzwanie rzucone przez kumpla.

Takiego kumpla jednak nie miał.

Wiedział zresztą, że wszelką rywalizację może wybić sobie z głowy, bo gdyby zaczęło mu zależeć na wygranej, wygrywałby za każdym razem. Choć nie poczynił wielkich postępów w magii wrót, udoskonalił techniki, które już znał. Potrafił na przykład zrobić serię małych wrót, odruchowo raczej niż wskutek wysiłku umysłowego, które krótkimi skokami przemieszczały go naprzód, tak że gdyby uczestniczył w wyścigu, obserwatorowi wydałby się szybszy od pozostałych biegaczy, ale bez widocznego udziału magii. Jeśli zależałoby mu na zwycięstwie, mógłby odczuć pokusę, żeby skorzystać z tego rodzaju magicznego dopingu. A to byłoby oszustwo. Co to za honor, pozornie pokonać kogoś, kto w rzeczywistości jest od niego szybszy? A z drugiej strony – jak mógłby dać się zwyciężyć? Dlatego nigdy nie będzie się z nikim ścigał. Jeśli spotka na ulicy biegacza, który by go prowokował do wyścigu, zatrzyma się i będzie oglądać widoki, dopóki tamten się nie oddali.

Samo to, że miał moc maga wrót, przynajmniej w pewnym stopniu, nie uprawniało go do tego, by z niej korzystać. Wyciągnięcie Erica przez wrota z kantorka Rico było konieczne, nie żałował, że to zrobił, bo w ten sposób uzdrowił Erica i uratował go przed śmiertelnym pobiciem. Posłużenie się magią wrót, by obezwładnić Rico, też było słuszne, bo tylko tak mógł przeszkodzić temu człowiekowi w popełnieniu zbrodni. Ale skorzystać z wrót, żeby pokonać biegacza ze szkolnej drużyny? Włamywać się do cudzych domów albo szpiegować ludzi?

Nie wstydził się szpiegowania, na jakie pozwalał sobie w dzieciństwie, bo wtedy nie wiedział, że jest magiem wrót, i walczył o przetrwanie w osadzie pełnej magów, którzy bez żadnych skrupułów używali swoich mocy przeciwko niemu i w ogóle wszystkim wokół. Musiał jakoś zdobywać informacje. Ale teraz? Nigdy nie stworzył wrót, które pozwoliłyby mu zajrzeć do pokoju Mariona i Leslie czy szpiegować ich, kiedy rozmawiali ze sobą albo interesującymi nieznajomymi. Jeśli zechcą mu coś powiedzieć, to powiedzą. Nie będzie ich szpiegował.

Gdyby jednak poprosili go, żeby szpiegował kogoś innego, zrobiłby to bez wahania, bo im ufał. Jak dotąd nie było o tym mowy, ale w samotności wymyślał wiele scenariuszy, w których musieli zdać się na jego umiejętności, by wyjść z opresji, a on przychodził im z pomocą.

Takie to fantazje krążyły mu po głowie, kiedy biegał i kiedy wykonywał swoje obowiązki domowe. Przebiegając rankiem koło szkoły

w Yellow Springs, widział dziewczyny wysiadające z autobusów i z samochodów i wyobrażał sobie, jak by to było z którąś z nich porozmawiać. „Zostawiłaś pracę domową w domu na biurku? Zaraz ci ją przyniosę – proszę, oto i ona”.

Potem jednak opadały go mroczniejsze myśli, takie, których się wstydził. Gdyby chciał zostać podglądaczem, mógłby się temu oddawać, nie wychodząc z własnej sypialni i nikt by się o niczym nie dowiedział. Nie mógł sobie pozwolić na snucie takich fantazji, a co dopiero ich urzeczywistnianie. Suszłacy nie powinni wyrzekać się prywatności tylko dlatego, że miał trochę mocy, która dawała mu dostęp do wszystkiego, wszędzie. Poza tym wiedział, że gdyby naprawdę zależało mu na dziewczynie, nigdy nie zrobiłby jej czegoś takiego, a gdyby mu na niej nie zależało, to – jak się przekonał na przykładzie Lany – w ogóle nie chciałby myśleć o niej w takich kategoriach.

Z tyloma dylematami moralnymi się zmagał – i pragnął kiedyś stawić im czoło w rzeczywistości. Byłoby miło poznać fajną dziewczynę. Jakże trudno jednak byłoby mu się zaprzyjaźnić, nie zdradzając, kim jest i co potrafi. Gdyby to wyszło na jaw, to oznaczałoby koniec przyjaźni, na pewno. Nie dlatego, że zostałby odtrącony, tylko przez to, że wówczas przestałby być Dannym Silvermanem – teraz posługiwał się ich nazwiskiem – i stałby się „tym chłopakiem, co skacze przez wrota w przestrzeni”.

Danny był jak zwykle zamyślony, kiedy biegnąc Xenia Avenue, zobaczył, że na podjeździe przed domem pojawiła się kobieta w średnim wieku. Dokładnie w tym samym miejscu, co on tej nocy, kiedy przybył do Silvermanów.

Przeszła przez wrota. Co ważniejsze, przeszła przez jego wrota.

Nie dotykał jej ani nie prowadził. Musiała znaleźć je sama. Co znaczyło, że jest maginią wrót.

Rozejrzał się, czy nikt nie patrzy, i przeniósł się wrotami w miejsce tuż za nią. Był wzburzony i zapomniał wziąć poprawkę na to, że wciąż biegł, więc całym impetem wpadł na nieznaną i ją przewrócił.

– Przepraszam – powiedział, wstając. – Pojawiła się pani znikąd.

– Ty też – odparła.

– Biegłem sobie drogą i nagle wyrosła pani przede mną.

Usiadła prosto i spojrzała we wskazanym przez niego kierunku.

– To ty jesteś tym magiem wrót. Zrobiłeś wrota stamtąd tutaj.

Czyli była Westilianką. Kimś niebezpiecznym.

– Zaraz zrobię następne i cię w nie wepchnę – zagroził Danny – jak

nie powiesz, kim jesteś i dlaczego przeszłaś przez moje wrota.

– Jeśli chcesz mieć swoje prywatne wrota, to je ukryj albo zamknij.
Danny milczał.

Zdumiała się.

– Nie wiesz jak, prawda? Umiesz je robić, ale nie potrafisz ich ukryć ani zamknąć?

Jego lęk powoli przechodził w ciekawość. Najwyraźniej wiedziała o magii wrót więcej niż Stone i Silvermanowie.

– Nie wiedziałem, że można ukryć wrota przed Poszukiwaczem.

– Można, jeśli ma się wystarczającą moc. Ale jestem więcej niż Poszukiwaczem. Myślę, że jestem Przyjaciółką Kluczy. Oczywiście, nie wiedziałam tego, dopóki nie zobaczyłam twoich wrót w Waszyngtonie. Nie masz pojęcia, jakie to było dla mnie ważne.

A zatem nie wiedziała tyle, ile by chciał.

– Co tu robisz?

– Siedzę na żwirowym podjeździe w porwanych na strzępy rajstopach, z pościeranymi do krwi dłońmi i kolanami.

– Przykro mi – powiedział Danny.

– Wcale nie – odparła kobieta. – Chciałeś wybadać, ile o tobie wiem i czy chcę cię zabić.

– Nadal się nad tym zastanawiam.

Rozpromieniła się.

– Oto co wiem. Przeskoczyłam przez kilkoro twoich wrót w Waszyngtonie, jak tylko zobaczyłam pierwsze i zorientowałam się, co to jest. Możesz sobie wyobrazić, jakie to przygnębiające, być magiem wrót tak niskiego poziomu, że samemu nie można ich stwarzać... bo skoro wszyscy Bracia Ścieżek i Ojcowie Wrót są mordowani, a stare wrota zniknęły, to gdzie ja kiedykolwiek w ogóle zobaczę wrota? Nie miałam nawet pojęcia, jak wyglądają, mimo że prowadziłam badania przez ostatnie trzydzieści lat. Aż tu jadę sobie taksówką po Wisconsin Avenue i nagle po prawej stronie pojawia się takie dziwne migotanie. Hm... nie było to coś, co widziałam, tylko wzmożona świadomość określonego miejsca. Tyle że to miejsce było w kościele! Wyczułam je przez ściany! Ma się rozumieć, kazałam taksówkarzowi stanąć. Jakże się rozczarowałam, kiedy się okazało, że choć do kościoła mogę wejść, to nijak nie dostanę się do pomieszczenia, w którym było to migotanie!

– Domyślam się, że w końcu ci się udało?

– Na opak. Zauważyłam, że kiedy stałam w określonym miejscu, wyczuwałam obecność dwojga wrót. Jedne były wyjściem z wrót, które

przeniosły kogoś do kościoła, a drugie wejściem do wrót w przeciwnym kierunku. Nie mogłam poprosić księdza, żeby wpuścił mnie na zakrystię, bo wtedy by zobaczył, jak korzystam z wrót... o ile to rzeczywiście były wrota, a ja rzeczywiście byłam Przyjaciółką Kluczy albo Zamków.

– To byłby kłopot, fakt – przyznał Danny.

– Pewnie uznaliby mnie za wysłannika niebios czy kogoś takiego.

Semici tak bardzo chcą wierzyć, że ich bogowie wciąż z nimi rozmawiają... czternaście wieków po zamknięciu wrót!

– Semici? Myślałem, że tak nazywa się tylko Żydów i Arabów.

– Ludzie, którzy czczą semickich bogów. Żydzi, chrześcijanie, muzułmanie. Nie-Westilianie.

Danny nigdy w życiu nie słyszał, że oprócz Westilian są jeszcze inni bogowie korzystający z wrót.

– Zawsze myślałem, że ich Bóg to... – Ale sam nie bardzo wiedział, co myślał o ich Bogu, bo nie przypominał sobie, by myślał o nim w ogóle.

– Naprawdę Bóg? – podsunęła rozbawiona.

– Mit. Jak Święty Mikołaj.

– To znaczy... jak Zeus? Thor? Sziwa? Hermes? Pan?

– Chyba myślałem, że tylko my jesteśmy prawdziwi. – Danny zaśmiał się ze swojej naiwności.

– Wszyscy bogowie tak myślą. – Pokiwała głową. – W każdym razie jestem przed tym kościołem na Wisconsin i nagle uświadamiam sobie, że wiem, gdzie jedne wrota się zaczynają i dokąd prowadzą drugie! Ileż się nachodziłam, zanim znalazłam punkt wyjścia, który nie wymagał ode mnie włamania do cudzego domu... tyle tych wrót. Paskudny mały włamywacz z ciebie!

Danny już miał jej się odciąć, ale uniosła dłoń.

– Myślisz, że ja trzymałabym się z dala od cudzych domów, gdybym potrafiła robić wrota?

Chciał zaprotestować, że to był pomysł Erica, ale ona już dalej opowiadała swoją historię.

– Nic to, że zdarłam buty; było warto. Bo do tej pory nie miałam pojęcia, czy rzeczywiście jestem maginią wrót, czy nie! A teraz wiem, że tak, i to całkiem niezłą! Potrafię otworzyć wszystkie twoje wrota i wiem, dokąd prowadzą, zanim w nie wchodzę, ba, mogę nawet zobaczyć, co się dzieje po ich drugiej stronie. No i okazuje się, że mogę przez nie przenikać! Tylko w jednym kierunku... tym samym co ty... ale jestem maginią wrót, do licha!

– Czyli nie jesteś tu po to, żeby mnie zabić – powiedział Danny.

– Zabić cię?! Ja chcę cię wielbić!
– Proszę, tylko nie to!
– Chcę chodzić krok w krok za tobą.
– Zdaje się, że już to robisz.
– Przed chwilą stworzyłeś wrota, mam rację? Zobaczyłeś, że tu stoję, więc zatrzymałeś się, zrobiłeś wrota i przez nie przeszedłeś.

– Nie zatrzymałem się, tylko zrobiłem wrota w biegu, nie zdążyłem wyhamować i dlatego cię staranowałem. Przepraszam.

– No dobrze, wynagrodź mi to.

– Jak?

– Zrób wrota... takie małe... żebym mogła przez nie przejść i doświadczyć ich odmładzającego działania! To mnie uzdrowi, prawda? Z moich badań wynika, że magowie wrót nie byli jednocześnie uzdrowicielami, po prostu samo przejście przez wrota leczy wszystko, co z organizmem w danej chwili jest nie tak. Ja w każdym razie czuję się cudownie po tym, jak cały dzień uganiałam się przez wrota za tobą!

Danny nie zrobił wrót. Jeśli w rzeczywistości była nasłaną morderczynią – czego nie mógł wykluczyć tylko dlatego, że zaprzeczyła – chciał możliwie najbardziej utrudnić jej zadanie.

– To nie uchroni cię przed starzeniem.

– Coś zawsze mnie ciekawiło. Czy wrota odtwarzają utracone części ciała? Gdybym straciła ucho i przeszła przez wrota, czy odrosłoby mi nowe?

– Nie mam pojęcia. Ale sądzę, że nie, bo pewien człowiek stracił kciuk w trakcie przechodzenia przez wrota i kiedy jego ręka wróciła na drugą stronę, kciuka nadal nie było. Choć to może niczego nie dowodzić, bo jak jego ręka wyszła z wrót, już nie żył.

– W takim razie musimy przeprowadzić eksperymenty! Zobaczyć, jak to działa!

Danny'emu nie podobało się to, że już widziała w nim swojego partnera.

– Nie sądzę.

– Och, koniecznie musimy poznać rządzące tym reguły. Jak mamy kontrolować ten proces, jeśli nie ustalimy skutków różnych czynności związanych z tworzeniem wrót?

– Nie podoba mi się, że mówisz, że „my” coś musimy – powiedział Danny. – Nawet nie wiem, kim jest twoja połowa „nas”.

Zamrugnęła.

– Ojej. Nie przedstawiłam się. – Wyciągnęła rękę. – Jestem Victoria

Von Roth, ale musisz mi mówić Veevee. – Kiedy chwycił jej dłoń, nagle objęła go drugą ręką i mocno uściskała. – Kocham cię, dziwny mały stwórco wrót! Jesteś dla mnie najważniejszą osobą na świecie!

– Mam nadzieję, że nie zrozumiesz mnie źle, Veevee... – Danny dziwnie się czuł, zwracając się do dorosłej kobiety takim zdrobnieniem – ...ale ja cię nie kocham. Prawdę mówiąc, przerażasz mnie.

– Głupstwa pleciesz. Nie skrzywdziłabym muchy.

– Mogłabyś powiedzieć pewnym ludziom, gdzie jestem, a oni zabiliby mnie na pewno.

– Przecież każdy może cię znaleźć. Wystarczy pójść tropem twoich wrót! Przyznaję, że było po drodze kilka interesujących skoków w bok... po co, u licha, poszedłeś do sekretariatu szkoły... imienia Parry'ego McCluera?

– Jesteś jedyną żywą istotą, jaką znam, która może wchodzić w moje wrota. – Po czym dodał, bardziej do siebie: – Chyba że potrafi to ta mała Greczynka.

– Grecy mają maginię wrót?

– To pewnie Poszukiwaczka. Może ktoś taki jak ty. Nie wiem.

– Nie zdradzisz mi swojego imienia, o przystojny młody Ojciec

Wrót?

– Nie wiadomo, czy jestem Ojcem Wrót. Mogę być Bratem Ścieżek; oni też potrafią stwarzać wrota.

– Imię! Imię! Jak mam cię nazywać? Spoconym Biegaczem?

– Żebyś mogła wrócić przez wszystkie wrota po kolei, aż znajdziesz ludzi, którzy mnie szukają i chcą zabić, podać im moje imię na dowód, że mnie znasz, i doprowadzić ich do mnie?

– Nigdy bym tego nie zrobiła!

– I mam ci wierzyć, bo...?

– Bo nie mogę przechodzić przez twoje wrota w odwrotnym kierunku. Nie mogę więc wrócić w miejsce, z którego wyruszyłeś.

– Ty tak twierdzisz – powiedział Danny.

– O rany, aleś ty ostrożny!

– Dlatego jeszcze żyję.

Veevee poklepała go po ramieniu.

– Nie, jeszcze żyjesz dlatego, że masz więcej szczęścia niż rozumu.

Przy całej swojej ostrożności jesteś strasznie nieostrożny. Zdradziłeś mi już, że po pierwsze, jesteś z jednej z Wielkich Dynastii; po drugie, nie jesteś Grekiem; po trzecie, boisz się, że ktoś cię zabije. Mówisz po angielsku z amerykańskim akcentem. To znaczy, że jesteś Northem,

i gdybym chciała cię sprzedać, mogłabym powiedzieć im, gdzie jesteś, nawet nie znając twojego imienia.

Danny zobaczył w jej oczach przebiegłość i rozbawienie.

– My, magowie wrót – ciągnęła dalej – nie jesteśmy idiotami i potrafimy udawać głupszych, niż jesteśmy. Mam rację?

– Niestety, tak – odparł Danny. – Jestem Danny Silverman.

– Posługujesz się nazwiskiem Silvermanów? Chcesz, żeby oni też zginęli?

– Co, jednak planujesz mnie zabić? – Uświadomił sobie, że jej odpowiedzią może być kula, trucizna albo nóż, więc przeniósł się wrotami trzy kroki do tyłu i trochę w lewo.

– Spokojnie – powiedziała Veevee. – Zwróciłam tylko uwagę, że używając ich nazwiska, narażasz ich na dekonspirację.

– Chyba byłoby gorzej, gdybym przedstawiał się jako Danny North.

– Danny, powtórzę to raz jeszcze: nie cieszyłam się tak z istnienia drugiego człowieka od czasu, kiedy matka pierwszy raz wsadziła mi cycek w usta.

To był tak nieprzyjemny, ordynarny sposób mówienia o własnej matce, że Danny chciał zakończyć tę rozmowę. Po co właściwie jeszcze gadał z tą kobietą? Powinien był przenieść się wrotami do domu, jak tylko się pojawiła, ostrzec Silvermanów i pozwolić, by oni się nią zajęli.

I tej możliwości jeszcze do końca nie stracił.

– Może wejdźmy do środka, poznasz Silvermanów.

Po raz pierwszy entuzjazm zupełnie ją opuścił.

– Och, Silvermanowie już mnie znają, a ja ich.

– Co, nie lubisz ich? – Jeśli nie lubiła Silvermanów, miała u niego wielką czarną krechę.

– Czy ich nie lubię? O mało nie wyszłam za Mariona. I tak by się stało, gdyby ta krowa nie stanęła między nami!

– Mówisz o moich przybranych rodzicach – rzekł Danny zimno.

– Och, Danny, nie żołądkuj się. Leslie jest krową. Krowy są jej siostrami serca. Przestań się złościć.

– Nie to miałaś na myśli.

– Nie możesz tego wiedzieć – powiedziała z niewinną miną.

– Nigdy więcej nie nazywaj Leslie krową. – Odwrócił się do niej plecami i ruszył w stronę domu.

– Nie zaprosisz mnie do środka? – spytała Veevee.

Nie odpowiedział. A niech sama wejdzie na ganek i zapuka, jeśli chce wejść. Skoro Leslie i Marion ją znają, pewnie jej nie cierpią. Niech

się dogadają we trójkę.

– Bolał mnie dłonie i kolana! – zawołała Veevee za jego plecami.

– Zrób mi małe wrota!

Danny zrobił wrota tuż przed nią. Potem odwrócił się i przyzwał ją gestem policjanta drogówki – wskazał na nią palcem jednej ręki, a drugą dał znak, żeby ruszyła naprzód.

To nie było konieczne – zobaczyła wrota. Uśmiechnęła się, weszła w nie... i znalazła się po drugiej stronie Xenia Avenue, odwrócona plecami do domu Silvermanów. Obróciła się na pięcie, z początku dezorientowana, potem, kiedy zobaczyła Danny'ego, wściekła, on jednak poszedł do domu. Podobno widziała, dokąd jego wrota prowadzą, a magowie wrót byli znanymi psotnikami. Czemu nie sprawdziła, co jest po drugiej stronie, zanim weszła?

Przestąpił próg i zawołał:

– Mamy gościa!

– Nie krzycz w domu! – odkrzyknęła Leslie z góry.

– Trafiła tu za mną magini wrót, Victoria Von Roth.

Leslie praktycznie wpadła na schody i zbiegła z nich z szybkością rozpędzonego narciarza alpejskiego.

– Ta suka naprawdę jest maginią wrót? I przyszła tutaj? Och, nic dziwnego. Zawsze się pcha, gdzie jej nie chcą.

Była wzburzona i trochę jakby zakłopotana. Wyglądało na to, że przynajmniej część opowieści Veevee była zgodna z prawdą – kiedyś rzeczywiście rywalizowały o względy Mariona.

– Spokojnie – powiedział Danny. – Marion wybrał ciebie, nie?

– Co ci powiedziała? Że ożenił się ze mną tylko dlatego, że wszyscy uważali ją za dreckę, a ja byłam prawdziwą maginią, nawet jeśli tylko Siostrą Krów?

– Nie sądzę, by przyszła przekonać Mariona, że podjął złą decyzję

– rzekł Danny. – Raczej się cieszy, bo wreszcie ma dowód, że jest Przyjaciółką Kluczy.

– Przyjaciółką Kluczy, też coś! To dla niej typowe, podawać się za najwyższego z magów wrót, którzy nie potrafią stwarzać wrót.

– Myślę, że mówi prawdę. Znalazła moje wrota i przeszła przez nie bez mojej pomocy ani nawet mojej wiedzy.

– To zła wiadomość. Powinieneś być czuć, że z nich korzystała.

– Nie powiedzieliście mi tego. Mogę wyczuwać, że ludzie korzystają z moich wrót?

– Jak widać, nie. Idź po Mariona.

– Nie – odparł Danny. – Sądzę, że powinienem tu być, kiedy Veevee zapuka.

– Myślisz, że zamuczę na nią?

– Myślę, że ty i Marion powinniście być razem, kiedy zobaczycie ją po raz pierwszy od tylu lat.

– Och, mały Danny North nagle stał się rozjemcą. Nie pamiętam, cóż to za magia?

– Taka, co zapobiega rozlewowi krwi.

– To przenieś się wrotami do stodoły i go tu zaciągnij – rzuciła Leslie.

– Mówiłaś, żebym nie robił wrót na farmie...

– To sytuacja nadzwyczajna, ty głąbie kapuściany. – Patrzyła przez wąską szczelinę między zasłonami. – Och, wygląda tak, jak można się było spodziewać. Zawsze musi się odpicować, jakby była żoną senatora. Nazwałabym ją księżną, ale zapomniała diademu.

Czyli niechęć była obopólna. Łatwo zrozumieć dlaczego. Obie sądziły – Veevee z goryczą, Leslie z lękiem – że Marion wybrał Leslie tylko dlatego, że ich dzieci miały większą szansę wyrosnąć na magów.

Danny przeniósł się wrotami do stodoły, gdzie Marion rył inskrypcję w nagrobku. Teraz, kiedy skończył z geologią, zajmował się kamieniarką – uwielbiał pracować w kamieniu. Ceny u niego były wyższe niż u lokalnych kamieniarzy, nie chciał bowiem, żeby myśleli, że podbiera im klientów, choć w piętnaście minut wykonywał misterne rzeźbienia, które im zajęłyby trzy dni. A jako Przyjaciel Kamieni mógł pomóc kamieniowi odnaleźć gładkie, szczelne wykończenie, które opierałoby się erozji przez stulecia. Miał też talent plastyczny, więc nawet jego nagrobki wyglądały dość fantazyjnie. Niektórzy uważali je za nieprzyzwoite i w złym guście; ci mieli do wyboru wielu innych kamieniarzy. Nigdy jednak nie brakowało ludzi, którzy sądzili, że kamienie Mariona oddawały charakter ich zmarłych bliskich.

Ten miał u szczytu zarys góry i bardzo małą sylwetkę wspinacza. Miał to być nagrobek młodego męża i ojca, który zginął podczas akcji ratunkowej. Rodzice zmarłego młodzieńca byli oburzeni, że wdowa po nim chce umieścić na nagrobku wizerunek góry, która zabiła ich syna; jednak to wdowa złożyła zamówienie, a według niej mąż najszcześniejszy był w górach. „Kochał kamień. Opowiadał, że czasem, kiedy się wspinał, miał wrażenie, że jego palce pieściły skałę, a skała pieściła jego. Zginął bohaterską śmiercią w górach i chcę, żeby to właśnie widziały jego dzieci, kiedy będą odwiedzać grób ojca”.

Marion opowiedział tę historię zeszłego wieczoru przy kolacji, po czym dodał:

– Jestem pewien, że ten młody człowiek miał dar do kamienia.

– Czyli był Westilianinem?

– Wątpię.

– Nie wierzę w całe to gadanie, że Westilianie pochodzą z Ziemi

– powiedziała Leslie.

– Wierz, w co chcesz, moja droga – stwierdził Marion – ale Westilianie i Mittlegardianie ochoczo krzyżują się między sobą i nie ma powodu sądzić, że w mieszkańcach Ziemi nie drzemią utajone pokłady magii.

– Skłonność westiliańskich mężczyzn do uwodzenia suszłaczek w pełni tłumaczy talenty objawiające się czasami u miejscowej ludności. Na Ziemi nie uświadczysz już chyba nikogo, kto nie miałby w żyłach choć odrobiny westiliańskiej krwi.

Marion rzeźbił więc teraz nagrobek człowieka, którego uważał za maga kamienia. To był element braterstwa magów, kamień za kamień, ogień za ogień, brat serca za brata serca. Wszyscy, którzy uprawiali ten sam rodzaj magii, czuli się sobie bliscy, bez względu na bariery między rodzinami.

A Veevee, pomyślał Danny, jest jedyną osobą na świecie, może z wyjątkiem małej Greczynki, z którą mogę poczuć taką więź. Widać było, że Marion wyrzeźbił nagrobek z wielkim szacunkiem – spędził wiele godzin nad jego misternymi detalami. Danny zaś staranował Veevee, poranił ją i nawet kiedy ją uleczył, to wysłał ją przy tym na drugą stronę ulicy.

Marion podniósł głowę znad swojej pracy.

– Przeniosłeś się tu wrotami, Danny?

– Leslie kazała. Przyszła Victoria Von Roth.

– Victoria! – Marion wyraźnie się rozeźlił. – Po co?

– Znalazła moje wrota, a one doprowadziły ją do mnie. Jest Przyjaciółką Kluczy.

Marion westchnął ciężko.

– Myślę, że Leslie potrzebuje wsparcia – powiedział Danny.

– Veevee jest już przed progiem. Mogę przenieść cię tam wrotami, żebyście stanęli przed nią razem?

– Nie wyobrażaj sobie, że wiesz cokolwiek o tym, co przed laty zaszło między mną a Veevee i mną a Leslie.

– Wiem tylko, co zajdzie między Leslie a Veevee za jakieś piętnaście

sekund.

Marion wyciągnął rękę. Danny pomógł mu wstać, po czym przeniósł go wrotami do salonu. Veevee właśnie pukała, a Leslie już miała otwierać drzwi.

– Niech Danny otworzy – powiedział Marion. Podszedł wielkimi krokami do żony, wciągnął ją w głąb salonu i objął ją ramieniem. Tak pewnie stali chrześcijanie, kiedy Rzymianie wypuszczali lwy na arenę, pomyślał Danny.

Otworzył drzwi.

– Veevee! – powiedział z przerysowaną serdecznością. – Jak miło, że wpadłaś!

– Czort z ciebie, Danny – odparła z lekką przyganą – ale i tak cię uwielbiam. A przynajmniej twoje wrota. – Odwróciła się do Silvermanów i skłoniła głowę. – Cóż za miła niespodzianka, że wrota tego młodego człowieka zaprowadziły mnie na wasz próg. Nie wyobrażam sobie, by mógł znaleźć lepsze schronienie i miejsce do nauki niż ten dom.

Danny był prawie zawiedziony nienaganną uprzejmością Veevee. I bawiło go to, że przybierając taki ton, uniemożliwiła Leslie okazanie uczuć. Marion wyciągnął rękę i Veevee uścisnęła ją mocno.

– Cieszę się, że oboje dobrze wyglądacie.

Leslie nie miała innego wyjścia, jak tylko wzorem męża podać jej dłoń, i Veevee uśmiechnęła się do niej. Ciepło, jak się zdaje, bo Leslie zadała sobie trud, żeby ułożyć twarz w autentyczny uśmiech.

– A jak się mają wszystkie wesołe krówki? – spytała Veevee z niesłabnącą serdecznością.

Danny prawie ryknął śmiechem – trudno się było powstrzymać. Była zołą, jakich mało, ale miała klasę.

Leslie spojrzała na nią bykiem.

– Stado jest całkiem zadowolone, dziękuję. W stodole zawsze znajdzie się jeszcze jedno miejsce, jeśli nie masz gdzie przenocować.

Nie, Leslie, proszę cię, powiedział Danny w duchu. Nie próbuj dorównać Veevee złościwością. Jej to przychodzi na luzie, ty tylko wydajesz się marudna.

– Nie mam żadnych planów – powiedziała Veevee – więc może skorzystam, jeśli siano jest świeże. – Odwróciła się do Marion. – Kto by przypuszczał, jednak jestem maginią! Nie tak wybitną jak twoja droga małżonka, ma się rozumieć. Sądzę jednak, że jak mało kto mogę pomóc w szkoleniu waszego młodego podopiecznego. Trzydzieści lat studiuję magię wrót w ramach mojej... jak to nazywałaś, Leslie, moja droga?...

„misternej mistyfikacji”? A ponieważ okazuje się ku zdumieniu wszystkich, także mnie samej, że naprawdę jestem maginią wrót, być może mam informacje, które przydadzą się Danny’emu.

Odwróciła się do niego.

– Nie masz nic przeciwko temu, żebym przekazała ci część mojej wiedzy?

– Mam nadzieję, że przekażesz całą – powiedział Danny. – Ale pod warunkiem że nie będziesz w tym domu nic mówić o krowach.

– Na szczęście ostatnio mam do czynienia tylko z nabiałem w postaci niskotłuszczowych jogurtów i twarogu. A wołowiny nie jadam... znam Leslie tyle lat, że to byłoby tak, jakbym jadła przyjaciółkę.

– Jemy wołowinę, kiedy chcemy – stwierdziła Leslie. – Bydło jest przeznaczone na ubój i dla stada to normalne, że co pewien czas pojedyncze sztuki giną. Jak ty, zabijamy z czułością.

– Mam doskonały pomysł – odezwał się Marion. – Jeśli Danny chce się od ciebie uczyć, niech robi wrota stąd do twojego domu. Może spędzać u ciebie kilka godzin dziennie i wracać tutaj na posiłki. Chyba że przez te lata nauczyłaś się gotować.

Tak, wszystko jasne. Marion stanął po stronie Leslie; Veevee nie była mile widzianym gościem w ich domu. Danny’emu kamień spadł z serca. Będzie mógł się uczyć od Veevee, ale bez zawracania sobie głowy jakimiś starymi historiami.

WROTA PUBLICZNE

Veevee nawet nie chciała, żeby Danny przeniósł ją wrotami do jej samochodu w Waszyngtonie.

– Zadzwoń do wypożyczalni i powiem, skąd mają go odebrać. Wyjaśnię, że wynikła pilna sprawa rodzinna... bo to w sumie prawda, nie?

Tak więc przeniósł ją do domu, czyli do Naples na Florydzie, gdzie mieszkała w apartamencie na poddaszu z widokiem na Zatokę Meksykańską. Gdy tylko się tam znaleźli, poszła do kuchni sprawdzić, co ma w lodówce, i zamówić zakupy przez telefon.

– Ale będzie zabawa – powiedziała.

Danny nie był tego pewien. Jej entuzjazm wciąż go niepokoił. Jak dotąd tak naprawdę wiedział tylko tyle, że potrafiła przechodzić przez jego wrota. Ale co z tego wynikało? I bez niej wiedział, że umie stwarzać wrota. Nie musiała mu tego potwierdzać.

A mimo to był podekscytowany. Nie jest jedynym magiem wrót na świecie, a Veevee poświęciła całe życie studiowaniu magii, powodowana tylko nadzieją, że a nuż ma do niej dar.

Poszła do sypialni i wróciła w skromnym szkarłatnym jednoczęściowym kostiumie kąpielowym, w którym wyglądała dobrze bez udawania, że jest młodsza niż w rzeczywistości.

– Wszystko po kolei – powiedziała. – Zrób wrota, które zabiorą mnie gdzieś blisko plaży, a potem drugie, które przeniosą mnie z powrotem tutaj.

– To dlatego tu jestem? – spytał Danny. – Żebyś nie musiała czekać na windę?

– A co, to cię coś kosztuje?

– Cóż, podobno każde wrota odbierają mi część zewnętrznego ja.

– I zaczyna ci go brakować?

– Nie wiem.

– W takim razie zrób to, Danny. Na czymś trzeba trenować, zgadza się? Nie możemy za każdym razem eksperymentować na wrotach do obory Silvermanów, nie sądzisz? No i co, jeśli nauczysz się zamykać i zwijać wrota? Chcesz zacząć od tamtych?

Zawsze miała tego typu argumenty. Przekonujące powody, dla których powinien zrobić dokładnie to, czego chciała – i to natychmiast. Jeśli teraz jej się nie postawi, czy kiedykolwiek się na to zdobędzie?

Pewnie nie. Ale gra była warta świeczki, jeśli Veevee rzeczywiście mogła mu pomóc zapanować nad tym cholerstwem.

Dlatego wychylili się z wychodzącego na zatokę balkonu jej apartamentu i wybrali miejsce prawie całkowicie osłonięte palmami, blisko sąsiedniego wieżowca. Tam Veevee mogła niepostrzeżenie pojawiać się i znikać. Danny stworzył wrota prowadzące w to miejsce i Veevee radośnie w nie weszła. Kiedy pojawiła się na piasku w dole, pomachała do niego wesoło, po czym wyciągnęła ręce do góry jak dwulatka, która chce, żeby ją podnieść.

Danny postanowił utrudnić sobie zadanie. Zamiast przejść samemu przez wrota i na dole zrobić następne, które przeniosłyby ich oboje z powrotem na górę, postanowił spróbować stworzyć drugie wrota, nie ruszając się z balkonu. Bądź co bądź, kiedy robił wrota, ani niczego nie dotykał, ani nic go z nimi nie łączyło. Co więc za różnica, czy wejście do nich będzie daleko, a wylot tuż obok niego?

Kiedy jednak zaczął stwarzać wrota koło Veevee, pod wpływem impulsu umieścił ich początek dokładnie w wylocie pierwszych wrót, a koniec tam, gdzie pierwsze wrota się zaczynały. Czy nie o to właśnie pytała Leslie? Co by się stało, gdyby zrobił dwoje wrót o tym samym początku i końcu, tylko prowadzących w przeciwnych kierunkach? Jeszcze nigdy nie próbował stworzyć wrót nakładających się na siebie. Nie było to jednak trudne – wyraźnie widział, gdzie dokładnie oba końce są osadzone.

Na dole Veevee położyła dłonie na policzkach jak mim udający zaskoczenie. Wyciągnęła palec do wylotu wrót i w mgnieniu oka znalazła się na balkonie obok Danny'ego.

– Ty mały diable, nie chwaliłeś się, że to potrafisz!

– Że co potrafię? – spytał.

– Och, nie udawaj.

– Wiem, że zrobiłem tak, żeby początek i koniec pokrywały się z początkiem i końcem pierwszych wrót, tylko na odwrót, ale przecież to było coś oczywistego, nie?

– To wszystko? Naprawdę? Bo mnie się wydawało, że wrota nagle zmieniły się z cienkiej rurki w autostradę. No, może przesadzam, ale bardzo się powiększyły i teraz prowadzą w obie strony naraz. To nie tak, że je tylko podwoiłeś. Są z dziesięć razy większe.

– Fajnie. – Danny był dumny z siebie i bardzo zadowolony, że oto dowiedział się czegoś o działaniu wrót.

– Teraz moja kolej – stwierdziła Veevee.

– Twoja kolej na co? – spytał Danny. – Myślisz, że dasz radę stworzyć wrota?

– Im dłużej cię podpatruję, tym większą mam na to szansę, nie uważasz? Ale nie, chodzi mi o to, że Przyjaciele Kluczy czasem są też Przyjaciółmi Zamków.

– A to znaczy, że...

– Że jeśli znajdę sposób, by zamknąć jedno z twoich wrót, będziesz mógł zobaczyć, jak to robię, i nauczyć się tego ode mnie!

– Skoro ty jedna możesz korzystać z moich wrót, a zamykając je, i tak ich nie ukryję przed Przyjacielem Kluczy, jaki to ma sens?

– Taki, że się tego nauczysz! Nauka fajna rzecz! Chyba nie jesteś jednym z tych dzieci, które nie cierpią szkoły?

Danny wzruszył ramionami.

– Warto, żebyś wiedziała, jak je zamykać.

– Zwłaszcza te, które zrobiłeś przed chwilą. Bo zdaje się, że niechcący odkryłeś, jak robić wrota publiczne.

– To źle?

– Publiczne wrota to takie, z których może korzystać każdy... Poszukiwacz, oczywiście, ale i każdy suszłak, który przypadkiem w nie wpadnie.

– Hm... czyli suszłak mógłby śmignąć przez wrota prosto na twój balkon.

– Właściwie to całkiem dobry sposób na poznawanie facetów – stwierdziła Veevee.

– Albo włamywaczy – powiedział Danny.

– Włamywacza mi nie trzeba. – Veevee zaśmiała się. – Oj, miejże z tego trochę uciechy!

– Czyli musimy zamknąć wrota... jeśli są publiczne... żeby ludzie z nich przypadkiem nie korzystali.

– Wyobraź sobie, co by było, gdybym zaprosiła tu kogoś na lunch, ten ktoś wyszedłby na balkon i nagle... puf! Pomyślałby, że zleciał z balkonu i cudem przeżył!

– No dobra – rzekł Danny. – Zamknij wrota. Zarygluj. Czy jak to nazwać.

– Jeśli dam radę. Otwarcie twoich wrót było względnie łatwe... przybyłam, zobaczyłam, dźgnęłam palcem.

– Coś podobnego zrobiłaś Marionowi i Leslie – powiedział Danny, bo akurat to przyszło mu do głowy.

Veevee zaniósła się śmiechem.

– Właśnie tak! Och, Danny, jak na dziecko masz strasznie kosmate myśli.

Kosmate? Nie miał pojęcia, o co jej chodzi.

– No dobrze, pomajstruję przy tych wrotach – powiedziała. – Może uda się je zamknąć. Ty zrób to samo.

– Czyli co?

– Zamknij je!

– Myślisz, że nie próbowałem? Jestem jak małe dziecko, które chce, żeby spełniło się jego życzenie. Zaciskam pięści, usta i oczy, wydymam policzki i myślę: Chcę, chcę, chcę.

Tym razem Veevee się nie zaśmiała.

– Wiem. To samo robiłam przez prawie całe życie. Nie umiałam wzbudzić klanta, nie umiałam znaleźć swojego zewnętrznego ja. Ale ciągle dowcipkowałam, płątałam figle i łatwo uczyłam się obcych języków, więc pomyślałam sobie: Ani chybi jestem magiem wrót! A potem robiłam to, co przed chwilą opisałeś. Myślałam życzenie, że chcę stworzyć wrota.

– Czyli wiesz, że to tak nie działa – rzekł Danny.

– To co, mamy dać za wygraną? I liczyć, że nikt nie wejdzie we wrota na moim balkonie?

– Przesunę ten ich koniec, jeśli chcesz.

– Widzisz, z tym jest dziwna sprawa. Nikt nigdy nie mówi o przesuwaniu wrót. Zwykle mówi się o ich zamykaniu albo przygarnianiu do siebie. – Zaczęła się śmiać. – Tak, Danny. Przesuń wrota. Jak najbardziej. Przesuń je do samego środka swojego ciała.

Danny zamknął oczy i chwilę pomyślał.

– Nie żebym krytykował twój pomysł czy coś, ale w ten sposób tylko przeniósłbym siebie na drugą stronę. A w każdym razie tak przenoszę przez nie innych ludzi; przysuwam wrota do nich. Prawie jakby ich połykały.

– O, ciekawe! Który koniec do nich przysuwasz?

– Wlot, oczywiście. Wejście.

– Co by było, gdybyś przysunął do kogoś wylot?

– Nie wiem. Chcesz, żebym wypróbował to na tobie?

Nie chciała.

– A gdybyś nasunął wylot na wejście?

– Wtedy nie byłyby zamknięte, tylko bezużyteczne – powiedział Danny.

– Cóż, to już byłoby coś, nie?

– Teraz, kiedy o tym myślę, to mógłbym zrobić całą masę dziwnych rzeczy. Co by było, gdyby ktoś spadał z urwiska, a ja zrobiłbym pod nim wrota, których wylot byłby nad nim? Wpadłby w dolne wrota, wypadłby z górnych, znów zacząłby spadać i tak bez końca, z dołu do góry, z góry na dół, jak jo-jo!

Ze śmiechu mało nie fiknęła na podłogę.

– Oczywiście, to musiałyby być wrota publiczne – dodał Danny.

– Jeśli te tutaj rzeczywiście takie są. Coś, w co mógłby wpaść każdy, nie tylko Poszukiwacz.

– Myślisz, że napisaliby o tym w gazetach? – spytała Veevee.

– „Człowiek rzuca się z dachu w próbie samobójczej i nie może się zdecydować, żeby spaść”.

Danny też się zaśmiał. Miała takie samo poczucie humoru jak on. No, podobne.

– Oczywiście, w takiej sytuacji pewnie po prostu zrobiłbyś wrota z wyjściem na dachu czy gdzieś, a potem nasunąłbyś wejście na niego, żeby go połknąć i przenieść na górę – stwierdziła Veevee. – Przynajmniej tak zrobiłby dobry człowiek.

Coś, co powiedziała, zwróciło uwagę Danny’ego, mimo że sam niedługo przedtem użył tego samego określenia. Jednak gdy padło z jej ust, uruchomiło w jego myślach ciąg skojarzeń.

– Połknąć... – mruknął.

– To tylko przenośnia – wyjaśniła Veevee.

– Niekoniecznie. Zwykle się nie mówi, że wrota kogoś połykają. Wrota to wrota, przechodzisz przez nie i jesteś w tym samym miejscu, tylko krok dalej. Nic cię nie połyka. Dlaczego więc tak to nazwałaś?

– Cóż, wrota, jakie robisz ty, nie są takimi zwyczajnymi wrotami jak w stodole. Pod pewnymi względami bardziej przypominają tunel. A tunel, przynajmniej w przenośni, może kogoś połknąć.

– I może faktycznie tylko o to chodzi – zgodził się Danny. – Ale kiedy użyłaś tego słowa, przypomniało mi się coś, co czytałem. Coś bardzo starego.

– Owszem – przytaknęła. – Niektóre stare legendy i opowieści wspominają o tym, że wrota kogoś połknęły. Tak jest w kilku perskich inskrypcjach, jest też jeden fascynujący fragment hetyckiego tekstu... tyle ich przeczytałam przez te wszystkie lata... zdziwiłbyś się, w jak wielu

prastarych pismach można znaleźć odniesienia do wrót, jeśli tylko wiesz, jak je czytać. A ja, jako mag wrót, to potrafię.

– W takim razie posłuchaj, jaką runiczną inskrypcję znalazłem w Bibliotece Kongresu.

– Byłam tam dużo razy. Którą masz na myśli?

– „Wtedy Tiu rozbił statki Kartaginy o skały, albowiem nie zgodzili się Kartagińczycy oddać hołdu walkirii” – wyrecytował Danny.

– Statki Kartaginy? Tego nie czytałam.

– Nie dziwię się. To była nieprzetłumaczona kopia zamieszczona w duńskiej książce o czymś innym.

Veevee słuchała uważnie, gdy podał jej tłumaczenie całości inskrypcji. Potem podeszła do laptopa leżącego na stole kuchennym obok serwetnika, solniczki, pieprzniczki i maselniczki. Włączyła go, uruchomiła procesor tekstu.

– Powtórz jeszcze raz.

On dyktował, ona pisała. Kiedy tekst był gotowy i Danny potwierdził, że wszystko się zgadza, choć – zaznaczył – w oryginale było kilka nieznanymi mu słów, których znaczenia tylko się domyślał, wydrukowała dwa egzemplarze i wbili w nie wzrok.

– Myślę, że to w gruncie rzeczy instrukcja – powiedziała Veevee.

– Z początku nic z tego nie rozumiałem, ale wtedy stwarzanie wrót było dla mnie czymś nowym i głowę miałem zajęta innymi sprawami – odparł Danny. – Nie wiedziałem jeszcze, że można nasunąć wrota na kogoś, żeby przenieść go na drugą stronę. Tylko że widzisz, robiąc to tak, jakby tego kogoś połykam, zgadza się? A przynajmniej połykają go wrota. Czyli kiedy w tekście jest mowa, że „mroczne wrota Bela zabrały serca dzielnych mężów na jego ucztę”, to znaczy, że Bel nasunął wejście wrót na ludzi i przeniósł ich na drugą stronę, tak?

– Nie mam pojęcia. Nie rozumiem, o co chodzi z tymi sercami. „Kartagińczycy pożarli stare wrota”, tak? Z tego by wynikało, że jedne wrota pochłonęły drugie... myślisz, że to możliwe?

– Nie wiem – odparł Danny. – Mam spróbować?

– Nie, siedźmy tu i teoretyzujmy do śmierci – zniecierpliwiła się Veevee.

Danny zrobił wrota na stole. Krótkie – długości dłoni. Nasunął ich początek na maselniczkę i wyskoczyła z drugiej strony, koło serwetek.

Potem nałożył początek wrót na ich wylot i przesunął go nad nim w jedną i drugą stronę.

– Nic – stwierdził.

– Nasunąłeś wejście na wyjście, zgadza się? Tylko że wrota to tak naprawdę nie tunel ani nie wąż, więc nie możesz zawiązać ich w supeł.

– Masz rację. – Danny’ego znowu przeszył dreszcz emocji na myśl, że ktoś inny widzi albo przynajmniej wyczuwa to, co on robi.

– Czyli wrota nie mogą pożreć samych siebie. A gdyby tak stworzyć drugie i spróbować pożreć nimi pierwsze?

Danny spróbował.

Pierwsze wrota – w całości, jeden i drugi koniec – przeszły przez nowo stworzone wrota i wyskoczyły z drugiej strony.

– A to ci dopiero! – wykrzyknął.

– Rany Julek! – zawtórowała mu Veevee. – Pożarłeś wrota!

– Nie, tylko je przesunąłem.

– Czemu nie nazwać tego pożarciem? Każdy, kto regularnie korzystałby z tych wrót, nie mógłby ich znaleźć. Z jego punktu widzenia zostałyby pożarte!

– Z tych pierwszych i tak już nic nie zostało, tak bardzo się skurczyły, kiedy próbowałem je zmusić, żeby pożarły same siebie.

– Danny odwrócił się w stronę publicznych wrót na balkonie. Choć samego balkonu nie widział – zasłaniała go ściana – wciąż wyczuwał położenie wrót. Podobnie jak Veevee, choć ona zapewne nie tak precyzyjnie, bo nie były jej wrotami.

Stworzył nowe wrota z wejściem o kilka centymetrów od wrót publicznych prowadzących w dół, na plażę. Wyjście umieścił w kuchni. Potem nasunął wlot nowych wrót na wejście do wrót publicznych.

Wejście to pojawiło się w kuchni.

Jednocześnie jednak Danny nasunął wlot nowych wrót na drugi koniec wrót publicznych – i teraz oba ich końce były w kuchni.

Veevee zaśmiała się i wsunęła krzesło we wrota publiczne. Pojawiło się kilka centymetrów dalej – jakby wpadło w poślizg na plamie oleju i niezwykle szybko i bezszelestnie przejechało po podłodze.

Danny był pełen podziwu.

– Czyli mieliśmy wrota wysokie na pięć pięter... to znaczy wejście i wyjście dzieliło od siebie pięć pięter... połączyłem oba ich końce i teraz są tuż od siebie.

– Czemu w ogóle są oddzielnie? – spytała Veevee. – Przeniosłeś oba końce wrót przez to samo wejście i to samo wyjście. Czy nie powinny znaleźć się w dokładnie tym samym miejscu?

– Jeszcze nie znam rządzących tym zasad.

– To takie dziwne. – Veevee wzdrygnęła się, po czym znów się

roześmiała. – Aż ciarki przechodzą! Pierwszy dzień wiem o istnieniu wrót, a już się przekonuję, jakie są niesamowite!

– Ale wciąż tak naprawdę nie rozumiemy tej inskrypcji – zauważył Danny. – Tego fragmentu, że szczęki Bela pochwyciły serce Lokiego, chociaż tak naprawdę to serce Lokiego trzymało szczęki, i że jak Loki znalazł wrota Bela, to je przesunął... próbuję sobie wyobrazić, co wtedy zrobił.

– Serce Lokiego... czy to jego zewnętrzne ja?

– Jak to możliwe, skoro słońce też ma serce? Czy gwiazdy mają zewnętrzne ja?

Ledwie Danny zadał to pytanie, a już zaczął szukać na nie odpowiedzi. Zamknął oczy i wrócił myślami do książki i inskrypcji – do oryginalnych run i słów w fistalku, które z nich złożył. Minęło tyle czasu, że ich obraz nieco zatarł się w jego pamięci. Czy nie rąbnął się w tłumaczeniu? Czy tam naprawdę za każdym razem występowało słowo w języku fistalk oznaczające „serce”?

Nie mógł być pewien, czy to, co miał przed oczami, to rzeczywiście znaki sylab tworzących słowo „serce” w odniesieniu do słońca. Po namyśle uznał, że jednak chyba coś innego. Nie poznawał co, chociaż może to tylko pamięć płatała mu figle. Pamięć fotograficzna nie znaczy, że człowiek rzeczywiście robi zdjęcia wszystkiego, co widzi. Obarczona jest wszystkimi zwykłymi wadami pamięci – włącznie z tendencją do uzupełniania obrazu o pożądane lub oczekiwane szczegóły.

– Może jesteśmy na tropie, może nie – powiedział. – Chodziło nam o to, żeby zamknąć wrota, a skończyło się na tym, że je pochwyciliśmy i przesunęliśmy oba ich końce. Czy to jest „pożarcie wrót”? Sęk w tym, że „pożarłem” własne wrota, wiedziałem więc z góry, gdzie są ich końce. I tak naprawdę tylko przeniósłem je do pokoju, w którym jestem. Wcale ich nie pożarłem.

– Właśnie że tak – upierała się Veevee.

– No dobra, może rzeczywiście na tym polega „pożeranie” wrót. Tyle że tak czy tak musi dać się je zamknąć... inaczej jaka byłaby rola Przyjaciół Zamków?

– Ale my wiemy, co zrobił ostatni Loki, nie rozumiesz? Pochwycił wszystkie wrota na świecie... tak jak ty pochwyciłeś te publiczne... i je pożarł. Przeniósł gdzie indziej. Nie ma ich tam, gdzie były kiedyś, ale to nie znaczy, że nie ma ich nigdzie.

Danny też to zrozumiał.

– Nawet gdyby je znaleźć, co by to dało? Są nie na swoim miejscu.

Zostały przeniesione. Zaczynają się i kończą gdzie indziej niżli onegdaj.
– I uśmiechnął się szeroko, bo na całym świecie tylko drugi mag wrót mógł używać starych słów z taką lubością jak on.

– Czy my szukamy tych skradzionych wrót? – spytała Veevee. – Co właściwie jest naszym zadaniem? Odtworzyć wszystkie wrota, które ukradł Loki? Nie sądzę!

– Loki ukradł wrota, ale co z tym Złodziejem Wrót, który wyrywa magom ich zewnętrzne ja? Zabiera je, żeby nie mogli już nigdy stworzyć wrót.

Veevee przeczytała na głos fragment przetłumaczonej przez Danny'ego runicznej inskrypcji.

– „Szczęki Bela pochwyliły jego serce, aby zabrać je ze sobą”.

– Czy to właśnie jest Złodziej Wrót? – spytał Danny. – Ten prastary bóg Kartagińczyków? Magowie wrót potrafią dzielić swoje zewnętrzne ja na kawałki, które zostawiają tu i tam w postaci wrót... ale całą resztę musimy jakoś zachować w sobie. Może Bel znajduje niewykorzystane zapasy zewnętrznego ja maga wrót i połyka je wrotami. Może po prostu zabiera je poza zasięg maga, tak jakby ten włożył całe swoje zewnętrzne ja w stworzone przez siebie wrota i zapomniał, gdzie są.

– Myślisz, że może chodzić o zemstę? – zastanawiała się Veevee.

– Może ta inskrypcja... może i my jesteśmy częścią tej historii. Może Bel czekał tysiące lat, żeby wyrównać rachunki.

– A może to nie Loki pozamykał wszystkie wrota w 632 roku naszej ery – powiedział Danny. – Przecież nikt go za rękę nie złapał. A on sam nie zostawił żadnej wiadomości. Może jeśli Bel doszedł do siebie po tym, co zrobił mu ten wcześniejszy Loki, wrócił i w odwecie pożarł wszystkie westiliańskie wrota... po czym znalazł nowszego Lokiego i okradł go z zewnętrznego ja czy nawet zabił? Może potępiamy Lokiego przez te wszystkie stulecia, kiedy tak naprawdę niczym nie zawinił, tylko był ofiarą.

– To dopiero byłaby ironia losu – zauważyła Veevee. – Chociaż miałyby to pewien przewrotny sens.

– Zwłaszcza jeśli postrzegać czasoprzestrzeń jako psotnika. Loki zostaje obarczony winą za własną śmierć i przez to Westilianie sami pozbawiają się magów, którzy mogliby stawić czoło Belowi.

– Ech, zołza z tej czasoprzestrzeni – skomentowała Veevee.

– Chociaż nie można nie docenić jej wyczucia ironii.

– A Bel... czy mag pięćdziesiątej generacji o imieniu Bel... od tego czasu obserwuje Westilian i pożera całe zewnętrzne ja każdego maga wrót,

który próbuje stworzyć Wielkie Wrota.

– Myślisz, że nadal się mści? Po tysiąc trzystu latach?

– Sądzisz, że rodziny nie pamiętają o jeszcze dawniejszych urazach?

– No tak, dlaczego Bel nie miały być tak szurnięty jak te praktykujące kazirodztwo rodziny.

– Jestem owocem jednego z najbardziej absurdalnie kazirodczych małżeństw w dziejach – stwierdził Danny.

– Przepraszam, nie chciałam cię obrazić, naprawdę.

– Nie obraziłem się. Przyznałem ci rację.

Poderwała się, uściskała go i głośno cmoknęła w policzek.

– Gdybyś był jeszcze choć trochę bystrzejszy, zabawniejszy i śliczniejszy, schrupałabym cię żywcem. – Zachichotała. – Och, cała ta historia nadaje zupełnie nowe znaczenie wyrażeniom związanym z jedzeniem. Coś zżera moje serce. Masz, nażryj się. Schrup mnie.

Danny włączył się do zabawy.

– Zjeść ciastko i mieć ciastko?

– Raczej zjeść duszę i mieć duszę.

– Zjedz wszystko z talerza, bo nie dostaniesz deseru.

Veevee potrząsnęła głową.

– Chyba już nic śmieszniejszego nie wymyślę.

– Trudno – westchnął Danny.

Veevee zaśmiała się i leciuteńko uderzyła go w ramię.

– Jeść jak król!

– Mógłbym pożreć konia z kopytami! – wykrzyknął triumfalnie.

– To akurat prawda, nie? – spytała Veevee radośnie.

– Nadal nie zrobiliśmy postępów w zamykaniu wrót.

– A ja myślę, że zrobiliśmy duże postępy jak na nasze, przypominam, dopiero pierwsze spotkanie. No i teraz mam w kuchni publiczne wrota, które prowadzą donikąd, a nie mam jak zejść na plażę.

– Najfajniejsze jest to, że wrota publiczne nadal są pod moją kontrolą; przesunąłem je za pomocą drugich wrót, ale równie łatwo mogę przenieść je z powrotem, tam gdzie były.

– Tylko nie na balkon – przypomniała mu Veevee.

– A gdzie?

– Do mojej sypialni. O tu, zobacz, do szuflady z bielizną.

– Słucham? – zdziwił się, wchodząc za nią do sypialni.

– Przecież nie muszę wchodzić we wrota. Wystarczy, że odszukam je jakąś częścią ciała i przerzucą mnie na drugą stronę, nie? Dlatego włóż je do mojej komody, żebym mogła otworzyć szufladę i sięgnąć do nich ręką.

No i tam nikt przypadkiem do nich nie wpadnie.

– Jasne. A kiedy wrócisz do domu, wylądujesz w szufladzie i rozsadzisz komodę w drzazgi.

Veevee zachichotała.

– Ups! Zapomniałam, że wrota działają w obie strony.

– Pysznic to też nie najlepsze miejsce – stwierdził Danny.

– Mogłabyś niechcący w nie wejść i wylądować mokra i goła na plaży.

– Ty psotniku, korciło cię, żeby tam je wstawić, przyznaj się!

– Nie nabiorę kogoś, kto widzi wrota.

– Hm, no cóż. To byłby dobry kawał. I może jeszcze będzie. Kiedy splatasz go komuś innemu, nie mnie.

Danny umieścił wejście do wrót przy półkach w jej bielizniarce. Nikt obcy nie będzie się tam pchał, a kiedy Veevee wróci do mieszkania, po prostu pojawi się przed bielizniarką, odwrócona do niej plecami.

Wypróbowała to, w jedną i drugą stronę, kilka razy.

– Bardzo wygodne – powiedziała.

– Pamiętaj tylko, żeby sprawdzić prysznic, zanim wejdiesz

– przestrzegł Danny.

– Już ja wiem, co knujesz! Każesz mi sprawdzić prysznic dla zmyłki, żebym nie zauważyła, że tak naprawdę umieściłeś publiczne wrota tuż nad deską sedesową.

– Przez myśl mi to nie przeszło – rzekł Danny. – A szkoda.

Kurier przywiózł zakupy. Danny pomógł Veevee je rozpakować.

Zrobiła mu dwie kanapki – jedną z ogórkiem i rzeżuchą na białym chlebie, drugą z masłem orzechowym i miodem na chlebie razowym. Były bardzo smaczne. Dlaczego żadna z ciotek nie mogła być taka jak Veevee?

Wrócił wrotami do Silvermanów, z kanapką z masłem orzechowym i miodem w ręku. Leslie spojrzała na nią podejrzliwie.

– Tym cię karmi? – spytała.

– Musiałem to ukraść. Nie daje mi jeść ani pić, nie puszcza mnie do łazienki i w ogóle.

– Cha, cha – powiedziała Leslie. A potem, z większą powagą:

– Myślisz, że ci pomoże?

– Robimy postępy – odparł Danny.

– Bylebyś uważał na siebie. To dla mnie najważniejsze.

Danny wzruszył się, bo wyczuł, że autentycznie jej na nim zależy

– na tyle, by pozwolić mu pobierać nauki od kobiety, której zapewne nienawidziła jak nikogo na świecie.

Uściskał ją i pocałował w policzek.

– Śmierdzisz jej dezodorantem. – Leslie się skrzywiła. Ale odwzajemniła uścisk.

WIEWIÓRKA KRÓLOWEJ

Klucha w kuchni pierwszy raz zasłyszała plotki, że Anonoei knuje spisek na życie królowej Bexoi. Zaczęło się od tego, że Hull była w podłym humorze, choć nie chciała nikomu powiedzieć dlaczego. Miotła się wściekle po kuchni, warcząc na każdego, kto zadawał choćby najbardziej niewinne pytanie, ci zaś, którzy popełniali błędy, byli skazani na zgubę. Hull zazwyczaj nie była agresywna, tego dnia jednak miotła zawarła bliską znajomość z niejednym grzbietem, a nawet żelazny garnek przeleciał przez kuchnię i rąbnął w kamienną ścianę.

Klucha uznał, że czas interweniować, gdyż ten rzut, choć niezbyt celny, był tak silny, że gdyby garnek trafił nieszczęsnego Gunnela w głowę, chłopak skończyłby jako trup albo przygłup, a tego biedna Hull nigdy by sobie nie darowała.

– Przepraszam – powiedział cicho.

– Mów głośniej, ty Klucho niewyrośniętego ciasta!

Zniżył głos jeszcze bardziej.

– Zdaje się, że w cienistym ogrodzie rozplenił się grzyb.

– Masz mnie za idiotkę? Myślisz, że nie wiem, że chcesz wyciągnąć mnie z kuchni, by mnie uspokoić?

– Liście bazylii od spodu są całe białe, jakby od dołu zasypał je śnieg – przekonywał jeszcze łagodniejszym tonem.

– To je powyrywaj i spal, głuptaku! Nie zwracaj mi głowy.

– Opowiadałaś mi, że twój dziadek kiedyś znalazł sposób, jak zniszczyć grzyb. – Klucha nie ustępował.

– Ty podstępna mała wiewiórko – powiedziała Hull. – Jakbyś naprawdę wiedział, co dla mnie dobre. – Wymaszerowała z kuchni i ruszyła do cienistego ogrodu.

Klucha pognał wielkimi susami, wyprzedził ją i otworzył jej furtkę. Hull weszła do ogrodu i zatrzasnęła furtkę za sobą.

– No i...? – zapytała.

Tylko na nią patrzył.

– Wiem, że umiesz mówić, Klucho. Nie udawaj głupiego.

Uśmiechnął się lekko.

– Przecież nie celowałam w głowę Gunnela! – usprawiedliwiła się Hull.

– A gdybyś go przypadkiem trafiła? – spytał Klucha łagodnym tonem.

– To czułabym się jeszcze gorzej niż teraz, choć trudno w to uwierzyć.

Milczenie Kluchy było następnym pytaniem.

– Próbowali zatruć herbatę królowej – powiedziała Hull. – Myśleli, że skoro jestem gruba i stara, to nie zobaczą, że ktoś myszkuje mi za plecami. Ale przydybałam łotra i kazałam, by sam tę herbatę wypił, bo wleję mu ją do gardła. Podniósł więc ją drżącymi palcami i rzucił na podłogę. – Zaśmiała się. – Kubek był blaszany, więc się nie rozbił, a ja przyparłam łobuza do ściany i podniosłam ten kubek do jego ust. Wtedy popłakał się i zaczął błagać, żebym nie kazała mu tego pić, że to nie jego pomysł, że on chciał tylko przysłużyć się królowi.

– W taki sposób? Zabijając żonę, która nosi w łonie jego pierwszego prawowitego następcę?

– Oni nie chcą prawowitego następcy!

– Jacy oni? – spytał Klucha.

– I co zrobisz, jeśli ci powiem? – odparowała.

– Nie wiem. Kto to jest?

– Też tego nie wiem – wyznała Hull. – Powiedział mi: „Zabiją moją rodzinę, jeśli ich zdradzę”, więc co mogłam zrobić? Jestem zbyt litościwa, ot i cała prawda. Ale gdyby królowa zginęła od trucizny, kogo by obwinili? Mnie, która sama zaniiosłam jej śniadanie! Kogo innego? Mogłabym protestować do woli. Tak więc dwie osoby chcieli zabić tą trucizną: królową i mnie. Pewnie nikt by się nie przejął moim losem. Mnie samej jest prawie obojętny. Ale nigdy nie wybaczyłabym im tego, że przez nich umierałabym z piętnem zdrajczyni i morderczyni!

Klucha wziął ją w objęcia. Zauważyła, że jest trochę wyższy niż tego dnia przed prawie dwoma laty, kiedy zjawił się w Nassassa. Wciąż jednak nie wyrósł tak, jak powinien po tak długim czasie.

– Posłużyłeś się imieniem mojego dziadka, żeby wyciągnąć mnie z kuchni – mruknęła. – Wstydz się.

– Nie powiedziałem jego imienia – szepnął Klucha. – Bo go nie znam.

– Odwołałeś się do pamięci o nim i zmusiłeś mnie, żebym przestała złorzeczyć i rzucać naczyniami, a chciałam złorzeczyć i rzucać naczyniami!

Klucha pokręcił głową wtuloną w jej ramię.

– Właśnie że tak! – upierała się. – Może nie chciałam konsekwencji złorzeczenia i rzucania, ale na pewno chciałam rzucać, i to mocno!

– To następnym razem rzucaj we mnie – powiedział Klucha. – Nie będę miał nic przeciwko.

– Och, i co wtedy zrobisz? Usuniesz się z drogi przez wrota? Pokażesz wszystkim, kim jesteś? O ile nadal nim jesteś?

– Nie usunąłbym się. Pozwoliłbym, żebyś mnie uderzyła. To by cię powstrzymało.

– Dlaczego? Bo myślisz, że cię kocham?

Klucha kiwnął głową wtuloną w jej ramię.

– Bezczelna mała wiewiórka. Nikt nie kocha wiewiórek! Są zbyt chytre, nic, tylko by krały!

– Ja nie kradnę – mruknął.

– Nie wiem, kto próbował zabić królową. – Hull wróciła do tematu. – Ktokolwiek to był, miał rodzinę tego podłego tchórze w garści, bo człowiek, który ma dzieci, nie jest już wolny, mogą nim sterować, taka jest prawda. I nie, nie powiem ci też, kim był ten podły tchórz!

– Boisz się, że go zabiję?

– Boję się, że się dowiedzą, że znasz prawdę, i zabiją cię.

– A ja boję się, że cię zabiją, bo teraz na pewno już wiedzą, że o nich wiesz.

Odepchnęła go lekko.

– Nie ośmieliliby się.

– Skoro ośmielili się podnieść rękę na królową...

– Kto skalałby chleb króla krwią! – oburzyła się Hull.

– Ty mi powiedz – odrzekł Klucha. Naprawdę był zaskoczony, że gdzieś zawiązał się spisek, a on się nie zorientował.

– Nie wiem – powiedziała Hull – ale wiem co innego: ten, kto za tym stoi, chce śmierci królowej, bo wtedy jej dziecko nie przyjdzie na świat i dwa bękarty Anonoei będą następcami tronu.

– Dlaczego komuś miałyby na tym zależeć?

– Bo królowa jest z Grayu. Nie udawaj, że nic nie wiesz o intrygach politycznych w tym zamku, wiem, że chodzisz na przespługi, kiedy nie dają ci nic do roboty, a czasem nawet wtedy, kiedy dają.

– To dlaczego nie chcesz, żeby iswegijscy synowie Anonoei odziedziczyli tron?

– Bo żyję dość długo, by wiedzieć, jak ten świat jest urządzony. Jeśli obaj zostaną następcami tronu, zaczną walczyć między sobą i wybuchnie

wojna domowa. Albo jeden zabije drugiego i na tronie zasiadzie bratobójca, a to zawsze tragiczny dzień w dziejach królestwa. Stary Oviak wydał wojnę Grayowi, przegrał i zawarł pod przysięgą układ, który przyniósł nam pokój. Królowa Bexoi i dziecko w jej łonie są ceną tego pokoju i żaden Isweg, który ma honor, nie może złamać słowa danego przez starego króla, chociaż on już nie żyje.

– Czyli to nie dlatego, że miłujesz królową – powiedział Klucha.

– Ja jej nie znam. Kiedy przynoszę jej śniadanie... osobiście, zaznaczam, bo Jej Kapryśność tego sobie zażyczyła... ledwo na mnie spogląda i nigdy nie odzywa się ani słowem. Nawet nie podziękuje.

– Jak sądzisz, dlaczego zażądała, żebyś to ty przynosiła jej śniadanie?

Hull pomyślała chwilę.

– Cóż, miło wiedzieć, że ufają mi nawet ci, za którymi nie przepadam.

– Dziś uratowałaś jej życie.

– Co nie znaczy, że mogę uciec się pod jej obronę, prawda?

– Ale pod obronę króla owszem.

– Skąd mogę wiedzieć, że nie uczestniczy w spisku?

Klucha nie sądził, by król był do tego zdolny, ale pewności nie miał.

– No dobrze – westchnęła Hull – uspokoileś mnie i nie zabiję żadnego z idiotów pracujących w kuchni. Nie doniosę na spiskowców i ich też to powinno zadowolić.

– Tak uważasz?

– Mam dużo pracy. – Odwróciła się w stronę furtki i znieruchomiła.

– W ogóle był jakiś grzyb?

Klucha pokręcił głową.

– Król nie chce tego dziecka – powiedziała Hull – bo wszyscy wiedzą, że królowa w gruncie rzeczy jest drekką. Przyzywa zięby! Ileż z tego pożytku! W jej dzieciach nie będzie krzty wielkości. Jednak taka była obietnica, którą król Oviak złożył bratu Bexoi, i król Prayard jest związany nią i własną przysięgą małżeńską! Nie podoba mi się to, że mu nie ufam, ale jak mogę ufać komukolwiek? Z wyjątkiem ciebie, Klucho. Jesteś jedynym wiernym mężczyzną i chłopcem w Nassassa. – I z tymi słowy wróciła do zamku.

Wierny? Klucha zaśmiał się gorzko w duchu. Wierny mojej królowej i mojemu dziecku, które rośnie w jej łonie. Wierny tobie, Hull. Ale nikomu innemu, zwłaszcza nie tym, którzy zagrażają moim ukochanym.

Jednak gdzieś pod tą bezwzględną lojalnością skrywał się inny,

starszy Klucha, znający tajemnice, których nie chciał zdradzić tej z drzewa zrodzonej wiewiórcie. I ten Klucha śmiał się – ze słowa „ukochani”. Miłość nie istnieje, powiedział ten prastary Klucha. Jest tylko głód i posiadanie. Głupcze, zachowujesz się jak wygłodniały człowiek, który kuli się nad jedzeniem i mówi: „Nie dotykaj tego, co moje, bo zabiję”.

Cóż, zrobię to, powiedział Klucha temu prastaremu ja. Przekonasz się.

Jeszcze jeden zwykły morderca, niczym nieróżniący się od innych, powiedział cyniczny robak toczący jego prastare serce. Ty kochasz, więc twoja chciwość jest szlachetna, a nienawiść sprawiedliwa. Ty pragniesz, więc planujesz zabić tego, kto chce odebrać drogie ci istoty, do których nie masz prawa, bo należą do kogoś innego. Jesteś potajemnym kochankiem, złodziejem królewskiego tronu, chcesz bowiem osadzić na nim swoje kukułcze piskłę kosztem rodzonych synów króla. Mówisz o szlachetności? Ci, którzy zabiliby królową, tylko pomściliby twoją zbrodnię – zdradziłeś Prayarda, który zawsze okazywał ci życzliwość.

Klucha osunął się na ziemię. Po co w ogóle tu przyszedłem? – zapytał samego siebie. Dopóki tutaj nie przybyłem, nie potrzebowałem nikogo, a teraz Kocham troje ludzi, którzy zrobią ze mnie mordercę, jeśli będę chciał ich chronić.

Podczas gdy gorzko potępiał samego siebie, Hull poszła do kuchni, gdzie nikt nie ośmielił się podnieść wzroku, a stamtąd do swojej izby, żeby pomedytować nad tym, jaką trzeba być głupią staruchą, by wyładowywać swoją złość na niewinnych. O tym myślała, kiedy wkroczyła do ciemnej izby, bez świeczki, bo знаła rozkład pomieszczenia na pamięć. Usłyszała tylko jeden oddech, jeden krok – i sztylet wsunął się w górny odcinek jej kręgosłupa, tuż pod szyją. Szast-prast, wszedł i wyszedł. Nie czując bólu, osunęła się na podłogę i uderzyła głową w kamień. Nawet wtedy była tylko oszołomiona. Brakowało jej powietrza. Oddychaj, powiedziała sobie. Ciało jednak nie było jej posłuszne. Drzwi się zamknęły. Samotna w ciemności, z mózgiem obumarłym z braku tlenu, bez bólu czy choćby strachu, Hull skonała.

Znalazł ją Klucha godzinę później, kiedy posługacze kuchenni ubłagali go, by sprawdził, czy nic jej się nie stało.

– Nie powiedziała nam, że na dziś skończyliśmy. Nie śmiemy wyjść z kuchni bez jej zgody. – Wszyscy wiedzieli, że Klucha zawsze mógł z nią porozmawiać, bez względu na to, jak bardzo była zagniewana.

Zastał zaryglowane drzwi, ale to nie było dla niego przeszkodą. Przeniósł się wrotami do środka, znalazł jej ciało i zapłakał. Gdzie byłem,

kiedy to zrobili? Wiedziałem, że będą chcieli ją zabić, ale czy nad nią czuwałem? Nie, użalałem się nad sobą, potępiałem samego siebie jako mordercę. Kogo jednak dziś zabiłem? Nikogo. Gdybym zabił właściwego człowieka, Hull by żyła.

Cóż, nie mógł cofnąć raz pomyślanych myśli. Samo to, że pragnął dodać krew innych ludzi do krwi, którą uwaliał sobie ręce, tuląc do siebie tę dobrą kobietę i roniąc nad nią łzy, pogłębiało jego rozpacz. Zabijać, zabijać, zabijać – tylko do tego jesteśmy zdolni pomimo naszych mocy. Magia magią, ale żeby powstrzymać człowieka przed czynieniem zła, trzeba zagrozić mu śmiercią, jeśli jest słaby albo lękliwy, albo go zabić, jeśli jest silny, odważny i niebezpieczny. Morderstwo to jedyna znana nam moc. Czy jestem od nich lepszy? Hull była najlepsza z nas wszystkich, bo nikogo nie zabiła, bo ufała nawet wtedy, gdy zdobyła dowód, że ma do czynienia ze skrytobójcami. I teraz nie żyje. Czy to znaczy, że tylko mordercy mogą przetrwać? Jak żyć na takim świecie?

Hull, dlaczego mnie przygarnęłaś, jeśli nie po to, abym był twoim obrońcą? A ponieważ nie masz syna, kto ma cię pomścić, jak nie ja?

Jednak czy ty, nawet teraz, pragniesz zemsty za swoją śmierć? Czy po prostu spokoju?

Klucha ułożył ją z powrotem na podłodze. Jej twarz wciąż była mokra od jego łez. Nie wszczął alarmu. Niech ktoś inny ją znajdzie i ogłosi, że popełniono morderstwo. On miał zadanie do wykonania.

Przeniósł się wrotami nad brzeg potoku w wąskim kanionie wiele kilometrów od Nassassa. Tam umył się w zimnej górskiej wodzie z letnich roztopów. Strumyk poniósł krew Hull w świat, do morza. Swoje odzienie Klucha spalił, bo gdyby ktoś zobaczył na nim plamy krwi, jego by oskarżono o morderstwo powszechnie lubianej nocnej kucharki.

Nagi jak w chwili, kiedy dwa lata wcześniej wyszedł z drzewa, przeniósł się wrotami z powrotem do zamku. Zamknął swoje wrota do izby Hull i na brzeg potoku. Potem zrobił wizjer do komnaty Anonoei.

Powinna się przygotowywać do wyjazdu z Nassassa. Na wniosek królowej – i żądanie agentów Grayu w jej otoczeniu – król Prayard oddalił Anonoei i jej dwóch synów z dworu. Statek miał zabrać ją na wygnanie, aby ani ona, ani jej synowie nie mogli zagrozić dziecku królowej Bexoi, kiedy się urodzi. Statek wyruszał nazajutrz, ale Klucha nie widział żadnych śladów przygotowań do podróży. Owszem, w przedsionku stały trzy otwarte kufry, ale puste. Nie było choćby stosu ubrań czekających na posortowanie.

Ona wie, pomyślał Klucha. Nawet jeśli nie uczestniczy w spisku,

ktoś jej powiedział, że nie musi się pakować, bo nigdzie nie wyjedzie. Wie, że zamierzają zabić moją Bexoi i moje dziecko, i to jej nie przeszkadza.

Pomimo gniewu, rozpaczy i żalu nie schwycił przez wrota jej serca i nie ścisnął go, by stanęło; nie wyrwał go też z jej piersi i nie cisnął nim w twarz króla. Sprawdził, czy dwaj synowie Anonoei, sześciolatek Eluik i czteroletni Enopp, są w jej komnatach.

Znał miejsce pochodzące sprzed dwóch tysięcy lat, z czasów, gdy budowano pierwszą część zamku Nassassa. Kiedy magowie kamienia drążyli w grani komnaty, sale i korytarze najgłębszej części fortecy, wylewali roztopioną skałę przez trzy specjalnie przygotowane tunele. Ich wyloty znajdowały się wysoko nad głębokim jeziorem wulkanicznym, które od jednej strony strzegło dostępu do zamku. Żużel wpadał z nich prosto do jeziora i ginął w jego odmętach. Po zakończeniu budowy tunele wypełniono litym kamieniem, jednak u wylotu każdego powstały płytkie jaskinie, bo gdy u dołu jeszcze wylewały się resztki gorącego żużlu, kamień ponad nimi zaczynał już twardnieć. Wszystkie groty szły ostro pod górę, podłoże bardziej stromo niż sklepienie, więc w środku praktycznie nie było skrawka równego gruntu.

Klucha nie potrafił pracować w kamieniu, mimo to mógł przerobić jaskinie na więzienne cele. Wystarczyło zrobić wrota do każdej z nich, wrota tak szerokie, że nie dało się ich ominąć. Gdyby ktoś wyleciał z jaskini, wpadłby w nie, a one przeniosłyby go z powrotem do jej ciasnego wnętrza. Wówczas, gdyby był nieostrożny, mógłby ponownie sturlać się do wylotu jaskini, wypaść z niej raz jeszcze i znowu wrócić do środka – i tak raz po raz, aż poszedłby po rozum do głowy i przytrzymał się jakiegoś kamienia.

To było straszliwe więzienie, okrutna tortura, ale Klucha wmawiał sobie: To nie śmierć. Nikt nie może mnie nazwać mordercą.

A potem zrobił wrota tuż za plecami Anonoei i nasunął ich początek na nią, przenosząc ją do najbardziej stromej z jaskiń. Usłyszał jej krzyk, gdy sturlała się do wylotu jaskini, wróciła na górę i zaraz znowu wyleciała dołem. Dla przepełnionego wściekłością i nienawiścią Kluchy ten dźwięk był najmiłszą muzyką.

Tak samo przeniósł Eluika i Enoppa. Oni też krzyczeli – i Klucha ciekaw był, czy matka ich słyszy. A niech sobie krzyczą, pomyślał. Hull nie pozwolono krzyczeć; teraz oni krzyczą za nią.

Potem wrócił do komnaty Anonoei, nasunął wrota na otwarte kufry i przeniósł po jednym do każdej jaskini. Tam zamocował je przy użyciu

techniki, która przyszła mu z łatwością starego przyzwyczajenia, a nawet nie wiedział, że ją zna. Każdy tuż pod sobą miał wrota prowadzące tylko o ułamek szerokości palca wyżej. Tak więc kufry stale spadały, a mimo to zdawały się tkwić w bezruchu.

Więźniowie przytrzymali się kufarów i wgramolili do środka z płaczem i krzykiem, ale bezpieczni od złowrogo ziejącego w dole wylotu groty. Ta tortura dobiegła końca – ale pamięć o niej nie zatrze się nigdy.

Domyślą się, że zrobił im to jakiś potężny mag – ale kto konkretnie? Może dzieci nic nie wiedziały o knowaniach matki, lecz wcześniej czy później się o nich dowiedzą i zrozumieją, że przed magiem, który im to uczynił, nie ma obrony. Kiedy w końcu uwolni ich z jaskiń – jak już pierworodne dziecko Bexoi i Kluchy zostanie oficjalnie ogłoszone następcą Prayarda – dobrze się zastanowią, zanim znów zaczną spiskować, będą bowiem bać się konsekwencji.

Dzień w dzień Klucha zbierał resztki z królewskiego stołu – to należało do jego obowiązków – i zamiast zanieść je świniom albo wyrzucić na kompost, pakował je do trzech worków, które następnie prznosił małymi wrotami do kufarów w jaskiniach, do których też wlewał wodę. Więźniowie musieli pić ją ze stulonych dłoni albo chleptać jak psy, zanim wycieknie. Szybko nauczyli się cenić wodę i ochłapy; moczyli worek w kałuży na dnie kufra, a potem wyżymali go do ostatniej kropli.

Klucha czerpał przyjemność ze swojej okrutnej opieki nad nimi, z tego, jak robił z nich zwierzęta, chociaż wiedział, że przynajmniej dzieci były niewinne. Muszą nauczyć się strachu! – powiedział sobie. Tylko strach sprawi, że nie będą zagrażać mojemu dziecku, gdy dorosną.

Tymczasem inna część niego, ta prastara dusza, kipiała w nim niby tysiąc dusz naraz, dusz gniewnych i bojących się go, krzyczących, że nie ma prawa do swojej mocy, jeśli tak z niej korzysta, i pytających: Czy to wszystko, co potrafisz? Więzić niewinnych, aby ochronić kogoś innego? Czyż my wszyscy nie jesteśmy twoimi więźniami i czy dla nas też nie masz krzty współczucia?

I Klucha zachodził w głowę, jak to się stało, że jego prastara dusza jest tak rozdarta, że uważa się za całą rzeszę dusz.

Kiedy dostarczył więźniom pierwszy posiłek, przyszedł nago do królowej, która czekała w łożu. Wziął ją w ramiona, tak jak zaledwie tego ranka wziął w ramiona umiłowaną Hull, i szepnął jej na ucho, że jest bezpieczna. Nikt nie zabije jej ani dziecka, gdy nie było wiadomo, gdzie jest Anonoei i synowie, których spłodził z nią król Prayard. Kto wówczas zostałby następcą tronu? Bez tej wiedzy nie ośmielą się podnieść ręki

na królową.

– Co zrobiłeś? – spytała Bexoi.

Klucha opowiedział jej o tym, jak Hull ocaliła jej życie i za to ją zamordowano. A potem szczegółowo wyjaśnił, jak uprowadził Anonoei i jej synów, i jak zamierzał sprawować nad nimi pieczę.

– To dobrze – powiedziała Bexoi. – Ale czy nie prościej byłoby usunąć wrota u wylotu jaskiń, żeby spadli z wysoka i się zabili?

– A gdyby wylądowali w wodzie i wypłynęli na powierzchnię?
– spytał Klucha.

– To przenieś ich wrotami na dno jeziora.

Klucha nie wiedział, czy ucieszyć się, czy przerazić tym, że jego ukochana jest tak okrutna jak on. Zaśmiał się.

Nie zabił jednak Anonoei i jej synów, nie powiedział też Bexoi, że tego nie zrobi. Nie był jej winien posłuszeństwa.

Jesteśmy bogami, myślał Klucha. Jak wszyscy wielcy magowie. A bogowie nie przepraszają ani się nie tłumaczą.

Milczcie, powiedział do licznych głosów w głębi jego ducha, kiedy zaprotestowały krzykiem przeciwko jego arogancji. Gdybyście mieli choć trochę mocy, powstrzymalibyście mnie. Ale jesteście słabi, a ja jestem silny. Bądźcie cicho.

STRAŻNIK

Jak długo człowiek może zachowywać się jak potwór, zanim stanie się potworem? Pierwsza wściekłość Kluchy na Anonoei i jej synów dawno minęła. Eluik i Enopp wciąż stanowili zagrożenie dla dziecka jego i Bexoi, ale rozpacz po śmierci Hull i strach z czasem przygasły, jak to zwykle bywa. Ludzie, nawet wielcy magowie, mogą się przyzwyczać do wszystkiego.

A mimo to mitręga dostarczania żywności do koszmarnych cel trwała dzień po dniu. Żeby zagłuszyć wyrzuty sumienia, Klucha wkrótce zmienił strawę więźniów z ochłapów na chleb i ser, codziennie wynoszone wrotami z zaryglowanej spiżarni. Nowego Hulla – tym razem był to mężczyzna, który zanim dostał posadę i imię nocnego kucharza, był czeladnikiem Hull i nazywał się Hatch – do szału doprowadzało to, że nigdy nie mógł doliczyć się trzech bochenków i dużego kawału sera.

Klucha wysyłał też swoim więźniom czyste dzbany z wodą, które oddawali mu puste, i miski na ich odchody, które oddawali brudne. Szorował je własnoręcznie w pokucie za straszliwy czyn, którego się dopuścił i dopuszczał nadal.

Kiedy rozpacz króla po stracie kochanki i jej synów osłabła – jak słabną wszystkie gwałtowne uczucia – Prayard się zorientował, że jego prawowita żona jest przy nadziei.

Ale czy to było jego dziecko? Klucha podsłuchał, jak Bexoi wyjaśniła królowi, że od dawna wkładała w siebie jego nasienie.

– Przecież to nieskuteczna metoda – stwierdził Prayard.

– Wystarczy, że raz poskutkowała – powiedziała Bexoi. – I pomyśl tylko: to dziecko zostało poczęte z najbardziej zahartowanego nasienia jego ojca, nasienia najbardziej zdeterminowanego i ambitnego.

I obdarzonego największym szczęściem.

– Mówisz o dziecku „on”. Czy to będzie syn?

– Może tak, może nie... Jeśli to dziewczynka, spróbujemy znowu.

Teraz już wiesz, że nie jestem bezpłodna.

– Nigdy tak o tobie nie myślałem.

– Ale dopilnowałeś, żeby inni tak myśleli.

– A ty nie powiedziałaś nikomu, że to ja nie dopuszczałem do poczęcia – zauważył.

– Bo nie chciałam wojny. Chciałam dziecka.

Wreszcie przyszedł dzień narodzin. Kluchy, oczywiście, oficjalnie przy tym nie było, choć uważnie wszystko obserwował. W pewnym momencie głowa dziecka utknęła i nie mogła wysunąć się dalej. Klucha zrobił więc małe wrota i dziecko dosłownie wyskoczyło prosto w ręce akuszerki.

– Co to, czary? – powiedziała jedna do drugiej. – Widziałaś?

– Myślisz, że to znak, że będzie wielkim magiem? – spytała druga.

Kluchę obchodziła przede wszystkim Bexoi. Kiedy dziecko przecisnęło się na świat, dostała krwotoku i czuwający nad nią uzdrowiciel nie mógł nic na to poradzić.

– W takich chwilach – powiedział – możemy się tylko pocieszać tym, że przed śmiercią zostawiła nam swoje dziecko.

Klucha tylko pokręcił głową na te słowa. Zrobił wrota, które połknęły Bexoi w całości i przeniosły ją o ułamek szerokości palca w bok. Nikt nie zauważył, że się przemieściła, a jeśli nawet, co najwyżej uznano to za chwilowy skurcz; w każdym razie nikt tego nie skomentował. I raptem krwawienie ustało. Królowa była szczęśliwa, zmęczona i pod każdym względem zdrowa.

– Dziękuję – wyszeptała.

Uzdrowiciel uznał, że Bexoi mówi do niego.

– Ależ ja nic nie zrobiłem, Wasza Wysokość.

– Wiem – szepnęła życzliwie. – Zrobiłeś, co w twojej mocy, i jestem cała i zdrowa, a to najważniejsze. Daj mi mojego syna.

– Otrzyma imię Oviak, oczywiście – powiedział uzdrowiciel – na cześć ojca swojego ojca.

– Nie ty wybierzesz mu imię – odparła Bexoi cicho. – Nie nadam mojemu synowi imienia człowieka, który przegrał wojnę. Na imię będzie mu Dziecię Przysięgi, bo jego narodziny dopełniły przymierza.

Klucha, słysząc to, pomyślał: Kiedy go począłem, rozbiłem w pył i puch farsę, jaką było małżeństwo Prayarda z Bexoi. Dlatego w moim sercu będzie nosił inne imię. Nazwę go Figiel, bo przyszedł na ten świat wskutek podstępu i jego życie zawsze będzie figlem, który Bexoi i ja splełaliśmy wszystkim.

Siódmego dnia po jego narodzinach zanesiono Dziecię Przysięgi do króla, który ogłosił go swoim synem i następcą. Tego samego wieczora Prayard przyszedł do Bexoi, twierdząc, że chce z nią tylko porozmawiać,

wie bowiem, że jeszcze nie doszła do siebie po łożu. Ona jednak zaśmiała się i powiedziała: „Jestem cała, zdrowa i spragniona mego męża”. Po raz pierwszy spełnił swoją męzowską powinność i zostawił w niej swoje nasienie.

Przed upływem tygodnia kazał przenieść królową do swojej komnaty, gdzie mieli ją chronić jego najbardziej zaufani ludzie. Przesłanie było jasne dla wszystkich: Bexoi, nie zaginiona Anonoei, od tej pory jest dla Iswegii święta. Ktokolwiek podniesie rękę na matkę następcy tronu, będzie nieprzyjacielem wszystkich.

Bexoi zerwała kontakty z ambasadorami, przedstawicielami i agentami Grayu. Nadal mieszkali w Nassassa i codziennie ją widywali – ale tylko publicznie i zawsze w obecności ministrów Prayarda. Nie mogli zamienić z królową ani słowa na osobności i szybko zrozumieli, że wcale nie była więziona, lecz nie chciała więcej mieć z nimi do czynienia.

– Nie pozwolę, żeby wykorzystywano mnie przeciwko mojemu mężowi i mojemu władcy – powiedziała im na którymś publicznym spotkaniu. – Kiedy byłam bezdzietna i nie miałam przyjaciół, mój brat jarl, mój bratanek jarling i wy wszyscy knuliście plany, aby posłużyć się mną do wywołania wojny albo upokorzenia Iswegii. Teraz prawdziwie jestem królową i pragnę tylko, żeby Gray i Iswegia żyły w pokoju jako równi sobie sojusznicy w walce ze wspólnymi nieprzyjaciółmi. Nie dam się wykorzystać do żadnych innych celów.

Wiść o zmianie stanowiska królowej dotarła do Grayu. Jarling Frostinch pieklił się i pomstował na ciotkę, a jej brat jarl płakał z radości.

– Dała przykład nam wszystkim. Dziewczę bez magii ani urody, bez żadnego oręża prócz własnego serca, a mimo to ujarzmiła dzikiego maga morza. Ich syn przyniesie nam pokój.

Frostinch szybko zrozumiał, że musi trzymać język za zębami i udawać posłusznego woli ojca. Skrycie jednak uważał jego akceptację zdrady Bexoi za zgubną słabość. Tak jak niegdyś knuł spisek na życie ciotki, by wywołać upragnioną przez siebie wojnę, tak teraz zaczął dążyć do tego, by rządy ojca znalazły pokojowe, szczęśliwe i rychłe zakończenie. A potem wszyscy zobaczą, ile pokoju narodziny Dziecięcia Przysięgi przyniosły królestwom Grayu i Iswegii.

W Iswegii skryta dotąd Bexoi zaczęła opuszczać swoje komnaty i zamiast powierzyć syna piastunkom, sama nosiła go na rękach i karmiła piersią. To zdumiewało wielu, ale starszym Iswegom przypominało, że niegdyś tak wychowywano wszystkich następców tronu. „Jakie mleko winno pić dziecię króla, jak nie królewskie?”, mówili. A sama Bexoi

powiadała: „Nie wstydzę się obnażać piersi, którą ssie Dziecię Przysięgi, pierś ta bowiem jest piersią Iswegii i syn mój zawsze czerpał będzie pokarm ze swojego ludu”.

Wciąż nikt się nie domyślał, że znała magię silniejszą od słabej magii małych ptaszków ani że Dziecię Przysięgi, ten ossek wymachujący rączkami i wierzgający nóżkami, jest synem dwojga wielkich magów – z których każdy był dużo potężniejszy od maga morza Prayarda.

Dla Kluchy to były zmiany na lepsze. Dobrze rozumiał, że teraz, gdy Bexoi spędza wszystkie noce w sypialni króla, ich schadzki będą rzadkie – ale raz na jakiś czas korzystała z wrót, które dla niej zrobił, i spotykali się w jednej z wielu sekretnych komnat w Nassassa. Przez wiele miesięcy tylko rozmawiali; Klucha nie szukał bliskości cielesnej, a ona jej nie oferowała.

Aż pewnego dnia, podczas jednego z takich spotkań, kiedy chłopiec, którego ona nazywała Dziecięciem Przysięgi, a on Figlem, miał dziesięć miesięcy, Bexoi namiętnie wzięła Kluchę w objęcia. Gdy po wszystkim legł wyczerpany obok niej na stosie ich ubrań na podłodze, powiedziała mu, że znowu jest przy nadziei.

– Tak szybko? – zdziwił się Klucha. – Wydawało mi się, że dopóki karmisz piersią...

– Kto wie, co się stało wtedy, gdy uzdrowiłeś mnie na łożu narodzin Dziecięcia Przysięgi? Moje ciało zostało przygotowane na przyjęcie nasienia Prayarda. Czekałam, żeby zająć z nim w ciążę, zanim znowu oddam się tobie. Teraz urodzę jego dziecko. To swoista wierność mężowi, prawda?

Klucha uśmiechnął się na te słowa, ale jego uśmiech był nieszczerzy. Królowa od dawna pragnęła mieć syna z Prayardem. Kiedy powiła dziecko Kluchy, wreszcie zyskała zainteresowanie, a potem miłość męża, teraz zaś nosiła w łonie jego dziecko. Co to oznaczało dla przyszłości małego księcia, Dziecięcia Przysięgi?

Teraz, kiedy karmił swoich więźniów, Klucha zaczął rozumieć, że nie tylko oni zagrażali spuściznie Figla – i jego życiu. Bexoi ma silny charakter, dobrze to wiedział. Zrobi wszystko, żeby osiągnąć swoje cele. Nieraz zwierzała się Klusze, że jej bratanek Frostinch stanowi największe zagrożenie dla Iswegii i że wojna między nimi jest nieunikniona.

Z czasem do Kluchy dotarło, że rozumiała to w najściślejszym tych słów znaczeniu – że Frostinch zostanie jarlem Grayu i że Bexoi, w taki czy inny sposób, będzie władać Iswegią, kiedy ta wojna wybuchnie. Klucha dał jej syna, którego ogłoszono następcą tronu; Prayard dał jej pozycję

matki następcy tronu. Kiedy urodzi się drugie dziecko, Dziecię Przysięgi nie będzie już nieodzowny dla jej planów.

Klucha naoglądał się dość machinacji na dworze królewskim, by wiedzieć, że Bexoi nie spocznie, dopóki nie zostanie regentką rządzącą w imieniu ukochanego przez wszystkich dziecka. Pytanie tylko, które to będzie dziecko? Bexoi będzie musiała dokonać wyboru.

A on miał tylko jednego pionka w tej rozgrywce.

Albo trzy, jeśli dodać dwóch starszych synów króla Prayarda. Z nimi pojawiłaby się konkurencyjna regentka, Anonoei. Ta rodowita Isweżka niegdyś miała wielu przyjaciół – może byliby jej wierni i dziś, gdyby wyszła ze swojej kryjówki.

Teraz Klucha zrozumiał, dlaczego tak się wzbraniał przed zabiciem swoich więźniów, kiedy Bexoi go na to namawiała. Od początku wiedział, że, podobnie jak Prayard, nie może jej ufać. Tylko nie zdawał sobie sprawy, że to wie.

Zaczął dostarczać więźniom jedzenie z królewskiego stołu, podkradane przez wrota i przesyłane w najlepszych naczyniach. Anonoei dostawała już nie tylko wodę, ale i wino, a Eluik i Enopp nie tylko chleb, ser i mięso, ale i słodycze.

Nie łudził się, że pokochają strażnika, którego nigdy nie widzieli. Dawał im lepszą żywność i pucował miski z ich gówna i szczyń po części w pokucie za zbrodnię uwięzienia niewinnych dzieci. Lecz było coś jeszcze, o czym jedynie z rzadka pozwalał sobie myśleć – ci dwaj chłopcy umożliwiali odpowiedź na pytanie: Kto przeciwstawi się królowej Bexoi, gdy jej upadek stanie się pożądanym? On jeden je zadawał i na razie zachowywał odpowiedź dla siebie.

PREZENT URODZINOWY

W środku lata 2010 roku Leslie i Marion zaprosili Danny'ego do salonu tak uroczyście, że spodziewał się usłyszeć od nich, iż mają dosyć jego wypadów z Yellow Springs do Naples i musi się wyprowadzić. Na co nie miał najmniejszej ochoty, bo lubił Veevee, ale tylko w małych dawkach, podczas gdy Leslie i Marion byli mu jak rodzice.

– Jak wiesz – zaczął Marion – zbliżają się twoje szesnaste urodziny.

– Dziś trzydziesty lipca – zauważył Danny. – Urodziny mam czternastego września. Zbliżają się w takim samym sensie, w jakim zbliża się Boże Narodzenie.

– Konieczne są pewne przygotowania – powiedziała Leslie.

– Przygotowania? – zdziwił się Danny.

– Musisz zrobić prawo jazdy – rzekł Marion.

– Trzeba cię już teraz zapisać na kurs – dodała Leslie.

– Bo zdecydowaliśmy, że na urodziny dostaniesz samochód

– wyjaśnił Marion.

– Jesteś bardzo odpowiedzialnym młodym człowiekiem

– powiedziała Leslie. – Ciężko pracujesz nad wszystkim, do czego się bierzesz. Jesteś ostrożny i zaradny. Sądzimy, że będziesz doskonałym kierowcą.

– O ile pamiętam, użyłem słowa „przyzwoitym” – uściślił Marion.

– Nie będzie to nowy samochód – zastrzegła Leslie. – Ubezpieczenie dla szesnastoletnich młodych mężczyzn jest drogie.

– Ja powiedziałbym „chłopców” – rzekł Marion.

Danny był wzruszony. Mógł sobie wyobrazić taką samą scenę rozgrywającą się w każdym normalnym domu suszłaków. Czuł się jak... jak Amerykanin. Mieszkaniec Ohio. Człowiek.

– Jesteście cudowni. Szkoda, że nie dorastałem w waszym domu.

– Ciągłe dorastasz – zauważył Marion. – I to w naszym domu.

– Głównie – dodała Leslie.

– Nie rozumiem tylko jednego... po co mi samochód? – Spojrzeli na niego z konsternacją, więc wyjaśnił: – Nawet po zakupy chodzę przez wrota.

– Niepotrzebnie przenosisz wózek do kuchni – stwierdził Marion.
– Raz mu się zdarzyło – powiedziała Leslie. – I zaraz odstawił go na miejsce.

– Zawsze płacę za wszystko – zauważył Danny. – Odkąd z wami mieszkam, niczego nie ukradłem.

– A na Florydzie? – spytała Leslie. – Tam pewnie są inne zasady.

– Zrobiłem Veevee wrota do jej ulubionych sklepów i centrów handlowych, owszem, ale wszystkie prowadzą gdzieś na zewnątrz, więc nawet jeśli nie chce, musi płacić. Ja płacę zawsze. Nawet za kino. Chcę żyć zgodnie z regułami suszłaków. Wychodzi mi to lepiej niż wielu z nich.

– Zgodnie z regułami suszłaków – powiedział Marion – musisz mieć samochód.

Danny rozłożył dłonie w obojętnym geście.

– Po co? Już teraz mam lepszy środek transportu niż prezydent.

– Randki – mruknął Marion.

– Nie możesz przenieść dziewczyny wrotami do kina, Danny – zauważyła Leslie – a niewielu zaimponujesz, każąc im wszędzie chodzić z tobą pieszo.

– A może sądzisz, że to dziewczyna powinna prowadzić?

– powiedział Marion. – Tak też nie zrobisz na żadnej wrażenia.

– Chyba umyka wam najważniejsze – stwierdził Danny. – Nie samochodu potrzebuję, żeby chodzić na randki. Potrzebuję dziewczyny.

Marion i Leslie popatrzyli po sobie i Marion odkaslnął.

– Hm, Danny... w, hm, kulturze suszłaków, przynajmniej w tym kraju, przyjęło się, że nastolatki płci przeciwnej poznają się bez udziału dorosłych.

– A wiecie, gdzie to robią? W szkole.

Znów spojrzeli na siebie, a potem na Danny'ego.

– Mamy rozumieć, że chcesz pójść do szkoły? – spytał Marion.

– Zdałeś już wszystkie najważniejsze egzaminy – dodała Leslie.

– Ich wyniki dowodzą, że twoje samokształcenie przyniosło znakomite efekty. Możesz się dostać na każdą uczelnię na świecie.

– Jesteście wspaniałymi nauczycielami – rzekł Danny.

Marion wybuchnął śmiechem.

– Danny, my tylko od czasu do czasu przynosiliśmy ci podręczniki.

– I słuchaliśmy przy kolacji twoich wywodów o historii Mongolii, zastosowaniach rachunku różniczkowego i zasadach obliczania stosunku obciążenia pionowego do naprężenia poziomego, czy jak to się nazywa, przy budowie mostów – dodała Leslie.

– Jak wielu rodziców mogłoby się na to zdobyć? Nie chcę chodzić do szkoły dla nauki, chcę chodzić do szkoły, bo tam są dziewczyny. I przyjaciele. Wy dwoje i Veevee jesteście moimi jedynymi przyjaciółmi na świecie i nie obraźcie się, ale wszyscy jesteście w takim wieku, że moglibyście być moimi rodzicami.

– Lepiej żebyś nie spędzał za dużo czasu z suszłakami – zauważył Marion. – Mógłbyś coś zrobić albo powiedzieć...

Leslie weszła mu w słowo.

– Mogliby zadawać pytania, na które nie mógłbyś odpowiedzieć...

– Gdyby ktoś dał znać którejś z rodzin, kim jesteś... – kontynuował Marion.

– Muszę nauczyć się funkcjonować wśród suszłaków – stwierdził Danny. – Suszłacy chodzą do szkoły. Rozmawiają o muzyce i filmach. Ja wiem o ich muzyce i filmach tyle, co wyczytam w internecie. To nie to samo.

– Przecież nie lubisz tej muzyki – zauważyła Leslie. – Zawsze przełączasz stację, kiedy gra ten hipopo-hop, czy jak to się nazywa.

– Hipop – poprawił ją Marion.

– Hip-hop. – Danny przewrócił oczami.

– A widzisz! – rzuciła Leslie. – Już się na tym znasz.

– Jeśli będziesz miał przyjaciół, być może będą tu przychodzić – powiedział Marion. – Bez zapowiedzi. Musiałbyś przestać korzystać z wrót, które porobiłeś na farmie.

– Mam ich tylko kilka. Na więcej nie pozwoliliście.

– Rodzice dziewczyn, z którymi będziesz chodził, mogą chcieć poznać twoich rodziców – stwierdziła Leslie. – A masz tylko nas. Jak to wytłumaczysz?

– Wujek Marion i ciocia Leslie – odparł Danny. – Swoją drogą to byłoby w pewien przerażający sposób zabawne, gdyby jakaś dziewczyna musiała stanąć twarzą w twarz z moimi prawdziwymi rodzicami. Nawet gdyby z miejsca nie zabili nas obojga, gardziliby nią jako suszłakiem, a ona nimi jako wieśniakami.

– Sam więc widzisz, że szkoła to zły pomysł – powiedziała Leslie.

– Chyba go nie przekonaliśmy – zauważył Marion.

– Nie mówię, że chcę chodzić do szkoły tutaj – rzekł Danny.

I znów Marion i Leslie wymienili spojrzenia.

– Ale dlaczego nie? – spytała Leslie. – Przecież szkoła jest niedaleko.

Danny parsknął śmiechem.

– Nie widzę nic śmiesznego w tym, co powiedziałam.

– Naburmuszyła się.

Marion pospieszył z wyjaśnieniem:

– Dopiero co tłumaczyliśmy mu, dlaczego, dopóki tutaj mieszka, lepiej, żeby nie chodził do szkoły, a teraz dąsas się, bo nie chce chodzić do szkoły tutaj.

– Nie ma w tym żadnej sprzeczności – odparowała Leslie.

– Spokojnie – powiedział Danny. – To nie ma z wami nic wspólnego. Dzieciaki ze szkoły w Yellow Springs widują mnie, kiedy biegam. Rozpoznają mnie i obgadują; nieraz pokazywali mi sobie palcami i coś komentowali. Założę się, że są ciekawi, dlaczego nie chodzę do szkoły. Snują przypuszczenia na ten temat. Mogę się tylko domyślać jakie. Tak więc w szkole w Yellow Springs jestem już poniekąd legendą. Zero szans, żebym mógł tam normalnie funkcjonować. Zwłaszcza że przyszedłbym od razu do trzeciej klasy. Jako nowy.

– Skąd wiesz, co o tobie mówią? – zdziwiła się Leslie.

– Dlaczego przekonujesz go, żeby chodził tutaj do szkoły – wtrącił Marion – po tym jak mu powiedziałaś, że twoim zdaniem to zły pomysł?

– Przekonuję go, żeby nie opuszczał nas po to tylko, by chodzić do szkoły gdzie indziej, bo i tak jest chudy jak szczapa, a nie wyobrażam sobie, że na Florydzie dostanie porządne jedzenie.

– Nie chcę też chodzić do szkoły na Florydzie – powiedział Danny.

– I wiem, co dzieciaki muszą o mnie mówić, bo dużo czytałem o uczniach szkół średnich i o tym, jak rozmawiają i myślą.

– Powieści dla młodzieży! – Teraz Leslie przewróciła oczami.

– A pomyśleć, że wcześniej przeczytałeś całą klasykę.

– To w celach naukowych, mam – powiedział Danny, rozmyślnie używając określenia, którego nie lubiła, a przynajmniej twierdziła, że nie lubi. – Czy to nie żałosne, że całą wiedzę o życiu nastoletniego suszłaka zdobywam z takich książek jak „Doły”?

– Zauważyłem, że czytasz głównie o nastolatkach z magicznymi mocami – powiedział Marion.

– Nie tylko, ale jeśli kiedyś pójdę do szkoły, będę nastolatkiem z magicznymi mocami, zgadza się? Dlatego badam, jak inni radzą sobie w takiej sytuacji.

– Ukrywają przed wszystkimi, kim są, i stają się wyrzutkami i pariasami – złościła się Leslie. – Takie masz plany?

– Oczywiście, że planuje ukrywać, kim jest – rzekł Marion. – Inaczej wieść o nim się rozejdzie i rodziny znajdą go i porażą gromem albo każą

ziemi go pochłonać lub zmiążdżyć, zanim ucieknie przez wrota.

– Czytałaś moje książki – powiedział Danny do Leslie. – Jak prawdziwa mama.

– Twoja matka jest wielką maginią – odparła Leslie. – Nie zasługuję na szacunek, jaki jesteś jej winien.

– Nazywanie kogoś „mamą” to nie wyraz szacunku.

– I weź tu takiego zrozum! – obruszyła się Leslie. – Nasze dzieci zawsze nazywały mnie mamą i mnie szanowały!

– Źle zrozumiałeś – łagodził Marion. – Dla niego to wyraz czułości.

– Miłości – uściślił Danny. – To określenie kobiety, która tak mnie kocha, że czyta te same książki co ja, by sprawdzić, czego mnie uczą.

W pokoju zapadła cisza, po czym Leslie spytała cicho:

– A ją nazywasz mamą?

Danny wybuchnął śmiechem.

– Veevee? Mamą? Leslie, ona jest moją koleżanką po fachu.

Pracujemy razem.

– Zauważyłam, że kiedy o niej wspomniałam, przestałeś nazywać mnie mamą.

– Nie każ mu się tłumaczyć – wtrącił Marion. – Ty i ja pokłócimy się o to później. Na razie rozmawiamy o jego urodzinach i jeśli go dobrze zrozumiałem, to chce pójść do szkoły, ale nie tutaj ani nie na Florydzie.

– Właśnie – przytaknął Danny. – Chcę pójść do szkoły Parry’ego McCluera.

– Nigdy nie słyszałam o pergomaklurze – stwierdziła Leslie. – Jak to się robi i dlaczego poświęcają temu całą szkołę?

– To nazwisko patrona – wyjaśnił Marion. – Ale takiej szkoły nie ma w okolicy Yellow Springs, inaczej słyszałbym o niej.

– Jest w Buena Vista w Wirginii – rzekł Danny. – Tak, to jakieś trzydzieści kilometrów od osady Northów. Ale moi krewni tam nie bywają; jeśli w ogóle wybierają się w tamte okolice, to jeżdżą do Lexington. Niczego nie załatwiają w Buena Vista.

– To niepotrzebne ryzyko – powiedział Marion.

– Jeśli nadal mnie szukają... – zaczął Danny.

– Na pewno – stwierdził Marion.

– Coś słyszałeś? – zapytała Leslie ostrym tonem, nagle zaniepokojona.

– Nie, oczywiście, że nie, powiedziałbym wam. Cóż my moglibyśmy usłyszeć? Od kogo? Ale szukają cię, Danny, możesz być tego pewny.

– Tyle że na pewno nie tak blisko domu – powiedział Danny. – Nie

po prawie trzech latach. Jedno miasto nie jest mniej czy bardziej niebezpieczne od drugiego. Nie wiemy, gdzie mają swoich szpiegów. Ale Thor, ten, któremu szpiedzy podlegają, powiedział, że nie chce mojej śmierci.

– Co może znaczyć tylko tyle, że chce uśpić twoją czujność – zauważył Marion. – Ale masz rację. Po tak długim czasie na pewno się nie spodziewają, że mógłbyś ulokować się blisko nich... nie z tak dziwnego powodu jak chęć chodzenia do szkoły.

– Co w szkole Perry’ego McDonalda jest nadzwyczajnego? – spytała Leslie.

– Parry’ego McCluera – poprawił ją Danny – i nic nadzwyczajnego w niej nie ma poza tym, że kiedy byłem mały i zacząłem wydostawać się przez wrota z osady rodziny... chociaż wtedy jeszcze nie wiedziałem, że robię wrota... chodziłem do lasu nad tą szkołą i obserwowałem uczniów. Podobnie jak robię tutaj, tyle że tam nie zerkąłem na nich w biegu, tylko siedziałem w ukryciu i tak jakby prowadziłem studia nad nimi. Wszyscy byli starsi ode mnie, byłem jeszcze dzieckiem, ale myślałem sobie: Ech, gdybym tak mógł zostać jednym z nich. Wsiadać z nimi do autobusów i samochodów. Patrzyć z bliska, jak dziewczyny wsiadają do samochodów chłopaków, jak całe grupy pakują się do jednego samochodu i odjeżdżają, krzycząc przez okna. I tak dalej.

– A widzisz? To dziewczyny wsiadają do samochodów chłopaków, nie odwrotnie – uczynnie zwrócił uwagę Marion.

– Co krzyczeli? – spytała Leslie podejrzliwie. – Nie lubię nastolatków, którzy krzyczą przez okna samochodów.

– Nie w tym rzecz – powiedział Marion. – On chce być jednym z tych nastolatków krzyczących przez okna. Chce się dowiedzieć, dlaczego krzyczą.

Danny skinął głową.

– Jak mógłbyś chodzić tam do szkoły? – spytała Leslie. – Nie planujemy przeprowadzki. A dyrekcja szkoły będzie miała drastyczne pytania o chłopaka, który pokazuje się bez rodziców, bez aktu urodzenia, bez dokumentów szkolnych, bez karty szczepień...

– Wszystko już przemyślałem. Nie rozmawiałem o tym jeszcze z nikim, bo chciałem, żebyście wy dowiedzieli się pierwsi. I nie zamierzałem powiedzieć wam o tym już dzisiaj, bo jeszcze nie zebrałem się na odwagę, ale zaczęliście mówić o samochodach i randkach, no i sami rozumiecie.

– Jaki jest ten twój plan? – spytał Marion.

– Veevee podobno ma dużo pieniędzy.

– A my nie? – obruszyła się Leslie. – To, że żyjemy na farmie, nie znaczy, że...

– Veevee ma dość pieniędzy, żeby wynająć mały dom w Buena Vista. Kilka minut piechotą od szkoły. Przy stromej ulicy i w nie najlepszej dzielnicy, ale dla mnie w sam raz. Veevee będzie się podawać za moją ciotkę. Kiedy zajdzie potrzeba, przebierze się w stosowny strój i spotka z rodzicami innych dzieciaków, którzy przyjdą z wizytą. Zrobię wrota między jej apartamentem na Florydzie a wynajętym domem, żeby na co dzień mogła dalej mieszkać u siebie.

Leslie trzymała język za zębami – ale z takim wysiłkiem, że było oczywiste, że ma wiele do powiedzenia na temat udziału Veevee w jego planach.

– Jeszcze jej nie pytałem, czy się zgodzi, lecz sami wiecie, że uwielbia takie przebieranki, więc na pewno nie odmówi. Zrobię też wrota stamtąd tutaj, żebym mógł wracać do domu na weekendy, wakacje i tak dalej. – Danny zauważył, że nazwanie ich farmy „domem” nieco udobruchało nastroszoną Leslie. – Zrobię nawet publiczne wrota stąd tam, żebyście mogli wpadać bez zapowiedzi.

– Żadnych publicznych wrót, dopóki nie nauczysz się ich zamykać – zastrzegła Marion.

– Tak, wolałbym, by Veevee była Przyjaciółką Zamków, a nie tylko Przyjaciółką Kluczy. Tyle że wtedy pewnie nigdy bym jej nie znalazł i vice versa, a dużo się od niej uczę, głównie z badań, które prowadziła przez lata, ale też dzięki temu, że widzi, co robię, i może mi to i owo podpowiedzieć. Tak po prostu jest; daje mi coś, czego w tej chwili nie mógłby dać mi nikt inny na świecie. Dlatego muszę się trzymać blisko niej. Ale was kocham jak rodziców. Z wami pierwszy raz w życiu byłem szczęśliwy. Mamo, tato, nie próbuję od was uciec. Próbuję tylko nauczyć się żyć w świecie suszłaków. Być normalnym człowiekiem. Tutaj się tego nie nauczę.

Danny spostrzegł, jak dużo dla Mariona znaczyło to, że nazwał go tatą. Nie mówił tak, żeby zamydlić im oczy, choć wiedział, że do mydlenia oczu nadawałyby się idealnie.

W słowach „matka” i „Baba” więcej było trwogi i lęku niż miłości. Danny w dzieciństwie, kiedy jeszcze nie był uważany za drekkę, czasem używał ich w odniesieniu do rodziców w dowód swojego wyjątkowego statusu. Jednak „mama” i „tata” były słowami, które pozostawały puste w jego duszy i sercu, dopóki nie przybył do Silvermanów.

Często się zastanawiał, czy Stone wybrał Leslie i Marion na jego opiekunów i nauczycieli, ponieważ byli tak wspaniałymi rodzicami. Od nich się nauczył, jak być przyzwoitym człowiekiem, brać odpowiedzialność za swoje czyny i traktować słabszych od siebie z szacunkiem. I nie robić psikusów tylko dlatego, że akurat jakiś wpadł mu do głowy.

– Co z aktem urodzenia? – spytał Marion.

– Myślałem, żeby wrócić do Waszyngtonu i pogadać ze Stone'em. On będzie wiedział, jak coś takiego załatwić. Może trzeba znaleźć kogoś, kto urodził się tego samego dnia co ja, ale umarł młodo. A może wystarczy kupić fałszywkę. W ostateczności wejdę wrotami do jakiegoś urzędu stanu cywilnego, sam wypełnię formularze i podłożę je do archiwum. Jakoś się uda.

– Czyli wracasz do działalności przestępczej – zauważyła Leslie.

– Oj, bez takich! Muszę mieć akt urodzenia. Tożsamość.

A bezpiecznie i legalnie jej nie zdobędę.

– Ona to wie – stwierdził Marion. – I oboje zdajemy sobie sprawę, że aby poradzić sobie w świecie suszłaków, wcześniej czy później będziesz musiał mieć te wszystkie dokumenty. Widzę, że starannie wszystko przemyślałeś. Jak ostrożny, odpowiedzialny, inteligentny młody człowiek, który naszym zdaniem gotów jest na to, żeby powierzyć mu samochód. Tylko że teraz gotów jesteś na coś dużo większego.

– Samochód i tak będzie mu potrzebny, nawet w Buena Vista – dodała Leslie.

– Wcale nie – rzekł Danny. – Pojawię się tam ubogi, nie zamożny. Bez samochodu. Do szkoły będę chodził pieszo. Oczywiście, do sklepu na zakupy będę się przenoślił wrotami, bo najbliższy porządny jest dobrych kilka kilometrów stamtąd. Nie chcę jednak wpaść tam z pompą, kłuć ludzi w oczy pieniędzmi, samochodem i drogimi ubraniami. Chcę być niepozorny. Niezauważany przez większość. Nie mam nic przeciwko temu, żeby uznali mnie za dziwaka... byle nie takiego, o którym krążą legendy. Myślę, że w ten sposób znajdę lepszych przyjaciół i może poznam dziewczyny więcej warte od tych, którym imponują faceci z furą, kasą i drogimi ciuchami.

– Chyba pamiętasz, że powieści dla młodzieży to fikcja literacka – powiedziała Leslie.

– Ale gdyby nie zawierały prawdy o życiu nastolatków, nastolatki by ich nie czytały. Czytałem je jako antropolog.

– Czytałeś je jako romantyczny nastolatek – odparła Leslie.

– I uwierzyłeś w szczęśliwe zakończenia typu „ubogi, ale porządny samotnik rozkochuje w sobie najmiłszą, najmądrzejszą dziewczynę”.

– To też. – Danny uśmiechnął się szeroko.

– W sumie to prawdziwa historia – zauważył Marion. – Nie sądzisz, Leslie?

I znów wymienili spojrzenia, tym razem jednak mówiące coś zupełnie innego niż do tej pory, a co – to już nie była sprawa Danny’ego.

Miło było znowu zobaczyć Stone’a. Dom się nie zmienił, tylko Ced i Lana dawno się rozwiedli i wyjechali – Ced, żeby szkolić się w magii wiatru u starego Tchnienia Wichru w Oregonie, a Lana do szkoły biznesu, gdzie, jak stwierdził Stone, miała sporą szansę nauczyć się fachu, który nie będzie miał nic wspólnego z prostytutką.

– Pewnie skończy jako sekretarka, uwiedzie szefa, rozbije jego rodzinę, a potem zamieni mu życie w piekło, dopóki się z nią nie rozwiedzie – powiedział Stone. – Ale jeśli facet nie potrafi trzymać rozporka na wodzy, to jest naturalną ofiarą gniewnych, niezrównoważonych kobiet, które mają luźne podejście do bielizny.

Po czym, zauważając żalną minę Danny’ego, dodał:

– Na tobie tylko trenowała. Trzynastolatek to za małe wyzwanie.

– Nadal o niej śnię – wyznał Danny.

– I pewnie nigdy nie przestaniesz – odparł Stone z westchnieniem.

Danny wyjaśnił, czego chce.

– Naprawdę myślisz, że Victoria sobie z tym poradzi? – spytał Stone.

– A co? Znasz ją?

Stone przewrócił oczami.

– Pracujesz z nią... ile to już czasu?... i ani razu o mnie nie wspomniała?

– Nie. Chyba. Nie sądzę.

– Jestem jej mężem. Nazywam się Von Roth. Peter Von Roth. Ona przed ślubem nazywała się Victoria Bland.

– Bland? – zdziwił się Danny.

– Serio. Może wyszła za mnie tylko dlatego, że mam takie mocne, germańskie nazwisko. Von Roth! – Wymówił to z silnym niemieckim akcentem. – Jak gniew bogów, co?

– Ale... mówiła coś o alimentach.

– Nie dostaje alimentów – powiedział Stone... a raczej, jak się okazało, Peter. – Nadal jesteśmy małżeństwem. Jej ojciec do dziś jest

ważną szychą w Departamencie Rolnictwa... to naprawdę pierwszorzędnym Żywnikiem... a matka odziedziczyła po swoim ojcu ziemię w północnej Wirginii i dużą jej część sprzedała, kiedy rozbudowywali Tysons Corner w mekkę dla zakupowiczów, więc rodzina Victorii ma forsy jak lodu. Te „alimenty” to czekają od mamusi i tatusia.

Danny nie mógł powstrzymać śmiechu.

– Rzeczywiście nieźła z niej kanciara. Niczego się nie domyślałem.

– Cóż, możesz mi wierzyć, że nasze życie potoczyłoby się zupełnie inaczej, gdyby od początku było wiadomo, że jest maginią wrót, nie drekką, ale niby jak mieliśmy się o tym przekonać? Ona co prawda tak twierdziła, tylko nikt jej nie wierzył. Była tak egzaltowana i pretensjonalna, wszyscy sądziliśmy, że to poza.

– A mimo to się z nią ożeniłeś.

– Zawsze rozmawiałem z nią tak, jakby była maginią wrót. Chyba chciałem uczestniczyć w jej fantazji. I bądźmy szczerzy, Danny, dopóki się nie pojawiła, to była czysta fantazja. Jak my wszyscy, Victoria nie miała pojęcia, że jest maginią wrót. Jakiś rok po ślubie zrozumiała, że tak naprawdę nie wierzę, że jest maginią. Że po prostu robię jej przyjemność. Nie chciałem dać jej tego poznać... zawsze mówiłem o tym tak, jakby to była prawda, i niczym się nie zdradziłem... ale sam wiesz, jacy są magowie wrót. Potraficie wyczytać z ludzkiego głosu i twarzy to, czego nie dostrzega nikt inny. Może to się wiąże z waszym darem do języków. Czasem się zastanawiam, czy to nie dowód, że magia wrót jest pokrewna zaklinaniu ludzi. W każdym razie zorientowała się, że udaję, to ją zabolalo, no i od tej pory coraz rzadziej bywała w domu, aż pewnego dnia uświadomiłem sobie, że... odeszła. Mówię ci więcej, niż powinienem. Lecz powodzenie twojego planu ma zależeć od niej...

Danny skinął głową.

– Rozumiem twoje obawy. Ale pamiętaj, my, magowie wrót, jesteśmy też oszustami i cwaniakami. Z tym, do czego tak naprawdę jest mi potrzebna, Veevee poradzi sobie na pewno; musi tylko zapisać mnie do szkoły, wynająć mi tani dom, dawać kieszonkowe na niezbędne wydatki i wpadać, kiedy będę musiał pokazać ludziom moją ekscentryczną ciotkę.

Stone się uśmiechnął.

– Och, wy, magowie wrót, nie jesteście jedynymi cwaniakami na świecie.

– Naprawdę?

– Poznałem ciebie, prawdziwego maga wrót. I wciąż kochałem tę

irytującą kobietę. Zacząłem więc kombinować. Może ona naprawdę jest maginią wrót? Za nic w świecie bym jej nie przekonał, żeby przyjechała tutaj obejrzeć twoje wrota... teraz udaje, że ma alergię na pyłek roślin, które hoduję... ale pewnego dnia, kiedy była u swoich rodziców w Fairfax, zadzwoniłem do niej i zacząłem wspominać Dona Flor, naszą dawniej ulubioną restaurację... podawali tam risolli z sosem Habanero, który głowę urywał... no i, zawsze przewidywalna jak przyływ i odpływ, pojechała do Wisconsin, gdzie, jak wiedziałem, stworzyłeś kilkoro wrót, i...

– I okazało się, że jest maginią wrót.

– W stu procentach prawdziwą. Nie żebym kiedykolwiek temu zaprzeczał! – Stone kajał się tak, jakby Veevee była z nimi w pokoju.

– I zabiłaby mnie, gdyby wiedziała, że to zaplanowałem. „Co, chciałeś podstępem udowodnić, że nie widzę wrót, które wiesz, gdzie są, zgadza się?”

Idealnie naśladował Veevee. Danny się zaśmiał.

– Ale ja nie poddawałem jej próbie, tylko dałem szansę. Chciałem, żeby to była prawda, teraz i zawsze. Wiedziałem, że takiej zdolności nie da się sprawdzić, kiedy na świecie nie ma wrót, no chyba żeby Victoria okazała się Siostrą Ścieżek albo Matką Wrót, co było raczej mało prawdopodobne. Tak jak twoje pojawienie się, Danny. Nigdy jednak nie twierdziłem, że na pewno nie jest maginią wrót.

– Byłeś agnostykiem.

– Agnostykiem pełnym nadziei. Chociaż to było raczej pobożne życzenie.

– Ale się spełniło. – Danny uśmiechnął się szeroko.

– Choć założę się, że Leslie nie ucieszyła się na widok Veevee.

– Mam wrażenie, że... nie obraż się, ale byłeś dla niej planem B

– stwierdził Danny.

– Kiedy miała romans z Marionem, jeszcze mnie nie znała. A Marion od początku odrzucał jej zapewnienia, że jest maginią wrót. Jest magiem kamienia, na litość boską, i geologiem. Gdzieżby mógł dobrowolnie uczestniczyć w cudzych rojeniach. A jak Veevee mogłaby pokochać mężczyznę, który nawet nie próbował jej uwierzyć? Jest wyczulona na nieszczerłość innych. A ja mimo wszystko chciałem z nią być. Ale miarka się przebrała, kiedy postawiła mi ultimatum. „Przyjedź na Florydę. Jeśli mnie kochasz, rzuć to podłe miasto i przyjedź do Naples”. Nie mogłem, przecież tu pracuję. Do Waszyngtonu przyjeżdża cała Ameryka i duża część reszty świata. Tutaj mój pyłek może wabić magów Sierot.

Rodziny oczywiście wiedzą, czym się zajmuję, ale jest im to obojętne; dla nich Sieroty są nie lepsze i nie bardziej interesujące od suszłaków. Odkąd się tu sprowadziłem, znalazłem prawie stu magów. Ilu znalazłbym w Naples na Florydzie? W najlepszym razie garstkę starych pryków, dla których na szkolenie już za późno.

– Ciągle ją kochasz.

– Wszyscy ciągle ją kochają – powiedział Stone. – Nawet ci, którzy jej nienawidzą; dlatego tak strasznie ich złości. Założę się, że Marion do dziś o niej myśli.

– Tak jak ja o Lanie?

– No, nie całkiem. Veevee nie jest taka, jeśli wiesz, co mam na myśli. Raczej... Marion wciąż żałuje, że jednak nie zdobył się na to, by uczestniczyć w jej marzeniu. A teraz, kiedy się okazało, że to nie było tylko marzenie, że rzeczywiście jest maginią wrót, biedak ma o czym myśleć i co rozpamiętywać, mimo że kocha Leslie do szaleństwa. Nic tak nie dobija jak rozważania typu „a mogło być tak pięknie”.

Danny miał wrażenie, jakby Stone poutwierał przed nim cudze pamiętniki, i teraz, kiedy wiedział tyle o przeszłości Marion, Leslie i Veevee, czuł się jak szpicel. Choć, z drugiej strony, przyniosło mu to ulgę.

– Cieszę się, że mi to wszystko powiedziałaś.

– Zawsze mi się wydawało, że to wiesz. Że ktoś musiał ci to wytłumaczyć. Teraz jednak widzę, że nie było na to szans. Które z nich poczułoby potrzebę, żeby ci cokolwiek z tego wyjaśnić? Żadne nie jest dumne ze swojego zachowania. No, oprócz Veevee, ale ona nie zwykła niczego wyjaśniać.

– Ona i ja robimy, co możemy, żeby wyjaśnić, na czym polega magia wrót.

– Nie. Próbujecie wynaleźć magię wrót. Wasze badania mogą co najwyżej dać wam jakieś wskazówki, naprowadzić na parę obiecujących tropów.

– Zrobiliśmy pewien postęp.

– Wiesz już, jak się robi Wielkie Wrota? – spytał Stone.

– A gdzie tam!

– I niech tak zostanie. Nie chcę, żeby Złodziej Wrót cię okradł i zrobił z ciebie drekkę.

– Przynajmniej wtedy rodziny dałyby mi spokój – zauważył Danny.

– Nie licz na to. Po prostu by uznali, że to jeszcze jedna sztuczka maga wrót, i zabiliby cię i tak, na wszelki wypadek.

– Uhm – mruknął Danny z żalem. – Fakt.

– Nie skontaktuję cię z fałszerzami dokumentów. To zawsze można wykryć i co wtedy stałoby się z tobą? Ale załatwiłem wielu innym zbiegłym członkom rodzin mniej lub bardziej legalne tożsamości, a taki mag wrót jak ty powinien być w stanie zdobyć niemal prawdziwą, przekupując przy tym dużo mniej ludzi.

Kiedy Stone wyjaśnił, jak działa system, i odszukał magistrat z jeszcze nie w pełni skomputeryzowanym archiwum, godzina wystarczyła Danny'emu, żeby poznać na wylot zasady archiwizacji akt w West Jefferson w Karolinie Północnej. Nietrudno było wprowadzić informację o narodzinach Danny'ego do dokumentów, więc gdy przyszli z Veevee do urzędu i poprosili o duplikat aktu urodzenia – Veevee uroniła łezkę nad swoją kochaną świętej pamięci siostrą i szwagrem, fikcyjnymi rodzicami „tego chłopca” – otrzymali dokument bez kłopotu.

Stone spojrział na akt urodzenia i się skrzywił.

– Dlaczego nie użyłeś nazwiska Silverman?

– W powiecie Ashe w Karolinie Północnej? Nikt by nie uwierzył, że jest prawdziwe.

– Ale Daniel Stone? Owszem, to mi schlebia, ale...

– Takie przyszło mi do głowy, kiedy byłem w archiwum

– powiedział Danny. – A że to nie jest twoje prawdziwe nazwisko, pomyślałem, że nie będziesz miał nic przeciwko. No i skoro nie zrobiłem z siebie Von Rotha, uznałem, że Marion i Leslie zgodzą się na każde inne nazwisko, które w hrabstwie Ashe nie będzie brzmiało podejrzanie.

Trochę więcej kłopotów było z numerem ubezpieczenia społecznego, zakodowanych jest w nim bowiem więcej informacji, niż się powszechnie przypuszcza. Stone jednak miał w administracji systemu znajomego Westilianina, który mógł znaleźć wszelkie nieużywane numery spełniające niezbędne kryteria – należące do zmarłych dzieci, po których zostały puste akta. Przypisanie danych Danny'ego do jednego z takich numerów to już była prosta sprawa.

Załatwienie fałszywych kart szczepień to była robota w sam raz dla maga wrót – wystarczyło przenieść się po godzinach przyjęć do gabinetu pediatry, który od dawna prowadził praktykę w tym samym mieście.

Co się tyczy szczepień jako takich, Stone nalegał, by przez wzgląd na inne dzieci Danny przyjął je naprawdę.

– Przecież jak się źle poczuję, mogę po prostu przejść przez wrota i się uleczyć.

– A myślałem, żeś wykształcony – powiedział Stone. – Nie wiesz, że

możesz zarażać innych przez wiele dni, zanim wystąpią objawy?

Prawda była taka, że Danny nie chciał być kłuty igłami. Nigdy tego nie doświadczył i był prawie pewien, że to mu się nie spodoba.

– Musisz po prostu zająć czymś myśli – radził Stone. – Kiwaj palcami u nóg, kiedy będą ci robić zastrzyki. Skup się na tym, a niczego nie poczujesz.

Jak zawsze miał rację. Ale kiwanie palcami u nóg nie pomagało na ból pokłutych ramion. A Stone nie pozwolił mu przejść przez wrota, dopóki nie upłynęło dość czasu, by szczepionki się przyjęły.

– Jeśli „uzdrowisz” ciało wrotami, zanim szczepionki zdążą pobudzić układ odpornościowy, wszystkie te zastrzyki pójdą na marne. Myśl. Nie bądź dzieckiem.

Jak mam nie być dzieckiem, jeśli mam chodzić do szkoły? – chciał zapytać Danny. Wiedział jednak, że Stone ma rację. Nie mógł tak sobie pobłażać jak inne nastolatki. Nawet jeśli planował żyć wśród suszłaków, sam suszłakiem nie był i nie mógł o tym zapomnieć.

Kiedy był gotowy, zrobił wrota publiczne ze schowka na strychu, w którym nocował u Stone’a, w miejsce na ścianie apartamentu Veevee. Nie sądził, by mogli przypadkiem je znaleźć, więc gdy uzna, że to wskazane, powie im, gdzie są.

Veevee wzorowo odegrała rolę jego ciotki, która przeprowadza się do Buena Vista z myślą o otwarciu małej firmy odzieżowej.

– Zamierzam dostarczać ubrania do pewnych butików w Nowym Jorku i Los Angeles – wyjaśniała – których klienci wymagają, by ich ubrania szyte były w Ameryce przez szwaczki godziwie opłacane i mające zapewnione wszystkie dodatkowe świadczenia. Choć minie trochę czasu, zanim zbiorę fundusze, rozumie pan. A ponieważ tutaj będę miała swój najbardziej stały adres, biedny Danny i ja uzgodniliśmy, że właśnie tu powinien zamieszkać.

Dyrektor szkoły był wyraźnie zadowolony, że w mieście pojawił się nowy potencjalny pracodawca; a tymczasem opowieść Veevee nie przeszkodzi Danny’emu podawać się, jak to sobie umyślił, za niebogatego dzieciaka, który mieszka praktycznie sam w skromnym domu. Jeśli ktoś spyta o fabrykę ciuchów, którą planuje otworzyć jego ciotka, po prostu przewróci oczami, jakby to była bujda albo jakby ciotce odbiło, czy cokolwiek rówieśnicy z takiej miny wywnioskują.

Zamierzał być dobrym uczniem, ale mało odzywać się na lekcjach; ubierać się przyzwoicie, ale nie za porządnie; trochę szaleć, ale nie do przesady; być zabawny, ale nie robić za klasowego błazna. Może zgłosi

się do kółka dramatycznego. Wiedział, że zawsze cierpiał na niedostatek chłopców, i myślał sobie, że z takiego cwaniaka jak on mógłby być przyzwoity aktor. Swoje kwestie opanuje bez trudu. W obsadzie będą dziewczyny.

Miał wszystko dokładnie zaplanowane.

OJCIEC FIGLA

Chłopiec zwany Dziecięciem Przysięgi zaczął chodzić w wieku dziewięciu miesięcy – nie wytrzymał długo na klęczkach, jak często żartował król Prayard. Już jako czternastomiesięczne dziecko wysławiał się pełnymi zdaniami. Było jeszcze dużo za wcześnie, żeby wypatrywać u niego oznak zdolności magicznych, ale ilekroć spojrzał na wodę, uznawano to za dobry zwiastun. Król nosił go na barana, zabierał na narady, pokazywał ambasadorom, a ze szczególną lubością afiszował się z nim przed przedstawicielami Grayu.

Kiedy jednak w brzuchu Bexoi zaczęło rosnać następne dziecko, stało się coś dziwnego. Król zaczął troszczyć się przede wszystkim o małżonkę i spędzał z nią coraz więcej czasu. Rzadko szukał towarzystwa księcia zwanego Dziecięciem Przysięgi. A malec, choć miał dopiero szesnaście miesięcy, czuł, że coś się zmieniło; że czegoś mu brak. „Gdzie tata?”, pytał. A piastunki odpowiadały: „Jest królem, ma dużo pracy”.

Tak naprawdę jednak król Prayard nie pracował, tylko wcierał maści w mocno naprężoną skórę brzucha Bexoi i słuchał, jak mówiła:

– To jest dziecko, które począłeś świadomie, dziecko, które będzie owocem twojej miłości, nie wzdardy.

– Nie wytykaj mi dawnych błędów – mruknął król Prayard.

– Ja sławię naszą nowo odkrytą miłość – powiedziała Bexoi.

– Nareszcie koniec z polityką. To nie będzie polityczne dziecko.

– Mam nadzieję, że urodzi się dziewczynka. Podobna do ciebie.

– Żebyś mógł ją wydać za jakiegoś cudzoziemskiego króla i żebyśmy nigdy więcej jej nie zobaczyli?

– Ale chłopiec byłby rywalem Dziecięcia Przysięgi – zauważył Prayard.

– Drugi syn zapewni królestwu bezpieczeństwo. Ten chłopiec, który za dwa miesiące wyrwie się na świat, dosłownie i w przenośni postępować będzie krok w krok za Dziecięciem Przysięgi, gotów w każdej chwili zająć miejsce brata, gdyby spotkało go coś strasznego.

– Lękasz się swojego bratanka Frostincha, prawda? – spytał król Prayard.

– Twój następca będzie miał wielu wrogów. Dwaj synowie będą lepiej służyć królestwu niż jeden. Zobacz, co spotkało dzieci twojej nałożnicy.

– Wiesz, że w ogóle już o niej nie myślę – powiedział Prayard – a mimo to dogryzasz mi raz po raz, wspominając jej imię.

– Nie mogę zapomnieć o tragicznym zniknięciu Anonoei i jej synów... synów nigdy za wiele.

Klucha to wszystko słyszał. Słyszał i wiedział, że Bexoi wie, że ją słyszy. To były zawołane groźby przeciwko chłopcu, którego ona nazywała Dziecięciem Przysięgi, a on Figlem. Ale co mógł zrobić? Był Kluchą, posługaczem kuchennym, Wiewiórką, milczącym włóczykijem i chłopcem na posyłki; teraz, kiedy zabrakło pocziwej nocnej kucharki, stał się mniej niż zerem, ledwie tolerowanym w kuchni i nigdzie indziej. Gdy znajdowali go w stajni, wyrzucali go, jakby samą swoją obecnością miał otruć konie; gdy znajdowali go w zbrojowni, traktowali tak, jakby miał stępić klingi wszystkich mieczy.

Jak ktoś taki mógł zostać dopuszczony przed oblicze małego księcia?

Za to Klusze Ojcu Wrót, Człowiekowi w Drzewie, kochankowi królowej i strażnikowi trzech królewskich więźniów, Klusze, którego nie znał nikt prócz samej Bexoi – temu Klusze nikt nie mógł stanąć na przeszkodzie.

Dlatego podczas gdy królowa leżała obok króla i manipulowała jego uczuciami, Klucha ich słuchał – jedno ucho przykładał do najmniejszych wrót połączonych z jej komnatą, dzięki czemu nie musiał patrzeć, co Bexoi i Prayard robią, a sam udawał się na inną schadzke.

Przenosił małego Figla wrotami do izby na poddaszu, w której urządził pokój zabaw dla dziecka. Nie przeładował go kolorowymi zabawkami, które głupcom wydają się spełnieniem marzeń dzieci. Było tu mnóstwo kurzu, starych mebli, kufrów, broni i innych zapomnianych pamiątek po dawnych królach, królowych, zarządcach i książętach, mnóstwo zakamarków, miejsc do wspinaczki i głębokich, ale małych lochów do penetrowania. Czasem bawili się tutaj z Figlem w chowanego, czasem Klucha pozwalał, by malec przebierał go w stare zakurzone szaty, a czasem bawili się żołnierzami, małymi powozami i karocami.

– Zawsze będę cię nazywał Figlem – powiedział raz chłopcu – bo kiedy bawimy się ze sobą, płatamy wszystkim figla. Nie możesz nikomu nic powiedzieć, bo mnie wygnają. Kiedy jesteś ze swoimi piastunkami, matką albo królem, musisz udawać, że mnie nie widzisz. Jakbym był niewidzialny. Bo jestem.

Wtedy zniknął i pojawiał się o krok dalej, a Figiel klaskał w dłonie, śmiał się i krzyczał radośnie.

Tymczasem w komnacie chłopca drewniana lalka udawała Dziecię Przysięgi, otoczonego troską księcia śpiącego w swoim łóżeczku o wysokich ściankach, które zapewniały mu bezpieczeństwo – a jednocześnie osłaniały go przed oczami leniwych piastunek, które drzemały, plotkowały albo robiły na drutach. Kiedy nawet po dwugodzinnej drzemce malec wydawał się niespokojny i zmęczony, jakby nie zmrużył oka, wszystkie uznawały to za znak, że tęskno mu do ojca, króla, nieświadome, że jego ojcem jest powszechnie pogardzany posługacz kuchenny, którego obecność w Nassassa była niezrozumiała dla wszystkich.

Czasem jednak Figiel zasypiał w sekretnym pokoju zabaw na poddaszu. Wtedy Klucha patrzył na syna i szeptał cicho: „Twoja matka jest potworem zrodzonym z ambicji; twój ojciec potworem zrodzonym z okrucieństwa uczynionego dla niej. Bexoi spiskuje przeciwko tobie. Dybie na twoje życie. Ale ja będę cię chronił. Nie ośmieli się ciebie skrzywdzić, bo wie, że konsekwencje tego byłyby straszliwe”.

Głęboko w sobie czuł odpowiadające mu echa setek innych umysłów. Zwykle kłębiły się w nim jak wzburzone morze i przez długie lata nie pojmował, czym są. Teraz wiedział jedno: miały wspomnienia, które nie mogły być jego wspomnieniami. Były obdarzone własną wolą, która nie zgadzała się z dokonywanymi przez niego wyborami, i kiedy robił coś, co je drażniło, protestowały, przyprawiając go o coś w rodzaju niestrawności umysłu. Skąd te obłądne fantomy wzięły się w jego głowie, nie miał pojęcia, ale wiedział, że musi z nimi żyć. Nie były w stanie wyrzucić mu krzywdy.

Kiedy jednak chodziło o Figla, były z nim jednej myśli i jednego serca. Jest twoim synem, powtarzały jak echo, kiedy mówił: Jest moim synem. Musisz go chronić, bo taka jest powinność ojca. Musisz za niego umrzeć i dla niego zabijać. Ktokolwiek narazi chłopca na niebezpieczeństwo, nawet jego matka, jest twoim wrogiem. Jeśli nie zdołasz zapanować nad tą kobietą, będzie musiała umrzeć.

WSPINACZKA PO LINIE

Pierwszego dnia lekcji Danny pobiegł do szkoły. Nie miał do niesienia żadnych podręczników i choć zapowiadał się upalny dzień, ranek nie był za ciepły na porządną przebieżkę. Ubrany w T-shirt, dzinsy i tenisówki, z długopisem w kieszeni i jednym kołnotatnikiem w plecaczku, Danny zamknął drzwi domu na klucz i pomknął wielkimi susami w głąb ulicy.

Nie biegł szybko; po prostu nie widział powodu, żeby iść, gdy mógł biec. Nie czuł też potrzeby, by zwolnić tylko dlatego, że ostatni odcinek krętej drogi pnącej się zboczem wzgórza do szkoły jest tak stromy.

Od małego biegał po jeszcze bardziej stromych wzniesieniach, gdzie miał do pokonania dużo gorsze wertepy i dużo więcej przeszkód.

W porównaniu z nimi to był relaksowy spacer. Danny nie miał nawet zadyszki, kiedy poszedł do sekretariatu po plan lekcji.

– Ponieważ dołączasz do nas jako uczeń trzeciej klasy – powiedział dyrektor Massey – pomyśleliśmy, że wypada, aby ktoś oprowadził cię po szkole.

To wyjaśniało obecność znudzonej dziewczyny, która wyglądała jak spod igły.

– Fajnie – odparł Danny. – Dziękuję.

– To twój plan lekcji. Laurette pomoże ci znaleźć sale.

– Dzięki, Laurette. – Danny obdarzył dziewczynę szerokim uśmiechem, przeznaczonym wyłącznie dla oczu Massey'a. Czytał wystarczająco dużo powieści dla młodzieży, by wiedzieć, że Laurette zapewne jest popularna w szkole i na takich jak on patrzy z góry.

Posłała mu szybki, sztuczny uśmiech – też przez wzgląd na Massey'a.

– Cieszę się, że przyszedłeś wcześniej – rzekł Massey. – To da wam dwojgu dość czasu, żeby zapoznać się z rozkładem sal.

Danny z Laurette wyszli razem z sekretariatu.

– Coś się tak spocił? – spytała, jak tylko znaleźli się poza zasięgiem słuchu Massey'a.

– Bo jesteś taka niesamowita.

– Faj!

- Bo biegłem do szkoły.
 - Co ty, sportowiec jesteś?
 - Nie mam samochodu.
 - W takim razie nie muszę ci mówić o miejscach parkingowych.
- Zaśmiał się.
- Co w tym śmiesznego? – zapytała.
 - Co przeskrobałaś? – odpowiedział pytaniem na pytanie.
- Dlaczego kazali ci oprowadzać nowego po szkole?
- Napyskowałam nauczycielce angielskiego i za karę muszę pracować na rzecz szkoły.
 - Dziś pierwszy dzień lekcji – zauważył Danny.
 - Mam jeszcze do odpracowania trzy godziny z zeszłego roku.
 - Musisz nieźle pyskować.
 - To hol – powiedziała Laurette. – To klasa. Umiesz liczyć?
 - No raczej.
 - To powinieneś sam się połapać w numerach sal. Zwykle są po kolei. Jakies pytania?
 - Zostaniesz moją najlepszą przyjaciółką?
- Prychnęła śmiechem.
- Jak masz biegać do szkoły, zainwestuj w lepszy dezodorant.
 - Jak na dziewczynę, która nie dba, co myślą o niej inni, strasznie świecisz dekoltem – powiedział Danny.
- Uniosła rękę i lekko rozchyliła klapy bluzki.
- Napatrzyłeś się?
 - Nie, będę studiował twój dekolt przez cały rok.
 - Świntuch z ciebie, Danny Stone.
 - Przewiduję, że średnia suma jego zawartości wyniesie dwa.
- Zostawiła go i poszła sobie.

Na razie nieźle, pomyślał Danny. Albo mnie polubiła, albo znienawidziła. To znaczy, że albo jej przyjaciele mnie znienawidzą, a wrogowie polubią, albo na odwrót. Ta dziewczyna nie może nie mieć przyjaciół i wrogów.

Na pierwszej lekcji miał angielski. Odzywał się tylko wtedy, kiedy nauczycielka go pytała, choć powiedziała parę ciekawych rzeczy i korciło go, żeby zaimponować jej swoją wiedzą o języku. Milczał, prawie na nią nie patrzył i przybrał ponurą minę, jaką widział na twarzach niektórych chłopców. Wiedział, że może błysnąć wiedzą później, jeśli uzna to za lepszą strategię. Kiedy jednak już zdradzi się z tym, że jest bystry, nie będzie od tego odwrotu. Przynajmniej taką stawiał hipotezę jako

antropolog szkoły średniej.

Rachunek różniczkowy i całkowy zapowiadał się na łatwy i nudny – wszystko to już przerabiał pierwszego roku pobytu u Silvermanów. Na historii dla zaawansowanych zanosilo się na niezły ubaw, bo wszystko, co mówił nauczyciel, było albo niepełne i przez to mylące, albo całkowicie błędne; to jednak nie miało znaczenia, bo uczniowie i tak go nie słuchali.

Najważniejsza była długa przerwa – gdzie wtedy usiadzie w czasie lunchu.

Wziął tacę i zaniósł ją do stołu, przy którym siedziała Laurette. Były z nią trzy koleżanki. Jedna pulchna, ale ubrana tak, jakby sądziła, że jest chuda, z odkrytym wydatnym brzuchem. Druga zrobiła się na gotkę, a trzecia miała średnio obfity trądzik i tak kwaśną minę, że gotka w porównaniu z nią wydawała się wręcz radosna. Laurette wyglądała przy nich jak czirliderka.

– Słuchaj no – powiedziała Laurette, kiedy usiadł. – Nie jesteśmy przyjaciółmi.

– Oj, przecież wiem – odparł Danny. Spojrzał na gotkę. – Chcę się tylko dowiedzieć, dlaczego zrobiłaś sobie dziurki, a nie nosisz kolczyków.

– Nie twój interes.

– Powiedz mi, a sobie pójdę.

– Idź już teraz.

– Myśli, że jest dowcipny – powiedziała Laurette. – Wcześniej mówił o moim biuście.

– Faj! – Pulchna i gotka się skrzywiły.

– Wszyscy mówią o twoim biuście – stwierdziła ta ponura z trądzikiem.

– Nie przy mnie – zastrzegła Laurette. – To niegrzeczne.

– Założę się – rzekł Danny do gotki – że albo w szkole obowiązuje zakaz noszenia kolczyków, który olewają wszyscy oprócz ciebie, albo rodzice nie pozwalają ci zakładać ich do szkoły, albo przechodziłaś za blisko silnego magnesu, albo dostajesz zakażeń w przekłutych miejscach i musisz robić sobie przerwy. – Nietrudno było to wydedukować; dwa przekłucia były czerwone i zaognione.

Gotka ostentacyjnie odwróciła się plecami.

– Dzięki. – Danny sięgnął po swoją tacę z lunchem.

– Niczego nie powiedziała – zauważyła Laurette.

– Wiem, ale ja łatwo daję za wygraną.

Odchodząc, zrobił wrota tuż przed gotką i nasunął ich wlot na nią. Przeniosła się tylko o centymetr do przodu. Koleżanki w ogóle tego nie

zauważyły – co najwyżej wydało im się, że drgnęła – ona jednak to poczuła.

– Hej! – wykrzyknęła.

Danny stanął i odwrócił się.

– Popchnąłeś mnie, śmierdzący biegaczu?

– Oho, czyli jednak Laurette o mnie mówiła. – Położył tacę z powrotem na ich stole.

Wszystkie przekłucia gotki się zagoiły. Zniknęły. Jakby w ogóle nigdy niczego sobie nie przekłuła. Żadna z dziewczyn tego nie zauważyła. Danny zaczął jeść.

Dziewczyny wstały i poszły. Kiedy nieco się oddaliły, zrobił przed ponurą wrota, które przeniosły ją o centymetr do przodu i do góry i uleczyły jej trądzik. Nikt nie zauważył natychmiastowej poprawy jej cery, bo nagły przeskok spowodował, że potknęła się i upuściła tacę. Danny nawet na to nie patrzył, choć usłyszał jej barwny, obfitujący w odniesienia do fekaliów monolog oraz śmiech gotki i Laurette, kiedy pomagały jej uprzątnąć bałagan.

Pod wpływem kaprysu zmienił wrota we wrota publiczne, prowadzące w obie strony. Każdy, kto tamtędy przejdzie, natychmiast ozdrowieje – i pewnie potknie się i coś upuści.

Po kilku minutach dwaj chłopcy – jeden bardzo wysoki, drugi otyły, ze zdecydowanie zbyt dużą liczbą kolczyków i w połowie zgolonymi włosami – usiedli przy jego stole, wysoki obok Danny'ego, półwygolony naprzeciwko.

– Naprawdę bajerowałeś Laurette?

– Tak powiedziała? – spytał Danny.

– Powiedziała, że mówiłeś, że przez cały rok będziesz oglądał jej cycki.

– A nie robią tego wszyscy?

– Praktycznie podstawia je ludziom pod nos – stwierdził półwygolony.

– Na pewno nie jemu – zauważył Danny, wskazując na wysokiego.
– Jest za niska.

– Naprawdę biegłeś do szkoły? – spytał wysoki.

– Uhm.

– Dlaczego?

– Bo jest tutaj, a ja byłem tam.

– Skąd jesteś? – spytał półwygolony.

– Z Ohio.

– Twoja ciotka naprawdę otworzy w mieście fabrykę ciuchów?

Danny przewrócił oczami.

– Jakie masz potem lekcje? – spytał wysoki.

– Po długiej przerwie wuef.

– Naprawdę chodzisz na historię dla zaawansowanych? – spytał półwygolony.

Danny skinął głową.

– Też teraz mam wuef – rzekł wysoki.

– I co, mam się spodziewać świetnej zabawy? – spytał Danny.

– Tylko jeśli się podlizujesz trenerowi Killerowi.

– Domyślam się, że ty nie.

– Już za dużo chłopaków całuje go w tyłek. Nie mogę się dopchać.

– Pewnie nawet nie próbujesz.

– Jeśli biegasz – powiedział półwygolony – będzie chciał cię wziąć do drużyny lekkoatletycznej, a wtedy zostaniesz jego najlepszym kumplem.

– Rywalizacja mnie nie interesuje – odparł Danny.

Przyglądali mu się przez długą chwilę, on zaś ułożył chipsy w stos, który następnie włożył pionowo do ust.

Półwygolony zrobił mniejszy stos i próbował zjeść go w ten sam sposób. Skutek był taki, że obsypał sobie koszulę kawałkami chipsów. Danny wyciągnął rękę, wziął jeden z nich i go zjadł. Inicjacja zakończona. Zjedli z nim lunch i wiedział, że nazajutrz będzie mógł z nimi spędzić długą przerwę. Zdawał sobie sprawę, że nie są najpopularniejszymi dzieciakami w szkole. Nic to. Staną się popularni dzięki temu, że go znają.

Jak dotąd świetnie się w szkole bawił.

Wysoki, jak się okazało, nazywał się Hal Sargent. Najwyraźniej był ulubionym obiektem docinków trenera Liedera. Na przykład: „Wszyscy na podłogę i dwadzieścia pompek, niech zobaczą, jaki mam materiał w tym roku. Hal, wiesz, co to jest podłoga? To drewniane coś od ściany do ściany, w co nie trafiłbyś kulą, nawet gdybyś ją upuścił. Połóż na tym twarz, a potem dwadzieścia razy ją od tego oderwij”.

Hal wydawał się pogodzony z tymi drwinami.

Kiedy trener Lieder zaczął się odwracać, Danny nasunął na niego wrota. Podniosły go o parę centymetrów. Stracił równowagę i gruchnął na tyłek.

Wszyscy przestali robić pompki.

– Ćwiczyć dalej, durnie, co, pierwszy raz widzicie, jak ktoś się przewraca? – powiedział Lieder.

Danny szybko odfajkował pompki.

– Te, nowy – zaczął go Lieder.

Danny zaczął robić drugą serię dwudziestu pompek.

– Nowy – powtórzył Lieder. – To mają być pompki?

– Tak jest. – Danny zaczął klaskać w dłonie po każdej pompce.

– Popisujesz się, nowy?

– Czasami, sorze. – Nadał swojemu głosowi idealny ton: grzeczny, a mimo to podszyty sarkazmem. Paru chłopaków parsknęło śmiechem.

Danny skończył drugą serię i wstał.

– Widziałem cię rano, kiedy biegłeś do szkoły – rzekł Lieder.

Danny milczał.

– Nie mówiłem, że możesz przestać robić pompki.

– Kazał sor zrobić dwadzieścia. Ja zrobiłem czterdzieści.

– Wszyscy na zewnątrz – rzucił trener Lieder. – Skoro wasz nowy kolega Daniel Stone tak się lubi popisywać, to poprowadzi was w biegu na dół wzgórza i z powrotem.

Chłopcy jęknęli.

– Dość marudzenia, bo zrobicie dwie rundki! – zagroził Lieder.

Danny potruchtał leniwym tempem w dół wzgórza, nikogo nie prowadząc. Potem wszedł z powrotem na górę z Halem i paroma innymi, którym zabrakło kondycji.

– Chyba kazałem wam biec – powiedział Lieder, kiedy Danny dotarł na szczyt.

– Usłyszałem, że mam kupić sobie lepszy dezodorant, zanim znowu wbiegnę na tę górę – odparł Danny.

– Żarty sobie ze mnie robisz?

– To szczerą prawdą, sorze.

– Kazałem ci im pokazać, jak mają biec.

Danny nic nie powiedział.

– Przebiegnij całą trasę sam – zażądał Lieder.

– Ja biegam dla przyjemności, sorze.

– To daj mi przyjemność oglądania cię w biegu – odparował Lieder.

Wyjął stoper.

Czy już go wystarczająco podpuściłem? – zadał sobie pytanie Danny. Czy naprawdę potrzebny mi taki wróg?

Pewnie, odpowiedział samemu sobie. Wszyscy go nienawidzą. Jasne, chcę, żeby się mnie uczył.

Ruszył w dół wzgórza. Potruchtał niespiesznie aż do znaku stopu na samym dole i wbiegł na górę w dokładnie tym samym tempie.

– Tylko na tyle cię stać? – spytał Lieder.
– Zbiegłem i wbiegłem.
– Rano biegłeś szybciej.
– Rano spieszyło mi się do szkoły.
– Mierzyłem ci czas.
– Wiem.
– To dlaczego nie biegłeś najszybciej, jak potrafisz?
– Bo biegam dla przyjemności – powtórzył Danny. – I takie tempo sprawiało mi przyjemność.
– Wiesz, nowy, chyba nie będziemy ze sobą dobrze żyć – stwierdził trener Lieder.

– Nie bardzo rozumiem dlaczego. Taki jestem miły.
Rozległy się pojedyncze stłumione śmiechy.
– Jesteś niesubordynowanym gnojkiem – powiedział trener Lieder.
– To fakt – odparł Danny.
Tym razem śmiechy nie były już tak skutecznie stłumione.
– Zrób pięć rundek na dół i z powrotem – polecił trener Lieder.
– Nie, sorze.
– Słucham?
– Jest za gorąco. Lato się jeszcze nie skończyło. Nie może sor kazać dziecku zaraz po lunchu wbiegać pięć razy na taką stromą górę. – Między wierszami można było wyczytać słowa „szpital” i „pozew”.

Trener Lieder patrzył na Danny’ego w kamiennym milczeniu.
– Wszyscy wracać do sali gimnastycznej. – Odwrócił się i ruszył pierwszy.

Danny zbiegł ze wzgórza, tym razem najszybciej, jak potrafił, i wrócił na górę w tym samym tempie. Nie zajęło mu to dużo czasu.

Kiedy dotarł na szczyt, Lieder był czerwony na twarzy. Reszta chłopaków wciąż stała wokół niego.

– Co ty wyprawiasz? – spytał trener ze złością.
– Idę do sali gimnastycznej, jak sor kazał.
– Pobiegniesz na dół i z powrotem.
– Tak jest.
– Chociaż powiedziałeś, że tego nie zrobisz.
– Powiedziałem tylko, że w taki upał nie można kazać dziecku zaraz po lunchu wbiegać pięć razy pod taką górę.
– Ale to zrobiłeś.
– Bo sprawiło mi to przyjemność.
– Wiedziałeś, że chcę ci zmierzyć czas. Ruszyłeś, kiedy odwróciłem

się do ciebie plecami.

- Nie lubię, jak mi się mierzy czas.
- Będę ci mierzył czas przez całe półrocze.
- To psuje całą przyjemność biegania.
- Jeśli chcesz być lepszy, trzeba ci mierzyć czas na każdym odcinku.
- Nie chcę być lepszy – rzekł Danny. – To już sprawia mi

przyjemność.

Wtedy trener Lieder wyciągnął asa z rękawa.

– Ktoś taki jak ty przydałby się drużynie lekkoatletycznej szkoły Parry’ego McCluera.

– E tam – powiedział Danny.

Liederowi wyraźnie się nie spodobało, że Danny nie potraktował zaproszenia do drużyny jako komplement.

– Myślisz, że jak długo będę znosił twoje fochy?

– Członkostwo w drużynie jest dobrowolne, sorze. A ja się nie ścigam.

– Nie ścigasz się?

– Lubię biegać z innymi. W wyścigu chodzi o to, żeby jeden biegacz zostawił drugiego w tyle. Po co biegać z innymi, jeśli w końcu i tak zostaje się samemu?

Lieder mało nie dostał apopleksji.

– Żeby wygrać!

– Co wygrać?

– Wyścig.

– Ja się nie ścigam. – Danny ruszył z powrotem do sali gimnastycznej.

– Przebiegnij tę trasę jeszcze raz i daj sobie zmierzyć czas! – zażądał Lieder.

Danny nawet się nie zatrzymał.

– Już dwa razy ją przebiegłem. Dzisiaj ma być trzydzieści stopni.

Wracam do sali.

Po wuefie miał biologię, a potem zajęcia teatralne. Na biologii siedział cicho i oceniał, na ile aktualne są informacje podawane przez nauczyciela. Na zajęciach teatralnych wzbudził sensację jako przedstawiciel płci męskiej w grupie złożonej z jedenastu dziewczyn i dotąd zaledwie dwóch chłopaków.

Na koniec pierwszego dnia szkoły był legendą w dokładnie takim sensie, o jaki mu chodziło. Wszyscy znali jego imię. Postawił się nauczycielowi. Pokazał, że świetnie biega. Mimo to nie zależało mu

na wygrywaniu. A Sin – Cynthia Arnelle, gotka z uczuleniem na kolczyki – była przekonana, że ją magicznie uleczył.

– Nawet usunął przekłucia – powtarzała wszystkim.

– Zrosły się i tyle – twierdziła Laurette stanowczo. – Niczego nie uleczył.

Danny właśnie biegł obok nich do wyjścia ze szkoły.

– Hej, ty! – krzyknęła Sin. Danny potruchtał do niej. – Usunąłeś mi przekłucia, baranie.

Danny uważnie jej się przyjrzał.

– Masz przekłucia?

– Już nie. Przez ciebie.

– Niby kiedy to zrobiłem? – spytał Danny ze zdumioną miną.

– Jak wstałeś od stołu w czasie lunchu. Potrąciłeś mnie i wszystkie przekłucia mi się zagoiły.

Danny przeniósł wzrok z Sin na Laurette i resztę dziewczyn.

– O rany – powiedział. – Gotka, a wierzy w cudowne uzdrowienia.

Ta z kwaśną miną teraz już miała gładką cerę i gdyby się uśmiechnęła, zapewne byłaby ładna. Danny wyciągnął rękę, żeby pogłaskać ją po policzku. Odtrąciła jego dłoń, niechybnie przekonana, że z niej drwił. Nie lubiła, kiedy ktoś dotykał jej obsypanego pryszczami policzka.

Teraz jednak, gdy Danny prawie jej dotknął, Laurette i Sin wlepiły wzrok w gładką skórę Pat, zapewne po raz pierwszy od dawna, bo jako przyjaciółki nauczyły się nie zwracać uwagi na jej cerę.

Zrobiłem, co do mnie należało, powiedział Danny w duchu. Potruchtał w dół wzgórza.

To będzie wspaniały rok.

W pierwszych dwóch tygodniach szkoły Danny biegał szybko tylko wtedy, kiedy Lieder nie mierzył mu czasu. To był dyżurny żart, który przypłacił wezwaniem do dyrektora.

– Może mierzyć mi czas, kiedy chce – powiedział Danny. – I często to robi.

– Tylko że ty wtedy biegasz wolno – zauważył dyrektor Massey.

– Nie lubię, jak mi się mierzy czas.

– To tak jakbyś mówił, że nie lubisz, jak ci się stawia oceny.

– Bo nie lubię. To psuje całą zabawę.

– Przecież słyszałem od twoich nauczycieli, że świetnie sobie

radzisz, a oni wszyscy stawiają ci oceny.

– Do tej pory wszystko, co zadawali, było interesujące.

– Posłuchaj, Danny Stone, wiem, że dotąd uczyłeś się w domu, ale musisz zrozumieć, że w szkole państwowej trzeba wykonywać zadane prace i słuchać nauczycieli.

– Wykonuję zadane prace, panie dyrektorze. Słucham nauczycieli.

– Skoro tak, Danny, to masz też słuchać trenera Liedera. Daj mu zmierzyć czas, kiedy będziesz biegł najszybciej, jak potrafisz!

– Nie moja wina, że ciągle upuszcza stoper albo się przewraca.

Często biegam najszybciej, jak mogę, ale on dziwnym trafem mierzy mi czas tylko wtedy, kiedy nie daję z siebie wszystkiego.

– Nie podoba mi się twoja postawa – powiedział dyrektor Massey.

– Przecież zawsze staram się stać prosto – odparł Danny. – To źle?

– A widzisz? Przez takie dowcipkowanie...

– Czy ja dowcipkuję? To po prostu... prawda.

– Idź już – westchnął dyrektor Massey.

W drugi czwartek szkoły kilka dziewczyn odkryło lecznicze właściwości Miejsca Wywrotek w stołówce i wieść o nim szybko się rozeszła, nawet wśród tych, którzy uznali, że to tylko miejska legenda. Ci, którzy to miejsce wypróbowali, wpadali w popłoch, gdy okazywało się, że naprawdę działa, ale coraz więcej dziewczyn specjalnie starało się tamtędy przechodzić.

Jednak z tego, co Danny wiedział, tylko jedna osoba powiązała go z Miejscem Wywrotek.

– Ty to zrobiłeś – powiedziała Pat, dotykając swojego policzka.

– Co zrobiłem? – spytał Danny.

– Miałam najgorszy trądzik w szkole. Teraz zniknął.

– Widać z niego wyrosłaś. Co ja mam z tym wspólnego?

– Ty to zrobiłeś – powtórzyła. – Miejsce Wywrotek w stołówce... ja pierwsza się tam wywróciłam. Ty je zrobiłeś, a ono mnie uleczyło.

– Ot tak? Kurczę, ani chybi jestem czarodziejem.

– Pojawiasz się w McCluerze i zaczynają się dziać dziwne rzeczy.

– No tak, bo przecież kontroluję kontinuum czasoprzestrzenne.

– Czemu postanowiłeś wyleczyć mój trądzik i zagoić przekłucia Sin?

– dociekała Pat.

– Ty i Sin wyraźnie myślicie, że obchodzicie mnie bardziej, niż to jest naprawdę.

– To czemu na długich przerwach siadasz przy naszym stole?

I przyprowadzasz te dwie ofermy, Hala i Wheelera? Chcesz nam zepsuć

opinię?

– Ja tylko studiuję dekolt Laurette – powiedział Danny. – Średnia zawartość nadal wynosi dwa, ale ciągle liczę, że coś się zmieni.

Pat nazwała go brzydkim słowem i poszła. Jednak nie dał się zwieść. Widział uśmiech igrający w kącikach jej ust. Polubiła swoją nową twarz. Polubiła jego. I wkrótce zbierze się na odwagę, żeby wyznać to Laurette, Sin i Xenie.

Danny lubił pomagać ludziom. Zwłaszcza przyjaciółom.

Niestety, lubił też igrać z ludźmi, którzy jego przyjaciółmi nie byli. Zwłaszcza z palantami, którzy sami się prosili o to, żeby robić im psikusy.

Nie chciał być typowym magiem wrót, który płata ludziom złośliwe figle i bezlitośnie ich wyśmiewa. Jedno, czego nauczył się od Silvermanów, to że magia powinna zmieniać świat na lepsze. A sam się przekonał, że nie potrafi przejść obojętnie obok drugiego człowieka w potrzebie, jeśli mógł mu jakoś pomóc. Nawet nad trenerem Liederem się nie znęcał; no chyba że bronił siebie lub Hala przed zaczepkami.

Pewnego wieczoru, kiedy jadł kolację z Veevee w jej ulubionej włoskiej knajpcie w Naples, zapytał:

– Teoria mówi, że magowie wrót służą czasoprzestrzeni. Czy jeśli przestanę płatać złośliwe figle, moja moc wpływania na czasoprzestrzeń osłabnie albo zniknie?

– Nie mam pojęcia – odparła Veevee.

– Aha. Tak tylko się zastanawiam.

– Danny, jesteś urodzonym mądrałą. Nic na to nie poradzisz. Twoja moc nie może ot, tak zniknąć. A najgorsze jest to, że kiedy chcesz, wszystko uchodzi ci na sucho. Tak właśnie płatasz figle samej czasoprzestrzeni; nigdy nie musisz ponosić konsekwencji swoich psikusów.

Danny wcale nie chciał jej udowadniać, że myliła się co do tych konsekwencji. Tak po prostu wyszło.

W swoje szesnaste urodziny poszedł do szkoły jak zwykle. Był wtorek. Rano ktoś z samorządu podał przez radiowęzeł informację o urodzinach Danny'ego. Niesamowicie, ilu ludzi spotykanych w holu składało mu życzenia. A na długiej przerwie Laurette, Sin i ich koleżanki wyciągnęły go na dwór, żeby tam, rozmyślnie fałszując, odśpiewać mu „Sto lat” w wersji, w której „niech żyje” zostało zastąpione słowami „niech gnije”.

– To ma być prezent? – spytał Danny.

– Ktoś musi ci to powiedzieć – odparła Sin – inaczej co by to były

za urodziny? – Zrobiła sobie dwie nowe dziurki w uchu, z czego jedna już była zakażona. Mało pojętna dziewczyna, stwierdził Danny. Nie jego sprawa.

– Cóż, dzięki – powiedział.

Trener Lieder też słyszał poranne ogłoszenie.

– Szesnaście lat, hej, Stone?

– Tak jest.

– Mam dla ciebie prezent. – Wskazał grubą linę zwisającą z sufitu przy ścianie sali gimnastycznej. Pod nią leżała sterta mat. Poprzedniego dnia tej liny nie było.

– Kogoś powiesimy – rzekł Danny. – Super.

– Wspinaj się – polecił Lieder.

– Nie umiem wchodzić po linie.

– Inni nauczyciele mówią, że szybko się uczysz.

– No tak, ale widzi sor, oni przynajmniej starają się mnie uczyć

– zauważył Danny.

– Chwyć linę dłońmi i się podciągnij. Potem obejmij linę nogami, żeby się nie zsunąć, i sięgnij ręką w górę, żeby podnieść się wyżej. Proszę, nauczyłem cię. Zdobyłeś nową umiejętność. To mój prezent dla ciebie, jubilationie.

Po trzech próbach Danny w końcu wspiął się na samą górę, nie korzystając z ani jednych wrót. Ręce i nogi go piekły, a przy schodzeniu na dół praktycznie nie dało się uniknąć otarć od liny, jednak starał się nie okazywać bólu – i nie skorzystał z wrót, żeby się uleczyć. Chciał, by inne dzieciaki widziały, że choć skórę ma czerwoną i zdartą do krwi, to ból mu niestraszny.

Lieder wyraźnie się wkurzył, że Danny wdrapał się po linie bez słowa skargi. Dlatego uczepił się swojej ulubionej ofiary. Hal był wysoki, ale chudy. Nie miał ani grama mięśni. Jego ramiona przypominały dwa baty woźnicy, nogi wyglądały, jakby mieszkał w obozie koncentracyjnym.

Nie mógł się podciągnąć i już. Nawet na drążku. A żeby wspiąć się po linie, trzeba jeszcze więcej siły. Nawet kiedy paru chłopaków podsadziło go, „żeby dać mu rozpęd”, zsunął się z powrotem na dół, cały czas krzycząc z bólu.

– Pomóż mu wejść na górę – nakazał Danny’emu Lieder.

– Jak? – spytał Danny. – Na popych?

– Chcę go widzieć na samej górze.

– Przepraszam cię, stary – powiedział Hal do Danny’ego.

– Nie twoja wina – odparł Danny. Oczywiście mógł przenieść Hala

pod sam sufit, kiedy tylko chciał. Ale to mogłoby wypaść zbyt spektakularnie. Napisaliby o tym w gazetach.

Przypomniał sobie, co robił w podobnych sytuacjach, kiedy jeszcze nie zdawał sobie sprawy, że jest magiem wrót. Krótkie, małe wrota, o których nawet nie wiedział, że są wrotami.

Obiecał sobie, że nigdy nie posłuży się wrotami, żeby wygrać zawody. Ale żeby pomóc przyjacielowi uciszyć dręczyciela? To co innego.

Zastanawiał się, jak to zrobić, żeby nawet ci, którzy będą patrzeć, nie zauważyli nic podejrzanego. Może spiralny ciąg wrót, by trudniej było dostrzec, że ruchy rąk Hala nie mają wiele wspólnego z jego wspinaczką po linie.

Lieder zaczął wrzeszczeć na kogoś innego i wszyscy patrzyli na tego nieszczęśnika. Danny złapał się liny i wprawił w ruch wirowy ją i siebie. Obracając się, zrobił serię wrót prowadzących w górę. Uznał, że jeśli Hal podczas wspinaczki będzie się kręcił dookoła, nikt nie zauważy, że dzieje się coś nienaturalnego.

Potem, kiedy lina zaczęła odkręcać się z powrotem, Danny zrobił drugą serię małych wrót, tym razem schodzących po spirali z góry na dół.

Przywołał gestem Hala, którego naprawdę bolały poobcierane od liny dłonie i uda.

– Spróbuj jeszcze raz – powiedział cicho. – Ruszaj rękami, jakbyś się wspinał.

– O czym ty mówisz? – zdziwił się Hal.

– Złap się liny i zacznij obracać się zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Zobaczysz.

Akurat nikt na nich nie patrzył i bardzo dobrze, jak się okazało, bo pomysł Danny'ego dał nieoczekiwany efekt. Hal chwycił linę, zakręcił się na niej i dosłownie wystrzelił po spirali w górę. Nie zatrzymał się pod sufitem. Zniknął.

Jakieś pół minuty później pojawił się znowu i zjechał po spirali na dół. Wylądował na tyłku, przewrócił się na bok i pospiesznie szczołgał się z mat, jakby chciał znaleźć się jak najdalej od liny. Wszystkie otarcia zniknęły.

– Co się stało? – zapytał ochryple.

– Nie wiem – powiedział Danny. – A ty jak myślisz?

– Zaczynam się kręcić i nagle patrzę, a tu jestem chyba z kilometr nad ziemią i widzę prawie całą dolinę rzeki Maury. Byłem tak wysoko, że widziałem samochody w kolejce do McDrive'a w Lexington. I czułem się świetnie. Ale ciągle obracałem się w kółko, rozumiesz, i nagle, ni z tego,

ni z owego, zacząłem spadać, tylko że to było tak, jakby jakiś wir ściągał mnie w dół. Tutaj. Chyba się porzygam. Choroba lokomocyjna. Lęk wysokości. Niebezpieczny z ciebie przyjaciel, stary. Co to było, jakiś narkotyk? Bo jeśli to było przywidzenie, wyglądało cholernie realistycznie.

Wszystkie wrota, które zrobił Danny, prowadziły w miejsca na linie. Żadne z nich nie mogły przenieść Hala nad sufit. A już na pewno nie zrobił wrót, które mogły dokonać tego, co opisywał Hal.

Hal złapał linę i podał jej koniec Danny'emu.

– Sam spróbuj. Jeśli zrobiłem coś nie tak, pokaż, jak powinno się to robić.

Danny chwycił linę i zaczął się obracać.

Wzbił się po spirali do góry. I rzeczywiście wylot nie zakończył się pod sufitem. Tak jak mówił Hal, wrota zabrały Danny'ego mniej więcej kilometr ponad szkołę – i tam go zatrzymały.

Zanim zaczęły ściągać go z powrotem na dół, jeden z chłopaków z jego grupy dołączył do niego w powietrzu nad południowym krańcem Buena Vista.

– Supersprawa! – krzyknął. – Jak to zrobiłeś? Magik jesteś czy co? Naucz mnie tej sztuczki!

Danny zsunął się na dół. Wszyscy chłopcy stali w kolejce, żeby „przejechać się na linie”.

Trener Lieder siedział i patrzył, jak jego uczniowie jeden po drugim chwytają się liny i dosłownie znikają. Spojrzał na Danny'ego z nienawiścią i strachem.

– Bawią się jak w wesołym miasteczku. To twoja sprawka.

Danny nie wiedział, co odpowiedzieć. Stało się najgorsze, co można sobie wyobrazić. Wieść o tym się rozejdzie. Sprawą zainteresują się media. Zwłaszcza jak ktoś zrobi teleobiektywem zdjęcie dzieciaków zawisających wysoko w powietrzu i spadających z powrotem na ziemię. A Danny nie miał pojęcia, jak ten proces zatrzymać.

– Skąd naprawdę jesteś? – zapytał trener Lieder. – Z jakiej cholernej planety?

– Nie wiem, jak to działa – odparł Danny zgodnie z prawdą. – To na pewno przez Hala. – Proszę, proszę, niech media przypiszą całą zasługę Halowi. Chociaż informacja o tym tak czy tak ściągnie wszystkie rodziny do szkoły Parry'ego McCluera. I na tym zakończy się edukacja Danny'ego w szkole średniej.

Parę tygodni i będzie po wszystkim. Tylko dlatego, że Danny musiał

posłużyć się wrotami, żeby zrobić wrażenie na kolegach. Nie, och, nie, przecież chciał im tylko pomóc... Wiedział, że to nieprawda. Lubił się popisywać i tyle. Tak się pilnował, żeby nie wykorzystywać wrót do oszukiwania w sporcie, a teraz, proszę bardzo, wykorzystał je, by nieuczciwie wygrać w szkolnym życiu. Co mu strzeliło do głowy? Wpadł w tę samą pułapkę co każdy typowy ciapowaty bohater powieści dla młodzieży, który wplątuje się w poważne kłopoty, kiedy za bardzo chce zaimponować kolegom.

Niczego się nie nauczyłem, pomyślał. A teraz stracę wszystko. Muszę uciekać. Najlepiej już teraz.

I może z miejsca by czmychnął przez wrota, wrócił do Yellow Springs i wyznał wszystko Silvermanom, gdyby nie to, że jeden z chłopaków na linie krzyknął:

– Hej! Co jest?!

Danny podniósł wzrok. Chłopak kręcił się w kółko na końcu liny, ale nic poza tym się nie działo.

Ci, którzy byli wyżej, wciąż zjeżdżali w dół, więc było oczywiste, że wrota działają. Oprócz tych na samym dole.

Danny spojrział na wrota. Czy raczej wyczuł je tym wewnętrznym zmysłem, który nie miał nic wspólnego z jego oczami. Zmieniły się. Wyglądały jak jego stare wrota. Tyle że dopiero w tej chwili zorientował się, że wrota, które robił kiedyś, różniły się od tych, które stwarzał teraz. Kiedy zaczęły się zmieniać? I dlaczego teraz ta zmiana się cofnęła?

Na jego oczach następne wrota w spiralnym ciągu zaczęły się zmieniać. Zupełnie jakby ktoś je zaciskał. Zamykał. Ktoś – albo coś – tu i teraz zamykał jego wrota.

Czyżby znalazł mnie Złodziej Wrót?

Ostatni chłopak zjechał po linie i wrota prowadzące w dół zacisnęły się jedne po drugich. Teraz już wszystkie były zamknięte.

Tak wyglądały wszystkie moje stare wrota. Musiały być zamknięte, kiedy je stwarzałem, tak że tylko ja mogłem przez nie przechodzić. Ale Veevee je znalazła i pootwierala. Jest Przyjaciółką Kluczy, to jej specjalność. Kiedy zobaczyłem, jak moje wrota wyglądają otwarte, w takiej postaci zacząłem je stwarzać. Nieświadomie naśladowałem to, co zrobiła z nimi Veevee.

Czyżby Veevee umiała już nie tylko otwierać wrota, ale i je zamykać? Czy przyszła zerknąć, jak Danny się sprawuje, i przy okazji wyciągnęła go z kłopotów, których sam sobie narobił? Jeśli tak, nie będzie się gniewał. Chłopcy mogą mówić, co chcą, trener Lieder mógł wszystko

powiedzieć mediom, ale jeśli spiralne wrota nie będą działać, nikt im nie uwierzy. Jeżeli nie zarejestrowała tego żadna kamera, jeżeli nie pokazali tego w wiadomościach, to się nie wydarzyło. Gazety będą miały o czym pisać, tylko jeśli Lieder okaże się dość głupi, by upierać się przy swojej wersji wydarzeń dotąd, aż go wyleją albo wyślą do czubków.

Veevee prawdopodobnie ocalała Danny'emu tyłek. Musiała być gdzieś w pobliżu sali gimnastycznej – nie miała takiego zasięgu jak Danny, mogła oddziaływać na wrota tylko w promieniu kilku przecznic i na te, których powstania była świadkiem.

Rozczarowane chłopaki rzuciły się do Hala z pretensjami o to, że wrota przestały działać. Danny był zadowolony. To da mu chwilę na to, żeby się wymknąć, przeprosić Veevee za swoją głupotę i obiecać, że to się nigdy, przenigdy nie powtórzy, i skoro już zamyka wrota, czy mogłaby zrobić coś z Miejscem Wywrotek w stołówce?

Wyszedł z sali gimnastycznej na dwór. Veevee nie było. Pewnie musiała być po drugiej stronie budynku.

Pobiegł jej poszukać. Kilka kroków i skręcił za pierwszy róg, a zaraz potem za drugi.

To nie była Veevee.

To była mała Greczynka.

Jedna z rodzin go znalazła. Nawet bez pomocy gazet. Gdzieś w pobliżu musiała być cała horda najpotężniejszych greckich magów gotowych unicestwić go swoimi mocami. Zdjęty gwałtownym przerażeniem Danny zrobił jedyne, co mógł zrobić. Uciekł przez wrota.

ZAMKI

Na szczęście nigdy, nawet w deszcz, nie przenosił się wrotami ze swojego małego domu w Buena Vista do szkoły i z powrotem, bo mała Greczynka mogłaby stamtąd trafić do apartamentu Veevee na Florydzie, domu Silvermanów w Ohio i domu Stone'a w Waszyngtonie. A jednak, skoro już raz jakoś wpadła na jego trop i go odszukała, teraz na pewno nie odpuści.

Pierwszy przeskok był odruchowy, do lasu nad szkołą, z którego w dzieciństwie obserwował uczniów. Stamtąd przeniósł się wrotami na parking przy drodze do Waszyngtonu, gdzie kiedyś czekali z Erikiem trzy godziny, zanim złapali okazję, choć przez ten czas skombinowali lunch i dużo torebek z resztkami przekąsek. Tam Danny nie zrobił wrót.

Liczył, że będzie miał chwilę spokoju, przemyśli, co się stało i czego się dowiedział. A tu po minucie nagle u jego boku pojawiła się mała Greczynka.

– Proszę, zaczekaj! – krzyknęła.

Więcej nie usłyszał. Stworzył wrota prowadzące w miejsce przed Biblioteką Kongresu, gdzie został zdemaskowany przez Erica i pokazał tyłek ochroniarzom. Teraz, kiedy rozumiał, na czym polega różnica między otwartymi a zamkniętymi wrotami, widział, że te tutaj były zamknięte. Co wiedział o małej Greczynce? Potrafiła zamykać wrota. A czy umiała je otwierać?

Przeniósł się swoimi starymi wrotami do wnęki przy ubikacji. Wybadał wszystkie wrota w bibliotece – były zamknięte. Jeśli Przyjaciele Zamków umieli nie tylko zamykać, ale i otwierać wrota, Greczynka będzie tu lada moment.

Nie zjawiała się jednak.

Czy aż tak łatwo ją zgubić?

A co to za różnica? Skoro znalazła szkołę Parry'ego McCluera, nie mógł dłużej tam zostać. Chociaż tak czy tak sam wszystko zepsuł, stwarzając te durne spiralne wrota, które zabierały ludzi kilometr wyżej, niż zamierzał, i były publiczne, mimo że sądził, że zrobił je inaczej.

Nie było czasu o tym myśleć, żałować szkolnych lat, które go ominą.

Grunt to pozostać przy życiu.

A żeby tego dokonać, musiał nauczyć się świadomie kontrolować proces otwierania i zamykania swoich wrót.

Wrota, które stwarzał od czasu, kiedy poznał Veevee, były otwarte; wszystkie, które powstały wcześniej, zamknięte. Dlaczego się zmienił? Jak się zmienił? Czy Veevee samą swoją obecnością przekształciła stwarzane przez niego wrota? A może robiła to naumyślnie, otwierała je bez jego wiedzy?

Nie. Veevee ich nie zmieniała – czułby to, tak jak czuł, że mała Greczynka zamykała spiralne wrota na linie do wspinaczki. Były dla niej otwarte, kiedy je stwarzał.

Zrobił wrota z wnętrza przy ubikacji na sam środek sali katalogowej. Nie zamierzał z nich korzystać. Musiał tylko zobaczyć, w jakiej postaci wrota teraz z niego wychodzą.

Były otwarte. Jeśli mała Greczynka była w bibliotece, mogła je znaleźć i z nich skorzystać.

Ale co w procesie ich tworzenia powodowało, że te wrota pozostawały otwarte, a te, które robił dawniej, od początku były zamknięte? Co się zmieniło od czasu, gdy pojawiła się Veevee?

Nie chodziło tylko o to, że pootwierala jego wrota, kiedy z nich korzystała. Wówczas nawet nie zauważył różnicy. Może Veevee po prostu zmieniła jego podejście do stwarzania wrót. Swoją żywiołowością. Entuzjazmem. Pokazała, że magia wrót może być dobrą zabawą.

Wcześniej zawsze było to coś najeżonego niebezpieczeństwami. Ucieczka z osady rodziny ze świadomością, że jeśli zostanie schwytany, zginie. Włóczęga z Erikiem, wejście do biblioteki, włamanie – wówczas celem stwarzania wrót było przetrwanie. Albo przestępstwo. Kiedy jednak pojawiła się Veevee i Danny zrozumiał, że robi wrota nie tylko dla siebie, ale i dla niej, zaczęło mu to sprawiać przyjemność. Jak jego nastrój wpływał na sposób kształtowania wrót? I jak ten nastrój kontrolować, żeby zapanować nad całym procesem?

Robił kolejne wrota w różne miejsca w bibliotece, usiłując zmieniać swój nastrój. Sęk w tym, że sam nastrój nie mógł o wszystkim decydować, bo w tej konkretnej chwili Danny był przerażony, a mimo to wszystkie wrota były otwarte.

Sądząc z moich wrót, pomyślał, bawię się świetnie.

Przypomniał sobie to wrażenie zaciskania, kiedy mała Greczynka zamykała wrota. To musiał odtworzyć, a nie swoje nastawienie psychiczne.

Robiąc następne wrota, próbował wywołać w sobie to wrażenie.
I nic.

Było już trzydzieścioro wrót prowadzących z wnęki w różne zakątki biblioteki. Na szczęście żadne nie były publiczne, lecz wszystkie otwarte.

Przestań robić wrota, kretynie, powiedział sobie Danny. Spróbuj pozamykać te, które już są. Jeśli potrafi to Przyjaciół Zamków, to taki Ojciec Wrót jak ty powinien być w stanie to zrobić przez sen.

Kiedy zaczynał stwarzać wrota, nawet nie zdawał sobie sprawy, że to robi. Nie był świadom, że wie, gdzie są, gdzie mają swój początek i koniec. Gdy odkrył, że jest magiem wrót, i zaczął stwarzać je świadomie, przed oczami stanęła mu mapa wszystkich jego wrót. Jak się okazało, miał ją w głowie przez cały czas. Podobnie, zanim poznał Veevee, nie wiedział, czy wrota są zamknięte, czy otwarte, bo nie miał ich z czym porównać, a sam mógł przejść przez swoje wrota bez ich otwierania. Gdy pojawiła się ona, nieświadomie dostrzegł różnicę między jednymi a drugimi; to zmieniło sposób, w jaki stwarzał wrota, mimo że aż do teraz nie zdawał sobie z tego sprawy. A zatem wiedział coś, choć nie wiedział, że to wie. Gdzieś w głębi ducha wiedział, jak zamknąć wrota.

Uspokoił się i przebiegł myślą całą mapę swoich wrót rozrzuconych od Wirginii przez Ohio i Waszyngton po Florydę. Nieduży kawałek świata, stwierdził. Obieżyświatem to on jeszcze nie był. Jednak bez względu na odległość wyczuwał je wszystkie. I każde z nich mógł przesunąć.

Przesunąć je! Oczywiście. Jeśli przesunie wszystkie wrota tak, by zaczynały się i kończyły w innym miejscu, mała Greczynka nie będzie mogła pójść przez nie jego tropem.

Sięgnął po wrota na zewnątrz biblioteki, w tym także te, którymi dostał się do środka, i przyciągnął ich wloty.

Gdzie przyciągnął? Nie myślał o żadnym konkretnym miejscu. Po prostu... przyciągnął.

Kiedy jednak zaczął szukać wrót, które dopiero co przygarnął, nigdzie ich nie było.

Wstrzymał oddech i oparł się o ścianę. Właśnie pożałował własne wrota. To, co odczuł jako „przygarnięcie”, było tak naprawdę długo przez niego poszukiwaną metodą usuwania wrót. Wciągnął je z powrotem do swojego... wewnętrznego wrota z potencjalnymi wrotami? Do swojego zewnętrznego ja.

To samo musieli czuć inni magowie, kiedy przyciągali do siebie zewnętrzne ja, porzucając klienta albo zostawiając brata serca samemu sobie. I było to tak naturalne jak oddychanie – tak jak mówili mu

Silvermanowie. I wujek Poot.

Gdyby tylko umiał to robić, zanim w osadzie Northów pojawiła się mała Greczynka, mógłby usunąć wszelkie ślady magii, a wtedy by go nie znalazła.

To jednak wymagałoby wiedzy, która wówczas była mu niedostępna. Wiedzy, którą zdobył dopiero teraz.

Nie było czasu na rozważania. Musiał nauczyć się zamykać...

Wszystkie wrota, które stworzył w bibliotece, były pozamykane.

Mała Greczynka musiała je zamknąć, kiedy jego uwaga zajęta była czym innym. To oczywiste, że mogła wyczuć przez ścianę, gdzie są. Jeśli trafiła za nim z parkingu na miejsce obnażenia tyłka i dalszy pościg uniemożliwiły jej stare zamknięte wrota Danny'ego, tak czy tak mogła wniknąć do biblioteki i pozamykać jego wrota.

Teraz jednak już lepiej rozumiał, co się dzieje. Przygarnianie wrót w gruncie rzeczy sprowadzało się do ich przesuwania. Otwieranie i zamykanie nie różniło się od stwarzania.

Okazało się to takie łatwe, że mało nie popłakał się z ulgi. Sięgnął do jednych z wrót, które mała Greczynka dopiero co zamknęła, i w ich wlocie delikatnie dokonał aktu prawie stworzenia, tylko że... na szerszej powierzchni. Nie użył żadnego mięśnia. Żadnych słów. Bardziej przypominało to rozmowę prowadzoną za pomocą mentalnych gestów. W efekcie wrota już nie były zamknięte.

Otworzyłem wrota, uświadomił sobie.

Spróbował je zamknąć. Bez skutku.

Potrafił robić to, co robiła Veevee, ale nie to, co robiła mała Greczynka. Był w połowie drogi.

Wrota, które dopiero co otworzył, zamknęły się znowu. Mała Greczynka nie dawała za wygraną. Znowu poczuł to zaciskanie. Tym razem jednak, dzięki temu, że wiedział już, jak wyczuć otwarcie wrót, uprzytomnił sobie, że zamknięcie następuje w ich wylocie, nie wlocie.

Różnica była subtelna, jako że wlot i wylot nie były od siebie oddzielone. To znaczy – oczywiście były, kiedy patrzył z zewnątrz, ale widziane od wewnątrz zajmowały to samo miejsce w tym samym czasie. Były geometrycznie przyległe – nie było żadnego odstępu między światłem wlotu a światłem wylotu, bez względu na to, jak bardzo były od siebie oddalone.

Dlatego dopiero w tej chwili Danny zrozumiał, że stwarzając swoje wczesne wrota, nieświadomie zamykał ich wylot; ale odkąd poznał Veevee, wiedział, że będzie chciała przechodzić przez wrota za nim, więc

tak automatycznie, jak automatycznie przytrzymał drzwi jednej z ciotek czy mamie, zostawiał wylot otwarty.

Pootwierał wszystkie wrota, po czym sam je pozamykał.

Pootwierał wszystkie wrota, które zaczynały się wewnątrz biblioteki. Potem je zamknął. Teraz, kiedy rozumiał, o co chodzi, to była łatwizna.

Tyle lat starałem się opanować tę sztukę, ale nie było nikogo, kto by mnie nauczył albo wyjaśnił, na czym polega... cóż, nie ich wina, moja też nie. Nie mieli słów, żeby to wytłumaczyć. Może nawet teraz, gdyby opisał swoje doznania przy otwieraniu i zamykaniu wrót, Veevee i mała Greczynka spojrzwałyby na niego jak na wariata i stwierdziłyby, że one czują wtedy coś zupełnie innego.

Zorientował się, że ktoś coś robi z jednymi z zamkniętych wrót, ale nie mógł określić co. To musiała być mała Greczynka, ale co ona kombinowała?

Próbowała otworzyć zamknięte wrota.

Znów przeszedł go dreszcz strachu. Właśnie nauczyłem się zamykać wrota, podpatrując, jak robiła to ona. Czy teraz nauczyłem ją je otwierać, pozwalając, by podpatrywała mnie?

Opanował przerażenie. Lęk nie sprzyja logicznemu myśleniu, bo przenosi proces podejmowania decyzji ze świadomości do odruchów układu limbicznego. Liczy się nie to, że Greczynka próbuje się nauczyć otwierać zamknięte wrota. Liczy się to, że czynnie pomagała mi nauczyć się je zamykać.

W jakim innym celu miałyby zamykać wszystkie nowe wrota w bibliotece? Nie mogła z nich korzystać. Musiała zrozumieć, że usiłuję nauczyć się je zamykać, więc pozamykała je wszystkie, żeby pokazać, jak to się robi. Żeby mi pomóc.

Czy to możliwe, że szła moim tropem nie po to, żeby wystawić mnie zabójcom?

Zrobił wizjer. Dawno się nauczył, że polega to na tym, by stworzyć wrota, w które włoży tylko swoją twarz, tak samo jak tego dokonał za pierwszym razem w kantorku Rico. Ponieważ chciał pozostać niezauważony, zmniejszył wrota tak, że ich wlot był wielkości czubka szpilki, a wylot znalazł się na wysokości jego żrenicy. Teraz już rozumiał, że każdy taki wizjer był w rzeczywistości niedokończonymi wrotami, zamkniętymi z obu stron, by tylko on mógł przez nie patrzeć.

Spojrzał przez wizjer na miejsce obnażenia tyłka.

Była tam, zła, sfrustrowana... i przestraszona.

Zauważyła wizjer – nie oczami, oczywiście, ale zmysłem

do wyczuwania wrót. Odwróciła się, wysunęła palec, dotknęła go. Efekt był taki, że nie zasłoniła Danny'emu pola widzenia, tylko weszła w nie w całości. Pozwoliła mu poczuć to, co sama czuła.

To była głęboka, niepokojąca więź, więź więcej niż tylko wizualna. To było tak, jakby zyskał nie władzę nad jej ciałem, lecz wgląd w jej poczucie własnego ja. W to, jak czuła się we własnym ciele.

Wyczuwał też jej zmysł do wrót – pojął, jak jego wrota wyglądają w jej oczach. Czy ona wyczuwała to samo u niego? Czy tak samo odsłaniał się przed nią, czy widziała jego wewnętrzną mapę wszystkich wrót, które kiedykolwiek stworzył? I czy była w stanie wyczuć, że on wyczuwał ją? Czy o to jej chodziło?

Pozwolił, by przeniknęła go na wylot. Zadrzał w przerażającej ekstazie. Czy poczułby to samo bez względu na to, kto znalazłby jego wizjer i go dotknął?

Czy nawiązując tak intymny kontakt z jej zmysłem do wrót i jej wewnętrznym ja, mógł też poznać jej myśli? Zamiary?

Nie. Nie komunikował się z jej umysłem. Wewnętrzne i zewnętrzne ja były odrębne od umysłu, choć wykonywały jego polecenia. Można rzec, że wewnętrzne ja było szkieletem marionetki, którą sterował umysł, a zewnętrzne ja sznurkami, za których pomocą można poruszać innymi marionetkami.

Czy mógł wykorzystać tę więź, żeby przejąć nad nią kontrolę?

Nie. Wybił to sobie z głowy, zanim mógł choćby spróbować. Nawet gdyby to było wykonalne, w co wątpił, to byłoby zaklinanie ludzi. Mag nie przejmował kontroli nad drugim magiem, nawet najgorszym wrogiem, nawet w obronie własnej.

Odsunął wizjer od jej palca, żeby znów zobaczyć ją oczami.

Ledwie to zrobił, zgięła się w pół, klapnęła na trawę i ukryła twarz w dłoniach. Płakała. Gwałtowny szloch wstrząsał jej ramionami. Co on jej zrobił?

Poszerzył wizjer i wsadził w niego twarz.

– Zrobiłem ci krzywdę? – spytał.

Pokręciła głową.

– To dlaczego płaczesz?

Odjęła dłonie od twarzy, lecz jednocześnie się odwróciła.

Oczywiście mógł przesunąć wylot wizjera, gdzie mu się podobało; ale skoro nie chciała, żeby widział jej twarz, postanowił uszanować jej życzenie.

– Uczyłaś mnie zamykać i otwierać wrota, prawda? – zapytał.

Tylko skinęła głową.

– Dlaczego? Gdzie reszta twojej rodziny?

– Nie wiedzą, gdzie jestem – odparła mała Greczynka.

– Powiesz im?

– Nie mogę wrócić. – Doskonale mówiła po angielsku, z lekkim brytyjskim akcentem.

– Dlaczego? Przecież już wiedzą, że jesteś maginią wrót.

– Myśleli, że jestem tylko Poszukiwaczką. Dlatego uznali, że można mi darować życie wbrew traktatom i regułom, bo przecież nie potrafiłam niczego z wrotami zrobić. Nigdy nie ośmieliłam się im pokazać, że mogę przechodzić przez twoje. Sama tego nie wiedziałam, dopóki w końcu nie natrafiłam na otwarte. A wtedy... musiałam odejść. Nie rozumiesz? Całe życie na to czekałam. Byłam tak pełna nadziei, kiedy znalazłam cię trzy lata temu w fortecy Northów. Ale wszystkie twoje wrota były pozamykane i nie mogłam ich otworzyć. Mogłam zamknąć je jeszcze mocniej, tylko co z tego, skoro nikt oprócz ciebie i tak by ich nie znalazł!

Spojrzała prosto na niego, ocierając łzy z policzków.

– I wtedy znalazłam otwarte wrota, które zrobiłeś dla twojej Przyjaciółki Kluczy na Florydzie. Tak, byłam w jej mieszkaniu, i nie, nie widziała mnie. Inaczej poszłaby za mną, nie mogłabym jej powstrzymać. Wszystko, co ja mogę zamknąć, ona może otworzyć.

– A wszystko, co ona otwiera, ty możesz zamknąć.

Danny zmienił wizjer w pełne wrota i przeszedł przez nie, żeby usiąść obok Greczynki na trawie.

– Mam rozumieć, że jesteś w takim samym niebezpieczeństwie jak ja?

– Jestem prawdziwą maginią wrót, zgadza się? Nie zwykłą Poszukiwaczką, ale kimś, kto potrafi zmieniać wrota. Kto może zamknąć je wszystkie oprócz Wielkich Wrót, kto widzi, dokąd wrota prowadzą i gdzie się zaczynają. Byliśmy na zakupach w centrum handlowym w Naples na Florydzie... ja, moi rodzice, wujek, kuzyn, za którego chcą mnie wydać... i zobaczyłam otwarte wrota w korytarzu prowadzącym do ubikacji. Od razu tam poszłam i przeniosłam się na drugą stronę. Nie obchodziło mnie, że w ten sposób zrywam więzi z własną rodziną. Nie obchodziło mnie nawet, dokąd trafię. Wiedziałam tylko, że nareszcie, po tylu latach, znalazłam wrota, z których mogę korzystać. I zamknęłam je za sobą.

– Czyli nikogo ze sobą nie zabrałaś.

– Chciałam cię poznać. Potem się zorientowałam, że zostawiasz

wszystkie wrota otwarte nie dlatego, że tego chcesz, tylko w ogóle nie zdajesz sobie sprawy, że to robisz. I kiedy dostałam się do tej szkoły i zobaczyłam, że próbujesz skrócić Wielkie Wrota...

– Że jak? – spytał Danny.

– Niczego cię nie nauczyli?

– „Skręcić Wielkie Wrota” – powtórzył jak echo. Potem zacytował fragment runicznej inskrypcji. – „Wtedy Loki skrócił nowe wrota do niebios”. Myślałem, że „skrócić” to po prostu „stworzyć” w języku fistalk. A tam chodziło o to, że te wrota mają być spiralne, że stwarzając je, mag musi obracać się w kółko.

– A jak myślisz, co naśladowali tańczący derwisze? Któryś z nich musiał zobaczyć maga wrót wirującego przy stwarzaniu wrót do nieba. Wieża Babel... Nimrod był jednym z pierwszych magów wrót, którzy dotarli do Mezopotamii, sławnym myśliwym, który zbudował wieżę i spuścił z niej linę, na której zamierzał się zakręcić i jak najdłużej wirować, stwarzając przy tym wrota. Twoja rodzina nie zna tych opowieści?

– Nie rozmawiają o magach wrót. Chyba rozumiesz dlaczego.

– Oczywiście, że nic ci nie powiedzieli. Nawet moi krewni udostępni mi informacje o magach wrót tylko dlatego, że chcieli, bym w razie czego potrafiła rozpoznać wrota. Nie żeby to coś dało; w całej Europie, Afryce i Azji nie było ani jednych! Wasz ostatni Loki był skrupulatny. Wszystkie wrota na świecie zniknęły. Przynajmniej dopóki nie przyjechaliśmy do fortecy Northów, gdzie zobaczyłam ich mnóstwo. Nie od razu zorientowałam się, co to jest, i że wrota schowane za budynkami i w drzewach wyczuwam tak wyraźnie jak te na otwartym terenie.

– Czyli kiedy podeszłaś do ściany, za którą się ukrywałem...

– Chciałam cię tylko zobaczyć. Jedyne go maga wrót oprócz mnie, jakiego w życiu znałam. Widziałam wrota płonące w tobie...

– Że jak?

– Twój skarbiec serca. Magowie wrót nie mają normalnego zewnętrznego ja, bo ono w nich od początku jest podzielone, gotowe do przekształcenia we wrota. Twoje jest tak rozdrobnione, że w moich oczach wygląda jak pył. Na to właśnie patrzyłam. Milion potencjalnych wrót, wszystkie zawarte w jednym żywym punkcie wewnątrz twojego ciała.

– Nigdy tego nie czułem.

– A co czułeś przed chwilą, kiedy wniknąłeś we mnie?

– Chwila, moment! – zaprotestował Danny. – To ty wniknęłaś we mnie.

– Musiałam cię jakoś przekonać, że możesz mi zaufać. Dlatego dotknęłam cię, żeby się przed tobą obnażyć. Nie moje ciało, tylko mój skarbiec serca. Mogłeś mi go zabrać i dołączyć do swojego. Pomniejsi magowie wrót czasem tak robią, żeby Brat Ścieżek czy Ojciec Wrót miał wystarczająco duży skarbiec serca do stworzenia Wielkich Wrót. Pomniejszy mag wrót zostaje z niczym, ale jeśli dzięki temu powstają Wielkie Wrota, jego ofiara nie idzie na marne.

– Nic o tym nie wiem – przyznał Danny. – Nikt nie mógł mnie tego nauczyć.

– Ja miałam książki. Nikt w mojej rodzinie też tak naprawdę nic nie wie.

– Dzięki, że mi zaufałaś – powiedział Danny. – Nie miałem pojęcia, co się między nami działo, kiedy dotknęłaś mojego wizjera i cię poczułem.

– Zrozumiałaś dość, by mi zaufać i wyjść tu do mnie.

– Nadal boję się, że to wszystko kłamstwo – rzekł Danny. – Że jakiś Brat Trawy zaraz każe temu trawnikowi mnie pochłonąć czy coś.

Wzięła go za rękę.

– Cokolwiek cię spotka, spotka też mnie, dam ci słowo. Zrobię, co w mojej mocy, żeby cię ochronić, kiedy przyjdzie czas stworzyć Wielkie Wrota.

– Nie chcę zużyć twojego... tego... skarbu...

– Skarbca serca. Magazynka serca, arsenału serca...

– Nie chcę ci tego odebrać.

Zaśmiała się.

– Jeszcze nie rozumiesz? Nigdy nie słyszałam o magu wrót, który miałby taki skarbiec serca jak ty.

– Mówiłaś, że to tylko pył.

– Nie, nie, skarbiec serca jest tej samej wielkości u każdego.

Potencjalne wrota się rozrastają, wypełniając go w całości, albo kurczą się, żeby się w nim zmieścić. W moim jest tylko kilka gruboziarnistych granulek. Z książek... właściwie jednej, tej o skarbcu serca... wynika, że najpotężniejsi Ojcowie Wrót mają w sobie mnóstwo potencjalnych wrót, które wyglądają jak ziarenka piasku. Ale twoje... twoje są...

– Jak pył – dopowiedział Danny.

– To właśnie zobaczyłam, kiedy ukrywałeś się w ścianie. Maga wrót o tak wielkiej mocy...

Danny chwilę to przetrwał.

– No a potem zacząłeś skręcać Wielkie Wrota w szkole.

– Nie miałem pojęcia, co robię. Myślałem, że serię małych wrót, które pomogą koledze wejść po linie na wuefie.

Przez chwilę miała zdziwioną minę.

– Wychowaniu fizycznym – wyjaśnił.

– Nie, nie, zrozumiałam od razu. W końcu jestem magiem wrót, nawet jeśli tylko pomniejszym.

– Bez ciebie chyba nigdy nie nauczyłbym się ich zamykać i otwierać. Czy nawet pożerać.

– Nie pożarłeś żadnych wrót – powiedziała z lekkim śmiechem.

– Zabrałem wszystkie, które były tutaj.

– Tak, przygarnąłeś do siebie własne wrota, ale to nie znaczy, że je pożarłeś. Pożreć można tylko cudze. Zawierają kawałek zewnętrznego ja maga, więc poprzez nie stajesz się z nim związany. To jest pożeranie. Nie możesz pożreć własnych wrót.

– Nic a nic nie wiem – westchnął Danny. – Mam szesnaście lat, a jestem jak małe dziecko.

– Jestem taka mądra, bo dali mi pięć książek do przeczytania. Tylko pięć książek o magach wrót w całej naszej bibliotece... ale to o pięć więcej, niż dali tobie.

Wciąż trzymała go za rękę.

– Czy ja znam twoje imię? – spytał Danny.

– Yllka. To moje oficjalne imię. Ale tajemne imię, które nadali mi rodzice, kiedy się zorientowali, że muszę być takiego czy innego rodzaju magiem wrót, brzmi Hermia.

A więc dali jej imię Hermesa, imię wszystkich magów wrót w rodzinie Greków.

– Czyli sądzili, że będziesz magiem wrót jak ja? Wbrew prawu?

– A jak myślisz, po co dawali mi te książki do czytania? Miałam wszystkie cechy charakterystyczne: dar do języków, brak zewnętrznego ja, brak umiejętności wzbudzania klientów, żadnych talentów magicznych, a przy tym psociłam niemiłosiernie i byłam inteligentna. Mogłam okazać się drekką, ale rodzice skrycie liczyli na coś więcej.

Danny pokręcił głową.

– Przez wiele lat wszyscy udawali, że za nic nie chcą mieć maga wrót, przysięgali, że zabiją pierwszego, który się pokaże...

– Moja rodzina od lat próbuje przekonać pozostałe... nie twoją, oczywiście... że suszlacy stali się potężni i słabe rodzaje magii, które są w naszym zasięgu, nie wystarczą, żeby nas ochronić. Gdzie jest mag

kamienia, który umiałby rozebrać bombę atomową bez jej dotykania? Gdzie Burzownik, który mógłby zdmuchnąć raketę z kursu? Gdzie Ojciec Piasku albo Mistrz Gliny, który nakazałby ziemi wchłonąć czołg? Nie wspominając już o zatrzymywaniu kul czy zmianie ich toru lotu, tego nie dokona żadna magia. Przynajmniej dopóki nie przejdziemy raz jeszcze przez Wielkie Wrota, by powiększyć swoją moc. Zamiast walczyć między sobą, musimy wspólnie przygotować się do tego, by stawić czoło suszłakom.

– To brzmi prawie szlachetnie – zauważył Danny.

– Ale takie nie jest – odparła Hermia. – Rodziny chciałyby znowu być bogami. Wiedzą, że w naszym obecnym położeniu ludzie nie będą nas czcić, a co dopiero oddawać nam hołd czy być nam posłuszni. Jeśli nic się nie zmieni, już zawsze będziemy postrzegani tylko jako jasnowidze i magicy... inaczej mówiąc, szarlatani.

– I myślałaś, że ja chciałem stworzyć Wielkie Wrota?

– Dla Sierot. Ich moja rodzina boi się najbardziej na świecie. Wiesz, to nie byłaby ich pierwsza próba. Twój przyjaciele mieli już kilku magów wrót.

– Mówili mi – przytaknął Danny. – Wszystkich dopada Złodziej Wrót. I dlatego na pewno nie brałbym się dzisiaj do stwarzania Wielkich Wrót, gdybym miał choć cień pojęcia, co robię.

– Cóż, tak czy tak, były dość marne – powiedziała Hermia. – Sięgały na wysokość kilometra. Chyba nie sądzisz, że tak nisko nad Ziemią są jakieś planety? – Uśmiechnęła się.

Danny trochę się pośmiał, ale zaraz przyszło mu do głowy nowe pytanie.

– A w ogóle to jak miałbym stworzyć Wielkie Wrota? Przecież nie wiem, gdzie jest Westil.

Wzruszyła ramionami.

– Nigdy nie było potrzeby tego wiedzieć. Wystarczy, że zrobisz wystarczająco duże wrota i skreślisz je tak, by wybiegły w przestrzeń poza zasięg twojej świadomej kontroli... a same trafią na Westil. Potem robisz to samo w drugą stronę i masz Wielkie Wrota. Publiczne, potężne. Nie tylko uzdrawiające, ale i powiększające moc. Czyniące silnych jeszcze silniejszymi... jak to było z Heraklesem i Goliatem. Nie mogliśmy zrobić z takich suszłaków magów, ale mogliśmy ich przenieść przez Wielkie Wrota...

– Zabrać ich na Olimp – mruknął Danny.

– I odesłać z powrotem po wielekroć silniejszych.

– Powiniennem zrobić takie wrota dla Hala – pomyślał Danny na głos.
– I właśnie dlatego jestem ci potrzebna – stwierdziła Hermia. – Żeby zamknąć drugi koniec wrót, kiedy tylko dotrą na Westil. W przeciwnym razie kto wie, jaki człowiek czy potwór zstąpiłby tu z Westilu?

Danny przypomniał sobie coś, co przeczytał w Biblii Leslie.

– „I został strącony wielki Smok” – wyrecytował z pamięci. – „Wąż starodawny, który zwie się diabeł i szatan, zwodzący całą zamieszkaną ziemię, został strącony na ziemię, a z nim strąceni zostali jego aniołowie”.

– To z Biblii? – spytała Hermia.

– Stosowny cytat do okazji – powiedział Danny.

– Tyle że nie odnosi się do Westilian.

– A do kogo? I dlaczego nie do nas?

– Przez tysiąclecia, w ciągu których Wielkie Wrota były otwarte, na Westilu toczyło się wiele wojen. Jednak nikt przy zdrowych zmysłach nie wyrzuciłby swoich wrogów z Westilu i nie posłałby ich Wielkimi Wrotami do Mitlegardu. Równie dobrze mógłby od razu uleczyć ich rany i zastąpić ich włócznie artylerią, a rydwany myśliwcami odrzutowymi. Nie, kto miał Wielkie Wrota, nie dopuszczał do nich wrogów, tylko sam z nich korzystał.

– Czyli gdybym otworzył Wielkie Wrota, zanim nauczyłbym się je zamykać...

– Wielkie Wrota składają się z setek splecionych ze sobą małych wrót – wyjaśniła Hermia. – Jak w sznurze. Jednak wszystkie te wrota prowadzą na Westil. Stwarzasz je tutaj, ale skręcając je, niejako wyrzucasz ich końce w głąb wszechświata, jakbyś rzucał linę wspinaczowi na ścianie urwiska. Nie da się tego robić i jednocześnie myśleć o tym, czy wrota są pozamykane. Dlatego tak naprawdę nie ma znaczenia, czy umiesz je zamykać, pod warunkiem że masz przy sobie kogoś, kto to potrafi.

– I ty oferujesz mi swoje usługi – domyślił się Danny.

– To właściwie nie oferta, raczej... rozpaczliwe błaganie. Na tym świecie nigdzie nie będę bezpieczna. Kiedy zrobisz Wielkie Wrota, chcę, żebyś zabrał mnie na drugą stronę. Gdzie w Mitlegardzie mogę się ukryć przed rodziną Zeusa?

– Mnie rodzina Odyna jakoś nie znalazła.

– Zeus nie jest jednooki – zauważyła Hermia z szerokim uśmiechem.

– A ja nie jestem prawdziwym Hermesem, który zawsze byłby o krok przed nim. Kiedy mnie złapią, nie będę miała jak uciec, chyba że ty zrobisz mi wrota.

– Czyli jesteśmy sojusznikami – stwierdził Danny.

– Nie potrzebujesz mnie tak bardzo, jak ja ciebie – odparła Hermia.
– Ale naprawdę mogę ci pomóc. Proszę, nie broń mi dostępu do twoich wrót, Danny North.

WIELKIE WROTA

Spotkali się w sali gimnastycznej, bo tam mieli już gotową linę. Była noc, w budynku szkoły panowały ciemności, ale wystarczało im światło jarzących się na zielono znaków wskazujących wyjścia ewakuacyjne.

Smutno było Danny'emu tu wrócić, wiedział bowiem, że więcej się w tej szkole nie pojawi. Tak naprawdę nikt oprócz Hala Sargenta nie wiedział, że dziwne właściwości liny to jego sprawka; mógłby więc wyprzeć się wszystkiego i zostać, tym bardziej że potrafił już zamykać wrota i przenosić je z powrotem do swojego wewnętrznego składu.

Jednak tego wieczora Danny zamierzał spróbować stworzyć Wielkie Wrota. Dowiedział już, że ma wystarczającą moc, i nie było większych wątpliwości, że tego dokona. Bądź co bądź, samotni magowie wrót od Sierot robili Wielkie Wrota przed nim. Nie, najbardziej prawdopodobne było to, że rezultat będzie taki jak w przypadku jego poprzedników: stworzenie Wielkich Wrót i zaraz potem utrata całego zewnętrznego ja maga na rzecz Złodzieja Wrót.

A wtedy za nic w świecie nie będzie mógł zostać w Buena Vista. Bez wrót łączących go z Veevee i Silvermanami byłby sam jak palec. Bez mocy pozwalającej magowi wrót przenosić się, dokąd chce i kiedy chce, byłby zdany na łaskę i niełaskę pajaców pokroju Liedera i Maseya; nie miałby przyjaciółom nic do zaoferowania. Stałby się naprawdę tym, za kogo rodzina długo go uważała: drekką. Musiałby radzić sobie sam w świecie suszłaków, a to miałyby sens tylko blisko domu, w Yellow Springs. Pozostałoby mu dalej być dziwnym młodym biegaczem, uczyć się na same piątki, nie wychylać się i dostać się na studia.

Ustalili wszystko wcześniej, na spotkaniu w salonie Silvermanów. Veevee, Stone, Silvermanowie i Hermia – jak już Stone uznał, że można jej zaufać, i przekonał pozostałych – przedstawili możliwe scenariusze.

– Jeśli Złodziej Wrót cię okradnie – stwierdził Marion – pójdziemy do rodziny Northów, powiemy im, co zrobiłeś, i że straciłeś swoje zewnętrzne ja. Może zostawią cię w spokoju, gdy będą wiedzieć, że nie jesteś już magiem.

– Mało prawdopodobne – odparł Danny.

– Ale to twoja jedyna szansa – powiedział Stone – jeśli nie będziesz już mógł uciekać przez wrota przed każdym, kto zechce cię zabić. Hermia i Veevee będą równie bezbronne; bez twoich wrót nie będą miały jak ani dokąd pójść.

– Nie rozumiem, po co to w ogóle robimy – odezwała się Leslie.

– Czemu nie dać Danny’emu żyć swoim życiem? Jego moc może otworzyć Mittlegard dla Sierot. Jeśli Hermia ma rację i Danny rzeczywiście nosi w sobie wielki zapas wrót, czemu nie połączyć wszystkich najważniejszych miast na świecie dużymi publicznymi wrotami, żeby suszłacy mogli swobodnie się między nimi przemieszczać?

– Rodziny i tak by go dopadły i zabiły – rzekł Marion ze smutkiem.

– A wtedy jego wrota powoli zanikłyby jak duchy, które zostają, kiedy mag porzuca klienta.

– Nie podoba mi się to – stwierdziła Leslie. – Zaczekajmy. Dlaczego to musi się stać już teraz?

– Każdy dzień zwłoki to dzień, w którym ktoś z rodziny może wytropić jego albo Hermię.

– Jeśli Złodziej Wrót po prostu go zabierze...

– Mamo – powiedział Danny, co natychmiast uciszyło Leslie, choć jednocześnie napełniło jej oczy łzami. – Wszyscy magowie, którzy do tej pory próbowali stworzyć Wielkie Wrota, byli sami. Nie mieli z sobą innych magów wrót. Ja mam Hermię i Veevee. Jest szansa, że uda im się zamknąć wrota przed Złodziejem.

– Chociaż nie wiemy, co Złodziej Wrót rzeczywiście robi – ostrzegła Hermia.

Veevee pokręciła głową.

– Zgadzam się z Leslie. Myślę, że ta dziewczyna i ja nie będziemy miały na nic wpływu... po prostu wyraźniej zobaczymy, jak Danny zostanie okradziony.

– Nawet to wzbogaci naszą wiedzę – przekonywał Stone.

– Będziemy mogli to zapisać, rozpowszechnić wśród Sierot. Może dowiemy się czegoś, dzięki czemu następnym razem pójdzie nam lepiej.

– Nie ma o czym dyskutować – rzekł Danny. – Zrobię to. Jeszcze tego wieczoru. Albo Wielkie Wrota powstaną, albo nie. A wy wszyscy będziecie przy tym.

– Ale się szarogęsi, co? – pożartowała Veevee.

– Bo jeśli mi się uda, może Wielkie Wrota kilka sekund wytrzymają. Chcę, żebyście wszyscy przeszli przez nie jak najszybciej. Przeniesiecie się na Westil i od razu wrócicie.

– Po co? – spytała Leslie. – A jeśli tam utkniemy? Nikogo na Westilu nie znamy, pewnie zabiją nas, jak tylko wyjdziemy. Kto wie, może Złodziej Wrót jest władcą tamtego świata.

– Przecież będziemy pierwszymi magami od czternastu stuleci, którzy przeszli przez Wielkie Wrota – powiedział Stone. – Będziemy najpotężniejsi ze wszystkich.

– Co z tego dla mnie wynika? – spytała Leslie. – Że będę najpotężniejszą krową na świecie?

– Ma rację – zgodziła się Veevee. – Nie powinna tam przechodzić.

– Ale Marion musi, a Leslie nie zostanie tu sama bez niego – zauważył Stone.

– No właśnie – przytaknęła Leslie.

– A Marion jest Przyjacielem Kamieni – ciągnął Stone. – Kiedy przejdzie przez wrota, zostanie najpotężniejszym magiem kamienia na świecie.

– Niekoniecznie – rzekł Marion. – Będę dużo mocniejszy w tym, co już potrafię. Ale nic w literaturze przedmiotu nie wskazuje, by Wielkie Wrota mogły zmienić Przyjaciela Kamieni w Ojca Kamienia. Zmieniają skalę, nie charakter umiejętności.

– Spróbujemy, zobaczymy – powiedział Danny. – Jeśli myślisz, że to wskazane, Stone, ściągnę tu Ceda. Jest uzdolnionym magiem wiatru, jak sam mówiłeś. Może nawet Technieniem Wichru. Jeśli przeniesiemy go przez Wielkie Wrota, to po którejkolwiek stronie wyląduje, będzie mógł chronić pozostałych. Nie będzie maga wiatru, który mógłby się z nim równać, ani w żadnej z rodzin, ani zapewne na Westilu, gdyby tam utknął.

– Zapytać nie zaszkodzi – stwierdził Marion. – Nikt nie powinien przejść na Westil, jeśli nie chce ryzykować, że tam ugrzęźnie. Pomyśl, co się wydarzyło w Mittlegardzie od 632 roku naszej ery. Nowoczesne technologie. Szczepienia przeciwko zarazom. Lekarstwa. Jeśli tam nie mają wrót, niełatwo im leczyć ludzi. Spłukiwane sedesy. Kopernikański model Układu Słonecznego. Mikroskopy. Teleskopy. Nie ma powodu sądzić, że tam to wszystko jest.

– A może dokonali jeszcze lepszych odkryć i wynalazków – zauważył Danny. – Może Złodziej Wrót w ogóle nie jest człowiekiem. A jeśli to jakaś maszyna wysysa moc z magów? Nic o tym nie wiemy.

– I najwyższa pora się dowiedzieć – powiedział Marion. – Dzieci moje i Leslie są dorosłe. Jeśli tam utkniemy, będzie nam ich brakowało, ale obejdą się bez nas.

– O czym my w ogóle mówimy? – spytała Hermia. – Wrota pewnie

zostaną wysane z Danny'ego, zanim ktokolwiek zdąży w nie wejść.

– Ach, ci Grecy, takie z nich wesołki – westchnęła kpiąco Veevee.

– Ściśle mówiąc, Grekami nie jesteśmy i nie byliśmy nigdy. Jesteśmy Pelazgami. Byliśmy bogami Ilirów, Albańczyków, Danajów. Kiedy przybyli Dorowie i Jonowie, zniszczyliśmy ich rodziny i od tej pory zaczęli nas czcić. Ale nie jesteśmy Grekami.

– Dzięki za lekcję historii – rzuciła Leslie.

– Ja uważam, że to fascynujące – skomentował Danny.

– No ja nie mogę, Danny się zakochał! – ucieszyła się Veevee.

– Zakochana para, Jacek i Barbara, Barbara...

– Daruj sobie, Veevee – uciął Stone. – Każdemu dziś trochę odbija.

Ale Hermia ma rację. Najprawdopodobniej skończy się tak, że Złodziej Wrót połknie wszystkie wrota Danny'ego, zanim ktokolwiek przeniesie się na Westil, a co dopiero stamtąd wróci. Wszyscy będziemy w Buena Vista w Wirginii, które metropolią raczej nie jest, bez żadnych wrót, którymi moglibyśmy wrócić do domu. Ktoś będzie musiał wynająć samochód, żebyśmy w razie czego mogli pojechać na lotnisko w Roanoke i zmyć się stąd w cholerę. Razem z Dannyem, w jakimkolwiek będzie stanie.

– Ja to załatwię – zaoferowała się Veevee. – Niech Danny mi zrobi porządne wrota między lotniskiem a liną w sali gimnastycznej...

– Dlaczego właśnie tam? – spytała Leslie. – Liny wiszą też w salach gimnastycznych, które nie są o rzut beretem od fortecy Northów.

– Ta dzisiaj się sprawdziła – powiedziała Hermia. – Tam Danny pokazał, że potrafi zrobić Wielkie Wrota.

– Jeśli je dziś stworzymy – zauważył Danny – może uda się obalić ten system żalonych, pełnych nienawiści, paranoicznych, kazirodczych rodzin.

– I zastąpić je żalonymi, samotnymi Sierotami – dokończył Marion.

– Przepraszam, że jestem cyniczny, ale nie wierzę, że my będziemy sprawować się lepiej. Ktokolwiek zdobędzie moc, stanie się bogiem z legend, kapryśnym, okrutnym tyranem.

– I mimo to przejdziesz przez te wrota? – spytała Veevee.

– Powstaną tak czy tak, zgadza się? – odbił pytanie Marion.

– A skoro tak się stanie, chcę, żebyśmy to my weszli w nie pierwsi. Może świat ucierpi na tym mniej, niż gdyby na naszym miejscu był kto inny.

– Czyli chyba wszystko już jasne – rzekł Danny. – Teraz muszę zrobić kilkoro wrót. Stąd do szkoły Parry'ego McCluera, żebyście we właściwym czasie mogli tam przejść. Stamtąd na lotnisko w Roanoke, żeby Veevee mogła wynająć samochód. Dojazd autostradą 81 do Buena

Vista zajmie jej jakąś godzinę. Ja w tym czasie ściągnę tu Ceda, jeśli zgodzi się przyjść. Stone, lepiej chodź ze mną.

– Ja też – powiedziała Hermia. – Zostaję z tobą. – Odwróciła się do Veevee. – I dość tych żarcików o miłości. Ty i ja bez niego jesteśmy niczym, i dobrze o tym wiesz.

– To prawda. – Veevee spotulniała w obliczu jej żarliwości.

– Jeśli nas oszukujesz – przestrzegł Hermię Stone – i to wszystko okaże się zastawioną przez ciebie pułapką na jego życie, przysięgam, zabiję cię gołymi rękami.

Hermia nawet nie mrugnęła okiem.

– Ciesz mi twoją lojalność, ale nie jestem oszustką ani szpiegiem.

– No dobrze, czyli to już sobie wyjaśniliśmy – stwierdził Danny.

– Ponieważ to ja jestem kretynem, który puścił to wszystko w ruch, bo zachciało mu się wygłupów podczas wspinaczki na linie, z góry przepraszam za wszystko, co pójdzie nie tak. Przy odrobinie szczęścia przepadnie tylko moje zewnętrzne ja, a wy będziecie mogli dalej żyć jak do tej pory. Jeśli jednak stanie się coś strasznego, pamiętajcie proszę, że chciałem dobrze i że dałem z siebie wszystko. To wam obiecuję. Zrobię, co w mojej mocy, żeby przeciwstawić się Złodziejowi Wrót i załatwić, co trzeba. Wy musicie to jak najlepiej wykorzystać.

Leslie wybuchnęła płaczem. Danny objął ją ramieniem.

– Och, nie przejmuj się nią – powiedziała Veevee. – Marion jest od tego, żeby ją pocieszać. My mamy robotę. No, rusz się, mały wrotmistrzu.

Wszyscy się zaśmiali, nawet Leslie. Danny wstał i zrobił publiczne wrota z salonu Silvermanów w miejsce koło trybuny w sali gimnastycznej szkoły Parry’ego McCluera. Wziął Hermię za rękę i przeniósł się tam. Veevee chwyciła dłoń Stone’a i ruszyła za nimi.

Ced zgodził się bez wahania – wiedział, że to jego życiowa szansa, nawet gdyby miał utknąć na Westilu. Veevee wynajęła duży samochód sportowo-terenowy i przyjechała do szkoły, nie błędząc po drodze. Danny przygarnął do siebie wszystkie małe wrota, które wyniosły tak wielu uczniów na wysokość kilometra, więc teren był czysty.

– Hermia, zamknij wszystkie publiczne wrota, które dziś zrobiłem. Nie chcę, żeby jutro przerzuciło jakichś uczniów do Roanoke czy Yellow Springs.

– Bez obaw – powiedział Ced. – Złodziej Wrót pewnie pożre

wszystkie przed świtem.

Nikt się nie zaśmiał.

– Przepraszam – mruknął Ced. – Myślałem, że trochę rozluźnię atmosferę.

– I ci się udało – stwierdził Stone. – Teraz wszyscy mają nadzieję, że przejdiesz na Westil i tam zostaniesz. – Tym razem rozległy się chichoty.

Danny spojrzał na Hermię i Veevee.

– Gotowe?

– Będziemy czujne – zapewniła Hermia. – I jeśli będziemy mogli, to ci pomożemy.

– Przede wszystkim dajcie znak, kiedy Wielkie Wrota się otworzą, żeby wszyscy mogli przez nie przejść. Pokażcie im, gdzie jest wejście. Postarajcie się, żeby cały trud nie poszedł na marne, o ile to w ogóle możliwe.

– Myślę, że powinnam pójść z nimi – powiedziała Veevee.

– Wykluczone – odparł Stone. – Musisz być z Dannym, nie rozpraszać się, śmigając przez wrota.

– A jeśli Złodziej Wrót zamknie Wielkie Wrota i ja jedna będę je mogła otworzyć?

– Otworzysz je od tej strony – powiedziała Hermia. – Naszym obowiązkiem jest zostać z Dannym.

Veevee westchnęła.

– Wiem.

– Po prostu nie chce stracić swojego ukochanego męża – skomentował Stone wesoło.

– Leslie pozwalacie pójść z Marionem – zauważyła Veevee.

– Nikt nigdzie z nikim nie pójdzie, dopóki nie stworzę wrót – uciął rozmowę Danny. – Zaczynajmy.

Podszedł do liny, chwycił ją obiema rękami, podniósł nogi i oparł stopy na dużym suple na samym dole.

– Drogie panie, puśćcie mnie w ruch.

Hermia i Veevee zaczęły nim obracać.

– Powoli, nie chcę, żeby zakreśliło mi się w głowie, jeszcze zanim wezmę się do roboty.

Zwolniły tempo.

Obracały go dotąd, aż gruba lina zaczęła składać się wpół i Danny uniósł się zauważalnie wyżej.

– Wystarczy – powiedział. – A teraz wszyscy cicho. Nic nie mówcie do mnie, chyba że będzie działo się coś ważnego, czego mógłbym nie

zobaczyć. Trzeba koncentracji, żeby skrócić tyle wrót naraz.

Z tego, co czytała Hermia, wynikało, że przeciętne Wielkie Wrota składały się z dziesięciu lub dwunastu splecionych i skreconych wrót, z których wszystkie musiały dotrzeć do celu. Niektóre Wielkie Wrota zawierały ich mniej, inne więcej, a im więcej ich było, tym dłużej Wielkie Wrota mogły przetrwać po śmierci maga, który je stworzył. Uznali jednak, że dziś przeciętne wystarczą.

– Puśćcie mnie – polecił Danny. – Tylko ostrożnie, żeby mną nie bujało. – I zamknął oczy. Wzrok tylko rozpraszałby jego uwagę.

– Na trzy – powiedziała Veevee. – No wiesz, Hermia, jak odliczę do trzech. Jasne? Raz, dwa. Już.

Danny zaczął się kręcić.

Natychmiast przystąpił do stwarzania wrót, aż powstało ich dwanaście, o wlotach położonych blisko siebie przy najniższym suple na linie, zwróconych ku zachodniej ścianie sali gimnastycznej. Wszystkie kończyły się pod sufitem, tylko tymczasowo, wloty zaś obracały się wraz z Dannym w coraz szybszym pędzie.

Hermia i Veevee wypatrywały momentu maksymalnego przyspieszenia, kiedy lina rozwinię się do pełnej długości i zacznie się skręcać w przeciwnym kierunku. Danny jednak nie czekał na ich sygnał. Na podstawie tego, co Hermia wyczytała w książkach, wiedział, że Ojcowie Wrót stwarzający Wielkie Wrota zwykle po prostu obracali się w kółko na nogach jak dzieci, które chcą, żeby zakręciło im się w głowie. Takie tempo dla jego celów wystarczy.

Schwycił wyloty wrót i wyrzucił je do góry, w przestrzeń, bez konkretnego celu oprócz niejasnego pojęcia „tam”, gdziekolwiek „tam” było. „Tam” oznaczało Westil. Rodzinny dom magów. I miejsce, gdzie czekał na niego Złodziej Wrót.

Trwało to krócej niż okamgnienie. „Tam”, pomyślał i wyloty wrót były u celu. Tak po prostu.

– Są otwarte – powiedziała Hermia. – Tędy.

Danny nie zdążył zauważyć, czy ktokolwiek przeszedł przez wrota, czy nie. Bo nagle pojawił się Złodziej Wrót. Tak po prostu.

– O Boże! – wykrzyknęła Veevee.

Złodziej Wrót pojmał go tak, jak Bel Lokiego w runicznej inskrypcji: „Szczęki Bela pochwytyły jego serce, aby zabrać je ze sobą”. Dalej jednak było: „Loki mocno trzymał swe serce i podążył za szczękami bestii”.

Teraz Danny w pełni zrozumiał, co ta inskrypcja znaczy. Czuł, że całe jego zewnętrzne ja, wszystkie wrota, które mógł w swoim życiu

zrobić, oddalają się od niego. Mógł je po prostu puścić albo skupić się na nich, próbować utrzymać nad nimi kontrolę.

Ale nie, walka ze Złodziejem Wrót to złe rozwiązanie. „Loki udawał przed Belem, że jest więźniem, lecz więźniem nie był. Jego serce trzymało szczęki; szczęki nie trzymały jego serca”.

Danny przestał stawiać opór, choć zachował koncentrację, świadomość wrót, które zabierał mu Złodziej. Czuł też, że Złodziej Wrót zaczyna połykać wszystkie wrota, które kiedykolwiek stworzył, wsysać je jak makaron z talerza zupy.

I nagle jego zewnętrzne ja dotarło do celu. Znalazło się wewnątrz drugiego człowieka, więc Złodziej Wrót nie był maszyną – ale wokół czuć było silną obecność tysiąca innych zewnętrznych ja. Złodziej Wrót trzymał wszystkie swoje łupy w jednym miejscu. Wśród nich był Danny. Czuł też jednak, że jest tu najsilniejszy. Zbiór jego potencjalnych wrót był większy od wszystkich schowanych tu zewnętrznych ja naraz.

Które z nich należało do samego Złodzieja Wrót? Łatwo to było poznać: to największe. I w tej chwili Danny zobaczył całą mapę czynnych wrót Złodzieja.

Najważniejszy jednak był ten schowek, skład, w którym Złodziej trzymał swój zapas niewykorzystanego zewnętrznego ja, zewnętrzne ja wszystkich magów, których kiedykolwiek okradł, i wszystkie odebrane im wrota. Danny wiedział, że jest potężniejszy od nich wszystkich razem wziętych, ale zdawał sobie też sprawę, że Złodziej Wrót ma wiedzę jemu niedostępną. Chce, żebym z nim walczył, pomyślał. Jeśli spróbuję pociągnąć moje wrota z powrotem do siebie, szczęki się zacisną i odetną wrota ode mnie jak rozciągniętą gumkę recepturkę.

Tak więc Danny zostawił swoje wrota w schowku Złodzieja Wrót. A potem stworzył wszystkie swoje wrota naraz, całe swoje zewnętrzne ja, w postaci jednej ogromnej paszczy, której drugi koniec znajdował się w jego sercu, jego wewnętrznym ja. Od wejścia do wyjścia milion wrót, niezliczone wrota. Otworzył tę paszczę szerzej i wchłonął cały schowek Złodzieja Wrót, tak jak kiedyś połknął Erica, by wyciągnąć go z kantorka Rico.

Jego wrota wróciły na swoje miejsce, tak po prostu. A wraz z nimi wszystkie skradzione wrota ze schowka Złodzieja Wrót. I własne wrota Złodzieja, te, których jeszcze nie stworzył, jego niewykorzystane zewnętrzne ja.

Złodziej Wrót ciągnął swoje zewnętrzne ja do siebie – teraz Danny mógł je odciąć i wchłonąć, i zostawić Złodzieja Wrót z niczym.

Jako że wciąż miał w głowie mapę wrót Złodzieja, Danny wiedział, że wrota już istniejące zostaną na miejscu, że nie okradnie Złodzieja całkowicie. Nie potrafił jednak wessać ich w taki sposób, w jaki Złodziej wessał jego wrota, a wolał nie eksperymentować, bo bał się, że to dałoby Złodziejowi czas na dojście do siebie.

Zamiast tego, zostawiając tych kilkoro wrót, które Złodziej rozmieścił na Westilu, Danny zerwał więź między wszystkimi zewnętrznymi ja a Złodziejem Wrót.

Złodziej Wrót zniknął. Mapa jego wrót zniknęła. Ale Danny miał większość własnych wrót Złodzieja i wszystkie, które ukradł.

Został sam z zewnętrznymi ja tysiąca magów. Nagle zdał sobie sprawę, że one krzyczą. A najgłośniej krzyczało wielkie, potężne zewnętrzne ja Złodzieja Wrót. Nic nie robiły, ale były pełne strachu, nienawiści, nadziei i głodu, i krzyczały w jego głowie, a on mógł tylko krzyczeć na nie dotąd, aż spadł z liny na podłogę sali, to krzycząc, to dysząc, to znowu krzycząc. Nie słyszał własnych myśli. Jestem Danny, próbował powiedzieć. Jestem Danny, to moje serce, nie wasze. Ono należy do mnie.

W ogóle nie przyszło mu do głowy – bo takiego rezultatu nie przewidział – że wpuszczając zewnętrzne ja innych magów do swojego serca, postępuje jak zwierzę, które oddaje zewnętrznemu ja maga kontrolę nad sobą. I jeśli okaże się nie dość silny i wprawny, ktoś będzie nim sterować jak klanem.

A na tym zupełnie się nie znał.

SPRAWIEDLIWOŚĆ

Królowa Bexoi z pozoru ucieszyła się na widok Kluchy, kiedy wszedł do pokoju dziecięcego. Obserwował ją od przeszło dwóch tygodni i w tym czasie nigdy nie była sama. Wiedział, że to nie zbieg okoliczności, nie przypadek. Ilekroć opuszczał ją Prayard, pilnowała, by był przy niej ktoś inny – zwykle urzędnik dworski bądź jedna z piastunek opiekujących się dzieckiem. Klucha wiedział, że w ten sam sposób unikała agentów Grayu, tylko że oczywiście wobec niego przychodziło jej to jeszcze trudniej, bo mógł ją bez przerwy śledzić i dostać się do każdego pomieszczenia. Dlatego kiedy zauważył, że królowa Bexoi nagle nie ma nawet chwili prywatności – ta sama królowa, która niegdyś co dzień miała dla siebie całe godziny i mogła zapewnić sobie samotność jednym skinieniem ręki – od razu poznał, co się za tym kryje.

Dziś nareszcie popełniła błąd. Piastunka, która miała czekać na nią w pokoju dziecięcym, potknęła się na schodach i teraz była w kuchni, gdzie dzienny kucharz, Mast, opatrywał jej ranę. Dlatego kiedy Bexoi zostawiła damy dworu przed drzwiami i weszła do pokoju, za całe towarzystwo miała synka, Dziecię Przysięgi. I, po chwili, Kluchę. Nareszcie byli sami, niewidziani przez nikogo oprócz dziecka i tego, kto mógł ich obserwować przez otwarty wizjer, który Klucha stworzył w dawnej komnacie Anonoei.

A mimo to Bexoi nawet nie mrugnęła okiem, kiedy się pojawił. Uśmiechnęła się ciepło, założyła ręce na swoim dużym brzuchu – do porodu został miesiąc – i powiedziała:

– Och, Klucho, jakże się za tobą stęskniłam, mój jedyny przyjacielu. Usiądź, proszę.

Nie usiadł. Chciał jasno dać jej do zrozumienia, że nie pozwoli bezkarnie skrzywdzić Dziecięcia Przysięgi. Nie miał chwili do stracenia.

– Zdaję sobie sprawę, że między nami wszystko skończone, Bexoi – powiedział – i nie gniewam się.

– Skończone? – zdziwiła się. – Przyjaźń się nie kończy.

– Ale nigdy więcej nie wejdę do twojego łóżka i jestem z tego rad – rzekł Klucha ze spokojem; mamił ją jak ona jego, ale był w tym lepszy.

– Teraz oczywiście mam męża – odparła Bexoi. – Moje samotne czuwanie dobiegło końca. Byłeś dla mnie prawdziwym darem niebios. Nigdy nie zapomnę twojej dobroci. Masz moją dozągonną przyjaźń i wierność.

Klucha ciekaw był, jak długo przygotowywała tę przemowę, świadom, że normalny człowiek na jego miejscu wpadłby w szal, zacząłby bić, złorzeczyć, rozpaczać. Czy tego od niego chciała? Nieważne – nie był tu po to, by postępować zgodnie z jej planami, ale żeby narzucić jej własne.

– Przybyłem, by cię zapytać, czy dziecko Prayarda ma się dobrze.

Bexoi uśmiechnęła się błogo i czule pogłaskała się po brzuchu.

Klucha zauważył jednak, że jednocześnie stała się bardziej spięta.

– Dlaczego cię to ciekawi? Doszły cię słuchy, że niedomagam? Że dziecku grozi jakieś niebezpieczeństwo?

– Jakże dziecku mogłoby cokolwiek grozić w twoim łonie? Kto ośmieliłby się wnikać do twojego ciała i ścisnąć pępowinę, żeby dziecko skonało? Jaki potwór poważiłby się na taką zbrodnię, jaki byłby zdolny coś takiego zrobić?

Stało się. Groźba została wypowiedziana.

Królowa spoważniała.

– Mam przyjaciela, który troszczy się o to, aby dzieci opuszczały moje łono we właściwym czasie, całe i zdrowe. Dbą też o moje ciało, żeby oszczędzić mi szkodliwych tego skutków. Ten przyjaciel jest najdroższą mi osobą na tym świecie.

O tak, ukochana moja, odparł w duchu, nie zapomnij o tym, jak omal nie skonałaś w połogu – i skonałabyś bez mojej pomocy. Pomyśl o tym, zanim podniesiesz rękę na mojego syna.

– Nie droższą od Prayarda – rzekł. – Nie droższą od dziecka, które nosisz w łonie. Nie droższą od Dziecięcia Przysięgi, którego narodziny uczyniły cię królową i małżonką króla rzeczywiście, nie tylko z nazwy.

– Kto może porównywać jedną miłość z drugą?

– I oto jest moje pytanie. – Klucha przeszedł do rzeczy. – Widzisz, trzymam w niewoli dawną ukochaną króla, matkę jego synów, których niegdyś kochał. Przez ostatnie dwa tygodnie, kiedy mnie unikałaś, coraz trudniej mi było niepostrzeżenie dostarczać im żywność.

– Tak być nie powinno – powiedziała Bexoi ze szczerym współczuciem w głosie, choć nie w oczach.

– Pomyślałem sobie, że teraz, kiedy zdobyłaś pozycję należną ci jako królowej, może czas już, abym uwolnił więźniów, którzy przez półtora

roku pozostawali pod moją pieczę. To dzieci, które król niegdyś miłował całym sercem. Pomyśl, jak bardzo byś go uradowała, gdybyś przyprowadziła je do jego sypialni, razem z ich niegdyś kochaną przez niego matką. Jak wylewnie dziękowałby ci za to, że przez te długie miesiące zachowywałaś ich przy życiu.

Bexoi wciąż się uśmiechała, ale jej oczy były twarde.

– Myślałam, że już dawno zeszli z tego świata. Od początku prosiłam, abyś posłał ich na dno jeziora.

– Co ze mnie byłby za strażnik, gdybym pozwolił, by spotkało ich takie nieszczęście? To prawda, w każdej chwili mogą wypaść z celi, ale kto wie, dokąd wtedy przeniosłyby ich wrota czekające u jej wylotu? Na razie prowadzą do wnętrza tej samej jaskini. Ale mogłyby prowadzić tu, do pokoju dziecięcego. Albo do komnaty króla.

– Dlaczego mi grozisz? – zapytała Bexoi łagodnym tonem. – Teraz, kiedy miłość mojego męża jest tak nowa i tak krucha? Grozisz mojemu nienarodzonemu dziecku, grozisz powrotem dawnej kochanki mojego męża i jego bękartów. Dlaczego mój przyjaciel miałby mnie w ten sposób zdradzić?

– Dlaczego mnie unikałaś? Dlaczego zerwałaś ze mną bez słowa? Co innego mogę pomyśleć, jak nie to, że coś knujesz?

– Nie mogłam spojrzeć ci w oczy. – Bexoi teraz, zamiast grać rolę kobiety szczęśliwej, że go widzi, kobiety całkowicie niewinnej, była bezbronną dziewczynką błagającą o pomoc, o zrozumienie. – Myślałam, że się rozgniewasz. Bałam się.

– Myślałaś, że zrozumieć aluzję i zostawię cię w spokoju.

– Pomogłeś mi, kiedy byłam w potrzebie. Chciałam ci pokazać, że już nie jestem.

– Lepiej byłoby powiedzieć, niż pokazać.

– Lepiej byłoby zapytać, niż pojawić się bez zaproszenia – odparła.

– Wiesz, że nie mogę otwarcie z tobą rozmawiać. Posługacz kuchenny? Zamkowa małpa? Człowiek nazwany Kluchą przez jedyną osobę, która go kochała?

– Ja też cię kochałam – powiedziała Bexoi. – I Kocham nadal.

Klucha puścił te słowa mimo uszu. Znał tę grę.

– Jak szybko przepędziliby mnie, wygnali z Nassassa? Albo nawet uwięzili, gdyby pomyśleli, że chcę rozmawiać z tobą w cztery oczy?

– Jeśli tak dobrze znasz swoje miejsce w szeregu, może powinienesz być na nim zostać.

Jej słowa go zabolaly.

- Czy tamtej nocy, kiedy Luvix chciał cię otruć albo zakłuć sztyletem, powinienem był zostać na swoim miejscu?
- Tamtej nocy twoje miejsce było u mojego boku.
- A wtedy, kiedy poczęty został Dziecię Przysięgi?
- Twoje miejsce było w moim łóżu, bo cię do niego zaprosiłam.
- Za to teraz moje miejsce jest tam gdzie kiedyś, jakbyś nie była mi nic dłużna.
- Spałeś z królową Iswegii, siostrą jarla Grayu – powiedziała Bexoi.
- Dostałeś nagrodę. Innej nie ma. Nie jesteś mi już potrzebny.
- Ot i cała naga, odarta z pozorów prawda.
- Czyli między nami wszystko jasne – stwierdził.
- Nie – odparła. – Groziłeś mojemu nienarodzonemu dziecku.
- Wiesz, że nigdy nie skrzywdziłbym dziecka.
- Więzisz dwoje dzieci przez półtora roku w jaskini – wycodziła z pogardą.
- Wytykasz mi zbrodnię, którą popełniłem dla ciebie?
- Gdybyś zrobił to dla mnie, zabiłbyś ich. Nie wiem, dla kogo przez cały ten czas trzymałeś ich przy życiu.
- Nie musiałem dzielić z tobą łóża, Bexoi. Wiem, że to rola twojego męża. Mogłem pozostać twoim obrońcą i sprzymierzeńcem, gdybyś tylko o to poprosiła.
- Wobec tego żałuję, że tego nie zrobiłam. Proszę cię teraz.
- Za późno – rzekł Klucha.
- Niestety – powiedziała Bexoi.

Klucha spodziewał się, że królowa go zaatakuje, dlatego był zaskoczony, kiedy skinęła dłonią i łóżeczko, w którym spał książę zwany Dziecięciem Przysięgi, stanęło w ogniu.

Nie wahał się ani chwili. Przeniósł się wrotami w pobliże łóżeczka, z rękami już wyciągniętymi, by wyjąć dziecko z płomieni.

Dziecka jednak tam nie było. Jego miejsce zajmował manekin, lalka, której używał, ilekroć chciał zataić nieobecność Figła. To go zdekoncentrowało, a wtedy królowa Bexoi spowiła drewnianą lalkę nienaturalnym płomieniem, który wytwarzał gorzki dym. Lalka była czymś pomalowana i buchające z niej kłęby przytępiły zmysły Kluchy.

Uknuła chytry plan – pozwoliła mu myśleć, że ratuje syna, wykorzystwała jego własny podstęp przeciwko niemu i uwięziła go w palących płomieniach i otumaniających oparach.

Bo i jak inaczej zabić maga wrót, jeśli nie zwabiając go w kłąb trującego dymu i trzymając go tam, aż otępieje na tyle, by nie być w stanie

uciec przez wrota?

Truczna nie działała dość szybko, ból palonego ogniem ciała nie był dość silny, zaskoczenie nie trwało dość długo. Klucha wydostał się przez wrota z zamku na szczyt wzgórza z widokiem na Nassassa po drugiej stronie fiordu. A ponieważ wrota go uzdrowiły, natychmiast odzyskał jasność umysłu.

Miał tylko chwilę na to, by się zastanowić, gdzie jest dziecko i jak mogła zabrać je z łóżeczka tak, że tego nie zauważył. Tylko chwilę, by zrozumieć, że to za jej sprawą piastunka „potknęła się” i nie mogła przyjść, że Bexoi posłużyła się tym fortelem, by odwrócić jego uwagę i go zabić. Wcale nie znalazł sposobności, by być z nią sam na sam, tylko nierozważnie wpakował się w zastawioną przez nią pułapkę. Ani przez chwilę nie panował nad sytuacją; bez względu na zagrożenie dla niej i jej drugiego dziecka chciała go zabić, zanim potomek króla przyjdzie na świat.

Nie mógł teraz o tym myśleć, bo nagle zobaczył ze swojego punktu obserwacyjnego, że kilkunastu mężczyzn zsuwa się po linach z murów zamku do jaskiń w ścianie urwiska nad jeziorem. Wiedział, że w trzech znajdują Anonoei i jej dwóch synów. Mieli piki. Ich zamiary nie mogły być bardziej oczywiste. I Klucha przypomniał sobie, że powiedział królowej, jak wygląda przygotowane przez niego więzienie, ale nigdy jej nie wyjawiał, że więźniowie są rozdzieleni i w których jaskiniach ich trzyma.

Potrafił ocalić Anonoei i jej dzieci, ale nie miał zamiaru oddać ich w ręce króla Prayarda. W ten sposób tylko naraziłby ich na zgubę, król bowiem teraz już zadurzony był w Bexoi, która nosiła w łonie jego dziecko. Jeśli usłuchał rady Kluchy i patrzył przez wizjer w dawnej komnacie Anonoei, to wiedział już, że Dziecię Przysięgi nie jest jego synem, że Bexoi była mu niewierna, że wiedziała, kto pojmał Anonoei i jej dzieci, i że jest maginią ognia. Jeśli zaś nie patrzył, to nie wiedział nic. Jednak tak czy inaczej, dla trojga więźniów Kluchy nie byłoby praktycznie żadnej nadziei, gdyby przeniósł ich do Nassassa. Gdyby król ich nie zabił, zrobiłaby to Bexoi.

Klucha skierował swój wewnętrzny wzrok w miejsce położone wysoko w górach. Dawno temu znalazł tam okrycie pozostawione przez młodą dziewczynę. Gdzie jest rodzina tej dziewczyny, ludzie, którzy urządzili sobie piknik pod drzewem, w którym żył w milczącym letargu przez wiele stuleci? Wiedział, że choć sami byli biedni, przygarnęliby pod swój dach matkę z dwoma synkami. A sami więźniowie byłiby tak wdzięczni za odzyskaną wolność, że przyjęliby bez sprzeciwu każdą

ofiarowaną im, choćby najskromniejszą stawę.

Później Klucha przyjdzie do Anonoei i jej synów i opowie im pouczającą historię o tym, kto ich uwięził i w jakich okolicznościach odzyskali wolność. A następnie zaprowadzi ich do ludzi, którzy wciąż nie ufali Bexoi i uważali, że dla dobra królestwa dzieci Anonoei powinny zostać następcami króla Prayarda.

Kiedyś, świeżo wykluty z drzewa, Klucha szedł przez góry za rodziną tej dziewczyny. Widział, dokąd się udali. I teraz był tam, patrzył w dół zbocza na samotny dom wśród pól prawie gotowych do żniw.

Pochwycił wrota u wylotu jaskini, do której opuszczał się jeden z żołnierzy – właśnie stawiał nogi na jej zewnętrznej krawędzi i szykował się, żeby dźgnąć piką leżącego w środku Eluika – po czym przesunął wejście do nich w głąb stromego tunelu, żeby połknąć dziecko. Jednocześnie przeniósł wylot wrót w suchą trawę tuż nad domem Roopa, Levet i ich dobrej córki Eko, która niegdyś przysłała mu z pomocą.

Klucha zaczekał, żeby się upewnić, czy Eluik dotarł na miejsce cały i zdrów, po czym znów skupił uwagę na ścianie urwiska. Drugi żołnierz stał u wylotu jaskini, w której była Anonoei, i przygotowywał się, by dźgnąć piką leżącą przed nim uwięzioną, bezbronną kobietę.

I w tym nadzwyczaj niedogodnym momencie obudziło się w nim znajome uczucie, którego nie rozumiał – palący ból gdzieś w głębi jego duszy, w studni, z której krzyczało do niego pięćset głosów. Nie wiedział, co to palenie oznacza ani dlaczego głosy zaczęły krzyczeć, ani nawet kim one były, wiedział jednak, że ilekroć czuł ten ból w ciągu długich lat spędzonych w drzewie, jedynym sposobem zaspokojenia towarzyszącego mu głodu było pożeranie.

Nie żywności, ale rzeczy, która go paliła.

Teraz jednak nie był w drzewie. Teraz był człowiekiem przebudzonym, Ojcem Wrót, który rozumiał swoją magię. Dlatego to, co w swoim długim letargu wewnątrz drzewa odbierał jako palenie i pożeranie, nieświadomie jak dziecię w łonie matki, teraz pojmował zupełnie inaczej.

To dawała o sobie znać obecność innego maga wrót. A raczej powstanie Wielkich Wrót rozpaliło w nim ten ból. Nowe Wielkie Wrota prowadziły tu ze świata, który Klucha niegdyś dobrze znał, ale dziś go nie pamiętał. Wiedział tylko, że jeśli zostaną na miejscu, zniszczą ten świat.

Instynktownie, w wyrobionym przez lata odruchu, pochwycił Wielkie Wrota i je pożarł. Czuł, że zewnętrzne ja tamtego maga, stwórcy wrót, reaguje zaskoczeniem i próbuje się wycofać. Wiedział, że dokładnie

tego samego doświadczył wiele razy, kiedy żył w drzewie. Tym razem jednak zrozumiał, że ten drugi jest człowiekiem. Pożerał serce tego człowieka, jego zewnętrzne ja, tę jego część, która stwarza wrota. Połknął to serce i razem z nim wciągnął w siebie cały zbiór wrót, które tamten mag stworzył, wessał je jak dyndające u ust kluski. I już po chwili wszystkie te wrota były jego.

Było ich bez liku. Tamten mag miał tak wiele wrót, a mimo to jego skarbiec serca był daleki od wyczerpania. Klucha nigdy jeszcze nie spotkał Ojca Wrót o takim potencjale. Cóż, kiedy ten mag, jak wszyscy przed nim, był naiwny i nie rozumiał, co się z nim dzieje. Za mało się nauczył, by oprzeć się sile, wprawie i sprytowi Kluchy.

Kiedy jednak Klucha już miał zerwać więź między intruzem i wszystkimi wrotami, które mógł zrobić, stało się coś dziwnego. Z serca, które trzymał w szczękach swoich wewnętrznych ust, rozwarły się usta dużo większe i wchłonęły go, cały jego skarbiec serca i wszystkie skarbcie serca innych magów, które przechowywał w sobie. Nieznajomy zacisnął szczęki, ugryzł, więź została zerwana. A Klucha nie był w stanie się przeciwstawić.

Gdyby tamten mag nie był tak naiwny, wessałby jednocześnie wszystkie istniejące wrota Kluchy, ale tego nie zrobił. Zostały tam, gdzie były. Klucha stracił jednak cały swój skarbiec serca, nie miał nic, z czego mógłby stworzyć nowe wrota.

Z największego Ojca Wrót w dziejach Westilu zmienił się w maga tak słabego, że nie miał w sobie żadnego zapasu wrót i mógł tylko manipulować wrotami już istniejącymi.

Żołnierz dźgnął piką w głąb jaskini, a Klucha z początku nie mógł nic zrobić. Potrzebował choć trochę zewnętrznego ja, by przesunąć wrota Anonoei tak jak te Eluika, a nie miał go ani odrobiny.

Dlatego wciągnął wrota Anonoei w siebie, żeby mieć choćby najmniejszy skarbiec serca.

Jej okrwawione ciało sturlało się z jaskini do jeziora.

Klucha teraz jednak miał już wystarczającą moc, by przesunąć wejście do wrót Eluika tuż pod spadającą kobietę. Połknęły ją; zniknęła w locie; ale poczuł, że pojawiła się w śniegu koło domu Eko, całkowicie uzdrowiona przejściem przez wrota.

Znalazł jaskinię, w której trzymał Enoppa. Żołnierz właśnie wyciągał z jaskini pikę, na której ostrzu wisiał Enopp. Gdyby przebiła mu serce, byłoby za późno, żeby go uratować. Klucha pospiesznie przygarnął wrota Enoppa do siebie, zyskując jeszcze większą moc i szybkość. Potem

nasunął na Enoppa wrota Eluika. Chłopiec zniknął.

Ponieważ jednak wciąż ścisnął pikę, wyszła z wrót razem z nim, zostawiając zawieszoną na naprężonej linie żołnierza na krawędzi jaskini z pustymi rękami.

Enopp pojawił się między matką a bratem w trawie. Wrota go nie uleczyły, bo pika wciąż tkwiła w jego ciele, a on nadal ją trzymał.

Wyciągnijcie tę pikę! – krzyknął Klucha w duchu do Anonoei i Eluika, oni jednak tylko dygotali z przerażenia. Po dwóch latach więzienia byli bezradni, złamani, nieporadni. Nie mogli nic zrobić.

Przesunął wejście do wrót na swoją stronę wąwozu, aż go wchłonęły. Wyłonił się na zboczu góry. Wyszarpnął pikę z wijącego się chłopca, przyciągnął do siebie wlot wrót prowadzących w to miejsce z Nassassa i raz jeszcze połknął nimi Enoppa. Chłopiec pojawił się tuż obok, już bez rany w brzuchu.

Klucha stanął przed Anonoei.

– To ty – powiedziała. – Kuchenna małpa. Klucha.

– Zaprowadź synów na dół i błagaj tych dobrych ludzi o pomoc!

Rozum ci odebrało? Idźcie!

Nie byli w stanie iść. Ledwo mogli ustać na nogach.

Klucha przygarnął do siebie wrota, które mu jeszcze zostały, drobny ułamek zewnętrznego ja, z którym przyszedł na świat, i zrobił wrota, które przeniosły jego więźniów przed drzwi skromnej chałupy.

– Otwierać! – zawołał.

Żadnej odpowiedzi.

Dom był pusty.

Klucha przeniósł ich do wnętrza chaty. Tam będzie cieplej niż pod gołym niebem. Na razie nic więcej nie mógł zrobić.

Teraz bowiem, kiedy nic już im nie groziło, miał większe zmartwienie. Kimże byli dla niego Anonoei i jej synowie, jeśli nie najpierw wrogami, potem więźniami, a teraz straszliwym brzemieniem odpowiedzialności? Jako ludzie nie obchodzili go, bo wcale ich nie znał.

W głowie miał teraz tylko jedną myśl: Gdzie jest Figiel? Nie było go w płonącym łóżeczku, kiedy chciałem go stamtąd wyciągnąć. Gdzie go schowała?

Skorzystał z wrót, które miał pod ręką, odwrócił ich kierunek i znów znalazł się na wzgórzu z widokiem na fiord i najbardziej stromą ścianę Nassassa. Potem zamknął te wrota całkowicie i przygarnął wszystkie pozostałe, które były jego furtkami do wolności w Nassassa, wrota, które nigdy nie doprowadziły go do królowej. Teraz żałował, że nie postępował

jak mag, który wchłonął jego skarbiec serca, i nie zostawiał wszędzie setek wrót. Gdyby nie był tak skrupulatny, teraz by je miał. A tak cały jego skarbiec serca był nie większy niż u byle Brata Ścieżek.

Jak mogłem nie zdawać sobie sprawy, że to ja jestem Złodziejem Wrót? Te głosy we mnie, ta kipiąca masa wściekłości, rozpacz i gasnącej pamięci... myślałem, że co to takiego? Nic nie myślałem. Nie pamiętałem czasów, kiedy ich nie było. Takie czasy jednak kiedyś być musiały, bo ja te wszystkie głosy ukradłem. Gdzieś wśród nich był dziadek Hull. Tak wielu innych. Dlaczego to robiłem? Dlaczego to takie ważne, żeby nikt nie stwarzał wrót ani na tym świecie, ani prowadzących tutaj z innego świata?

Uświadomił sobie, że jego prastare ja, to, które wciąż wszystko pamiętało, musiało schować się w drzewie po to, by mógł trwać przez stulecia, kradnąc wrota i serca magów. Dlaczego stał się wrogiem magii wrót? Dlaczego tego nie pamiętał? Czy jego wspomnienia wsączyły się w drzewo i przepadły na zawsze? Czy też wciąż gdzieś w nim były i czekały, aż je odnajdzie?

Przygarnął do siebie wszystkie swoje wrota, po czym wykorzystał te skape zasoby, żeby przeczesać zamek Nassassa w poszukiwaniu syna.

Znalazł ciało Figla pod suknią piastunki, która czuwała nad nim ostatnia. Udusiła dziecko i wyniosła je pod ubraniem w czasie, kiedy Klucha zajęty był obserwacją jej zmienniczki, która potknęła się na schodach i poszła do kuchni opatrzyć ranę. Figiel już nie żył, kiedy Klucha poszedł do jego pokoju rozmówić się z królową.

Sądził, że on i Figiel będą bezpieczni, dopóki królowa nie urodzi. Bexoi na to właśnie liczyła, dlatego uderzyła z wyprzedzeniem. Tylko nieudana próba zabójstwa samego Kluchy przeszkodziła jej w osiągnięciu pełnego sukcesu. To był dzień, godzina, kiedy wszyscy jej rywale mieli zginąć. I zataiła to przed nim.

Klucha przeniósł martwego synka wrotami spod sukni piastunki we własne ramiona. Wrota nie mogły malca uleczyć. Był już zimny.

Piastunka tylko wykonała polecenie królowej. Klucha jej nie zabił. Niech żyje dalej, nękana wspomnieniami dziecka szamoczącego się w jej rękach. Teraz jest przerażona, co się stanie, kiedy królowa zechce zobaczyć jego ciało. Bo Bexoi uzna, że piastunka oddała komuś chłopca. Że dziecko żyje, że sumienie nie pozwoliło kobiecie go zabić, tak jak Klucha nie zabił Anonoei, Eluika i Enoppa.

Gdyby tylko to była prawda, gdyby Klucha znalazł synka żywego, oszczędziłby piastunkę, która odmówiła zabicia jego dziecka. Nawet tak osłabiony jak teraz przeniósłby ją wrotami w bezpieczne miejsce. A tak,

bez zwłok, które byłyby dowodem jej posłuszeństwa, będzie musiała ponieść konsekwencje. Królowa uzna ją za niewinną morderstwa, które rozkazała jej popełnić.

Przez chwilę myślał o straszliwym akcie sprawiedliwości: przeniesieniu martwego syna z powrotem do łona matki, żeby dzielił je z przyrodnim bratem, do którego narodzin został tylko miesiąc. Gdyby Bexoi to przeżyła – a Klucha nie stracił nic ze swojej wprawy, więc było to całkiem możliwe – ciało rozłożyłoby się wewnątrz niej i wkrótce wywarłoby zemstę na swojej okrutnej matce.

Jednak nie miał już chęci zabijać. Rozpacz i strach wzięły w nim górę nad wściekłością. Ojciec Wrót z innego świata dowiedział, że jest od niego silniejszy. Pewnego dnia ten mag przybędzie tutaj, na ten świat, i Klucha nie będzie w stanie stawić mu czoła. Nie czas na nic nieznaczące morderstwa. Niech Bexoi ma swoje królestwo, jeśli zdoła je zachować, jeśli Anonoei nie znajdzie sposobu, by jej odebrać Iswegię. Klucha miał inne sprawy do załatwienia. Innych wrogów, którymi musiał się zająć.

Usiadł na szczycie wzgórza, on, Ojciec Wrót, teraz słaby jak dziecko, i zapłakał. Płakał nad wszystkimi swoimi zbrodniami, nad wszystkimi, którzy umarli, zanim mógł ich ocalić, nad magami, których okradł z mocy. Trzymałem ich zewnętrznie ja w moim skarbcu serca, niektóre przez tysiąc lat, inne jeszcze dłużej, wyrzucał sobie w duchu. Zrobiłem z siebie złodzieja serc i teraz mi za to odpłacono.

A mimo to muszę strzec świata przed wrogiem, którego imienia nie znam, niebezpieczeństwem, którego nie mogę rozpoznać, apokaliptyczną trwogą, której nie mogę się przeciwstawić.

Byłem bogiem, który miał chronić ten świat. Kto skradł moje serce? Czy mój śmiertelny wróg? Czy jakiś niewinny mag wrót, który przypadkiem okazał się tak potężny i nieświadomie odsłonił świat przed prawdziwym wrogiem, kimkolwiek ten wróg jest?

Klucha przeniósł się wrotami z Nassassa w góry. Znalazł Eko przy pracy na jednym z pól obok innego domu – większego. Rodzinie powodziło się lepiej niż kiedyś. Porzucili swoją starą chałupę wśród wysokich gór i lichych ziem.

Eko poznała go od razu i rozpromieniła się.

– Człowiek z drzewa – powiedziała.

– Dziękuję – odrzekł – za wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

Uklękła przed nim.

– O, człowieku z drzewa, jak mogę ci teraz służyć?

– W waszym starym domu w górach jest kobieta z synami. Są

bezbronni. Nikt nie wie, gdzie się ukryli. Jeśli znajdzie ich król lub królowa, zginą. Mają jednak przyjaciół, którzy wkrótce po nich przyjdą. Utrzymaj tych ludzi przy życiu, dopóki nie znajdę i nie sprowadzę ich przyjaciół.

– Dobrze. – Zamknęła oczy. Po chwili otworzyła je, wyciągnęła rękę, dotknęła Kluchy i cofnęła dłoń jak oparzona.

– Jeśli jeszcze mam do tego prawo – odrzekł Klucha – to cię błogosławię.

Wstała i pobiegła ścieżką prowadzącą do opuszczonej chałupy.

Klucha przeniósł się wrotami pod drzewo w Lesie Magów, w którym tak długo żył. Przygarnął do siebie resztę swoich wrót i przywarł do drzewa.

– Przyjmij mnie z powrotem – szepnął. – Zawiodłem pod każdym względem.

Drzewo nie usłuchało jego prośby. Może nie poznawało go bez jego mocy. Może jego czas przeznaczony na pobyt w drzewie minął. Klucha mimo to nie ruszał się z miejsca, wtulony w szorstką korę, bo nie miał dokąd pójść.

– Figlu – wyszeptał. – Synu mój, synu, gdybym tylko to ja umarł zamiast ciebie. O, Figlu, synu mój.

OJCIEC WRÓT

Słyszał ich, gdy go wołali, jakby z bardzo daleka. Leslie, płaczącą nad nim, powtarzającą raz po raz: „Danny, wracaj, Danny, jesteś nam potrzebny, wróć, proszę”. Surowy głos Mariona: „Danielu North, masz pracę. Najpierw obowiązki, potem zabawa. Myślisz, że farma sama się prowadzi?”. Stone’a mówiącego łagodnie: „Danny, musimy dowiedzieć się, co się stało. Musisz zdać nam raport. Cały trud pójdzie na marne, jeśli nie zrozumiemy. Danny, wróć do mnie”.

Veevee i Hermia nic nie mówiły. Ale czuł je, czuł szczypanie i delikatne pieszczoty w swoim wnętrzu, macki wnikające nie w jego ciało, nawet nie w umysł, tylko w to miejsce, gdzie miał wszystkie swoje wrota.

Stopniowo zdał sobie sprawę, co one robią. Wszystkie krzyczące zewnętrzne ja, które zagłuszały jego własne myśli, grożące wchłonięciem go w natłok ich rozpaczliwych, niespełnionych życzeń i żądań, milkły, milkły, milkły jedno po drugim, zamykane przez Hermię. Veevee zaś dotykała tych, do których Hermia jeszcze nie doszła, by zapewnić je, że jest ktoś, kto słyszy, nie muszą krzyczeć, zostaną wysłuchane, jeśli tylko będą mówić pojedynczo, po kolei, nie wszystkie naraz, cierpliwości, cierpliwości.

Tylko jeden głos w nim pozostawał nietknięty, niezamknięty, niezmieniony. To było zewnętrzne ja Złodzieja Wrót, on zaś nie krzyczał. W ogóle nic nie robił.

Wyrwany z otępienia, przerażenia i samotności przez głosy przyjaciół, powoli uwalniany przez Hermię i Veevee od brzemienia wszystkich skradzionych wrót, Danny zwrócił się do Złodzieja.

Kim jesteś? – spytał nie słowami, ale niejako wysnuwając macki swojego umysłu. Dlaczego próbowałeś ukraść moje serce? Czego chciałeś? Czego się bałeś?

Bel Bel Bel... To nie była odpowiedź, raczej swoista czujność, nieustannie badająca otoczenie. Nie pozwól Belowi wrócić na świat, tym razem pożre nas wszystkich, posiadzie suszłaków, wszystkich bez wyjątku, przeprowadzi ich przez wrota na Westil, wszystkich nas połknie. Zamknij

wrota, wszystkie wrota, rozdziel światy. Czy to wrota? Czy tam są wrota? Wrota? Wrota?

Danny stopniowo zrozumiał, że zewnętrzne ja Złodzieja Wrót wciąż wypełnia, we śnie i na jawie, zadanie wyznaczone mu wiele wieków temu. Wypatruj Wielkich Wrót, każdego wrót, zbudź mnie, jak się pojawiają, wszystkie wrota trzeba usunąć, pożreć, przejąć. Nigdzie nie może ich być, żeby wróg nie miał którędy przejść.

Wciąż chodziło o wojnę z Belem. Kartagina dawno legła w gruzach, została zaorana i posypana solą, ale Złodziej Wrót nadal czekał na przybycie niebezpiecznego i nieprzejednanego wroga.

Złodziej Wrót? Teraz już Danny wiedział, kto to jest. Loki. To zawsze był Loki, Ostatni Loki, ten, który zamknął wrota między światami. W jakiś sposób wciąż żył, wciąż czuwał i dopóki Danny nie wchłonął jego zewnętrznego ja, wciąż wytrwale pilnował, by światy pozostały rozdzielone.

Dlaczego? – dopytywał Danny raz po raz. Jednak zewnętrzne ja Lokiego go nie słyszało, tylko czuwało dalej, bacznie obserwując, rozglądając się dookoła.

Nie podnosząc się, wciąż słysząc inne uwięzione zewnętrzne ja, wciąż czując Hermię i Veevee w sobie, wciąż słysząc głosy Leslie, Mariona i Stone'a, Danny zrobił wrota, pojedyncze wrota, długości paru centymetrów.

Zewnętrzne ja Lokiego natychmiast zakrzyczało wszystko i wszystkich. Wrota! Wrota! Wrota! Wrota! Wrota! I Danny poczuł to, co kazało mu czuć zewnętrzne ja Lokiego: Muszę połknąć wrota, muszę pożreć wszystkie wrota, które stworzy ten mag. Danny był głodny. Choć musiał pożreć własne wrota, jeśli miał zaspokoić łaknienie Lokiego.

Złodziej Wrót nosił w sobie ten głód przez ponad trzysta stuleci.

– Zrobił wrota – powiedziała Hermia.

– Zamknięte – dodała Veevee. – Bardzo małe.

– Danny je zrobił? – spytała Hermia. – Czy Złodziej Wrót przejął nad nim kontrolę?

Danny otworzył usta i próbował coś powiedzieć.

– Coś mówi! – krzyknęła Leslie. – Cicho!

– Tylko ty tu hałasujesz, kochanie – rzekł Marion.

Danny szukał własnego głosu, tego, który świat zewnętrzny mógł słyszeć.

– To ja.

Otworzył oczy.

– Nadal jesteśmy w sali gimnastycznej?
– Nie wiedzieliśmy, czy można cię ruszać – wyjaśniła Veevee.
– A Ced nie wrócił przez wrota – dodał Marion.
– Nie chciał – wyjaśniła Leslie.
– Ale my wróciliśmy – powiedział Marion. – Tylko dotknęliśmy ziemi Westilu i od razu wróciliśmy. W czasie kiedy ty walczyłeś. – Mówił z podziwem i szacunkiem.
– To bierz się do przenoszenia gór, mocarzu – rzekł Danny słabym głosem. – A gdzie Stone?
– Nie poszedłem – odezwał się Stone. – Zostałem z Veevee. Co bym zrobił z większą mocą? Hodował wielkie pomidory, żeby robili mi zdjęcia do gazet?
– Mógłbyś otworzyć kwiaciarnię – zauważył Danny. – Jak długo to trwało?
– Może pół godziny – powiedziała Veevee.
– Kto płacze? – spytał Danny.
– Leslie, oczywiście – odparła Veevee.
– I Hermia – dodał Stone.
– Serio? – zirytowała się Veevee. – Miała zamykać wrota.
– Przecież to robię – burknęła Hermia. – Wcale nie płaczę.
– Myśleliśmy, że straciliśmy cię, Danny – powiedziała Veevee. – Tak wiele wrót, tyle zewnętrznych ja. Nie wyobrażaliśmy sobie, jak mógłbyś nad nimi zapanować. Nie dopuścić, żeby przejęły nad tobą władzę. Zwłaszcza że miałeś w sobie zewnętrzne ja Złodzieja Wrót, tak pełne mocy... ale pył twojego zewnętrznego ja wziął nad nim górę. Naprawdę jesteś nie byle kim.
– Gdzie są moje wrota? – spytał Danny.
– Wszystkie masz w sobie – powiedziała Hermia.
– Wielkie Wrota?
– Te zwłaszcza.
– Zróbmy je znowu – powiedział Danny.
– Jeszcze nie – zaprotestowała Veevee. – Nie wiadomo, co by się stało.
– Co z Cedem?
– Został z własnej woli – rzekł Marion. – Mógł wrócić. Możesz otworzyć następne Wielkie Wrota jutro, za tydzień. Niech zrobi, co chce tam zrobić. Za miesiąc możesz go odwiedzić. Daj mu szansę wykazać się jako najpotężniejszy mag wiatru na Westilu.
– O ile jest najpotężniejszy – rzucił Stone.

– Jeśli znowu spróbujesz zrobić Wielkie Wrota – powiedziała Hermia – nie wiadomo, jak zareaguje Złodziej Wrót. On wciąż żyje. Jeśli otworzysz mu przejście, może znajdzie sposób, żeby zabrać to wszystko z powrotem: swoje zewnętrzne ja, więźniów, a nawet ciebie. Nadal jest niebezpieczny.

Danny przytaknął. Bolała go głowa.

– Boli mnie głowa.

– Dość mocno wyróżnąłeś nią w podłogę – stwierdziła Veevee.

– Wypadaloby przenieść cię przez wrota. Nie wiadomo, czy nie dostałeś wstrząsu mózgu.

– Mogła mu pęknąć czaszka – zauważyła Leslie.

– Zdołasz sam się przenieść przez wrota? – spytała Hermia.

Danny pochwycił małe wrota, które stworzył przed chwilą, i przesunął ich wlot nad swoją głową, a potem resztą ciała.

Od razu poczuł się lepiej. Usiadł prosto. Wstał.

– Pokonałeś go! – Hermia rzuciła mu się na szyję. – Pokonałeś Złodzieja Wrót!

– To Loki – powiedział Danny. – Złodziejem Wrót jest Loki. Ten sam.

– Po tysiąc trzystu latach? – spytał Stone z niedowierzaniem.

Hermia puściła go, cofnęła się o krok.

– Widać naprawdę zależało mu na tym, żeby światy pozostały rozdzielone.

– Cóż, Ced teraz jest tam, po drugiej stronie – stwierdził Stone.

– A Marion i Leslie przeszli na Westil i z powrotem.

– Jesteś teraz potężną krową – rzekł Danny do Leslie.

Przypadła do niego i mocno go wyściskała.

– Co teraz? – zapytał wszystkich.

– Trzeba zabrać stąd wynajęty samochód – powiedziała Veevee. – Co znaczy, że przede mną długa jazda.

– Nabiłaś na licznik dość, by uwierzyli, że jeździłaś. Przeniosę cię wrotami z powrotem. A resztę dokąd... do Yellow Springs?

– Na pewno nie do tej nędznej rudery, w której tu mieszkasz – odparła Veevee.

– Chodźmy stąd. – Danny wstał z podłogi. – Teraz, kiedy już wiemy, jak to się robi, możemy zawiesić sznur w stodole.

Poszli do wyjścia ewakuacyjnego, pchnęli drzwi.

Wielkie ptaszysko runęło na Danny'ego, powaliło go na ziemię i zaczęło wściekle dziobać, gdzie popadnie. Danny natychmiast przeniósł

się wrotami jakieś trzy metry dalej i, już bez śladu obrażeń, porwał się na nogi.

O kilka kroków od niego stał Thor. Byli z nim Baba i mama.

– Przestań, Zog! Przestań! – krzyczał Thor na ptaka, który trzepotał wielkimi skrzydłami i gniewnie nacierał na Danny’ego.

I nagle się uspokoił.

– Nie do wiary, że wujek Zog odpuścił – powiedział Danny.

– Nie odpuścił – wyjaśniła Leslie. – Odebrałam mu ptaka.

– Umiesz? – spytał Danny.

– Nikt tego nie potrafi – stwierdził Thor.

– Byłam na Westilu. Nadal nie mogę wstępować w zwierzę, które nie jest ze mną związane, ale mogę zerwać więź maga z bratem serca.

Rozumiecie?

Ziemia zadrżała pod ich nogami.

– Gyish! – krzyknął Baba. – Nie!

Danny dopiero teraz zobaczył Gyisha stojącego przy pikapie rodziny. Starzec nie zwracał na Babę uwagi. U stóp Danny’ego rozwarła się szczelina w ziemi.

Danny po prostu przeniósł się wrotami w bok.

Pojawiła się nowa szczelina.

– Och, na litość boską! – zniecierpliwił się Marion.

Ziemia rozstąpiła się pod Gyishem i starzec wpadł do rozpadliny.

Razem z pikapem.

Mama krzyknęła.

– Marion, coś ty zrobił! – przeraziła się Leslie.

– Spokojnie – rzekł Danny. – Przeniosłem starego wrotami do osady, jak tylko zaczął spadać.

– Nie musiałeś – stwierdził Marion. – Nie zamierzałem go zabić.

Leslie podeszła wielkimi krokami do Baby, mamy i Thora.

– Tak, zrobił Wielkie Wrota. Tak, Złodziej Wrót próbował go porwać. Ale Danny jest największym Ojcem Wrót w dziejach.

Rozumiecie? Walczył ze Złodziejem Wrót i wygrał!

– Och, Danny! – krzyknęła mama. – Spełniłeś nasze nadzieje!

– Właśnie dlatego utrzymywaliśmy cię przy życiu – dodał Baba.

– Żebyś mógł stworzyć nam Wielkie Wrota.

– Jak miło z waszej strony – powiedział Danny.

– A teraz nas wpuść – polecił Baba. – Pozwól nam przejść przez wrota.

– W tej chwili nie istnieją – odezwała się Hermia.

– Ale możesz stworzyć je znowu – stwierdziła mama. Chciwość w jej oczach była przerażająca.

– Jeśli zechcę – powiedział Danny. – Ale jedno jest pewne, mamo, Babo, Thorze. Nikt z rodziny Northów nigdy z nich nie skorzysta.

Gdyby przebił ojcu serce nożem, nie wprawiłby go w większe osłupienie.

– Jesteś moim synem! – krzyknął Baba. – Po to cię stworzyliśmy!

– Ilu magów wrót rodziny zamordowały przede mną? – zapytał Danny. – Dziękuję, że mnie nie zabiliście. Dziękuję, że nie zamordowaliście własnego syna. Cóż za poświęcenie. Teraz mam lepszych rodziców. Jeśli się do nas zbliżycie, przerzucę was wrotami na Księżyc, zrozumiano?

Thor chciał coś powiedzieć, ale zanim zdołał wymówić choć słowo, Danny przeniósł ich wszystkich wrotami z powrotem do osady rodziny.

– To jak się tak naprawdę czujesz? – spytał Stone.

– Zasłużyłem na medal – rzekł Danny. – Nie zabiłem ich.

– Mam wyciągnąć tego pikapa na powierzchnię? – spytał Marion.
– Nie jest bardzo uszkodzony.

– Zmiażdż go – zdecydował Danny. – Niech sobie kupią nowy, będzie im o mnie przypominał.

– Może teraz odwiedzimy moją rodzinę? – zaproponowała Hermia.

– Wszystko w swoim czasie – powiedział Stone. – Przed chwilą prawdopodobnie popełniłeś błąd. Potwierdziłeś ich najgorsze obawy; tym większą mają motywację, żeby cię zabić. Możesz na nowo otworzyć Wielkie Wrota i wysłać przez nie tylko swoich przyjaciół, a ich wrogów. To oznacza zagładę Northów.

– Chyba masz rację – mruknął Danny.

– Coś wymyślimy – stwierdził Marion. – Będziemy negocjować.

Koniec z zabijaniem magów wrót. Każdego niech oddają w nasze ręce, jak tylko się ujawni. A kiedy znów zrobimy Wielkie Wrota, każda z rodzin będzie miała prawo wysłać przez nie jednego członka tam i z powrotem. Jeśli obiecamy, że będziemy się równo dzielić, może uda się zapobiec wojnie.

– I wrota dla wszystkich – zastrzegł Stone. – Łączące wszystkie rodziny. Publiczne wrota, których nie można zamknąć, żeby wszyscy mogli kontrolować się nawzajem bez bulenia na samolot.

Danny się zaśmiał.

– Co w tym śmiesznego? – zdziwiła się Veevee. – Trochę popuściłam w majtki, kiedy otworzył tę szczelinę w ziemi.

- Ja tylko... na to się nie przygotowaliśmy – odparł Danny.
- Na pełny sukces pod każdym względem.
- Nie jest pełny – powiedziała Hermia. – Złodziej Wrót, Loki, nadal tam jest i wie dużo więcej niż my. Rodzinom nie można zaufać, nawet kiedy składają najbardziej solenne obietnice. Jesteśmy bezpieczniejsi, niż byliśmy, ale tylko trochę.
- Zawsze jesteś pesymistką, co? – zapytał Stone.
- Danny wygrał – odparła Hermia – ale tylko dlatego, że wziął Lokiego przez zaskoczenie. Teraz pora, żebyśmy wszyscy przysiedli fałdów i zbadali, co się stało. Żeby Danny, kiedy znowu stawi mu czoło, miał lepsze pojęcie, co robi. Czy Lokiemu coś zostało, Danny, czy zabrałeś wszystko?
- Ma jeszcze sześcioro wrót – rzekł Danny. – Przynajmniej tyle wyczułem, zanim go od siebie odciąłem.
- To może wystarczyć, żeby zrobił własne Wielkie Wrota. A jeśli przejście przez nie powiększa zewnętrzne ja Ojca Wrót, będzie mógł się tu przenieść i nas dopaść.
- Być może. Ale żebyście słyszeli głód jego zewnętrznego ja... jemu chodzi tylko o to, żeby pożerać Wielkie Wrota, nie je stwarzać.
- Musimy zebrać w całość wszystko, co wiemy. Ja przeczytałam pięć ksiązek rodziny o magii wrót. Veevee przez całe życie studiowała wszystko, co publicznie dostępne. Danny dosłownie stanął oko w oko z wrogiem. Myślę, że teraz możemy spróbować to zrozumieć.
- Nie dzisiaj – powiedziała Leslie. Głaskała po głowie ptaka, za którego pomocą Zog próbował zabić Danny’ego.
- Nie wiem, czy stanąłem oko w oko z wrogiem – stwierdził Danny.
- Tak, to był Złodziej Wrót. Ale czegoś się bał. Bela, ktokolwiek to jest. Bóg Kartaginy, ale... musimy dowiedzieć się więcej na ten temat. Zanim zaczniemy odwracać skutki roboty Lokiego, musimy ją zrozumieć. Skąd wiemy, że nie sprowadzimy na świat katastrofy, której tak usilnie starał się zapobiec?
- Nie dzisiaj – powtórzyła Leslie. – Późno już, jesteśmy zmęczeni. Danny, wracasz do domu z nami?
- Czy ze mną? – spytała Veevee. – Mnie wszystko jedno, ale Leslie ma rację. Musimy się przespać.
- Trzeba załatwić nocleg Hermii – rzekł Danny. – Chcesz pójść drażnić Veevee w jej apartamencie? Czy wolisz dużo lepsze jedzenie u Mariona i Leslie?
- Hermia z wahaniem patrzyła to na Veevee, to na Silvermanów.

– Możesz zatrzymać się u mnie – powiedział Stone. – Przyjmuję uchodźców z rodzin.

– Maginie wrót powinny trzymać się razem – rozstrzygnęła Veevee.

– Danny, bądź tak dobry i zanim pójdziesz spać, odtwórz z łaski swojej wrota między Yellow Springs, Naples i Waszyngtonem, co?

– Dobrze – zgodził się Danny. – I nie zapominajcie o wrotach od was wszystkich do mojego domu tutaj, w Buena Vista.

– No nie! – obruszyła się Leslie. – Nie zostaniesz tutaj!

– Nonsens – powiedziała Veevee. – Po tym, co się stało?

– Naprawdę sądzisz, że Northowie zostawią cię w spokoju? – spytał Stone.

– Nie kłóćmy się – poprosił Danny. – Próbuję ułożyć sobie tutaj życie. A jutro muszę iść do szkoły.

Głęboko w sobie słyszał zew tysiąca różnych jestestw, słabszych i silniejszych. A najgłębszym i najsilniejszym z nich było zewnętrzne ja Złodzieja Wrót, prastarego Lokiego. Czuł, jak wezbrało euforią, kiedy odesłał swoich rodziców do domu, przeganiając ich jak wzgardliwy władca poddanych. Zdecydowanie za bardzo polubił swoją moc.

Musi wrócić do szkoły. I więcej nie będzie stwarzał tam wrót; koniec z popisami. Musi zakorzenić się w świecie suszłaków. Bycie bogiem jest zbyt nęcące i niebezpieczne. Ilu ludziom może wyrządzić krzywdę, jeśli nad tym nie zapanuje? Pomyślał o kolegach ze szkoły. Kto ochroni ich przed bogami, jeśli nie Danny? Pomyślał o niespełnionych tyranach jak Lieder i słabeuszach jak Massey. To, że Lieder nadużywał swojej władzy, a Massey nikogo nie chronił własną, nie znaczyło, że mimo swej słabości nie zasługiwali na sprawiedliwość i szacunek. Ich też mógłbym stąd przegnać, pomyślał. Bo mnie obrazili. Ale są pewne zasady przyzwoitości. A jeśli nie, to być powinny.

Zawsze bowiem istniała możliwość, że Loki jednak był dobrym człowiekiem. Że powód, dla którego pozamykał wszystkie wrota, był rzeczywisty i uzasadniony. Że nie chronił tylko Westilu i Westilian – może próbował też ocalić suszłaków.

Urodziłem się z mocą, o jakiej mi się nie śniło, myślał Danny. Jednak w parze z nią szło nie więcej rozsądku niż u zwykłego durnego małolata. Kiedyś muszę wyrosnąć na człowieka, z którym będę mógł jakoś żyć. Człowieka, który nie tylko przetrwa, ale i będzie na to zasługiwał.

POSŁOWIE

Zacząłem tę książkę jak wiele innych – od mapy. Był rok 1977. Nabazgrałem ją i zacząłem nadawać nazwy zaznaczonym na niej miejscom. Powiązałem ją z pomysłem, który kołatał mi się w głowie od ponad roku, o systemie magii, w którym zdobywa się władzę nad określonym stworzeniem lub żywiołem, służąc jego interesom, pomagając mu stać się tym, czym najbardziej pragnie się stać. I kiedy tak rysowałem tę mapę, postanowiłem potraktować ją poważnie.

Wytyczyłem linie brzegowe i rzeki na czystej kartce gładkiego papieru (pierwsza wersja powstała na kartce z zeszytu w linie), a następnie zrobiłem kilkadziesiąt kopii na kserokopiarce w redakcji pisma „The Ensign”, gdzie wówczas pracowałem jako zastępca redaktora naczelnego. Potem narysowałem granice państw i to, jak zmieniały się z biegiem lat. Nadałem im nazwy, które też zmieniały się ze stulecia na stulecie.

Kiedy skończyłem, czułem, że mam przed sobą całą historię, która obejmuje wiele wieków i skrywa w sobie wielką moc. Takie samo wrażenie mnie ogarnia, kiedy ślęczę nad atlasami historycznymi. (Kiedyś napisałem program w BASIC-u na PC juniora, który pokazywał wyniki wszystkich wyborów prezydenckich w dziejach Stanów Zjednoczonych w formie kolorów na mapie. To był jeden z wielu sposobów na zawarcie panoramy historii w dwuwymiarowej przestrzeni. Książka, w której miał zostać zamieszczony, umarła śmiercią naturalną razem z PC juniorem, a program nie działał w żadnej współczesnej wersji BASIC-a. Dlatego musicie uwierzyć mi na słowo, że był rewelacyjny).

Kiedy mapy były gotowe, przyszedł czas, by przetestować wymyślony przeze mnie system magii. Efektem było mroczne opowiadanie „Sandmagic”. Choć ówczesny redaktor naczelny pisma „Fantastic” odrzucił je, powiadamiając mnie o tym w nieuprzejmym liście, nie dałem za wygraną. Zostało opublikowane w antologii Andy’ego Offutta, a potem wybrane do antologii najlepszych opowiadań fantasy roku. To był wystarczający dowód, że wysiłek się opłacił.

Sęk w tym, że świat magów Mitheru stał mi się zbyt bliski. Miałem wrażenie, że to mój najlepszy świat i najlepszy system magii. Chciałem

opowiadać tylko historie, które będą go warte. Poza tym, w tamtych czasach fantasy nie sprzedawała się tak dobrze jak science fiction. Miałem rodzinę na utrzymaniu. Zostałem przy statkach kosmicznych i odłożyłem magów Mitheru na później, do czasu, aż wymyślę historię, która wydobędzie z tego świata pełnię możliwości.

Nie zdawałem sobie sprawy, że część tej historii już mam. Jay A. Parry, mój najbliższy przyjaciel w „The Ensign” (i, w owym czasie, najbliższy w ogóle), i ja pracowaliśmy nad pomysłem na opowieść o sierocie albo nieślubnym dziecku, które mieszka w średniowiecznym zamku, wałęsa się po nim i szpieguje mieszkańców, czołgając się po belkach dachowych i krokwiach, tajnych korytarzach, strzesze dachowej, studzienkach, kanałach i tunelach. Bohater miał wiedzieć o wszystkim, co dzieje się w zamku, a mimo to wszyscy mieli go ignorować albo nim gardzić. Jay nazwał go Kluchą.

Lata później próbowaliśmy nawet wspólnie napisać powieść, którą moglibyśmy sprzedać. Jay napisał znakomity początek, ale ja jakoś nie mogłem pociągnąć go dalej. Teraz rozumiem, że stanął mi na przeszkodzie system magii, który wówczas opracowaliśmy – nie był wystarczająco mocny. Nie mogłem jednak wymyślić lepszego.

Przenieśmy się o dziesięć lat do przodu. Opublikowałem mapy magów Mitheru w małym zbiorze pod tytułem „Cardography” (w niniejszej książce tych map nie ma, bo na razie nie są potrzebne; pojawią się w następnym tomie). A mimo to po „Sandmagic” nie napisałem ani jednej opowieści osadzonej w tym świecie. Jednak te mapy i ta magia nie chciały dać mi spokoju. Pewnego dnia, kiedy nad tym dumałem, nagle olśniło mnie, że gdyby Klucha żył w świecie magów Mitheru, jego historia mogłaby stać się warta napisania.

Poprosiłem Jaya o zgodę na umieszczenie Kluchy w tym moim świecie. Jay wspaniałomyślnie na to przystał i dlatego zachowałem imię, które nadał temu zagubionemu, samotnemu chłopcu. Od razu wiedziałem, gdzie w świecie powieści go umiejscowię – w Iswegii, północnym królestwie, które rozkwita dzięki handlowi i korsarstwu.

Przez pewien czas świat magów Mitheru nabierał kształtu pod okiem redaktor Betsy Mitchell z Del Rey – dobrze mi się z nią pracowało nad książką, którą uważałem za moją do tej pory najlepszą, „Magic Street”. Służyła mi wielką pomocą i radą przy pracy nad magami Mitheru i w tym czasie doszedłem do wniosku, że w swojej opowieści zepnę nasz współczesny świat ze światem magicznym, tak jak to zrobiłem w „Magic Street” i bezpośrednio ją poprzedzającym współczesno-średniowiecznym

romansie fantastycznym pod tytułem „Oczarowanie”.

System magii rozwinął się błyskawicznie; miał wyjaśnić wszystko. Elfy i duszki leśne, starożytne mityczne bóstwa wszystkich kultur indoeuropejskich, duchy i widma, wilkołaki, trolle i golemy, buty siedmiomilowe i wędrujące góry, mówiące drzewa i niewidzialni ludzie – wszystko miało się w nim zawrzeć.

Kiedy dopasowywałem magię magów Mitheru do naszego świata, dawnego i współczesnego, Gardner Dozois zaproponował mi, abym dostarczył opowiadanie do antologii „Czarnoksiężnicy”. Wymyśliłem opowieść osadzoną w całości w świecie magów Mitheru, której akcja toczyła się w bliżej nieokreślonej dawnej epoce. Nadałem jej tytuł „Ojciec kamieni” i jak tylko skończyłem ją pisać, zdałem sobie sprawę, że to jedna z najlepszych historii, jakie wyszły spod mojego pióra. Później wydałem ją we współpracy z Subterranean Press jako oddzielną minipowieść z piękną okładką autorstwa Toma Kidda. Miałem namacalny dowód, że świat magów Mitheru wciąż żyje i może być źródłem solidnych opowieści.

Jednak praca nad historią Kluchy i równolegle prowadzoną opowieścią o Dannym, chłopcu urodzonym w naszym świecie jako mag wrót w rodzinie westiliańskiej, szła jak po grudzie. Problem polegał na tym, że system magii był zbyt zawiły. Tak wiele trzeba było wytłumaczyć. Na długie lata utknąłem w miejscu; nie mogłem wyjść poza pierwszy rozdział, w którym dużo młodszy Danny usiłuje zrozumieć, co się dzieje w jego magicznej rodzinie.

Kiedy rozwiązałem ten problem, pieczę nad przedsięwzięciem przejął mój główny wydawca, Tor, i znów zacząłem pracować z moją długoletnią redaktorką i przyjaciółką, Beth Meacham. Uświadomiłem sobie (w końcu!), że źle podchodzę do sprawy. Zastąpiłem małego chłopca, który nie wie prawie nic i dowiaduje się wszystkiego razem z czytelnikiem, dwunastolatkiem, który o tym, jak działa magia i jakie jest miejsce Westilian we Wszechświecie, wie tyle co wszyscy w jego rodzinie.

Tak naprawdę postępowałem zgodnie z własną radą – zawsze powtarzam moim studentom na zajęciach z pisania, że suspens nie bierze się z tego, że czytelnik nie wie nic, tylko z tego, że wie prawie wszystko i pragnie poznać ten jeden drobny, nieznany jeszcze szczegół. Spodziewałem się spędzić dużo czasu w osadzie Northów, kreśląc relacje Danny’ego z ciotkami i wujkami, kuzynami, rodzicami i rodzeństwem, ale osada szybko wydała mi się zbyt ciasna i przygnębiająca – tak jak Danny’emu. Zapędziłem go w ślepą uliczkę; tam nie mógł się rozwijać. Musiałem go stamtąd wyciągnąć.

Od chwili kiedy opuścił osadę rodziny i zaczął kraść w Wal-Marcie w Lexington, pisanie szło już gładko aż do samego końca. Scena, którą początkowo chciałem umieścić na początku – z wrotami, które pozwalały Danny’emu i innym dzieciom błyskawicznie wspinać się po linie w sali gimnastycznej szkoły w Buena Vista – stała się punktem kulminacyjnym powieści. Tymczasem historia Kluchy, która przez lata uparcie pozostawała niekonkretna, nagle wyklarowała się, kiedy napisałem opowiadanie „Człowiek w drzewie”, od początku zamierzone jako rozdział niniejszej książki, a następnie stworzyłem postać królowej Bexoi – sojuszniczki, kochanki i wroga Kluchy.

Brakowało tylko jednego składnika i znalazłem go czystym przypadkiem. Wiele lat temu Victoria Von Roth, znakomita aktorka, która występowała w reżyserowanym przeze mnie spektaklu „Posing As People” wystawionym w Los Angeles, wręcz zażądała, żebym postaci w jednej z moich książek dał jej nazwisko. Później od czasu do czasu mi o tym przypominała i tak się złożyło, że przy jednej okazji zrobiła to właśnie wtedy, kiedy przenieśliśmy Danny’ego do Yellow Springs w stanie Ohio i nie miałem pojęcia, jak dalej poprowadzić go na jego drodze do poznania samego siebie. „Wykorzystaj moje nazwisko w tej książce”, zasugerowała Veevee i tak też uczyniłem. Pomyślałem o żywiołowości i autentycznej dobroci prawdziwej Victorii i tak narodziła się postać nosząca jej nazwisko. Dałem Victorii te rozdziały do wglądu; gdyby postać jej się nie spodobała, po prostu zmieniłbym jej nazwisko. Ona jednak wyraziła aprobatę i nazwisko zostało.

Beth Meacham czytała kolejne rozdziały, w miarę jak wychodziły z mojego komputera; pierwszy raz pozwoliłem, by redaktor czytał powstającą książkę równocześnie z moją żoną, Kristine, nie po niej. Beth pomagała mi na każdym etapie, czy to swoimi sugestiami, czy słowami zachęty, gdy były konieczne; Kristine również była moją rzetelną pierwszą czytelniką i pomagała mi znaleźć równowagę między przyziemnością, na której mi zależało, a pewnym dostojeństwem, które jak sądziłem, spodoba się czytelnikom.

Inni pierwsi czytelnicy – Erin i Phillip Absherowie i Kathryn H. Kidd – także dostawali rozdziały książki w stanie surowym. Wszyscy mieli duży udział w posuwaniu fabuły powieści naprzód.

Latem 2010 roku, trzydzieści trzy lata po tym, jak narysowałem pierwsze mapy świata, który dziś nazywam Westilem (na pamiątkę jednego z najważniejszych narodów w jego dziejach), nieubłagane zbliżający się termin publikacji zmusił mnie, bym dokończył powieść

mimo wszystkich innych moich zajęć, w tym prowadzenia dwóch tygodniowych warsztatów pisarskich. Pisałem praktycznie jeden rozdział dziennie, kiedy poleciliśmy z Kristine do Polski na oficjalną premierę przekładu „Endera na wygnaniu”. Kolejne rozdziały powstawały w samolotach do i z Polski, a także w Warszawie i w Cieszynie, gdzie uczestniczyłem w konwencji sci fi i fantasy łączącej doroczny EuroCon z krajowymi konwencjami w Polsce, Czechach i Słowacji. Zawarłem i odnowiłem znajomość z wieloma wspaniałymi ludźmi i wróciłem do domu z gotowymi wszystkimi oprócz czterech rozdziałów.

Pierwszego września skończyłem ostatni rozdział i przekazałem książkę w ręce wspaniałego zespołu wydawnictwa Tor, który dał z siebie wszystko, by mimo mojej opieszałości wydać ją w terminie. Dziękuję wszystkim.

Przede wszystkim jednak muszę podziękować mojej rodzinie – Kristinie, oczywiście, i naszej najmłodszej córce Zinie – za ich cierpliwość w obliczu stresu nieuchronnie towarzyszącego mojej pracy nad książką. Erin Absher wiele razy ułatwiała nam życie w czasie podróży, a moja asystentka (i naczelna mojego magazynu „Orson Scott Card’s InterGalactic Medicine Show”, dostępnego pod adresem www.oscigms.com), Kathleen Bellamy, i nasz skryba internetowy i specjalista od informatyki, Scott Allen, pilnowali, żeby świat wokół nas sprawnie funkcjonował.

